

Philippe Ariès



HISTORIA DZIECIŃSTWA

Philippe Ariès

HISTORIA DZIECIŃSTWA

DZIECKO I RODZINA W DAWNYCH CZASACH

Przekład: Maryna Ochab



WYDAWNICTWO MARABUT GDAŃSK 1995

Tytuł oryginału: L'ENFANT ET LA VIE FAMILIALE SOUS L'ANCIEN RÉGIME

Copyright © Editions du Seuil, 1973

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marabut, 1995

Wydanie pierwsze w języku polskim

Redakcja: Antonina Jelicz

Korekta: Józef Majewski, Elżbieta Pałasz

Opracowanie graficzne: Tomasz Bogusławski



ISBN 83-85893-26-1

*Książka wydana przy pomocy francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych
i Wydziału Kulturalnego Ambasady Francji w Polsce*

*Wydawnictwo MARABUT
ul. Pniewskiego 3A, 80-952 Gdańsk, tel./fax (0-58) 41-17-55*

Skład: Maria Chojnicka

*Druk: Drukarnia Wydawnictw Naukowych S.A.
Łódź, ul. Żwirki 2*

Przedmowa (do wydania II)

Mówi się, że drzewo przesłania las, ale najcudowniejszy czas dla historyka to ten, kiedy całościowy obraz badanej epoki dopiero się zaczyna wyłaniać, kiedy nie rozwiła się jeszcze zupełnie mgła spowijająca daleki horyzont, a on sam nie nabrał jeszcze dystansu do nagich dokumentów, których szczegóły zachowują całą swoją świeżość. Największa zasługa historyka to może nie tyle obronić tezę, którą był postawił, ile zarazić czytelnika radością ze swych odkryć, wyczulić go – jak sam był wyczulony – na barwy i zapachy rzeczy nieznanych. Ale żywi on również ambicję zorganizowania tych wszystkich konkretnych detali w jedną abstrakcyjną strukturę; zawsze z trudem (na szczęście!) uwalnia się od natłoku wrażeń, które przykuwały jego uwagę w czasie awanturniczych poszukiwań, niełatwo mu je nagiąć od razu do koniecznej przecież algebry teorii. Dopiero znacznie później, w momencie wznowienia dzieła, czas, który minął, zabierając z sobą emocje pierwszego kontaktu, kompensuje mu jednak tę stratę: wtedy lepiej widać las. Dziś, po dyskusjach moich współczesnych na temat dziecka, rodziny i młodości, po tym, jaki oddźwięk znalazła moja praca, widzę lepiej, bo wyraźniej i prościej, tezy, jakie mi podszeptają długotrwały dialog z rzeczami.

Przedstawię tu dwie podstawowe.

Pierwsza dotyczy naszego starego, tradycyjnego społeczeństwa. Stwierdziłem, że miało ono niewielkie wyobrażenie o dzieciństwie, a jeszcze mniejsze o okresie młodzieńczym. Za dzieciństwo uważano okres najwcześniejszy, kiedy potomstwo człowieka nie może się jeszcze obejść bez pomocy; ledwie dziecko

zaczynało sobie fizycznie dawać radę, wciągano je w świat dorosłych, dzieliło z dorosłymi pracę i zabawę. Małe dziecko przemieniało się raptownie w młodego człowieka, nie przechodząc przez etapy wczesnej młodości, które zapewne były wyróżniane w czasach poprzedzających średniowiecze i które dziś grają tak istotną rolę w naszych rozwiniętych społeczeństwach.

Rodzina nie zapewniała więc ani nie kontrolowała przekazywania wartości i wiedzy, i ogólniej – uspołecznienia dziecka. Szybko oddalało się od rodziców i można powiedzieć, że przez całe stulecia kształtowało je terminowanie, współpraca dziecka czy młodzieńca z dorosłymi. Uczyło się rzeczy, które należało umieć, pomagając dorosłym je robić.

Obecność dziecka w rodzinie i w społeczeństwie trwała zbyt krótko i znaczyła za mało, by odcisnąć się w pamięci i wrażliwości. Niemniej jednak darzono dziecko powierzchownym uczuciem – które nazwałem *mignotage* (rozczulenie) – zastrzeżonym dla pierwszych lat życia, kiedy było małym, zabawnym stworzeniem. Bawiono się z nim jak ze zwierzątkiem, z bezwstydną małpką. Jeśli wtedy umierało, jak to się często zdarzało, budziło to niekiedy zmartwienie, ale z reguły ludzie nie przejmowali się śmiercią dziecka, bo rychło zastępowało je kolejne potomstwo. Dziecko pozostawało w jakiś sposób anonimowe.

Jeśli uniknęło pierwszych zagrożeń i przeżyło ten najwcześniejszy okres, to dorastało często z dala od własnej rodziny. Ta rodzina składała się z pary małżeńskiej i mieszkających z nią razem dzieci: moim zdaniem, rozbudowana rodzina wielopokoleniowa lub z wieloma bocznymi grupami istniała wyłącznie w wyobraźni moralistów, jak Alberti w piętnastowiecznej Florencji, i dziewiętnastowiecznych francuskich socjologów-tradycjonalistów; w rzeczywistości występowała tylko wyjątkowo, w okresach zagrożeń, kiedy więzy pokrewieństwa zastępowały osłabioną władzę publiczną, i w pewnych tylko warunkach ekonomicznych i prawnych. (Na przykład w regionach śródziemnomorskich, może tam, gdzie prawo faworyzujące tylko jedno z potomstwa sprzyjało kohabitacji).

Misją tej dawnej rodziny było zachowanie majątku, wspólne wykonywanie zawodu, codzienna wzajemna pomoc w świecie, gdzie człowiek samotny, a tym bardziej kobieta, nie mógł przeżyć, oraz obrona życia i honoru w wypadkach kryzysowych. Rodzina nie miała funkcji uczuciowej. Nie znaczy to wcale, by nie znała miłości – przeciwnie, często tę miłość widać, czasem od zrzekowin, częściej dopiero po ślubie, miłość rodzącą się i kultywowaną we wspólnym życiu, jak na przykład u diuka Saint-Simona. Ale istotne jest to, że uczucie łączące małżonków lub rodziców i dzieci nie było rodzinie potrzebne do życia ani do wewnętrznej równowagi: tym lepiej, jeśli się zdarzało.

Związki uczuciowe i komunikację społeczną zapewniało poza rodziną bardzo zagęszczone i ciepłe „środowisko”, składające się z sąsiadów i przyjaciół, panów i czeladzi, dzieci i starców, kobiet i mężczyzn, gdzie można było bez

przeszkód dać upust własnym skłonnościom. Rodziny roztopiały się w tym środowisku. Historycy francuscy nazywają dziś „towarzystwami” ów pociąg tradycyjnych wspólnot do spotkań, nieustannego obcowania ze sobą i świętowania. Oto jak widzę nasze dawne społeczeństwo, różniące się od tych, jakie opisują etnologowie, i od naszych społeczeństw przemysłowych.

Moja pierwsza teza jest próbą interpretacji społeczeństw tradycyjnych, druga chce ukazać nowe miejsce dziecka i rodziny w naszych społeczeństwach przemysłowych. Od pewnego momentu (wróć jeszcze do obsesyjnego problemu początków), a w sposób definitywny i wszechobowiązujący od końca wieku XVII, nastąpiła ważna zmiana w omówionym przeze mnie stanie obyczajów. Można tę zmianę uchwycić dwojako. Jeśli idzie o kształcenie, terminowanie zastąpiła szkoła. To znaczy, że dziecko przestało przebywać wśród dorosłych i uczyć się życia bezpośrednio od nich. Choć nie bez oporów i opóźnień, dziecko zostaje odłączone od dorosłych: trzyma się je na osobności i przechodzi ono swoistą kwarantannę, zanim puszczone będzie w świat. Ta kwarantanna to szkoła, kolegium. Zaczyna się długotrwały proces izolowania dzieci (tak jak szaleńców, nędzarzy i prostytutek), który będzie się rozszerzał aż po dziś dzień i który nazywamy *z o r g a n i z o w a n y m n a u c z a n i e m*.

To odseparowanie dzieci i kształcenie młodych umysłów należy interpretować jako przejaw wielkiego umoralnienia ludzi przez katolickich lub protestanckich reformatorów Kościoła, prawa i państwa. Ale nie byłoby ono możliwe bez przyzwolenia, uczuciowej zgody rodzin, i ten drugi aspekt zjawiska chciałbym podkreślić. Rodzina stała się miejscem *k o n i e c z n e g o a f e k t u* między małżonkami oraz między rodzicami i dziećmi, czego wcześniej nie było. Uczucie rodzinne wyraża się przede wszystkim w uznaniu wagi wykształcenia. Nie chodzi już tylko o urządzenie dzieci ze względu na honor i majątek. To uczucie jest zupełnie nowe: rodzice interesują się nauką swoich dzieci i śledzą ich postępy z troską zwyczajną w XIX i XX wieku, lecz wcześniej nieznaną. Jean Racine pisze do syna Ludwika o swoich nauczycielach tak, jak dzisiejszy rodzic (albo wczorajszy, z całkiem niedawnego wczoraj). Rodzina zaczyna się organizować wokół dziecka, które nabiera znaczenia, przestaje być anonimowe, nie można już go stracić bez żalu i zastąpić nowym, nie można też zbyt często płodzić dzieci, trzeba ograniczyć ich liczbę, by tym lepiej się o nie zatroszczyć. Toteż nic dziwnego, że tej szkolnej i uczuciowej rewolucji towarzyszył maltuzjanizm demograficzny, dobrowolne ograniczenie urodzeń, które daje się zaobserwować od wieku XVIII. Wszystko to się ze sobą sensownie wiąże (może aż nazbyt sensownie, jak na podejrzliwe oko P. Veyne'a!).

A konsekwencją – wykraczającą poza okres omawiany w tej pracy, lecz rozwiniętą przeze mnie gdzie indziej – jest w XIX wieku polaryzacja życia

społecznego wokół rodziny i pracy zawodowej oraz zanik (z wyjątkiem takiej np. Prowansji panów Agulhona i Vovelle'a) tradycyjnej towarzyskości.

Książka żyje własnym życiem, wymyka się autorowi i staje własnością publiczności, nie zawsze tej, którą autor miał na myśli.

Stało się tak, jakby dwie przedstawione przeze mnie tezy trafiły nie do tych samych czytelników.

Drugą, która szukała wyjaśnienia naszej terażniejszości, natychmiast wykorzystali psycholodzy i socjolodzy, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie nauki humanistyczne wcześniej niż gdzie indziej zajęły się kryzysami u młodzieży. Te kryzysy wyraźnie świadczą o tym, z jakim trudem i niechęcią młodzież wkracza w wiek dorosły. Otóż w moich analizach sugerowałem, że ta sytuacja może być skutkiem przedłużonej izolacji młodych w rodzinie i w szkole. Wykazywałem również, że uczucia rodzinne i intensywne nauczanie młodzieży są jednym i tym samym zjawiskiem, i to zjawiskiem świeżej daty, które daje się określić w czasie, i że dawniej rodzina nie wyróżniała się zbytnio wewnątrz o wiele bardziej zagęszczonej i cieplejszej przestrzeni społecznej.

Tak zatem moja książka trafiła do socjologów, psychologów i nawet pediatrów, którzy mnie sobie przywłaszczyli: w Stanach Zjednoczonych dziennikarze nazwali mnie *French sociologist*, a w pewnej wielkiej paryskiej gazecie okazałem się socjologiem amerykańskim! Takie przyjęcie miało dla mnie smak paradoksu, gdyż we Francji spotkałem się z zarzutami sformułowanymi właśnie w imię współczesnej psychologii: wypomniano mi, że „zaniedbuję zdobycze współczesnej psychologii” (A. Besançon) i że „za bardzo ulegam ustaleniom psychologii tradycyjnej” (J. L. Flandrin)¹. Prawdą jest, że trudno mi było unikać starych, niejednoznacznych słów, dziś przestarzałych aż do śmieszności, lecz przecież wciąż żywych w moralistycznej, humanistycznej kulturze, która jest moją kulturą.

Krytyki dotyczące właściwego użytku z psychologii zasługują na uwagę, i oto co bym chciał na ten temat powiedzieć.

Można spróbować opisu historii zachowań, to znaczy historii psychologicznej, nie będąc samemu psychologiem ani psychoanalitykiem i trzymając się z daleka od teorii słownictwa, a nawet metod współczesnej psychologii, a przy tym wzbudzić zainteresowanie specjalistów działając na ich własnym terenie. Kto się rodzi historykiem, ten staje się na swój sposób psychologiem, choć z pewnością nie na modłę współczesnych psychologów, których przecież jakoś napotyka i uzupełnia. Historyk i psycholog spotykają się zatem nie na

¹ A. Besançon, *Histoire et psychoanalyse*, „Annales ESC” 19, 1964, s. 242, nr 2. – J. L. Flandrin, *Enfance et société*, „Annales ESC” 19, 1964, s. 322-329.

płatczyźnie metod, które mogą być różne, lecz na płatczyźnie tematu, sposobu jego przedstawienia czy też, jak to się dziś mówi, problematyki.

Odwrotne podejście – wychodzenie od psychologii, żeby dojść do historii – również jest możliwe, jak świadczą sukcesy A. Besançon. Jednak ta droga przedstawia pewne niebezpieczeństwa, których nie zdołał uniknąć M. Soriano, mimo tak wielu swoich smakowitych odkryć i celnych porównań. W poświęconej mi nocie krytycznej A. Besançon słusznie precyzuje, że „dziecko to nie tylko ubiór, zabawy, szkoła ani nawet poczucie odrębności dzieciństwa [czyli dające się empirycznie uchwycić uwarunkowania historyczne], lecz także jakaś osoba, jakiś rozwój, jakaś historia, którą psychologowie próbują odtworzyć”, to znaczy „człon porównania”. Znakomita uczona XVI wieku N. Z. Davis² szukała tego członu porównania w modelu zbudowanym przez psychosocjologów na podstawie ich dzisiejszych doświadczeń. Psychologowie odczuwają silną pokusę sprawdzenia swoich teorii na obcym terenie, czy to u naszych tradycyjnych społeczeństw, na przykładzie analizy osobowości Lutra, czy też u ostatnich „dzikich”; niewątpliwie mogłoby się to okazać wzbogacające. O ile jednak ta metoda sprawdziła się etnologom, o tyle społeczeństwo tradycyjne wydaje mi się bardziej odporne: zbyt łatwo to prowadzi do przełożenia stosunków Charlesa Perrault z synem na współczesny język ojca, który nadużywa swojej władzy, i rozpieszczonego dziecka. Nie pomaga nam to lepiej zrozumieć świata współczesnego, bo nie wnosi nic nowego, ani świata dawnego – bo jest anachronizmem, i porównanie traci wówczas sens. Jednakże lęk przed anachronizmem (wada historyków) nie oznacza ani odrzucenia porównywania, ani obojętności na świat współczesny: dobrze wiemy, że wychytujemy w przeszłości najpierw różnice, a dopiero potem podobieństwa z epoką, w której żyjemy.

O ile moja druga teza spotkała się z jednomyślną niemal aprobatą historyków, o tyle pierwsza (brak poczucia odrębności dzieciństwa w średniowieczu) przyjęta została z zastrzeżeniami. Mogę dziś jednak powiedzieć, że główne myśli zostały zaakceptowane. Historycy demografowie uznali, że stosunek do dzieci był przez długi czas obojętny, historycy badający dzieje umysłowości odnotowali, jak rzadko trafiają się aluzje do dzieci i ich śmierci w kronikach rodzinnych, na przykład w wydanym przez A. Lottina dzienniku złotnika z Lille. Uderzyło ich – choćby J. Boucharda – że rodzina nie pełniła funkcji uspołeczniającej³. Prace M. Agulhona podkreśliły znaczenie „towarzyskości” we wspólnotach miejskich i wiejskich dawnych czasów.

Ale krytyka jest bardziej pouczająca niż aprobata i zgoda. Ustosunkuję się tu do dwojga autorów: J. L. Flandrina i N. Z. Davis.

² N. Z. Davis, *The reasons of misrule: youth groups and charivaris in sixteen century France*, „Past and Present” 50, luty 1971, s. 41-75.

³ J. Bouchard, *Un village immobile*, 1972.

J. L. Flandrin⁴ zarzuca mi, że zbyt „obsesyjnie” troszczę się o początki, przez co dopatruję się absolutnej innowacji tam, gdzie ma miejsce raczej zmiana charakteru. Zarzut to w pełni uzasadniony. Trudno tego błędu uniknąć, jeśli człowiek w swoich badaniach posuwa się wstecz, co zawsze robię. Zbyt naiwnie uznaje on za absolutną innowację to, co jest najczęściej tylko nowym kodem. J. L. Flandrin daje na to dobry przykład: fakt, że sztuka średniowieczna przedstawiała dziecko jako zminiaturyzowanego dorosłego, nie świadczy o „istnieniu bądź nieistnieniu świadomości dzieciństwa, tylko o jej naturze”. Dziecko różniło się od dorosłego, ale tylko wzrostem, siłą, wszystko inne było podobne. Warto by zatem porównać dziecko z karłem, który w typologii średniowiecza zajmuje ważne miejsce. Dziecko jest karłem, ale takim, który nim być przestanie, chyba że padnie ofiarą czarów. A czy karzeł nie jest aby dzieckiem, skazanym na pozostanie nim, póki nie przemieni się w skurczonego starca?

Inne uwagi wysunęła N. Z. Davis w znakomitym studium pt. *The reasons of misrule*⁵. Powiada ona mniej więcej tak: jak mogę utrzymywać, że w tradycyjnym społeczeństwie dzieci i młodzież nie wyróżniały się spośród dorosłych, bo pojęcie młodości w ogóle nie istniało, skoro zarówno w wiejskich, jak miejskich wspólnotach stałą funkcją młodzieży było organizowanie świąt i zabaw oraz kontrolowanie małżeństw i stosunków seksualnych, sankcjonowanych kocią muzyką? M. Agulhon ze swej strony, w pięknej książce o pokutnikach i wolnomularzach, poświęcił cały rozdział społecznościom młodzieżowym, które coraz bardziej interesują współczesnych historyków zajmujących się kulturą ludową.

Problem zasygnalizowany przez N. Z. Davis nie uszedł mojej uwagi. Przyznaję, że w niniejszej pracy pomiąłem go leniwie, redukując do stanu zaledwie „śladów” zwyczaje ludowe, których skalę i znaczenie ukazali N. Z. Davis, M. Agulhon i inni.

Szczerze mówiąc, sumienie miałem niespokojne, bo wróciłem do tego problemu na pierwszych stronicach cokolwiek buńczucznej historii szkolnictwa we Francji⁶. Przyznałem, że w czasach poprzedzających średniowiecze na obszarach cywilizacji wiejskiej i niepiśmiennej, społeczność była zorganizowana wedle klas wiekowych, z rytami przejścia, zgodnie z modelem etnologów. W społeczeństwach tych każdy okres życia miał swoją funkcję, wiedza była przekazywana przez inicjację, a w obrębie klasy wiekowej przez uczestnictwo w służbie, jaką dana klasa pełniła.

Niech mi będzie wolno otworzyć nawias i przytoczyć słowa mojego młodego przyjaciela, archeologa. Zwiedzaliśmy razem wykopaliska na Krecie, w Malii, dyskutując zażarcie o Homerze, Janroy i Duby, o strukturach klas

⁴ J. L. Flandrin, *op. cit.*

⁵ N. Z. Davis, *op. cit.*

⁶ Pisana w latach 1967–1970, ogłoszona drukiem w: *La France et les Français*, 1972, s. 872

wiekowych podług etnologów i ich ponownym pojawieniu się we wczesnym średniowieczu. Powiedział mi mniej więcej tak: w naszych starych cywilizacjach, czy to w homeryckiej Grecji, czy w średniowieczu czasów *chanson de geste*, nie natrafiamy na te etnograficzne struktury w pełni dojrzałości, lecz znajdujemy je w postaci pozostałości, reliktyw. Miał rację. Trudno oprzeć się myśli, że na zbyt dokładnie rzutujemy na nasze tradycyjne społeczeństwa struktury, które etnologzy dostrzegają dziś u współczesnych „dzikich”.

Zamknijmy nawias i przyjmijmy hipotezę społeczeństwa-źródła w bardzo wczesnym średniowieczu, społeczeństwa, które by miało wszystkie ogólnie przyjęte cechy etnograficzne i folklorystyczne.

W okresie feudalnym, może kiedy umacniają się dawne więzy podległości, w społeczeństwie tym zachodzi wielka zmiana. Dotyczy ona edukacji, czyli przekazywania wiedzy i wartości. Od tej pory zapewnia ją – w średniowieczu – terminowanie. Otóż praktyka terminowania jest nie do pogodzenia z systemem klas wiekowych, a przynajmniej obala ten system, gdy staje się powszechna. Nie sposób przecenić znaczenia terminowania. Zmusza ono dzieci do życia wśród dorosłych, którzy im przekazują wiedzę zawodową i życiową. Wynikające z praktyki terminowania przemieszanie ludzi rozmaitego wieku wydaje mi się jedną z dominujących cech naszego społeczeństwa od połowy średniowiecza do wieku XVIII. Tradycyjne podziały ze względu na wiek musiały w tych warunkach ulec zmańczeniu i przestały być konieczne. Ale pewne jest, że przetrwały, jeśli idzie o kontrolę seksualności i organizację świąt, a wiemy, jak wielką rolę odgrywały święta w życiu codziennym naszych przodków. Jak pogodzić utrzymywanie się tego, co z pewnością było czymś więcej niż „ślądami”, z wczesnym wysyłaniem dzieci na naukę do dorosłych? Czy aby nie padamy ofiarą, wbrew kontrargumentom N. Z. Davisa, dwuznaczności słowa: młodość? Nawet łacina, tak jeszcze bliska, nie ułatwia rozróżnienia. Neron miał 25 lat, kiedy Tacyt powiedział o nim: *certe finitam Neronis pueritiam et robur juventae adesse**. *Robur juventae* to pełnia sił człowieka młodego, a nie wiek młodzieńczy. Ile lat liczyli sobie przywódcy młodzieży i ich towarzysze? Ile lat miał Neron, gdy zginął Brutus, ile Kondeusz w Rocroy, jaki był wiek stosowny dla wojny lub jej namiastki – fanfaronady⁷? Młodzieżowe społeczności były faktycznie społecznościami kawalerów w czasach, gdy w klasach niższych mężczyźni żenili się stosunkowo późno. Istniała więc opozycja między człowiekiem żonatym a nieżonatym, tym, co miał dom a tym, co go nie miał i sypiał u obcych, między mniej a bardziej ustabilizowanym. Trzeba więc przyjąć, iż istniały

* To pewne, że skończył się czas chłopięctwa Nerona i nadeszła krzepkość młodości. (Oznaczone gwiazdką fragmenty łacińskie przełożył Michał Koss).

⁷ Bratanek Mazariniego, Paolo Mancini, miał raptem 15 lat, kiedy dał się dzielnie zabić pod murami Paryża pod koniec Frondy. Por. G. Dethant, *Mazarin et ses amis*, Paris 1968.

społeczności młodzieżowe, ale w sensie – kawalerskie. W dawnej Francji „młodość” kawalerów nie miała cech, które w starożytności i w społeczeństwach etnograficznych wyróżniały efeba od dojrzałego mężczyzny, Aristogejtona od Harmodiosa⁸, ani tych, które dziś różnią młokosów od dorosłych.

Gdybym miał dzisiaj napisać tę książkę, bardziej bym się wystrzegął pokusy szukania absolutnego początku, punktu zerowego, ale w ogólnym zarysie byłaby ona taka sama. Wziąłbym tylko pod uwagę nowe dane i położył większy nacisk na średniowiecze i jego jakże bogatą jesień.

Przede wszystkim zwróciłbym uwagę na bardzo ważne zjawisko, o którym zaczynamy wreszcie coś więcej wiedzieć: tolerowanie dzieciobójstwa aż do końca XVII wieku. Nie żeby to było ogólnie przyjętą praktyką, jak porzucanie dzieci w Rzymie. Przeciwnie, dzieciobójstwo to surowo karane przestępstwo, niemniej jednak praktykuje się je w sekrecie, być może, powszechnie, zakamuflowane jako wypadek: dzieci śpią w łóżku razem z rodzicami i umierają wskutek naturalnego uduszenia. Nie robi się nic, żeby je ratować.

J. L. Flandrin zanalizował tę ukrytą praktykę w wykładzie dla Towarzystwa Miłośników XVII wieku. Wykazał, że spadku śmiertelności dzieci w wieku XVIII nie da się wyjaśnić poprawą warunków medycznych i higienicznych; że po prostu rodzice przestali pozwalać albo pomagać umrzeć niechcianym dzieciom.

W tym samym cyklu wykładów P. Gy potwierdził interpretację J. L. Flandrina cytując fragmenty „Rytuałów” posttrydenckich, w których biskupi z dającą do myślenia gwałtownością zakazują kładzenia dzieci do łóżka rodziców, gdzie zbyt często ginęły uduszone.

Nie przyznawano się do tego, że pomagano naturze usunąć stworzenia tak mało zdolne do samodzielnego istnienia, ale też nie uważano, by to był postępek haniebny. Należał do rzeczy moralnie neutralnych, potępianych przez Kościół i państwo, lecz praktykowanych w sekrecie, na wpół świadomie, na pograniczu woli, zapomnienia i niedbałości.

Życie dziecka traktowano wtenczas z tą samą dwuznacznością, co życie embriona dzisiaj, tyle że dzieciobójstwo pokrywano milczeniem, podczas gdy o prawie do przerywania ciąży mówi się bardzo głośno – w tym właśnie leży różnica między cywilizacją tajemnicy a cywilizacją ostentacji. W XVII wieku nastanie czas, kiedy akuszerka, zrehabilitowana przez władze czarownica w bieli, będzie miała za zadanie ochronę dziecka, a rodzice, lepiej poinformowani przez reformatorów i bardziej wrażliwi na śmierć, staną się staranniejsi i będą chcieli za wszelką cenę zachować dzieci przy życiu.

⁸ Mam na myśli słynną grupę z muzeum w Neapolu.

Następuje przejście od przyjętego w sekrecie dzieciobójstwa do coraz bardziej wymagającego poszanowania życia dziecka. W naszych oczach dzieje się coś dokładnie odwrotnego, mianowicie ewolucja zmierzająca do swobody przezywania ciąży.

O ile fizyczne życie dziecka liczyło się tak niewiele, to przecież w społeczeństwie jednolicie chrześcijańskim można się było spodziewać większej uwagi, jeśli idzie o jego życie przyszłe, po śmierci. To nas prowadzi do pasjonującego zagadnienia chrztu, wieku dzieci chrzczonych i sposobów udzielania tego sakramentu. Żałuję, że nie mówiłem o tym w niniejszej pracy. Chciałbym, aby zajął się tą kwestią jakiś młody badacz. Pozwoliłoby to nam uchwycić postawę wobec życia i dzieciństwa w odległych, ubogich w dokumenty czasach, ale nie po to, by potwierdzić bądź zmodyfikować datę początku cyklu, lecz żeby pokazać, jak przy trwającym ciągłym polimorfizmie zmieniała się nierówno, skokami, stara mentalność. Dzieje chrztu wydają mi się dobrym przykładem tego rodzaju spiralnej ewolucji.

Radziłbym naukowcom zastanowić się nad następującą hipotezą.

W społeczeństwie jednolicie chrześcijańskim, jakim było społeczeństwo średniowieczne, każdy mężczyzna i każda kobieta musieli być ochrzczeni i byli ochrzczeni, ale kiedy i jak? Wydaje się (rzecz do potwierdzenia), że w połowie wieków średnich dorośli nie okazują specjalnej gorliwości, jeśli idzie o chrzest dzieci, nie śpieszą się z tym wcale, a w skrajnych przypadkach całkiem zapominają o chrzcie. Zachowują się nie inaczej niż ludzie religijnie obojętni w naszej zlaicyzowanej epoce! Wyobrażam sobie, że musiało to wyglądać tak, że chrztu udzielano w określonym czasie, dwa razy do roku, w przeddzień Wielkiejnocy i przeddzień Zielonych Świątek. Nie było jeszcze wtedy ksiąg parafialnych ani świadectw urodzenia, nic zatem nie przymuszało ludzi poza ich własnym sumieniem, presją opinii i strachem przed odległą, niedbałą i bezbronną władzą. Chrzciono dzieci dowolnie, czasem z wieloletnim opóźnieniem. Jedenasto- i dwunastowieczne chrzcielnice to zresztą wielkie misy, przypominające wanny, w których można było zanurzyć całkiem spore dziecko: na witrażach widzimy głębokie prostokątne kadzie w kształcie sarkofagu – zanurzano w takiej Clovisa, by go ochrzcić, i świętego Jana na mękach.

Jeśli dziecko zmarło w okresie dzielącym zbiorowe chrzty, nikt się tym specjalnie nie przejmował.

Taka postawa na pewno niepokoiła średniowiecznych pasterzy, toteż budowali coraz więcej miejsc kultu, aby księża mogli szybciej odwiedzić położnicę. Coraz silniejsza presja, zwłaszcza ze strony zakonów żebraczych, wywierana była na rodziny, żeby je zmusić do ochrzczenia dziecka tuż po urodzeniu. Wtedy zapewne zrezygnowano ze chrztów zbiorowych, narzucających zbyt



długą zwłokę, i chrzest niemowlęcia stał się regułą. Zamiast zanurzania w wodzie przyjął się obowiązujący do dziś rytuał kropienia wodą święconą. (Istniał, być może, ryt pośredni, łączący zanurzanie z kropieniem.) Wreszcie było sprawą akuszerki ochrzcić nie donoszone noworodki *usque in utero**.

Później, od wieku XVI, księgi parafialne umożliwiły kontrolę (wcześniej nie istniejącą) chrztów przez np. diecezjalnych wizytatorów. Ale w ludzkiej wrażliwości sprawa była wygrana, i to zapewne już od XIV wieku. Wiek XIV wydaje mi się tu przełomowy. Wtedy właśnie coraz więcej dzieci występuje w Misteriach Notre-Dame, o czym mówiłem w rozdziale „Odkrycie dzieciństwa”.

W tym nowym folklorze na specjalne wyróżnienie zasługuje pewien rodzaj cudów, który, jak przypuszczam, pojawił się właśnie wtedy, jeśli nie później: chwilowe zmartwychwstanie dzieci zmarłych bez chrztu, po to tylko, by otrzymać sakrament. J. Toussaert⁹ pisał o tego typu cudzie w Poperinghe 11 marca 1479 roku: było to wydarzenie oryginalne, nieoczekiwane, nadzwyczajne, jakich mało. Ale w XVI i XVII wieku te cuda stały się banalne, nikogo już nie dziwiły, były nawet wyspecjalizowane w nich sanktuaria, a nazywano je ładnie: „wytchnienie”. M. Bernos subtelnie zanalizował to zjawisko w związku z cudem, jaki się zdarzył w Annociade w Aix-en-Provence, w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu 1558 roku. Cudem nie było „wytchnienie”, rzecz w tym kościele zwyczajna – składano tam zmarłe niemowlęta na ołtarzu i czekano, aż dadzą znak życia, żeby je ochrzcić. Tym, co wstrząsnęło wiernymi, było samoistne, nadprzyrodzone zapalenie się świecy podczas „wytchnienia” – to właśnie było nadzwyczajne, a nie samo „wytchnienie”¹⁰.

W 1479 roku przyzwyczajenie nie odebrało jeszcze zjawisku cudowności, co znaczy, że początek kultu był nieodległy w czasie.

Jest więc tak, jakby duszę dziecka zaczęto odkrywać wcześniej niż jego ciało, pod presją reformatorskich tendencji Kościoła. A gdy wola *litterati*** została zaakceptowana, z miejsca przyjęła się w obyczaju i dziecko rozpoczęło karierę jako bohater nowego folkloru religijnego.

W wieku XIV zatrzyma nas jeszcze jedna sprawa, której znaczenie nie dość podkreśliłem w mojej książce. Chodzi o grobowce. Wspomniałem o nich pobieżnie w rozdziale „Odkrycie dzieciństwa”. Ostatnie badania nad postawami wobec śmierci pozwalają mi dziś na większą precyzję.

* Nawet w łonie.

⁹ J. Toussaert, *Le Sentiment religieux en Flandre à la fin du Moyen Age*, Paris 1963.

¹⁰ M. Bernos, *Reflexion sur un miracle*, „Annales du Midi” 82, 1970.

** Wykształceni.

Wśród niezliczonych inskrypcji nagrobnych z czterech pierwszych wieków naszej ery, jakie spotykamy wszędzie w Rzymie, wiele mówi o dzieciach najmłodszych, kilkumiesięcznych: pogrążeni w smutku rodzice wzniesli ten pomnik ku pamięci swego ukochanego dziecka, zmarłego w wieku paru miesięcy lub paru lat (tytu i tytu lat, miesiące i dni). W Rzymie, w Galii i w Nadrenii na wielu rzeźbionych nagrobkach widzimy obraz rodziców z dziećmi. Następnie, od V-VI wieku, rodzina i dziecko znikają z przedstawień i inskrypcji nagrobnych. Kiedy w XI-XII wieku powraca portret, groby są indywidualne, osobno mąż, osobno żona, i nie ma rzeźbionego grobowca dziecka. W Fontevrault groby królewskiej pary Plantagenetów są od siebie oddzielone.

Zwyczaj łączenia dwojga lub trojga małżonków (mąż i jego dwie kolejne żony) częściej się spotyka w wieku XIV, kiedy pojawiają się także, choć z rzadką, rzeźbione grobowce małych dzieci. Nie jest to przypadkowe. W rozdziale „Odkrycie dzieciństwa” podałem przykład portretów małych książąt d’Amiens z 1378 roku, ale to były dzieci królewskiego rodu.

W kościele w Taverny znajdują się dwie płyty nagrobne z rzeźbami i inskrypcjami: grobowce dzieci rodziny Montmorency. Najlepiej zachowała się płyta Karola de Montmorency, zmarłego w 1369 roku, i przedstawiająca dziecko owinięte w pieluchy, co w tamtych czasach było rzadkością. Cokolwiek pretensjonalna inskrypcja brzmi, jak następuje: *Hic manet inclusus adolescens et puerulus / de Montmorenci Karolus tomba jacet ista / anno mille C. ter paradisii sensiit iter / ac sexagesimo novem simul addas in illo / gaudeat in Christo tempore perpetuo**. Karol miał przyrodniego brata Jana, zmarłego w 1352 roku. Jego grób zachował się, ale alabastrowe płaskorzeźby znikły, toteż nie wiadomo, jak dziecko było przedstawione, być może, również w powijkach. Inskrypcja francuska jest prostsza: „Tu spoczywa Jan de Montmorency, syn szlachetnego i potężnego Karola, pana de Montmorency, zmarły w roku łaski 1352, 29 dnia lipca”.

W obu przypadkach obok portretu zmarłego dziecka widnieje epitafium, w którym wymienia się nazwisko ojca i datę śmierci, lecz nie podaje ani imienia matki, ani wieku dziecka, chociaż w XIV wieku podawano już na ogół wiek nieboszczyka.

W XV wieku wspólne groby rodziców i dzieci oraz groby samych dzieci spotyka się częściej, w XVII wieku to już banał – jak pokazałem na podstawie katalogu Gaignièresa. Ale rzeźbione grobowce były zastrzeżone dla wielkich rodzin (płaskie płyty nagrobne produkowali seryjnie rzemieślnicy). Częściej spotyka się małe „obrazki” ściennie z napisem, a czasem z pobożną

* Tu spoczywa młodzianka pacholątko Karol de Montmorency, złożony w tym grobie w roku tysięcznym i trzysta i dodaj do tego jeszcze lat 69, kiedy to poznał drogę do rajy i oby wiecznie radował się w Chrystusie.

ilustracją. Niektóre z tych prostych epitafiów dotyczą dzieci, a stylem naśladują łacińskie epigrafy antyczne. Tematem jest smutek rodziców po stracie przedwcześnie zmarłego dziecka.

W S. Maria in Campitelli w Rzymie¹¹ widnieje następująca inskrypcja z 1471 roku: *Petro Albertonio adolescentulo / cujus annos ingenium excedebat / [dziecko szczególnie uzdolnione, mały geniusz]* Gregorius et Alteria parentes / unico et dulcissimo / posuere / [tym bardziej nie do odżałowania, że był jedynakiem – w 1471] qui vixit annos iv M. III / obitt MCCCCLXXI.***

Wróćmy do tematu dziecka w powijakach.

Dopiero w XVII wieku zaczęto przedstawiać dziecko realnie istniejące jako nagie putto. Przedtem zawsze występowało w koszulce albo ubraniu. Wiadomo skądinąd, że od czasów średniowiecza dusza była przedstawiana w postaci nagiego dziecka.

Ale są rzadkie i ciekawe przypadki obrazu duszy owiniętej w powijaki. W Rzymie w S. Maria in Transtevere znajduje się obraz Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny z początku XV wieku: jej dusza to otulone w pieluchy dziecko, które Chrystus trzyma w ramionach.

W Muzeum Luksemburskim na grobowcu z 1590 roku dwa anioły unoszą do nieba niemowlę w powijakach. Nie jest to portret zmarłego dziecka. Inskrypcja mówi, że nieboszczyk liczył sobie 19 lat, czyli opatulone niemowlę to jego dusza.

Nieczęsto trafiają się takie przedstawienia, ale niewykluczone, że istniała taka tradycja ikonograficzna, znamy bowiem przynajmniej jeden, znacznie starszy, podobny przykład. W muzeum w Wiedniu znajduje się bizantyńska rzeźba z kości słoniowej przedstawiająca duszę Najświętszej Marii Panny również w postaci dziecka w powijakach. Takie przedstawienia błogosławionej duszy w postaci dziecka, najczęściej wyidealizowanego i nagiego, czasem realistycznego i opatulonego, należy zestawić z tym, co powiedzieliśmy wcześniej o dzieciobójstwie i chrzcie.

U średniowiecznych spirytualistów, od których się ten typ obrazów wywodzi, dusza wybrańca wyróżnia się taką samą, godną zazdrości niewinnością co ochrzczone dziecko. Zauważmy, że w tamtych czasach, w codziennej praktyce dziecko było stworzeniem zabawnym, lecz niezbyt pociągającym.

Ciekawa rzecz, że duszę w postaci dziecka przestaje się przedstawiać w wieku XVII, kiedy zaczyna się portretować dziecko dla niego samego, kiedy coraz więcej powstaje obrazów dzieci żywych i umarłych.

¹¹ Forcella, XIII, 788.

* Wszystkie uwagi w nawiasach kwadratowych pochodzą od Autora.

** Piotrowi Albertoni, dziecięciu, którego bystrość wyprzedzała lata. Rodzice Grzegorz i Alteria jedynemu i najmiłszemu wystawili. Żył lat 4 i 3 miesiące, zmarł w 1471.

Interesujący nagrobek przechowywany w Muzeum Archeologicznym w Senlis świadczy o tym, że pod koniec XVII wieku sytuacja uległa odwróceniu: poświęcony jest on pamięci żony Piotra Pugeta, zmarłej w Senlis w 1673 roku wskutek cesarskiego cięcia. Rozmodlona postać (poza wyrażająca również rezygnację) wznosi się do nieba; dziecko, które chciała uratować, jest nagie, jedną ręką podaje matce palmę męczeństwa, w drugiej trzyma banderolę z napisem: *Meruisti**. Dziecko przestało być anonimowe. Zbyt jest spersonalizowane, żeby symbolizować istnienie w zaświatach, dusza zaś nazbyt związana z oryginalnymi cechami indywiduum, by można jej było nadać nieosobisty pozór alegorii. Stosunki między zmarłymi i żywymi są obecnie tego rodzaju, że ludzie chcą zachować obraz swoich bliskich nie tylko w kościele i na nagrobku, ale i w domu. W Muzeum Magnin w Dijon znajduje się obraz przypisywany Hyacinthowi Rigaud. Przedstawia młodego chłopca i małą dziewczynkę, którzy wyglądają jak żywi, a obok w medalionie portret dojrzałej kobiety w żałobie, wyglądającej na zmarłą. Otóż wszystko zdaje się wskazywać, że kobieta z medalionu była żywa, ale uważała się za zmarłą, którą miał upamiętniać ten trumienny niemal portret, natomiast dzieci, rzeczywiście zmarłe, chciała przedstawić ze wszystkimi pozorami życia.

Na podstawie głównie francuskich źródeł usytuowałem w końcu XVII i w XVIII wieku wycofanie się rodziny z ulicy, placu i życia zbiorowego do wnętrza domu, który skuteczniej bronił jej przed intruzami i lepiej zapewniał intymność. Nową organizację przestrzeni prywatnej uzyskano przez uniezależnienie pokoiów połączonych korytarzem (a nie w amfiladzie) i ich specjalizację funkcjonalną (salon, stołowy, sypialnia...). Nader interesujący artykuł R. A. Goldthwaite'a pokazuje, że analogiczne, mimo pewnych różnic, „uprywatnienie” życia rodzinnego miało miejsce w piętnastowiecznej Florencji¹². Podstawą argumentacji autora jest analiza florenckich pałaców, ich wyglądu zewnętrznego oraz tego, co wiadomo o ich organizacji wewnętrznej. Idzie więc o domy partycjuszowskie.

Pałac w XIII i XIV wieku charakteryzował się głównie wieżą obronną i otwartą loggią na parterze, gdzie zbierali się krewni, przyjaciele i klienci, żeby asystować i uczestniczyć w życiu publicznym dzielnicy i miasta. Nie było wtenczas podziału na życie publiczne i rodzinne, gdyż jedno było przedłużeniem drugiego, z wyjątkiem okresów kryzysowych, kiedy zagrożona grupa chowała się w wieży. Poza wieżą i loggią pałac nie wyróżniał się w miejskiej zabudowie. Od strony ulicy, na parterze, ciągnęły się arkady od domu do domu: pod

* Zasłużałaś.

¹² Richard A. Goldthwaite, *The florentine palace as domestic architecture*, „Amer. Hist. Rev.” 77, październik 1972, s. 977-1012.

arkadami mieściły się wejścia do sklepów oraz na pałacowe schody. Wewnątrz nie było takiej jedności, przestrzeń pałacu nie pokrywała się z przestrzenią zamieszkiwaną przez rodzinę: pokoje należące do właścicieli rozciągały się jeszcze na dom sąsiedni, natomiast część centralną pałacu zajmowali lokatorzy.

W XV wieku zmienił się plan pałacu, jego wygląd i znaczenie. Przede wszystkim stał się on monumentalną całością, bryłą oderwaną od sąsiedztwa. Sklepy oraz obcy lokatorzy znikli. Tak wyróżniająca się przestrzeń należała do niezbyt rozbudowanej rodziny. Loggie wychodzące na ulicę zostały zamknięte bądź zlikwidowane. Pałac dobitniej niż przedtem świadczył o potędze rodziny, ale przestał być otwarty na zewnątrz. Życie codzienne koncentrowało się w środku czworościanu, wokół podwórza, z dala od hałasów i niedyskrecji ulicy.

„Pałac należał do nowego świata *privacy*, służył stosunkowo małej grupie”, pisze R. Goldthwaite. Istotnie, pokoi było niewiele: w palazzo Strozzi tylko jedno piętro było zamieszkane i liczyło nie więcej niż tuzin pokoi. Wszystkie znajdowały się w amfiladzie, bez korytarza czy łączącego je, leżącego w środku pomieszczenia, co nie pozwalało na izolację i prawdziwą intymność, którą umożliwi dopiero architektura osiemnastowieczna.

Wiemy skądinąd, że rodzina florencka w quattrocento nie była liczna¹³. We florenckich pałacach nie mieszkał cały tłum czeladzi i domowników, jak w wielkich domach francuskich i angielskich w XV i XVI wieku, czy w siedemnastowiecznej Italii barokowej – co najwyżej dwoje lub troje służących, którzy nie zawsze zostawali dłużej przy rodzinie.

Model florencki różni się więc od modelu przedstawionego przeze mnie. Z uwagi na rozmiary rodziny i wykluczenie czeladzi można by go porównać z modelem francuskim w XVIII wieku, gdyby nowa prywatność życia łączyła się z nową organizacją przestrzeni, umożliwiającą intymność.

Oryginalność modelu florenckiego leży w połączeniu intymności z przestronnością. Jak pisze R. Goldthwaite, pałace „były oczywiście tak pomyślane, żeby zapewnić niewielkiej rodzinie własny prywatny świat, przy czym świat niezwykle obszerny, znacznie większy niż te kilka komnat, w których mieszkała. Nowość tego typu pałacu można najlepiej opisać jako ekspansję przestrzeni prywatnej, której jądro stanowiło mieszkanie o przeciętnych rozmiarach”.

Nie wiemy, jakie było przeznaczenie poszczególnych pokoi, o ile w ogóle to przeznaczenie miały. Być może, *studiolo*, poprzednik naszego gabinetu, było w tym humanistycznym społeczeństwie pierwszym pomieszczeniem wyspecjalizowanym. A jednak wtedy właśnie te pokoje bez ściśle określonej funkcji, lecz zastrzeżone dla życia prywatnego, zaczęto zdobić drobnymi przedmiotami, na modłę naszych bibelotów. To zamiłowanie do zdobienia prywatnego życia

¹³ D. Herlihy, *Viellir à Florence au Quattrocento*, „Annales ESC” 24, list.–grudzień 1969, s. 1340.

czujemy także patrząc na obrazy narodzin Najświętszej Panny, czy będą one flamandzkie, francuskie, niemieckie czy włoskie, na piętnastowieczne obrazy wnętrz, w których malarze umieszczają cenne domowe sprzęty.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w tak uprzywatnionej przestrzeni rozwinęło się nowe uczucie łączące członków rodziny, a szczególnie matkę z dzieckiem. R. Goldthwaite pisze: „Ta kultura jest ześrodkowana na kobietach i dzieciach, interesuje się edukacją dzieci, a pozycja kobiety wyraźnie się podniosła... Jakże inaczej wytłumaczyć niemal obsesyjną fascynację dziećmi i stosunkiem: matka-dziecko, który jest może jedynym, naprawdę istotnym tematem renesansu z jego puttami, dziećmi i młodzikami, z jego zeświecczonymi madonnami i portretami kobiet”.

O ile pałac renesansowy mimo swych ogromnych rozmiarów służył niewielkiej rodzinie ukrytej za jego grubymi murami, o tyle pałac barokowy, jak trafnie spostrzegł R. Goldthwaite, jest bardziej otwarty na ruch domowników i klientów, zbliża się on do klasycznego modelu wielkiego domu (zamku, pałacyku, rezydencji lub wiejskiej zagrody) z XVI i XVII wieku, przed podziałem na niezależne mieszkania, co nastąpi w wieku XVIII.

Epizod florencki z XV wieku jest ważny i sugestywny. Dostrzegłem i skomentowałem w mojej książce oznaki rozpoznania i uświadomienia sobie dzieciństwa w XV i XVI wieku zarówno w sztuce, jak i w oświacie, w kolegium, ale R. Goldthwaite odkrył w pałacu florenckim ścisły związek między początkiem uczuciowego stosunku do rodziny i dziecka a specyficzną organizacją przestrzeni. Wypada rozszerzyć jego konkluzje i założyć, że istniał analogiczny związek między poszukiwaniem osobistej i rodzinnej intymności a wszystkimi przedstawieniami wnętrz, od czternastowiecznej miniatury do malarzy szkoły holenderskiej.

Sprawa nie jest zamknięta. Historia rodziny dopiero się zaczyna i wymaga wnikliwego zbadania. Po długiej ciszy rozwija się oto w rozmaitych kierunkach. Drogę przetarli historycy demografii. Daj Boże, by nie spotkał jej ten sam los! Najczęściej badanym dziś okresem jest czas od XVI do XVIII wieku. Szkoła z Cambridge (P. Laslett i E. A. Wrigley) chce ustalić skład rodziny, rozległej i wąskiej¹⁴; sprowokowała ona reakcję we Francji: aprobatę, jeśli idzie o Francję północną, zastrzeżenia w wypadku południa Francji. Młodych historyków francuskich zajmuje głównie kwestia kojarzenia (J. M. Gouesse) i rozpadań się (A. Lottin) par małżeńskich. Jeszcze inni historycy, jak Amerykanin

¹⁴ Sympozjum w Cambridge w 1969: *Household and Family in past time*. Uzupełniam bibliografię następującymi pracami: I. Pinchbeck i M. Hewitt, *Children in English Society*, t. I, London-Toronto 1969; K. A. Lokridge, *A New England Town*, New York 1970; J. Demos, *A Little Commonwealth*, New York 1970; D. Hunt, *Parents and Children in History*, New York 1970; artykuły w „Annales ESC” przytoczone poniżej.

E. Shorter, interesują się zwiastunami większej swobody obyczajów pod koniec XVIII wieku. Bibliografia się wydłuża: znajdziemy ją wraz z aktualnym stanem badań w trzech numerach „Annales ESC”¹⁵.

Możemy tylko sobie życzyć, by historia rodziny nie została pogrzebana pod nawałem publikacji, tak jak to się stało z jej poprzedniczką, historią demografii.

Rozwój badań nad okresem XVII-XVIII wieku, ułatwiony przez bogatszą, niż się sądziło, dokumentację, potwierdzi lub obali pewne hipotezy. Niemniej w najbliższej przyszłości powtarzać będziemy zapewne aż do przesytu te same tematy, a drobne postępy, jakich dokonamy, nie usprawiedliwią całego naszego wysiłku intelektualnego i zaangażowania.

Bardziej rozstrzygających informacji możemy natomiast oczekiwać od strony średniowiecza i starożytności. Z niecierpliwością czekamy na wyniki badań M. Mansona dotyczących zabawek, lalek i dzieciństwa w starożytności. Należałoby staranniejsz, niż ja to zrobiłem, zbadać źródła średniowieczne, niewyczerpane stulecia XIV i XV, tak ważne dla przyszłości naszej cywilizacji, a także kapitalny przełom w XI i XII wieku i jeszcze wcześniej!

Historia mentalności jest zawsze chcąc nie chcąc historią porównawczą i kierującą się wstecz. Z konieczności wychodzimy od tego, co wiemy o zachowaniu człowieka współczesnego, i z tym modelem porównujemy dane z przeszłości, choćby miało nas to w końcu doprowadzić do skonstruowania na podstawie danych z przeszłości nowego modelu, jako drugiego źródła, i powrotu do teraźniejszości oraz do zmodyfikowania naiwnego obrazu, przyjętego przez nas na początku. Związki między wiekami XVII-XVIII oraz XIX-XX nie zostały jeszcze do końca wyjaśnione, ale realne postępy da się tu osiągnąć jedynie za cenę dreptania w miejscu. Natomiast rozszyfrowanie stuleci – ba, tysiącleci! – poprzedzających wiek XVI może nam przynieść nową wizję. Tutaj wolno się spodziewać zdecydowanych postępów¹⁶.

Maisons-Laffitte, 1973*

¹⁵ „Annales ESC” 24, 1969, nr 6, s. 1275-1430; 27, 1972, nr 4-5, s. 799-1233; 27, 1972, nr 6, s. 1351-1388.

¹⁶ Na tych stronicach ograniczyłem się do tematów dzieciństwa i rodziny, pozostawiając na uboczu sprawy oświaty i szkoły. Od roku 1960 powstało wiele prac na ten temat, np.: P. Riché, *Education et Culture dans l'Occident barbare*, Paris 1962; G. Snyders, *La Pédagogie en France aux XVIIe et XVIIIe siècles*, Paris 1963; H. Derreal, *Un missionnaire de la Contre-Réforme. Saint Pierre Fourier*, Paris 1965; Ph. Ariès, *Problèmes de l'éducation w: La France et les Français*, encyklopedia Plejady, 1972, s. 869-961. Materiały sympozjum pt. *XVII wiek i edukacja*, zorganizowanego przez R. Duchene w Marsylii, ukazały się w piśmie „Marseille” nr 88 (bogata bibliografia).

* Przedmowa do drugiego wydania książki, która ukazała się po raz pierwszy w 1960 w wydawnictwie Plon. Tu przedstawiamy wersję skróconą, tzn. część I i III w całości, natomiast tylko najistotniejsze fragmenty, w tym konkluzje, siedmiu rozdziałów części II.

CZEŚĆ I

Dzieciństwo

Okresy życia

Człowieka XVI czy XVII wieku zdziwiłyby wymagania stanu cywilnego, którym my poddajemy się w sposób zupełnie naturalny. Gdy tylko nasze dzieci zaczynają mówić, uczymy je, jak mają na imię, jak nazywają się ich rodzice, ile mają lat. I bardzo jesteśmy dumni, kiedy nasz Pawełek, zapytany o wiek, odpowiada trafnie, że ma dwa i pół roku. Czujemy, że to ważne, żeby się nie mylił, bo co z niego wyrośnie, jeśli nawet nie wie, ile ma lat? W afrykańskim buszu kwestia wieku nie jest tak oczywista ani tak ważna, by nie wolno było o nim zapomnieć. Ale w naszej cywilizacji technicznej jakże nie pamiętać dokładnej daty urodzin, skoro wpisujemy ją do karty hotelowej, ilekroć gdzieś wyjeżdżamy, skoro musimy ją podać, ilekroć przedstawiamy swoją kandydaturę lub składamy podanie albo formularz – a Bóg jeden wie, ile ich jest i ile jeszcze będzie! Pawełek poda więc swój wiek w szkole, stanie się szybko Pawłem N. z klasy X, a kiedy pójdzie do pierwszej pracy, dostanie legitymację ubezpieczeniową z numerem ewidencyjnym, od tej pory nierozłącznym z jego nazwiskiem. Będzie nie tylko Pawłem N., ale też – i może nawet bardziej – numerem, którego pierwsze cyfry określą jego płeć oraz rok i miesiąc urodzenia. Przyjdzie taki dzień, kiedy wszyscy obywatele będą mieli swój numer – do tego celu dążą służby ewidencji ludności. Naszą tożsamość w społeczeństwie ściślej obecnie określa data urodzenia niż nazwisko odziedziczone po przodkach. Właściwie mogłoby ono, jeśli nie całkiem zniknąć, to występować jedynie w życiu prywatnym, gdyż do użytku publicznego służyłby numer ewidencyjny, którego częścią składową jest data urodzin. W średniowieczu imię własne było uważane za nie dość dokładne oznaczenie osoby – należało je uzupełnić nazwi-

skiem, a często również nazwą miejscowości, skąd się pochodziło. Teraz trzeba je dodatkowo sprecyzować liczbą określającą wiek. Ale imię należy do świata fantazji, nazwisko – do świata tradycji, natomiast wiek jest z innego porządku: ze świata matematycznej ścisłości. Nasze dzisiejsze zwyczaje w tym, co się tyczy stanu cywilnego, zachowały coś i z tego pierwszego, i z drugiego porządku.

Niemniej są dziś jeszcze dokumenty, które poważnie nas angażują, które redagujemy sami i których sformułowanie nie wymaga podania daty urodzin. Chodzi mi z jednej strony o weksle i czek, z drugiej – o testamenty. Te tak różne dokumenty wymyślone jednak zostały w dawnych czasach, kiedy nie obowiązywały jeszcze dzisiejsze rygory. Wpisywanie urodzin do ksiąg parafialnych narzucone zostało księżom przez Franciszka I, ale żeby tego obowiązku, zalecanego już przez sobory, zaczęli przestrzegać, musiał on wprawdzie przyjąć się w obyczajach, długi czas oporny wobec rygorów abstrakcyjnej rachunkowości. Uznaje się, że dopiero w XVIII wieku księża prowadzą rejestr urodzin z dokładnością czy poczuciem dokładności, jakiej nowoczesne państwo wymaga od swoich urzędników. Pojęcie wieku nabrało znaczenia, w miarę jak kościelni i świeccy reformatorzy narzucali je w dokumentach, i ugruntowało się wprawdzie u najbardziej wykształconych warstw społecznych, to znaczy tych, które w XVI wieku chodziły do szkół. W szesnasto- i siedemnastowiecznych pamiętnikach, do których sięgałem, żeby odtworzyć przebieg nauki w szkołach¹, często na początku odnotowany jest wiek albo data i miejsce urodzin narratora. Zdarza się, że wiek jest przedmiotem specjalnej uwagi: zapisany bywa na portretach jako dodatkowy znak indywidualizacji, ścisłości i autentyczności. Na wielu szesnastowiecznych portretach widnieją tego rodzaju inskrypcje: *Aetatis suae 29* – w 29 roku życia, z datą powstania obrazu ANDNI* 1551 (portret Jana Fernaguuta, Bruges)². Na wizerunkach sławnych postaci i na portretach dworskich na ogół brak tej wskazówki, figuruje ona zwykle na płótnie bądź na starej ramie portretów rodzinnych, związanych z rodzinną symboliką. Spośród najstarszych warto przytoczyć piękny portret Małgorzaty Van Eyck. Na górze: *co(n)iux m(eu)s Joh(hann)es me c(om)plevit an(n)o 1439, 17 Junii* [cóż za troska o precyzję! – mój mąż namalował mnie 17 czerwca 1439], na dole: *Aetas mea trignita trium an(n)orum*** – 33 lata. Szesnastowieczne portrety rodzinne są często bliźniacze: jeden żony, drugi męża; oba noszą tę samą datę, powtórzoną dwukrotnie wraz z wiekiem każdego z małżonków. I tak na dwóch płótnach Pourbusa, portretach Jana Fernaguuta i jego żony, Ad-

¹ Patrz część II, roz. 4.

* Skrót Roku Pańskiego.

² Wystawa w Orangerie, *Portret w sztuce flamandzkiej*, Paryż 1952, nr 67, nr 18.

** Wiek mego 33 lata.

rienne de Buc³, widnieje ta sama wskazówka: *Anno domini 1551*, oraz *Aetatis suae 29* – dla męża, *19* – dla żony. Bywa, że mąż i żona namalowani są na jednym płótnie, jak w przypisywanym Pourbusowi portrecie Van Gindertaeleńów, przedstawionych razem z dziećmi. Mąż trzyma jedną rękę na biodrze, drugą oparł na ramieniu żony. Dzieci bawią się u ich stóp. Data – 1559. Po stronie męża jego herb i inskrypcja: *aetas an. 27*, po stronie żony herb jej rodziny i inskrypcja: *aetatis meae 20*⁴. Niekiedy dane dotyczące stanu cywilnego przybierają postać całego epigrafu, jak na obrazie Martina de Voosa, datowanym na rok 1572 i przedstawiającym Antoniego Anselme'a, ławnika Antwerpii, z żoną i dwojgiem dzieci⁵. Małżonkowie siedzą po obu stronach stołu, jedno trzyma chłopca, drugie dziewczynkę. Między ich głowami, pośrodku górnej części płótna, rozpościera się piękny, starannie zdobiony karton z następującą inskrypcją: *concordiae antonii anselmi et johannaes Hooftmans felicitq: propagini, Martino de Vos pictore, DD natus est ille ann MDXXXVI die IX febr uxor ann MDLV D XVI decembr liberi ä Aegidius ann MDLXXV XXI Augusti Johanna ann MDLXXVI XXVI septembr**. Napis ten świadczy w jakiś sposób o tym, jak rozwinięte były uczucia rodzinne w tamtych czasach.

Datowane portrety rodzinne, tak samo jak późniejsze o trzy lub cztery wieki albumy fotografii, to dokumenty rodzinnej historii. Podobnie jest z księgami domowymi, w których obok rachunków odnotowywano rodzinne wydarzenia, narodziny i zgony. Troska o chronologiczną precyzję zbiega się tu z rodzinnymi uczuciami, dane dotyczą bowiem nie tyle jednostki, ile członków rodziny. Ludzie czują potrzebę wzbogacenia życia rodzinnego o historię poprzez podanie dat. Ta nowa dbałość o datowanie widoczna jest nie tylko na portretach, ale także na przedmiotach i meblach. W XVII wieku upowszechnia się zwyczaj grawerowania bądź malowania dat na łózkach, kufrach, skrzyniach, szafach, łyżkach i kielichach. Data wiąże się z jakimś wzruszającym momentem rodzinnej historii, zwykle ze ślubem. W niektórych regionach Alzacji, Szwajcarii, Austrii i Europy Środkowej meble z XVII-XIX wieku, zwłaszcza meble malowane, są datowane i noszą nazwisko obojga właścicieli. W muzeum w Thonune znalazłem między innymi taką inskrypcję na skrzyni: Hans Bischof – 1709 – Elisabeth Misler. Czasem zadowolano się samymi inicjałami po obu stronach daty zaślubin. Ten zwyczaj, we Francji bardzo popularny, zanikł dopiero pod koniec XIX stulecia. Na jednym z mebli eksponowanych w Muzeum Sztuki

³ *Op. cit.*, nr 67 i 68.

⁴ *Op. cit.*, nr 71.

⁵ *Op. cit.*, nr 93.

* Szczęśliwemu stadłu Antoniego Anselma i Joanny Hooftmans i ich potomstwu przez Marcina de Voos, malarza. Pan ów urodził się w roku 1536 9 lutego, małżonka jego roku 1555 16 grudnia. Dzieci ich Egidiusz roku 1575 21 sierpnia, Joanna w 1576 26 września.

Ludowej⁶ departamentu Haute-Loire figuruje napis: 1873 LT JV. Zapisywanie wieku albo daty na portrecie bądź sprzecie domowym przypisać możemy tej samej potrzebie potwierdzenia historycznej ciągłości rodziny.

Upodobanie do inskrypcji chronologicznych przetrwało w środowisku wiejskim przynajmniej do połowy XIX wieku, natomiast bardzo szybko zanikło w mieście i na dworze, gdzie uchodziło zapewne za naiwne i prowincjonalne. W połowie wieku XVII inskrypcje znikają z obrazów (to znaczy trafiają się jeszcze, ale u malarzy podrzędniejszych). Piękne stylowe meble są zwykle sygnowane, a jeśli datowane, to dyskretnie.

Jakkolwiek w epigrafii rodzinnej XVI stulecia wiek człowieka nabrał znaczenia, utrzymały się przecież cokolwiek dziwne zwyczaje z czasów, kiedy człowiek z rzadka tylko i z trudem przypominał sobie, w jakim jest wieku. Powiedziałem wcześniej, że nasz mały Pawełek wie, ile ma lat, gdy tylko zaczyna mówić. Sanczo Pansa nie wiedział dokładnie, ile lat ma jego córka, którą skądinąd bardzo kochał: „Okolo piętnastu lat, a może o dwa lata mniej lub więcej... ale jest wielka jak kopia, świeża niby poranek kwietniowy, a silna niby tragarz”⁷. To mówi człowiek z ludu. W XVI wieku w tych warstwach ludności, które chodzą do szkół i gdzie nawyki nowoczesnej ścisłości występują wcześniej, dzieci wiedzą, ile lat sobie liczą, ale zaskakujący konwenans nie pozwala im powiedzieć tego wprost. Humanista i pedagog z kantonu Valois, Thomas Platter, opowiadając o swym życiu⁸ dokładnie podaje, gdzie i kiedy się urodził, czuje się jednak zobowiązany osłonić ów fakt ostrożną parafrazą: „Za nic mniej nie mogę ręczyć, jak za dokładną datę moich narodzin. Gdy przyszło mi do głowy zapytać, kiedy przyszedłem na świat, odpowiedziano mi, że w roku 1499, w Pięćdziesiątnicę, akurat w chwili, kiedy dzwony zaczęły bić na mszę”. Dziwne doprawdy połączenie niepewności i ścisłości! Ale tej rezerwy nie należy brać dosłownie, taki był zwyczaj, wspomnienie czasów, kiedy człowiek nie znał dokładnej daty swoich urodzin. Dziwne, że przemienił się w regułę dobrego wychowania: tak właśnie, a nie inaczej, należało podać swój wiek rozmówcy. W dialogach Cordiera⁹ w szkole podczas pauzy jeden chłopiec pyta drugiego: „Ile masz lat? – Trzynaście, jak słyszałem od mojej matki”. Nawet wtedy gdy nawyki osobistej chronologii przyjęły się szeroko, nie zdołały narzucić się jako wiedza pozytywna i nie rozproszyły do końca dawnej niejasności w sprawie wieku, która przetrwała jeszcze jakiś czas w formach grzecznościowych.

⁶ Musée des Arts et Traditions populaires. Wystawa 1953, nr 778.

⁷ M. de Cervantes Saavedra, *Przemysłny hidalgo Don Kichot z Manczy*, przeł. E. Boyè, Warszawa 1952, t. II, s. 92.

⁸ *Thomas Plattersleben*, Marburg 1793.

⁹ Mathurin Cordier, *Les Colloques*, Paris 1586.

„Okresy życia” zajmują ważne miejsce w pseudonaukowych traktatach średniowiecznych. Ich autorzy używają terminologii, która nam wydaje się czczym werbalizmem: dzieciństwo i dziecinność, młodość i młodzieńczość, starość i zgrzybiałość. Każde z tych słów oznaczało inny okres życia. Zapożyliśmy kilka z nich na określenie pojęć abstrakcyjnych, jak dziecinność czy zgrzybiałość, ale pierwotnie miały one całkiem konkretny sens. Były to terminy naukowe, które z czasem przyjęły się w języku potocznym. Dla naszych przodków *aetates*, „okresy życia”, „etapy człowieka”, odpowiadały pojęciom pozytywnym, tak znanym i powtarzanym, że w końcu przewędrowały z domeny nauki do świata codziennego doświadczenia. Nie zdajemy dziś sobie sprawy z tego, jak ogromne znaczenie miało pojęcie wieku w dawnych przedstawieniach świata. Wiek człowieka był kategorią naukową tego samego rzędu co ciężar czy szybkość dla naszych współczesnych; należała ona do systemu opisywania i eksplikacji fizycznej świata, systemu sięgającego czasów filozofów jońskich z VI wieku p.n.e., a zapożyczonego przez średniowiecznych kompilatorów z pism czasu późnego cesarstwa. Na tym systemie oparte były jeszcze pierwsze, drukowane w XVI wieku, książki popularyzujące naukę. Nie szukamy tutaj ścisłej definicji tego systemu ani jego miejsca w historii nauki. Chodzi nam tylko o uchwycenie, w jakiej mierze ludzie sobie tę naukę przyswoili, kiedy jej pojęcia weszły do nawyków myślowych i co reprezentowała w życiu codziennym. Lepiej zrozumiemy ten problem, jeśli zajrzemy do wydanego w 1556 roku dzieła „O właściwych mocach wszechrzeczy”¹⁰. Ta trzynastowieczna łacińska kompilacja podejmuje wszystkie wątki pisarzy późnego cesarstwa. Uznano, że warto ją przetłumaczyć na francuski i szerzej upowszechnić w druku – czyli jeszcze w połowie XVI wieku nauka starożytno-średniowieczna była przedmiotem popularyzacji. „O właściwych mocach wszechrzeczy” to encyklopedia wszelkich nauk, wiedzy świeckiej i świętej, wielki Larousse, którego koncepcja nie jest jednak analityczna, lecz zakłada zasadniczą jedność przyrody i Boga. Fizyka, metafizyka, historia naturalna, fizjologia i anatomia człowieka, medycyna i higiena, astronomia i teologia, dwadzieścia ksiąg traktujących o Bogu, aniołach, żywiołach, człowieku i jego ciele, chorobach, niebie, czasie, materii, powietrzu, wodzie, ogniu, ptakach itd. Ostatnia księga jest poświęcona liczbom i miarom. Można też znaleźć w tej „encyklopedii” rozmaite praktyczne recepty. Generalna idea księgi – początkowo naukowa, następnie ogólnie przyjęta – to zasadnicza jedność przyrody, współzależność zjawisk naturalnych, nierozdzielnych od zjawisk nadprzyrodzonych. Idea, że nie ma sprzeczności między tym, co naturalne, a tym, co nadprzyrodzone, była właściwa ludowym wierzeniom wywodzącym się z pogaństwa, a także naukom fizycznym i teologii. Wydaje

¹⁰ Bartholomeus Anglicus, *Opus de rerum proprietatibus*, przeł. na francuski Jean Corbichon, 1556.

się, że ta rygorystyczna koncepcja jedności natury jest w o wiele większym stopniu odpowiedzialna za opóźnienie w rozwoju nauk niż autorytet tradycji, Starożytnych czy Pisma Świętego. Możemy oddziaływać na jakiś element natury tylko wtedy, gdy uznajemy, że da się go wyodrębnić. Jeśli przyjmiemy, iż istnieje pełna współzależność zjawisk, wszelka interwencja pociąga za sobą reakcję łańcuchową i burzy porządek świata. Gdy żadna z kategorii kosmosu nie posiada wystarczającej autonomii, nie sposób uciec od powszechnego determinizmu. Poznanie natury ogranicza się wtedy do badania stosunków łączących zjawiska poddane jednej i tej samej przyczynowości – takie poznanie przewiduje, lecz nie modyfikuje, a jedyną ucieczką od przyczynowości jest magia albo cud. To samo bezwzględne prawo rządzi ruchem planet, wegetacją związaną z cyklem pór roku, stosunkami między żywiołami, ciałem ludzkim i jego „wilgotnościami”, losem człowieka wreszcie. Jak powszechny determinizm wpływa na człowieka, o tym mówi astrologia: jeszcze w połowie XVII wieku astrologia była na tyle szeroko praktykowana, że Molière, ten wolnomyśliciel, mógł z niej sobie kpić w swoich *Dostojnych współżalotnikach*.

Kluczem do tej głębokiej współzależności zjawisk wydawały się być wzajemne powiązania liczb; ludzie byli obcy z symboliką liczb, znajdujemy ją zarówno w spekulacjach religijnych, jak i w opisach fizycznych i przyrodniczych, a także w praktykach magicznych. Na przykład liczba 4 – odpowiadająca liczbie żywiołów, temperamentów człowieka i pór roku. Trudno nam sobie wyobrazić ten fantastyczny obraz ogromnego świata, w którym dostrzegano jedynie nieliczne powiązania. Nauka pozwalała je sformułować i zdefiniować kategorie, jakie je łączyły. Tyle że z czasem nastąpiło przesunięcie: z dziedziny nauki trafiły do świata ludowych mitów. Koncepcje zrodzone w Jonii w VI wieku przed Chrystusem przyjęły się w końcu w potocznym myśleniu. Kategorie starożytno-średniowiecznej nauki – żywioły, temperamenty, planety i ich astrologiczny sens, symbolika liczb – stały się czymś powszechnie znanym; w tych kategoriach ludzie widzieli świat.

Okresy życia też były taką kategorią pozwalającą wytłumaczyć sobie biologię człowieka, złączoną tajemnymi więzami z innymi zjawiskami natury. Pojęcie, które miało stać się tak popularne, nie zrodziło się bynajmniej w czasach świetności nauki starożytnej: należy do dramatycznych spekulacji późnego cesarstwa, do VI wieku¹¹. Fulgencjusz znalazł jego ślad w *Eneidzie*: w rozbiciu statku Eneasza dopatrywał się symbolu narodzin człowieka wśród życiowych burz. Interpretował I i II pieśń jako obraz dzieciństwa niesytego bajecznych opowieści. Okresy życia przedstawia też arabski fresk z VIII wieku¹².

¹¹ Comparetti, *Virgile nel m. e.*, t. I, s. 14-155.

¹² Kuseir Amra, por. Van Marle, *Iconographie de l'art profane*, 1932, t. II, s. 144.

Mamy bardzo wiele średniowiecznych tekstów na ten temat. O wieku człowieka traktuje VI księga „O właściwych mocach wszechrzeczy”. Etapy życia odpowiadają tu planetom, jest ich siedem. „Okres pierwszy to dzieciństwo, gdy rosną zęby; zaczyna się z przyjściem dziecka na świat i trwa do siedmiu lat; w tym wieku to, co się urodziło, nazywane jest niemowlęciem, a znaczy to tyle co niemowa, bo nie umie jeszcze dobrze mówić ani należycie formułować zdań, gdyż zęby ma jeszcze nie uporządkowane i nie dość mocne, jak powiadają Izydor i Konstantyn. Po dzieciństwie przychodzi okres drugi, nazywają go *pueritia*, okres chłopięctwa, bo jest jak źrenica w oku, powiada Izydor, i trwa to chłopięctwo do lat czternastu.

Dalej następuje okres trzeci zwany adolescencją [wiekiem młodzieńczym], według Konstantyna dobiega on kresu w dwudziestym pierwszym roku życia, ale według Izydora trwa do dwudziestu ośmiu lat... rozciąga się do trzydziestu i trzydziestu pięciu lat. Nazywany jest młodzieńczym, bo człowiek jest wtedy dostatecznie dojrzały, żeby płodzić dzieci, powiada Izydor. Członki ma miękkie, rośnie, nabiera siły i wigoru. W tym wieku człowiek osiąga wielkość daną mu od natury. [A przecież okres rośnięcia kończy się przed upływem dwudziestego ósmego roku życia, nie mówiąc już o trzydziestym albo trzydziestym piątym. Musiał zresztą trwać jeszcze krócej w czasach, gdy praca podejmowana w bardzo młodym wieku wcześniej mobilizowała zasoby organizmu.]

Potem przychodzi młodość, która wypada pośrodku: człowiek ma wtedy największą siłę. Trwa ten okres do czterdziestego piątego roku życia według Izydora, do pięćdziesiątego według innych. Nazywany jest młodością, bo ma w sobie siłę, która wspomaga samego człowieka i służy innym, jak powiada Arystoteles. Następnie przychodzi *senecta* [okres starzenia się], pośredni między młodością a starością, Izydor nazywa ten okres ciężkością, bo osoba w tym wieku ma ciężkie ruchy i obyczaje; człowiek nie jest wtenczas jeszcze stary, ale jego młodość minęła, mówi Izydor. Potem następuje starość, która według jednych trwa do siedemdziesięciu lat, według drugich – aż do śmierci. Nazywa się ten wiek starością, powiada Izydor, bo ludzie wtedy maleją, nie mają już tego rozumu co wcześniej i gadają od rzeczy... Ostatnia część starości zwana jest po łacinie *senium**, we francuskim nie ma innego słowa jak starość... Starzec kaszle, jest pełen śliny i nieczystości [daleko jeszcze do szlachetnego starca Greuze'a i romantyków], zanim nie obróci się w pył i proch, z którego powstał”.

Dziś ten żargon może się wydawać czystym pustosłowiem, ale dla ówczesnych czytelników miał sens, sens bliski astrologii: mówił o związku życia człowieka z obrotami planet. Związek z gwiazdami wyznaczał też inną periodyzację, łączącą etapy życia z dwunastoma znakami zodiaku i z jednym z najbardziej

* Osłabienie starością.

popularnych i wzruszających tematów średniowiecza, zwłaszcza gotyckiego, jakim były sceny z kalendarza. O tym kalendarzu okresów życia mówi czternastowieczny poemat, wielokrotnie przedrukowywany w XV i XVI wieku¹³.

Do miesiąca stycznia porównać wypada
Pierwsze lat sześć życia na naszym padole,
Bo cnót wszelkich i siły ten miesiąc posiada
Tyle samo akurat co sześć lat pacholę.

A w piętnastowiecznej wersji czytamy:

W następnych latach sześciu siła jego rośnie...
Jak co rok w lutym takąż widać wolę,
I wtedy idzie już ku wiosnie...

A kiedy lat osiemnastu dosięgnie,
Zmiana w nim na potęgę,
Tysiącu Maurom gotów stawić czoła,
Pewny, że jako marzec – Mars – by im podołał,
Cały w krasie i pełen nowego ognia...
A po wrześniu, miesiącu poprzednim,
Przychodzi miesiąc zwany październik.
Człek liczy lat sześćdziesiąt, nie ma rady,
Starowina już wąty, starcze ma wady,
I trwa mu tylko w pamięci
Myśl, że czas go wiedzie ku śmierci.

A oto poemat z XIII wieku¹⁴:

Popatrzcie, miesiąc styczeń
Pierwszy, a z podwójnym obliczem¹⁵,
Bo patrzy w czasie dwie strony,
W czas przyszły i w czas miniony.
Takż gdy sześć ma lat dziecię,
Wiedzy mu brakuje o świecie
I niewiele jeszcze samo znaczy.
Zważcie jednak, niech się ono raczy
Dobłą strawą. Wam trzeba na to baczyć,

¹³ *Grant Kalendrier et compost des bergiers*, wyd. w 1500 roku, wg: J. Morawski, *Les douze mois figurez. Archivum romanicum*, 1926, s. 351-363.

¹⁴ J. Morawski, *op. cit.*

¹⁵ Przedstawiony w kalendarzach w postaci: *Janus bifrons*.

Bo komu się z początku nie wiedzie,
Później też, wolno sądzić, będzie w biedzie...

A gdy październik w końcu nadchodzi
Winien ziarno zasiać każdy dobrodziej,
Które posłuży wszystkim ludziom.
Tak też będzie czynił mądry człek,
Któremu lat sześćdziesiąt przypadnie wiek:
Niechaj mądrość sieje wśród młodych,
Niechaj słuszne wskazuje im drogi,
Choćby dając datki ubogim.

Tej samej natury powiązania łączą okresy życia z innymi zjawiskami określonymi liczbą 4: *consensus quatuor elementorum, quatuor humorum, quatuor anni temporum et quatuor vitae aetatum**¹⁶. W 1265 roku Philippe de Novare mówi o *III tempz d'aage d'ome*¹⁷, czyli czterech okresach dwudziestoletnich. Tęgo rodzaju spekulacje powtarzają się w rozmaitych tekstach aż do XVI wieku¹⁸.

Musimy uzmysłwić sobie, że ta pusta dla nas terminologia odpowiadała ówczesnym pojęciom naukowym, a także powszechnemu poczuciu, czym jest życie. I z tym również mamy wielkie kłopoty interpretacyjne, bo to poczucie jest dziś nam obce, nie odczuwamy życia jako zjawiska biologicznego – jako sytuację w społeczeństwie, owszem, ale nic więcej. Mówimy: „takie jest życie”, kiedy chcemy wyrazić z jednej strony rezygnację, z drugiej – przekonanie, że istnieje coś poza czystą biologią i socjologią, coś, co nie ma nazwy, ale nas głęboko porusza, coś, czego szukamy w kronice wypadków w gazecie i o czym mówimy „samo życie”. Życie w takim rozumieniu jest dramatem, który nas wyrwa z nudy codzienności. Dla człowieka dawnych czasów – przeciwnie: życie było nieuchronną, cykliczną ciągłością rozmaitych okresów, niekiedy wesołą, niekiedy melancholijną, ciągłością wpisaną raczej w powszechny, abstrakcyjny porządek rzeczy niż w konkretną, realną egzystencję, gdyż w czasach niezmiernie wysokiej śmiertelności mało kto miał szansę przeżyć wszystkie etapy życia.

Popularność „okresów życia” sprawiła, że były one jednym z najczęściej podejmowanych tematów w ikonografii świeckiej. Na dwunastowiecznych kapitelach baptysterium w Parmie¹⁹ rzeźbiarz chciał przedstawić jednocześnie

* Współgranie czterech żywiołów, czterech wilgotności (temperamentów), czterech pór roku i czterech okresów życia.

¹⁶ *Regimen sanitatis, schola salernitana*, wyd. Arnaud de Villeneuve.

¹⁷ Ch. V. Langlois, *La Vie en France au Moyen Age*, 1908, s. 184.

¹⁸ 1568.

¹⁹ Didron, *La Vie humaine*, „Annales archéologiques”, XV, s. 413.

parabolę o właścicielu winnicy i robotnikach jedenastej godziny oraz symbol etapów życia. W pierwszej scenie widzimy pana winnicy, który kładzie rękę na głowie dziecka, pod spodem napis precyzujący alegorię dziecka: *prima aetas saeculi: primum humanae: infanciam*.^{*} Dalej: *hora tertia: puericia secunda aetas*,^{**} pan winnicy kładzie rękę na ramieniu robotnika, który trzyma zwierzę i nóż ogrodniczy. Ostatni z robotników odpoczywa, obok leży jego motyka: *senectus, sexta aetas*^{***}.

W XIV wieku ustala się ikonografia okresów życia, której zasadnicze cechy niemal się nie zmieniają aż do wieku XVIII; rozpoznajemy je zarówno na kapitelach Pałacu Dożów²⁰, jak i na fresku w Eremitani w Padwie²¹. Najpierw wiek zabawek: dzieci bawią się drewnianym konikiem, lalką, wiatraczkiem, ptaszkami na sznurku. Potem okres szkoły: chłopcy, każdy z książką i piórnikiem, uczą się czytać, dziewczynki uczą się prząść. Dalej wiek miłości oraz dworskich i rycerskich rozrywek: spacery dam i kawalerów, zaloty, zaślubiny, polowania – kalendarzowy miesiąc maj. Następnie wiek wojen i rycerskiego rzemiosła: mężczyzna w zbroi. Wreszcie okres życia osiadłego, studiowanie nauk i prawa: stary brodaty uczoney pochyla się nad pulpitem przy kominku. Etapy życia odpowiadają nie tylko okresom biologicznym, ale i rolom społecznym; byli przecież i bardzo młodzi uczeni, ale w repertuarze obrazów praca naukowa jest przywilejem starców.

Atrybuty sztuki czternastowiecznej występują w niemal identycznej postaci w bardziej popularnych rycinach, które z niewielkimi zmianami powielane będą nieprzerwanie od XVI do początków XIX wieku. Nazywano je „Stopniami wieku”, przedstawiają bowiem postacie reprezentujące kolejne etapy życia od narodzin do śmierci, najczęściej stojące na stopniach schodów, biegnących w górę z lewej i w dół z prawej. W środku tej podwójnej drabiny, jak pod łukiem mostu, figuruje śmierć – kostucha z kosą w rękę. Temat wieku łączy się tu z tematem śmierci i nie jest przypadkiem, że oba należały do najbardziej wziętych: ryciny przedstawiające stopnie wieku oraz taniec śmierci aż do początków XIX wieku powtarzają ikonografię, jaka się ustaliła w XIV i XV wieku. Ale w przeciwieństwie do tańców śmierci, gdzie kostiumy się nie zmieniają i nawet w dziewiętnastowiecznych rycinach pozostają kostiumami z XIV i XV wieku, w stopniach wieku postaci są ubrane zgodnie z aktualną modą; na

* Pierwszy okres życia, pierwsze człowieczeństwo: dzieciństwo.

** Pora trzecia: chłopięctwo, okres drugi.

*** Starość, okres szósty.

²⁰ Didron, „Annales archéologiques”, XVII, s. 69 i 193.

²¹ A. Venturi, *La Fonte di una composizione de'l guariento*. „Arte”, 1914, XVII, s. 49.

późnych dziewiętnastowiecznych rycinach pojawia się strój do pierwszej komunii. Jeszcze bardziej uderza trwałość atrybutów: zawsze mamy dziecko siedzące okrakiem na drewnianym koniku, ucznia z książką i piórnikiem, piękną młodą parę (młodzieniec trzyma niekiedy w ręku zielone majowe drzewko, przypomnienie świąt młodości i wiosny), mężczyzna w zbroi przemienił się w oficera przepasanego wstęgą dowódcy albo dzierżącego sztandar; na schodach biegnących w dół kostiumy nie są już modne, to stroje z dawnych lat, i jak dawniej, widzimy tu prawników z tekami dokumentów, uczonych z księgami albo astro-labium, świętoszków – ci są najciekawszi! – z różańcem²².

Te powtarzające się obrazy, wiszące na ścianie obok kalendarza, wśród znanych domowych sprzętów, utrwały w człowieku poczucie, że życie dzieli się na poszczególne okresy, przyporządkowane odpowiedniej działalności, typowi fizycznemu, funkcji i fasonom ubrań. Periodyzacja życia odznaczała się taką samą stałością, jak cykliczność pór roku czy organizacja społeczeństwa. Stopnie wieku przypominały o starzeniu się i śmierci, były to jednak malownicze, pocziwe obrazki, przedstawiające cokolwiek humorystyczne sylwetki.

Starożytne i średniowieczne traktaty pozostawiły bogatą terminologię dotyczącą okresów życia. Kiedy w XVI wieku postanowiono przetłumaczyć ją na francuski, okazało się, że nie ma we francuszczyźnie, a zatem i w użyciu, aż tylu słów co w łacinie, w każdym razie w łacinie uczonej. Tłumacz „O właściwych mocach wszechrzeczy” (1556) przyznaje bez ogródek: „Po francusku trudniej to powiedzieć niż po łacinie, bo w łacinie jest siedem różnych nazw dla siedmiu okresów życia człowieka [tyle ile planet], a we francuskim tylko trzy: dzieciństwo, młodość i starość”.

Zauważmy, że młodość oznacza tu siłę wieku, „wiek średni”, czyli że nie było miejsca na wiek młodzieńczy. Aż do XVIII wieku łączono go z dzieciństwem. W łacinie szkolnej używano bez różnicy słowa *puer** i słowa *adolescens***. W Bibliotece Narodowej²³ znajdują się katalogi kolegium jezuitów z Caen z listą uczniów i ocenami. Piętnastoletni chłopiec jest odnotowany jako *bonus puer****, a jego młodszy, trzynastoletni kolega jako *optimus adolescens*****. Baillet²⁴ w książce poświęconej cudownym dzieciom przyznaje, że

²² Temat nie tylko ludowy. Występuje w innej postaci w malarstwie i rzeźbie, np. u Tycjana, Van Dycka, a także na fasadzie Wersalu Ludwika XIV.

* Chłopiec.

** Młodzieniec.

²³ Bibliothèque Nationale. Rękopisy. Fonds latin nr 10990 i 10991.

*** Dobry chłopiec.

**** Najlepszy młodzieniec.

²⁴ Baillet, *Les enfants devenus célèbres par leurs études*, 1688.

nie było we francuskim terminów pozwalających odróżnić *pueri** i *adolescentes*** . Znano jedynie słowo: dziecko.

U schyłku średniowiecza sens tego słowa był szczególnie szeroki. Desygnowało zarówno *putto* (w XIV wieku „pokojem dzieciennym” nazywano sypialnię, którą zdobiły freski przedstawiające nagie amorki), jak i młodzika, czasem podejrzanego wyrostka, hultaja. W „Misteriach Notre-Dame”²⁵ z XIV i XV wieku słowo „dziecko” występuje jako synonim takich określeń, jak: paż, giermek, młokos, chłopiec, syn, zięć. „Był giermkim” przetłumaczylibyśmy dziś dokładnie: „był z niego ładny chłopak”, a mówiono tak równie dobrze o młodzieńcach – *Un moult beau valetton*, jak o dzieciach – *Il était valetton, si l'aimerent fort... li valez devint granz!* Jedno jedyne słowo zachowało po dziś dzień tę bardzo wiekową dwuznaczność, mianowicie słowo *gars* (chłopak, facet), które ze starofrancuskiego przeszło prosto do współczesnego potocznego języka i w nim się ostało. Dziwne doprawdy „dziecko” z tego łobuza „tak podstępnego i zdradzieckiego, że nie chciał się uczyć żadnego zawodu ani pocziwie spędzać dzieciństwa... za to chętnie otaczał się żarłokami i obibokami, którzy urządzali burdy w tawernach i burdelach. A gdy spotkał samotną kobietę, to nie zdarzyło się, by jej nie wziął siłą”. A oto inne piętnastoletnie „dziecko”: „choć chłopak piękny i uroczy”, nie chce jeździć konno ani zadawać się z dziewczętami. Ojciec sądzi, że to z nieśmiałości – „tak bywa z dziećmi”. W rzeczywistości chłopiec zaręczył się z Najświętszą Panną. Ojciec zmusza go do małżeństwa: „Dziecko bardzo cierpiało, a ten pcha go naprzód”. Chłopak próbuje uciec, spada ze schodów i rani się śmiertelnie. Wtedy zjawia się Najświętsza Panna: „Mój piękny bracie, oto przyszła do ciebie twa przyjaciółka! – dziecko wydało ostatnie tchnienie”.

Według kalendarza okresów życia z XVI wieku²⁶ „dziecko jest silne i cnotliwe”, gdy ma dwadzieścia cztery lata. „Takimi się dzieci stają, gdy kończą osiemnaście lat”.

Nie inaczej jest w wieku XVII: raport episkopatu z 1667 roku podaje, że w pewnej miejscowości²⁷ „młode, około czternastoletnie dziecko od blisko roku uczy czytać i pisać dzieci płci obojga, za zgodą mieszkańców tego miejsca”.

W ciągu wieku XVII następuje pewna ewolucja: stare użycie słowa występuje nadal u najbardziej uzależnionych klas społecznych, u mieszczaństwa jest już inaczej, słowa „dzieciństwo” używa się w wąskim, dzisiejszym znaczeniu.

* Chłopcy.

** Młodzieńcy.

²⁵ *Miracles Notre-Dame*, wyd. G. F. Warner, Westminster 1885. Jubinal, *Nouveau Recueil de contes*, t. I, s. 31-33, s. 42-72; t. II, s. 244, s. 356-357.

²⁶ Patrz: przypis 13.

²⁷ A. de Charmasse, *Etat de l'instruction publique dans l'ancien diocèse d'Autun*, 1878.

Długie trwanie dzieciństwa w języku potocznym było skutkiem obojętności na zjawiska czysto biologiczne. Ludziom nie przychodziło do głowy, że granicą dzieciństwa może być osiągnięcie dojrzałości płciowej. Idea dzieciństwa związana była z ideą zależności: słowa – syn, giermek, chłopak – należą także do słownika feudalnych czy senioralnych stosunków podległości. Dzieciństwo kończyło się wtedy, kiedy człowiek uwalniał się od zależności, a przynajmniej od jej najniższych szczebli. I dlatego te słowa przetrwały w języku potocznym na określenie ludzi niskiego stanu – lokajów, czeladników, żołnierzy – pozostających w zupełnej zależności od innych. „Chłopaczek” to niekoniecznie dziecko, lecz młody sługa (dziś także pracodawca albo majster powie o dwudziesto- czy dwudziestopięcioletnim robotniku: „To porządny – albo nic niewart – chłopak”).

W 1549 roku Baduel, przełożony kolegium, pisze do ojca jednego z uczniów w sprawie wymaganej wyprawki i świty: „Do jego obsługi wystarczy jeden chłopaczek”²⁸.

Na początku XVIII wieku słownik Furetière’a tak precyzuje użycie słowa dziecko: „To także określenie przyjazne, którym posługujemy się, aby kogoś pozdrowić, pochlebić mu albo zachęcić do zrobienia czegoś. Kiedy mówimy do jakiejś starszej osoby: «żegnaj, matko» [cześć, babciu – we współczesnym paryskim żargonie], ona odpowiada: «żegnaj, moje dziecko [żegnaj, chłopcze, albo: żegnaj, mój mały]». Albo powie ona lokajowi: «przynieś mi to a to, moje dziecko». Majster powie robotnikom, którym zleca jakąś pracę: «zabierajcie się do roboty, moje dzieci». Kapitan powie żołnierzom: «odwagi, dzieci, trzymajcie się». Żołnierzy idących w pierwszym szeregu, a więc najbardziej narażonych, nazywano: «stracone dzieci»”.

W tych samych czasach, w lepszych rodzinach, tam, gdzie zależność mogła być jedynie skutkiem ułomności fizycznej, słownictwo związane z dzieciństwem desygnowało już tylko pierwsze lata życia. W wieku XVII takie użycie słowa się rozszerza i określenie „małe dziecko” ma już to samo znaczenie co dzisiaj. Dawniej mówiło się raczej „młode dziecko” i ten zwyczaj nie został całkiem zarzucony, bo jeszcze La Fontaine używa tego określenia, a we francuskim przekładzie Erazma z 1714 roku niespełna pięcioletnią dziewczynkę nazywa się „młodą”: „Mam młodą córkę, która dopiero zaczyna mówić”²⁹. Pod koniec wieku XVI słowo „mały” nabrało specyficznego znaczenia, desygnowało mianowicie uczniów „małych szkół”, nawet tych, którzy już przestali być dziećmi. Ten sam sens co we francuskim ma w Anglii słowo *petty*; tekst z 1627 roku mówi w związku ze szkołą o „*lyttle petties*”, małych uczniach³⁰.

²⁸ J. Gaufres, *Claude Baduel et la Réforme des études au XVIe siècle*, „Bull. soc. H. du protestantisme français” 1880, XXV, s. 499-505.

²⁹ Erazm, *Institutio christiani matrimonii*, przekład francuski z 1714.

³⁰ J. Brinsley, *Ludus litterarius* (wyd. z 1917).

Terminologia związana z dzieciństwem rozwija się i nabiera współczesnego znaczenia w Port-Royal i w wyrosłej wokół niego literaturze etycznej i pedagogicznej. (Wyraża się w niej powszechna, a w Port-Royal szczególnie wyraźna, potrzeba ładu moralnego.) Podopieczne Jacqueline Pascal³¹ dzielą się na „małe”, „średnie” i „duże”. „Małe dzieci trzeba jeszcze bardziej niż inne oswajać i karmić jak gołąbeczki” – pisze Jacqueline Pascal. Regulamin szkółek Port-Royal³² zaleca, by uczniowie „nie chodzili co dzień na mszę, z wyjątkiem malców”. Mowa w nim o „duszyczkach” i „aniołkach”³³, a te czule, nowe określenia zapowiadają już uczuciowy stosunek do dzieciństwa, właściwy XVIII stuleciu i czasom romantyzmu. Panna Lhéritier³⁴ adresuje swoje bajki do „młodych umysłów”, „młodych osób”: „Te obrazki skłoniają, jak tuszę, młode osoby do myśli doskonalących rozum”. Okazuje się, że stulecie, które, zdawałoby się, gardziło dzieciństwem, wprowadziło wbrew pozorom do języka wiele wyrażen i zwrotów do dziś będących w użyciu. Furetière w swoim słowniku przytacza pod hasłem „dziecko” zwroty i powiedzenia, które i w naszych uszach brzmią swojsko: „Rozpuszczony dzieciak – taki, któremu pozwalano żyć swobodnie, nijak go nie karcąc. To już nie dziecko – żeby powiedzieć o kimś, że wcześniej nabrał rozumu i sprytu. Niewinny jak nowo narodzone dziecko”. Czy nie sądziliście, że te wyrażenia pojawiły się nie wcześniej niż w XIX wieku?

Niemniej język siedemnastowieczny w swoich próbach mówienia o małych dzieciach jest skrzepowany brakiem słów, które by je odróżniały od dzieci starszych. Podobnie jest zresztą w angielskim, gdzie słowo *baby* odnosiło się także do starszych dzieci. Gramatyka łacińska w języku angielskim autorstwa Lily³⁵, używana w szkołach od początku XVI wieku do roku 1866, przeznaczona jest na użytek *all lytell babes, all lytell children*.

Istniały jednak we francuszczyźnie wyrażenia desygnujące raczej zupełnie malutkie dzieci, na przykład *poupart* (bobas, pucka). W jednym z „Misteriów Notre-Dame” występuje *petit fils* (chłopczyk), który próbuje nakarmić Jezuska z obrazka: „Litościwy Jezus, widząc jak dziecko stara się i nalega, przemówił do niego: «Nie płacz, bobasku, za trzy dni będziesz jeść razem ze mną». Ale ten bobasek nie jest już niemowlęciem, jakbyśmy dziś powiedzieli. Nazywa się go także *clergeon* (księżyk)³⁶, nosi komżę i służy do mszy. „Ceans miał drobne

³¹ Jacqueline Pascal, *Règlement pour les enfants (appendice aux Constitutions de Port-Royal, 1721)*.

³² Regulamin kolegium Chesnay, w: Wallon de Beaupuis, *Suite des amis de Port-Royal, 1751*, t. I, s. 175.

³³ Jacqueline Pascal, *op. cit.*

³⁴ M. E. Storer, *La Mode des contes de fées, 1928*.

³⁵ *I pray you, all lytell babes, all lytell chydren, lern...*

³⁶ *Miracles Notre-Dame, op. cit.*

dziatki, które słabo znały litery i chętniej by ssaly pierś matki, niżli służyły do mszy świętej!” Słowo *poupart* w XVII i XVIII wieku przestaje oznaczać dziecko, lecz, w postaci *poupon*, lalkę, którą dziś określamy tym samym słowem, tyle że w rodzaju żeńskim (*poupée*).

Język francuski był zatem zmuszony zapożyczyć od innych języków bądź ze szkolnej lub zawodowej gwary słowa na określenie małego dziecka, którym zaczęto się nagle interesować. Włoskie *bambino* dało we francuskim *bambin*; pani de Sévigné używa w tym samym znaczeniu prowansalskiego *pitchoun*, którego to słowa nauczyła się zapewne bywając w odwiedzinach u córki, hrabiny de Grignan³⁷. Jej kuzyn, de Coulanges, który co prawda dzieci nie lubi, ale dużo o nich rozprawia³⁸, ma się na baczności przed „trzyletnimi *marmousets*” – to stare słowo zmieni się w języku potocznym w *marmots* (pędraki, brzdące) – „smarkaczami z tłustym podbródkiem, co kładą palce do wszystkich dań”. Używano też szeroko żargonowych słów z języka łacińskich szkółek oraz akademii sportowych i wojskowych: „ten mały *frater*”, „kadet”, albo w liczbie mnogiej: *populo*³⁹, ludek. A wreszcie zaczyna się szeroko używać zdrobnień: określenie „fan-fan” spotykamy zarówno w listach pani de Sévigné, jak i u Fénelona.

Z czasem te słowa lekko zmieniają sens – desygnują dziecko małe, ale już trochę rozgarnięte. Nadal brakuje słowa na określenie niemowlęcia. Dopiero w XIX wieku zaradzi temu zapożyczone z angielskiego *baby*, które w XVI i XVII wieku oznaczało dziecko w wieku szkolnym. To już ostatni etap tej historii: wraz z francuskim *bébé* niemowlę znalazło wreszcie dla siebie imię.

Choć pojawiają się słowa na określenie wczesnego dzieciństwa, nadal nie ma jasnego rozróżnienia między dzieciństwem i dorastaniem z jednej strony, a kategorią zwaną młodością z drugiej. Pojęcie wieku młodzieńczego nie istniało, pojawiło się znacznie później, bo dopiero w XVIII wieku, wraz z dwiema postaciami, jedną literacką – Cherubinem, drugą społeczną – rekrutem. Cherubin ucieleśnia dwuznaczność okresu dojrzewania, akcent pada tu na kobiece cechy chłopca wyrastającego z dzieciństwa. I nie ma w tym nic dziwnego: chłopcy bardzo wcześnie wkraczali w życie, mieli więc jeszcze miękkie, okrągłe rysy i nie bardzo różnili się wyglądem od kobiet. Stąd tak częste w barokowych powieściach początku XVII wieku przebieranki chłopców za dziewczęta i odwrotnie: dwóch młodzików lub dwie dziewczyny zaprzyjaźniają się ze sobą, ale

³⁷ „Niesłusznie sądzisz, że bardziej kocham małą niż *pitchoun*”, Madame de Sévigné, *Lettres*; list z 12 czerwca 1675, patrz także z 5 października 1673. (Listy pani de Sévigné podane są w przekładzie tłumaczki z wyjątkiem listu z 19 sierpnia 1671, który znajduje się w polskim wydaniu W. Karpińskiego, *Listy pani de Sévigné*, przeł. A. Tatarkiewicz, Warszawa 1981 – przyp. tłum.)

³⁸ Coulanges, *Chansons choisies*, 1964.

³⁹ Claudine Bouzonnet, *Jeux de l'enfance*, 1657.

jedno z nich jest przebraną dziewczyną (lub chłopcem) itd. Jakkolwiek łatwiwierni byliby czytelnicy romansów, minimum prawdopodobieństwa wymaga, by chłopiec, jeszcze gołowąs, przypominał dziewczynę (sądzę, że staranne gołenie nie było wówczas łatwą sprawą). Podobieństwo do dziewcząt nie jest jednak przedstawiane jako cecha wieku młodzieńczego. Chłopcy bez zarostu, o miękkich rysach, nie są młodzikami – zachowują się jak dorośli mężczyźni, rozkazują i walczą. Dopiero w postaci Cherubina zaznacza się wyraźnie związek między kobiecym wyglądem a przemianą dziecka w dorosłego: ten stan trwa jakiś czas i jest to czas narodzin miłości.

Cherubin nie będzie miał następców. Przeciwnie, młodzieńczość wyrażać się będzie u chłopców męską siłą; postać młodzieńca zapowiada w XVIII wieku rekrut. Przeczytajmy tekst afisza werbunkowego z końca XVIII wieku⁴⁰. Skierowany jest do „światnej młodzieży”: „Młodzi ludzie, którzy chcą cieszyć się sławą, jaką zyskał sobie ten piękny korpus, mogą zgłosić się do pana d’Ambrun... [Werbownicy] wynagrodzą tych, którzy im dostarczą pięknych mężczyzn”.

Pierwszym typowym nowoczesnym młodzieńcem jest Zygfryd Wagnera. Muzyka *Zygfryda* wyraża po raz pierwszy tę mieszaninę czystości (tymczasowej), siły fizycznej, naturalności, spontaniczności i radości życia, która sprawiła, że młodzieniec stał się bohaterem naszego XX wieku. Pojawił się najpierw w wagnerowskich Niemczech, później, około roku 1900, przeniknął do Francji. „Młodość”, czyli wiek młodzieńczy, staje się wtenczas tematem literackim, strapieniem moralistów i polityków, którzy zaczynają poważnie się zastanawiać, co też młodzi myślą, i publikują badania na temat młodzieży, jak na przykład studia Massisa czy Henriota. Młodeż wydaje się kryć w sobie nowe wartości, zdolne poruszyć i ożywić postarzałe, skostniałe społeczeństwo. Takie przecucia pojawiły się już w okresie romantyzmu, ale nie odnosiły się wtedy wyraźnie do określonej grupy wiekowej, a przede wszystkim ograniczały się do literatury i do publiczności czytającej. Uświadomienie sobie młodzieży jako odrębnej kategorii staje się powszechne i banalne w następstwie wojny 1914-1918, która przeciwstawiła masy żołnierzy frontowych starym generacjom na tyłach. Świadomość, czym jest młodość, była wprawdzie udziałem żołnierza, i to we wszystkich krajach walczących w I wojnie światowej, nawet w Ameryce Dos Passosa. Od tej pory wiek młodzieńczy wydłuża się: dzieciństwo kończy się wcześniej, dojrzałość zaczyna później. Małżeństwo, które przestaje być „ustatkowaniem się”, nie oznacza już kresu młodości: żonaty młokos jest jednym z najbardziej charakterystycznych typów naszych czasów. On narzuca naszej

⁴⁰ Afisz werbunkowy regimentu Royal Piemont w Nevers, 1789. Wystawa w Bibliothèque Nationale, 1953, nr 25.

epoce swoje wartości, apetyty i zwyczaje. Od czasów bez młodości przeszliśmy do epoki kultu młodości. Wiek młodzięcy jest faworyzowany. Chce się go osiągnąć jak najwcześniej i trwać w nim jak najdłużej.

Tej ewolucji towarzyszy równoległa, lecz skierowana w przeciwną stronę ewolucja starości. Wiadomo, że w dawnym społeczeństwie starość zaczynała się wcześniej. U Moliера mamy przykłady staruchów, którzy nam się wydają jeszcze całkiem rześcy. Zresztą w ikonografii starości nie zawsze mamy do czynienia z obrazem zgrzybiałego starca: starość zaczyna się wtedy, gdy człowiekowi wypadają włosy i wyrasta broda, a piękny starzec to często po prostu łysy mężczyzna. Tak jest na przykład w *Koncertie* Tycjana, będącym także obrazem okresów życia. Przed wiekiem XVIII starzec jest na ogół śmieszną figurą. Rotrou w komedii „Siostra” chce wmusić młodej dziewczynie pięćdziesięcioletniego męża: „Ma tylko pięćdziesiąt lat i ani jednego zęba!”

Nie ma na świecie człeka, któryby nie sądził
Że ten pochodzić musi z czasów Saturna albo Potopu;
Na trzy nogi, które stawia po ziemi, dwie są chrome,
Przy każdym kroku trzęsą się ze starości,
Wciąż trzeba go podtrzymywać i podnosić⁴¹.

Kiedy będzie miał dziesięć lat więcej, upodobni się do sześćdziesięcioletka Quinaulta:

Zgięty w pół, o lasce, poczciwy starowina
Kasze, pluje, siąka nosem i kpi sobie
Z opowieści o dawnych czasach...⁴²

Dawna Francja nie miała szacunku dla starości – wieku spoczynku, książek, dewocji i gładzenia. W XVI-XVII wieku człowiek w pełni to człowiek młody: oficer ze sztandarem na szczycie drabiny wieku. Nie jest on młodzińcem [choć dziś byłby w tym wieku]; należy do tej drugiej kategorii między dzieciństwem a starością, którą w XVII wieku nazywano młodością. Furetière, który bardzo poważnie traktuje problemy związane z periodyzacją życia, proponuje pośrednie pojęcie dojrzałości, przyznaje jednak, że nie jest ono używane: „Dla prawników młodość i dojrzałość to jedno i to samo”. Wiek XVII utożsamiał się z tą komenderującą, władcą młodością, tak jak wiek XX rozpoznaje siebie w swoich młodzikach.

⁴¹ J. de Rotrou, *La Soeur*.

⁴² J. de Rotrou, *La Mère coquette*.

Dzisiaj starość znikła, a w każdym razie znikła z języka mówionego, gdzie przetrwało słowo „stary” jako pogardliwe lub protekcyjne określenie. Da się wyróżnić dwa etapy tej ewolucji: wprawdzie czcigodny, siwowłosy starzec, nestor udzielający dobrych rad, patriarcha o bezcennym doświadczeniu – starzec Greuze’a, Restifa de la Bretonne i całego XIX wieku. Nie jest on jeszcze zwykłym staruszką, ale już też nie zgrzybiałym staruchem z XVI i XVII wieku. Coś z tego szacunku dla starca pozostało do dziś w konwenansach, tyle że ów szacunek jest właściwie bezprzedmiotowy, bo w naszych czasach – i to jest etap drugi – starzec znikł. Zastąpił go „mężczyzna w pewnym wieku” oraz „świetnie zakonserwowani panowie i panie”. Są to pojęcia ze świata burżuazyjnego, ale już za chwilę będą ludowe. Technologiczna idea „konserwacji” zajęła miejsce biologicznego i etycznego zarazem pojęcia starości.

Wygląda na to, że każdej epoce odpowiada specyficzna periodyzacja życia i jakiś jeden uprzywilejowany okres życia człowieka: dla XVII wieku jest to „młodość”, dla XIX – dzieciństwo, dla naszego stulecia – wiek młodzieńczy. Postawę wobec wieku wyznacza demografia. Zmiany tej postawy świadczą o nowej interpretacji struktury demograficznej danej epoki, struktury, której opinia nie mogła przecież obiektywnie poznać. Nieobecność wieku młodzieńczego i pogarda dla starości, albo przeciwnie – zniknięcie starości (przynajmniej jako degradacji człowieka) i pojawienie się młodzieńczości są reakcją społeczeństwa na czas trwania ludzkiego życia. Wydłużenie się życia spowodowało, że wynurzyły się z niebytu obszary dawniej w obyczajach nie istniejące, choć uczeni późnego cesarstwa i średniowiecza mieli na nie nazwę. Współczesny język przyswoił sobie te stare nazwy, pierwotnie tylko teoretyczne, żeby określić przy ich pomocy nową rzeczywistość. Takiej ostatniej metamorfozie uległ dziś zapomniany, a przez całe stulecia swojski i popularny temat „okresów życia”.

W epokach krótkiego życia pojęcie uprzywilejowanego wieku było jeszcze ważniejsze niż obecnie, kiedy ludzie żyją długo. Na dalszych stronicach zajmujemy się znakami dzieciństwa. Nie wolno nam zapominać, jak niewiele to dzieciństwo ważyło w porównaniu z uprzywilejowaną „młodością”. Nie były to czasy dzieci ani młodzieży, ani starców, lecz czasy ludzi młodych.

Odkrycie dzieciństwa

Aż do wieku XII mniej więcej sztuka średniowieczna ignorowała dzieciństwo i nie próbowała go przedstawiać. Trudno uwierzyć, by wynikało to z nieudolności lub niemocy. Wydaje się raczej, że w świecie średniowiecznym nie było dla dzieciństwa miejsca. Miniatura z ewangeliarza Ottona III z XI wieku¹ daje pojęcie o tym, jak artysta deformował ciało dziecka, przedstawiając je w sposób bardzo daleki od naszego widzenia i odczuwania. Miniatura ilustruje scenę z Ewangelii, w której Jezus prosi, żeby dopuścić do niego dziatki. Tekst łaciński jest jasny: *parvuli*. Tymczasem widzimy Jezusa otoczonego grupą ośmiu mężczyzn, którzy nie mają w sobie nic z dzieci, tyle że są mali. Od dorosłych różnią się wyłącznie wzrostem. Także na francuskiej miniaturze z XI wieku² troje dzieci wskrzeszonych przez świętego Mikołaja od dorosłych różni jedynie wzrost, poza tym mają ten sam wygląd, takie same rysy. W bardzo rzadkich wypadkach, kiedy malarz przedstawiał nagie dziecko, obdarzał je bez wahania muskulaturą dorosłego: w pochodzącym z końca XII lub z początku XIII wieku psalterzu Ludwika Świętego³ Izmail ma zaraz po urodzeniu mięśnie brzucha i klatki piersiowej jak u dorosłego mężczyzny. Podobnie jest w XIII wieku, choć obrazy dzieciństwa traktowane są może z większym uczuciem⁴. W Biblii Umoralniającej Ludwika Świętego mamy więcej przedstawień dzieci, ale

¹ Ewangeliarz Ottona III, Monachium.

² *Vie et miracles de saint Nicolas*, Bibliothèque Nationale.

³ Psalterz z Leydy.

⁴ Warto porównać scenę „Dopuszczcie dziatkom iść do mnie” z ewangeliarza Ottona z miniaturą w Biblii Umoralniającej Ludwika Świętego, f^o 505.

nadal wyróżnia je tylko mały wzrost. Oto epizod z życia Jakuba: Izaak siedzi w otoczeniu swoich dwu żon i tuzina dzieci, właściwie małych mężczyzn, tyle że sięgających dorosłym do pasa⁵. Hiob w nagrodę za swoją wierność zostaje bogaczem; iluminator ukazuje to bogactwo, umieszczając po lewicy Hioba jego bydło, po prawicy równie liczne potomstwo. Płodność jest tradycyjnie nieodłączna od bogactwa. Na innej ilustracji do księgi Hioba dzieci ustawione są rzędem, według wzrostu.

W ewangeliarzu Saint-Chapelle z XIII wieku⁶, w scenie ukazującej rozmnożenie chleba, między Chrystusem i apostołem stoi człowieczek sięgający im do pasa – zapewne dziecko, które przyniosło ryby. Aż do końca XIII wieku nie ma w sztuce romańskiej dzieci, które by charakteryzował ich specyficzny wygląd, są jedynie pomniejszeni dorośli. Zresztą w większości cywilizacji archaicznych sztuka wydaje się nieświadoma specyficznej morfologii dziecka. Piękny sardyński brąz z IX wieku p.n.e.⁷ przedstawia swoistą Pietę: matka trzyma na rękach dość duże ciało syna. Być może, chodzi tu o dziecko, bo w katalogu czytamy: „Mała męska figura może być dzieckiem przedstawionym jak dorosły mężczyzna, jak to się z reguły działo u ludów starożytnych”. Wydaje się, że wyłącznie sztuka grecka realistycznie przedstawiała dziecko i idealizowała wdzięk i miękkość dzieciństwa. W epoce hellenistycznej aż się roi od małych Erosów. Później dziecko znika z ikonografii wraz z innymi tematami hellenistycznymi; romańszczyzna zapomina o szczególnym wyrazie dzieciństwa i przedstawia je w sposób właściwy epokom starożytnym, poprzedzającym hellenizm. Nie jest to przypadek. W świecie przedstawianym dzieciństwo było nieznanne. To samo mówią historycy literatury (Mgr Calvé): w eposie cudowne dzieci odznaczają się brawurą i siłą fizyczną męskich rycerzy. Świadczy to niezbitnie, że ludzie X-XI wieku nie zwracali na dzieciństwo uwagi, a jego obraz nie był dla nich interesujący ani nawet rzeczywisty. Wolno nam się domyślać, że w samym życiu, a nie tylko w jego estetycznej transpozycji, dzieciństwo uważane było za okres przejściowy, szybko przemijający, nie wart zapamiętania.

Taki był nasz punkt wyjścia. A jak doszliśmy do wersalskich *marmousets* (smarkaczy), do zdjęć dzieci w najrozmaitszym wieku w naszych rodzinnych albumach?

Pod koniec XII wieku pojawiają się w sztuce typy dziecięce nieco bliższe naszej wrażliwości. Mamy więc anioła przedstawianego w postaci młodziutkiego mężczyzny, młokosa: *clergeon* (księżyka), jak go nazywa P. du Colombier⁸. W jakim jest wieku? Do mszy świętej służyli mali i starsi chłopcy

⁵ Biblia Umoralniająca Świętego Ludwika, f^o 5. A. de Laborde, *Bibles moralisées illustrées*, 1911–1921.

⁶ Ewangeliarz z Sainte-Chapelle; scena reprod. w: H. Martin, *La Miniature française*, pl. VII.

⁷ Wystawa brązów sardyńskich, Bibliothèque Nationale, 1954, nr 25, pl. XI.

⁸ P. du Colombier, *L'Enfant au Moyen Age*, 1951.

przeznaczeni do zakonów, jakby seminarzyści, w czasach, gdy nie było jeszcze seminariów, a klerycy kształcili się w szkole łacińskiej, jedynej, jaka istniała. W „Misteriach Notre-Dame”⁹ czytamy: „Ceans miał drobne dziatki, które słabo znały litery i chętniej by ssały pierś matki [ale odstawiano je od piersi bardzo późno: szekspirowska Julia w wieku trzech lat była jeszcze karmiona piersią], niżli służyły do mszy świętej”. Anioł z Reims to raczej duży chłopak niż dziecko, ale artyści ze wzruszeniem i czułością oddają nieco kobiece, wdzięczne rysy młodziutkich chłopców. Odeszliśmy daleko od dorosłych w małej skali z miniatury w ewangeliarzu Ottona. Ten typ młodocianych aniołów, niezmiernie popularny w XIV wieku, spotykać będziemy aż do końca włoskiego quattrocento; należą do niego anioły Fra Angelica, Botticellego i Ghirlandaia.

Drugi typ dziecka, model i poprzednik wszystkich malutkich dzieci w historii sztuki, to Dzieciątko Jezus, a raczej dzieciątko Bogurodzicy, bo dzieciństwo związane jest tutaj z tajemnicą Niepokalanego Poczęcia i kultem maryjnym. Początkowo Jezus jest, tak jak inne dzieci, pomniejszonym dorosłym: Theotokos przedstawia go jako małego kapłana – Chrystusa w majestacie. Bardzo wcześnie zaczyna się w malarstwie ewolucja ku bardziej realistycznemu i nasyconemu uczuciem przedstawieniu dziecka: na pochodzącej z drugiej połowy XII wieku¹⁰ miniaturze Jezus, odziany w lekką, przejrzystą koszulkę, zarzuca ręce Matce na szyję i tuli się do jej policzka. Wraz z macierzyństwem Najświętszej Panny wczesne dzieciństwo wkracza do świata przedstawianego. W XIII wieku bywa ono tematem także i innych scen rodzinnych. W Biblii Umoralniającej Ludwika Świętego¹¹ sceny przedstawiające rodziców z dziećmi mają w sobie coś równie wzruszającego, jak rzeźby zdobiące ambonę w Chartres. Oto rodzina Mojżesza: małżonkowie trzymają się za ręce, otaczające ich dzieci (mali dorośli) wyciągają ramiona do matki. Ale takie scenki są rzadkością, aż do XIV wieku uczuciowe potraktowanie małego dziecka jest zastrzeżone dla Dzieciątka Jezus; dopiero sztuka włoska rozwinie i rozszerzy temat czułego stosunku matki i dziecka.

Trzeci typ dziecka pojawia się w czasach gotyku: dziecko nagie. Otóż Dzieciątko Jezus nigdy nie jest nagie, tylko starannie owinięte w pieluchy, jak inne dzieci w tym wieku, albo ubrane w koszulkę lub sukienkę. Obnaży się dopiero u schyłku średniowiecza. Na miniaturach w Bibliach umoralniających dzieci są ubrane – z wyjątkiem Niewiniątek oraz dzieci martwych, których matki stoją przed sądem Salomona. Obraz nagiego dziecka pojawia się w świecie form jako alegoria śmierci i duszy. Już w prebizantyńskiej ikonografii V wieku, mającej

⁹ *Miracles Notre-Dame, op. cit.*

¹⁰ Malowane manuskrypty od VII do XII wieku, wystawa w Bibliothèque Nationale, 1954, nr 330, pl. XXX.

¹¹ Patr.: przypis 5.

wiele cech przyszłej sztuki romańskiej, ciała zmarłych przedstawiano w pomniejszeniu. Martwi byli mniejsi niż żywi. W *Iliadzie z Ambrosiany*¹² w scenach bitewnych trupy są o połowę mniejsze od żywych. We francuskiej sztuce średniowiecznej duszę przedstawia nagie i zwykle bezpłciowe dziecko. W obrazach Sądu Ostatecznego dusze sprawiedliwych w tej właśnie postaci wędrują na łono Abrahama¹³. Wychodzą z ust konającego: tak dusza opuszcza ciało. Nie inaczej wkracza dusza w świat, i to zarówno przy cudownym poczęciu – anioł Zwiastowania podaje Madonnie nagie dziecko, duszę Jezusa¹⁴, jak i przy poczęciu całkiem naturalnym – para spoczywająca w łóżku leży spokojnie, ale coś się musiało stać, bo małe nagie dziecko unoszące się w powietrzu wchodzi kobiecie do ust¹⁵: „stworzenie duszy ludzkiej przez naturę”.

W XIV, a zwłaszcza w XV wieku te średniowieczne wyobrażenia dzieci ewoluują w kierunku wyznaczonym już w wieku XIII. Jak mówiłem, anioł-księżyk przedstawiany będzie bez większych zmian w malarstwie religijnym XV wieku, ale temat Dzieciątka Jezus od wieku XIV rozwija się i urozmaica; jego powodzenie świadczy o tym, że w zbiorowej świadomości zmienił się stosunek do dzieciństwa, na które w XIII wieku mało kto zwracał uwagę, a w IX wieku wcale go nie wyróżniano. Przedstawiając Jezusa z Matką Bożą, artysta podkreślać będzie wdzięk, czułość i naiwność wczesnego dzieciństwa: dziecko szuka piersi matki, przytula się do niej, całuje ją; dziecko bawi się ptaszkiem albo owocem; dziecko karmione kaszką, dziecko owijane w pieluszki. Pokazane są wszystkie codzienne gesty, zapamiętane przez uważnego obserwatora. Sentymentalny realizm ograniczać się będzie przez długi czas do ikonografii religijnej, ale wcale nas to nie dziwi: tak samo jest z pejzażami i scenami rodzajowymi. Tak czy inaczej obraz Madonny z Dzieciątkiem ulega ewolucji i staje się coraz bardziej świeckim obrazkiem z życia codziennego.

Wpierw nieśmiało, potem coraz częściej pojawia się w malarstwie religijnym obraz dzieciństwa już nie tylko Jezusowego. Dwa nowe, chętnie podejmowane tematy związane są z postacią Marii: temat narodzin – sypialnia położnicy, krzątanie wokół noworodka, którego kąpią, owijają w pieluszki, pokazują matce, oraz temat nauki – Najświętsza Panna czyta księgę, którą trzyma w ręku święta Anna. Mamy też przedstawienia dzieciństwa innych świętych: Jana, towarzysza zabaw małego Jezusa, i Jakuba, dzieci świętych niewiast Marii Zebedeuszowej i Marii Salome. W wieku XIV, kiedy mnożą się legendy i pobożne opowieści o dzieciach, jak na przykład te zawarte w „Misteriach Notre-Dame”, powstaje zupełnie nowa ikonografia scen dziecięcych i grup

¹² *Iliada*, Ambrosiana w Mediolanie.

¹³ Rampilly.

¹⁴ Patrz: przypis 5.

¹⁵ *Miroir d'humilité*, Valenciennes, f^o 18, początek XV wieku.

świętych dzieci z matkami lub bez matek. Aż do XVII wieku ten sam typ obrazów powielany będzie w nieskończoność w malarstwie, na arrasach, w rzeźbie. Wrócimy zresztą do tego w związku z praktykami religijnymi dzieciństwa.

Od religijnej ikonografii dzieciństwa oderwie się wreszcie w XV i XVI wieku ikonografia laicka. Nie ma jeszcze przedstawień dziecka samego. Ale konwencjonalna ikonografia alegoryczna, oparta na antycznej i średniowiecznej koncepcji natury, ulega zmianie i powstaje malarstwo rodzajowe. W miejsce statycznych obrazów symbolicznych figur, przedstawiających okresy życia, pory roku, zmysły i żywioły, pojawiają się scenki rodzajowe, anegdoty. O tej ewolucji będzie jeszcze mowa¹⁶. Tymczasem zapamiętajmy, że jedną z najczęściej występujących w owych scenkach postaci jest właśnie dziecko – w rodzinie, wśród towarzyszy wspólnych zabaw, często dorosłych; dziecko w tłumie, ale starannie „wydobyte”, w objęciach matki albo trzymane za rękę, dziecko bawiące się, siusiąjące, przypatrujące się cudom i męczeństwom, słuchające kazań, uczestniczące w liturgicznych obrzędach oczyszczenia lub obrzezania, dziecko uczące się zawodu u złotnika lub malarza, wreszcie dziecko w szkole, stary i popularny temat, który pojawił się w XIV wieku i przetrwał aż do wieku XIX.

Malarstwo rodzajowe nie zajmuje się jednak wyłącznie dzieciństwem, po prostu dzieci często w nim występują jako pierwszo- lub drugoplanowe postaci, a to sugeruje dwie rzeczy: że, po pierwsze, w życiu codziennym dzieci przebywały wśród dorosłych, były obecne w każdym zgromadzeniu, przy pracy, na spacerach, w zabawie, a po drugie, że artyści z czasem coraz chętniej przedstawiają dzieciństwo ze względu na jego wdzięk i malowniczość (upodobanie do anegdotycznej malowniczości rozwinęło się w XV i XVI wieku, równoległe z ewolucją uczuciowego stosunku do dzieciństwa), wyróżniając postać dziecka na tle otaczającej je grupy dorosłych. Ta pierwsza postawa wydaje się archaiczna: dziś, tak jak to już było pod koniec wieku XIX, jesteśmy skłonni rozdzielać świat dorosłych i świat dzieci; ta druga zapowiada nasz współczesny stosunek do dzieciństwa.

Tematy anioła i dziecka świętego sięgają, jak mówiłem, wieku XIII, zaś w wieku XV pojawiają się dwa nowe typy przedstawień dziecka, mianowicie portret i putto. Jak wiemy, przynajmniej od wieku XIII postaci dzieci często występują w sztuce średniowiecznej, ale nie ma w niej portretu przedstawiającego konkretne dziecko w określonym momencie życia.

W opisach wizerunków nagrobnych zachowanych w katalogu Gaignièresa¹⁷ dziecko zjawia się bardzo późno, bo dopiero w XVI wieku. I rzecz dziwna, początkowo wcale nie na nagrobkach dzieci ani rodziców, lecz na grobach nauczycieli. Na grobowcach bolońskich profesorów przedstawiono

¹⁶ Por. część III, roz. 2.

¹⁷ Gaignières, *Les Tombeaux*.

nauczycieli wśród uczniów¹⁸. W 1375 roku kardynał de La Grange, biskup Amiens, kazał umieścić na „pięknym pilastrze” katedry wizerunki dwóch swoich książęcych wychowanków, dziesięcio- i siedmiolatka¹⁹. Do tej pory nikomu nie przychodziło do głowy zachowanie obrazu dziecka, gdyż dzieciństwo traktowano jako okres przejściowy; nie było powodu zapisywać go w pamięci, jeśli dziecko miało osiągnąć dojrzałość, a jeśli miało umrzeć, to mała istota także nie wydawała się godna wspomnienia: zbyt wiele było dzieci o jakże problematycznych szansach na przeżycie! Przez długi czas panowało głęboko zakorzenione przekonanie, że trzeba płodzić dużo dzieci, bo tylko nieliczne przeżyją. Jeszcze w siedemnastowiecznych „Pogawędkach w alkowie położnicy” sąsiadka uspokaja matkę pięciorga „małych nicponi”: „Zanim zdążą ci zaleźć za skórę, stracisz połowę albo i wszystkich”²⁰. Dziwna doprawdy pociecha! Nie można się było za bardzo przywiązać do stworzenia przeznaczonego ewentualnie na straty... Stąd te zdumiewające dla naszej współczesnej wrażliwości słowa Montaigne’a o „dwojgu lub trojgu dziatka”, które stracił nie bez żalu, ale bez większego smutku, albo Moliera (o Ludwisi, w *Chorym z urojenia*): „małej jeszcze nie liczę”. Opinia publiczna, tak jak Montaigne, nie widziała w dziecku „poruszeń duszy ani wyraźnego kształtu ciała”²¹. Pani de Sévigné przytacza bez zdziwienia słowa pani de Coetquen, która zemdląła na wiadomość o śmierci wnuczki: „Bardzo jest zgnębiona, powiada, że nigdy już nie będzie miała takiej pięknej”²².

Nie dostrzegano w dziecku, jak my dzisiaj, przyszłej dorosłej osoby. Za wiele ich umierało. „Odumierają mnie wszystkie w kołysce” – pisał Montaigne. Obojętność była nieuchronnym bezpośrednim skutkiem ówczesnej demografii. Na głębokiej prowincji przetrwała ona aż do XIX wieku i dawała się jakoś pogodzić z chrześcijaństwem, które szanowało nieśmiertelną duszę dziecka ochrzczonego. W kraju Basków zachował się bardzo długo zwyczaj grzebania w domu, pod progiem albo w ogrodzie, dziecka zmarłego, zanim zostało ochrzczone. Być może, był to relikw bardzo starożytnych rytów, ofiar składanych bogom, a może po prostu przedwcześnie zmarłe dziecko grzebano byle gdzie, jak dziś grzebiemy psa lub kota. Nie było obawy, że po śmierci będzie nachodzić żywych, bo przecież tak niewiele znaczyło, nie zdążyło zaistnieć w życiu. Na rycinie tytułowej w *Tabula Cebetis*²³ Merian umieścił małutkie dzieci w marginesowej strefie między ziemią, skąd wychodzą, a życiem,

¹⁸ G. Zaccagnini, *La Vita dei maestri e degli scolari nello studio di Bologna*, Genève 1926, pl. IX, X.

¹⁹ Przedstawienia dzieci na grobowcach zdarzały się wcześniej tylko wyjątkowo.

²⁰ *Le Caquet de l'accouchée*, 1622.

²¹ Montaigne, *Próby*, II, 8, przeł. T. Żeleński (Boy), Warszawa 1957, s. 71.

²² Madame de Sévigné, *op. cit.*, list z 19 sierpnia 1671.

²³ Merian, *Tabula Cebetis*, 1655. Por. R. Lebègue, *Le Peintre Varin et le Tableau de Cebes*, „Arts”, 1952, s. 167-171.

do którego jeszcze nie wkroczyły i od którego dzieli je portyk z napisem: *Introitus ad vitam**. Czyż i dziś nie mówimy o wkraczaniu w życie w sensie wyjścia z dzieciństwa? Obojętność wobec dzieciństwa tak niepewnego i narażonego na śmierć była właściwie bliska nieczułości społeczeństw rzymskich i chińskich, które praktykowały porzucanie dzieci. Widzimy zatem, jaka przepaść dzieli naszą koncepcję dzieciństwa od pojęć poprzedzających rewolucję demograficzną i jej zwiastuny. Ta obojętność nie powinna nas dziwić – w warunkach demograficznych tamtych czasów była aż nazbyt naturalna. Przeciwnie, zdumiewające, że w tych niesprzyjających warunkach tak wcześnie pojawił się czuły stosunek do dzieciństwa. Statystycznie i obiektywnie powinien pojawić się później. Miłość do malowniczego, wdzięcznego dzieciństwa, rozczulenie „błazenadą naszych dzieci”, które wzruszają nas dorosłych „jako małpki”²⁴, daje się pogodzić z obojętnością na osobowość dziecka, jego istotę, jego nieśmiertelną duszę. Nowa moda na dziecięce portrety świadczy o tym, że dzieci tracą anonimowość, na którą je skazywały nikłe szanse na przeżycie. Znamienne, że w czasach demograficznego marnotrawstwa ludzie poczuli nagle potrzebę utrwalenia rysów dziecka: i tego, które będzie żyło, i tego, które umrze. Portrety martwych dzieci dowodzą, że przestano je traktować jako nieuchronną stratę. Ale ta nowa postawa wobec dziecka nie wyeliminowała starej, którą reprezentował Montaigne, towarzysząca położnicy sąsiadka czy Molier. Będą one współistnieć aż do wieku XVIII, kiedy maltuzjanizm i upowszechnienie praktyk antykoncepcyjnych sprawią, że zaniknie owo poczucie nieuchronnej straty.

Pojawienie się w XVI wieku portretu zmarłego dziecka jest bardzo ważnym momentem w historii uczuć. Wpierw był to wizerunek nagrobny. Dziecko przedstawiano początkowo na grobie rodziców. W katalogach Gaignièresa²⁵ mamy odnotowane wizerunki malutkich dzieci spoczywających obok matki albo u stóp rodziców. Pochodzą z XVI wieku: 1503, 1530, 1560 rok. Wśród niezmiernie ciekawych grobowców w opactwie Westminster wyróżnia się grób markizy Winchester, zmarłej w 1586 roku²⁶. Przed leżącą markizą naturalnej wielkości widzimy pomniejszoną postać klęczącego męża i miniaturowy grób zmarłego dziecka. W tymże opactwie znajduje się grobowiec księcia i księżnej Shrewsbury z 1615-1620 roku: u stóp leżących małżonków klęczy ich córeczka ze złożonymi do modlitwy rękami. Zauważmy, że dzieci nieboszczyków niekoniecznie były już wtedy zmarłe, po prostu przedstawiano całą rodzinę zgromadzoną wokół zmarłych, jak w chwili, gdy wydali ostatnie tchnienie. Obok dzieci wtenczas żywych, przedstawiano także i te, które zmarły wcześniej: są one mniejsze i trzymają w ręku krzyż (grobowiec Johna Coke’a w Halkham,

* Wkroczenie do życia.

²⁴ Montaigne, *op. cit.*, s. 71.

²⁵ Gaignières, *Tombeaux*.

²⁶ Fr. Bond, *Westminster Abbey*, London 1909.

1639) albo czaszkę. Na grobie Cope'a d'Ayleya w Hambledon (1633) wokół zmarłych stoi czterech chłopców i troje dziewcząt, dwoje z nich, chłopiec i dziewczynka, z czaszką w ręku.

W Tuluzie w muzeum ojców Augustianów znajduje się niezwykle ciekawy tryptyk z gabinetu Du Mege'a²⁷. W środkowej części przedstawione jest zdjęcie z krzyża, na skrzydłach, datowanych na 1610 rok, klęczą donatorzy, z jednej strony mąż, z drugiej żona. Podany jest ich wiek: oboje mają po 63 lata. Przy mężczyźnie widzimy dziecko ubrane w strój, jaki nosiły wówczas dzieci najmłodsze, do pięciu lat: dziewczęcą sukienkę z fartuszkim²⁸ i duży, zdobiony piórami kapturek. Strój dziecka jest bogaty, w żywych, jaskrawych kolorach, przetykana złotem zieleń mocno podkreśla surowość czarnych ubiorów donatorów. Ale sześćdziesięcioletnia kobieta nie może przecież być matką pięcioletniego dziecka! A więc to dziecko zmarło, było zapewne jedynym synem, którego starzy rodzice zapragnęli przedstawić obok siebie, ubranego w najpiękniejsze szaty.

Było zwyczajem ludzi pobożnych i bogatych ufundować kościołowi ołtarz albo witraż: w XVI wieku donator kazał się na nich umieszczać wraz z całą rodziną. Na ścianach i filarach niemieckich kościołów do dziś wiszą liczne tego rodzaju obrazy, prawdziwe portrety rodzinne. Na jednym z nich, pochodzącym z drugiej połowy XVI wieku i znajdującym się w kościele Świętego Sebastiana w Norymberdze, widzimy ojca, za nim dwóch dużych synów, a dalej sześciu stłoczonych, słabo widocznych, zasłaniających jeden drugiego chłopców. Czy to aby nie dzieci zmarłe w dzieciństwie?

Na podobnym obrazie z roku 1560, zachowanym w muzeum w Bregenz, wiek dzieci zapisany jest na proporczykach: trzech chłopców – jeden, dwa, trzy lata; pięć dziewczynek – jeden, dwa, trzy, cztery, pięć lat. Najstarsza, pięcioletnia dziewczynka jest tego samego wzrostu i nosi takie samo ubranie jak najmłodsza, roczna. Dano jej na obrazie miejsce, które by zajmowała, gdyby żyła, ale przedstawiono ją w wieku, gdy umarła.

Te ustawione pod rząd rodziny to obrazy naiwne, nieudolne, bezstylowe. Ich autorzy, podobnie jak modele, pozostają nieznani. Ale jeśli donator zwrócił się do renomowanego malarza, historycy sztuki próbują zidentyfikować postaci widniejące na płótnie. Tak jest z rodziną Meyerów, w 1526 roku przedstawioną przez Holbeina u stóp Madonny. Wiemy, że z sześciu figurujących na obrazie osób, trzy w 1526 roku już nie żyły: pierwsza żona Jakuba Meyera i dwaj jego synowie, jeden zmarł w wieku dziesięciu lat, drugi, nagi na obrazie, we wczesnym dzieciństwie.

Od XVI do połowy XVII wieku tak właśnie się przyjęło przedstawiać rodziny: w muzeum w Wersalu znajduje się słynny obraz Nocreta przedstawiający

²⁷ Muzeum Augustianów, nr 465 w katalogu.

²⁸ Van Dyck, reprod. w: K. der K., pl. CCXIV.

rodziny Ludwika XIV i jego brata: król i księżęta są na nim na wpół nadzy, jak bogowie z Olimpu. Dla nas ważny jest pewien mały szczegół, ten mianowicie, że na pierwszym planie, u stóp Ludwika XIV, Nocret umieścił mały obraz, a na nim dwoje przedwcześnie zmarłych dzieci. Tak zatem dziecko pojawia się w pierw na portretach rodzinnych obok rodziców.

Gaignières sygnalizuje w swoich katalogach grobowce z figurami pojedynczych dzieci: powstały u schyłku XVI stulecia, jeden w 1584, drugi w 1608 roku. Dziecko jest przedstawione w odpowiednim dla jego wieku stroju, w sukience i kapturku, jak na tuluzańskim *Zdjęciu z krzyża*. Jakub I, który w ciągu dwu lat, (1606–1607) stracił dwie córki, jedną liczącą sobie trzy dni, drugą dwuletnią, kazał przedstawić je na grobowcach w Westminster: młodsza, pięknie ubrana, spoczywa w alabastrowej kołysce, wiernie oddane akcesoria, koronki bielizny i kapturka stwarzają iluzję rzeczywistości. Inskrypcja nagrobna świadczy o pobożności, która przyznaje trzydniowemu dziecku odrębną osobowość: *Rosula Regia prae-propera Fato decerpta, parentibus erepta, ut in Christi Rosario reflouescat**.

Poza wizerunkami nagrobnymi portrety dzieci samych, bez rodziców, są w XVI wieku rzadkością: jeszcze jednym przykładem przywiązania do dziecka przedwcześnie zmarłego jest portret delfina Karola Orlando, pędzla Mistrza z Moulins. Na początku XVII wieku takich portretów powstało więcej, czujemy, że utrwalanie na płótnie przemijającego dzieciństwa weszło w zwyczaj. Dziecko odrywa się od rodziny, tak jak sto lat wcześniej, na początku XVI wieku, rodzina donatorów oderwała się od religijnej części obrazu. Nowością wprowadzoną w wieku XVII będzie przedstawienie samego dziecka. Stanie się ono jednym z ulubionych modeli epoki. Przykładów mamy bez liku, spośród słynnych malarzy maluje dziecko Rubens, Van Dyck, Frans Hals, Le Nain, Philippe de Champaigne. Jedni portretują księżęta, jak dzieci Karola I, pędzla Van Dycka, czy dzieci Jakuba II, pędzla Largillière'a, inni dzieci wielmożów, jak trójka chłopców, najstarszy ze szpadą, Van Dycka, jeszcze inni dzieci bogatego mieszczaństwa, jak Le Nain czy Philippe de Champaigne. Bywa, że umieszczona na obrazie inskrypcja podaje nazwisko i wiek portretowanego, jak to było kiedyś w zwyczaju z dorosłymi. Czasem dziecko jest samo (Grenoble, Philippe de Champaigne), czasem mamy kilkoro dzieci z jednej rodziny. Styl tych portretów jest banalny, powtarzany w nieskończoność przez anonimowych malarzy. Obrazy tego typu spotykamy często w prowincjonalnych muzeach i w antykwariatach, bo w XVII wieku każda lepsza rodzina pragnie sportretować swoje dzieci. Ten zwyczaj już nie zaginie; w XIX wieku malowane portrety zastąpi fotografia, ale uczucia pozostaną te same.

* Różyczka królewska przedwcześnie przez Los zerwana, rodzicom wydartą, niech rozkwita na nowo w różanym ogrodzie Chrystusa.

Na zakończenie chciałbym zasygnalizować pojawiające się tu i ówdzie przedstawienia dzieci na wotach. W muzeum katedralnym w Puy, na zorganizowanej w 1958 roku wystawie sztuki siedemnastowiecznej, można było obejrzyć zdumiewający portret chorego dziecka, będący niewątpliwie obrazem wotywnym.

Tak więc mimo że od XIII do XVII wieku warunki demograficzne niewiele się zmieniły i śmiertelność dzieci utrzymywała się na bardzo wysokim poziomie, nowa wrażliwość dostrzegła specyficzny charakter tych kruchych, zagrożonych istot, na który poprzednio nie zwracano uwagi: jak gdyby dopiero teraz zbiorowa świadomość odkryła, że dusza dziecka też jest nieśmiertelna. To pewne, że rozpoznanie i docenienie osoby w dziecku wiąże się z głębszą chrystianizacją obyczajów.

Zainteresowanie dzieckiem wyprzedza o z górą stulecie zmianę warunków demograficznych, którą możemy uznać za współczesną odkryciu Jennera. W rozmaitych korespondencjach, na przykład w listach generała de Martange²⁹, znajdujemy dowody, że rodzinom zależało na tym, by zaszczepić dzieci przeciwko ospie. Wolno nam się domyślać, że zaczęto dbać również i o inne praktyki higieniczne, co doprowadziło do spadku śmiertelności, któremu towarzyszyła szerzej niż dotychczas stosowana kontrola urodzin.

Drugie, nieznanne w średniowieczu przedstawienie dziecka to putto: nagi chłopczyk. Ten odnaleziony hellenistyczny Eros pojawia się pod koniec XVI wieku. Temat nagiego dziecka z miejsca zyskał wzięcie, nawet we Francji, gdzie italianizm był przyjmowany nie bez oporów. Książę de Berry³⁰ miał, według inwentarza, „pokój dziecinny”, to znaczy komnatę udekorowaną tapiserią z puttami. Van Marle zastanawia się, czy skrybowie, którzy sporządzali inwentarz, nie nazywali aby dziećmi owych na wpół pogańskich aniołków, „putta jakże często płasające wśród listowia na tapiseriach z drugiej połowy XV wieku”.

W wieku XVI, rzecz dobrze wiadoma, putta wtargną do malarstwa i będą powtarzającym się do znudzenia motywem dekoracyjnym. Szczególnie często stosował go i nadużywał Tycjan, że przypomnę tryumf Wenus z Prado.

Wiek XVII bynajmniej się nimi nie znużył, putta są wszędzie: w Rzymie, Neapolu i w Wersalu, gdzie noszą jeszcze stare imię *marmousets* (smarkacze). Nie uchroniło się przed nimi malarstwo religijne, bo w putto przemienił się średniowieczny anioł-księżyk. Od tej pory anioł (z wyjątkiem Anioła Stróża) to już nie efeb, jakiego widzimy jeszcze na płótnach Botticellego, lecz nagi amorek – by zadośćuczynić posttrydenckiej wstydlivosti, jego nagość osłaniają chmury, mgiełki lub tkaniny. Nawet Dzieciątko Jezus i inne święte dzieci przedziergają się w putto, może niezupełnie nagiego, lecz niezbyt starannie odzianego

²⁹ *Correspondance inédite du général de Martange*, wyd. Breard, 1893.

³⁰ Van Marle. *op. cit.*, t. I, s. 71.

aniołka. Jezusek przedstawiany jest z gołymi ramionami i nogami, w momencie gdy Matka rozwija go z pieluszek³¹. P. du Colombier pisząc o terakotach Lukki della Robbia w Szpitalu Niewiniątek zauważył, że nie można przedstawiać dzieciństwa bez ukazania nagości³². Upodobanie do nagiego dziecka łączy się, oczywiście, z ogólnym powrotem do nagości na modłę antyku, widocznym nawet w portretach. Nie była to przelotna moda: ogarnęła wkrótce całą sztukę dekoracyjną, że przypomnę Wersal albo plafony Villa Borghese w Rzymie. Upodobanie do nagiego putta to coś więcej niż powrót do antycznej nagości: świadczy ono o nowym, powszechnym zainteresowaniu dzieciństwem.

Tak samo jak dziecko średniowieczne – mały święty, anioł albo alegoria duszy – putto nie był nigdy ani w XV, ani w XVI wieku dzieckiem historycznym, rzeczywistym. Tym bardziej to godne uwagi, że temat putta pojawił się i rozwinął w tym samym czasie co portret dziecięcy. Z tym że portretowane w XV lub XVI wieku dzieci nigdy nie są nagie, tylko albo owinięte w pieluszki (nawet gdy klęczą³³), albo ubrane w strój stosowny do ich wieku i stanu. Dziecko historyczne, nawet malutkie, nie mogło występować nago, jak dziecko mitologiczne i dekoracyjne. To rozróżnienie utrzymywało się przez długi czas.

Ostatnim epizodem ikonografii dziecięcej było zastosowanie dekoracyjnej nagości putta w portrecie dziecięcym, co nastąpiło w wieku XVII. Portety dzieci nagich były w XVI wieku rzadkością, jednym z najstarszych jest może zmarłe dziecko na portrecie rodzinnym Meyerów pędzla Holbeina (1521); kojarzy się nam ono z wyobrażeniem średniowiecznej duszy. Jedną z sal pałacu w Innsbrucku zdobi fresk, na którym Maria Teresa kazała przedstawić wszystkie swoje dzieci: jest wśród nich zmarła księżniczka, której nagość osłania wstydliwie draperia.

Na obrazie Tycjana z 1571 lub 1575 roku³⁴ Filip II ofiarowuje bogini Zwycięstwa swego syna Ferdynanda; infant jest zupełnie nagi, przypomina tak lubiane przez Tycjana putta, w dodatku sprawia wrażenie, jakby się dobrze bawił, co też kojarzy nam się z igrającymi amorkami.

W 1560 roku Veronese namalował, zgodnie ze zwyczajem, rodzinę Cucina-Fiacco u stóp Madonny z Dzieciątkiem: trzech mężczyzn, w tym ojca, oraz matkę i sześcioro dzieci. Na prawym skraju płótna widać przeciętą wpół ramą obrazu kobietę, która trzyma w ramionach nagie dziecko. Poza i strój upodobią ją do Madonny, w przeciwieństwie do innych członków rodziny nie ma na sobie kostiumu z epoki. Nie może być matką, skoro usunięto ją na skraj płótna. Czyżby była piastunką najmłodszego dziecka³⁵? Na obrazie holender-

³¹ Baldovinetti, *Madonna z dzieciątkiem*, Luwr.

³² P. du Colombier, *op. cit.*

³³ *Madonna na tronie*, przypuszczalnie portret Beatrice d'Este, 1496.

³⁴ Prado, *Gloryfikacja zwycięstwa pod Lepanto*.

³⁵ Pinakoteka w Dreźnie.

skiego malarza P. Aertseana z połowy XVI wieku jest przedstawiona rodzina: ojciec, pięcioletni mniej więcej chłopiec, czteroletnia dziewczynka i matka, która trzyma na kolanach nagiego chłopczyka³⁶.

Gdybyśmy starannie poszukali, znaleźlibyśmy jeszcze inne przykłady, nie dość ich jednak, by można było mówić o jakimś powszechnym, zwyczajnym upodobaniu do przedstawiania nagiego dziecka.

O wiele więcej charakterystycznych przykładów mamy w wieku XVII: Helena Fourment na obrazie z Monachium tuli w ramionach nagiego synka, który różni się od banalnego putta nie tylko podobieństwem do modelu, ale i czepkiem z piórem, jakie nosiły wtedy dzieci. Na obrazie Van Dycka z 1637 roku najmłodsze z portretowanych dzieci Karola I jest nagie, osłonięte tylko prześcieradłem, na którym leży.

„Le Brun portretując w 1647 roku bankiera i kolekcjonera Jabacha w jego domu przy ulicy Saint-Merri – pisze L. Hautecoeur³⁷ – ukazał nam władczego mężczyznę w skromnej sukni i opadających pończochach, który objaśnia żonie i synowi swój ostatni nabytek... Są też i inne dzieci: najmłodsze, nagie jak Dzieciątko Jezus, leży na poduszce, jedna z sióstr bawi się z niemowlęciem”. Mały Jabach wyraźniej niż nagie dzieci Holbeina, Veronese’a, Tycjana, Van Dycka czy nawet Rubensa, przybrał typową pozę współczesnego niemowlaka przed obiektywem zawodowego fotografa. Nagość stanie się od tej pory konwencją tego rodzaju portretów, a wszystkie dzieci, które za czasów Le Naine’a czy Ph. de Champaigne ubierane były w paradne stroje, przedstawiane będą odtąd jako golaski. Tej samej konwencji hołduje zarówno Largillière, malarz bogatego mieszczaństwa, jak i Mignard, malarz dworski: najmłodsze dziecko wielkiego delfina na znajdującym się w Luwrze obrazie Mignarda leży nagie na poduszce obok matki, jak mały Jabach.

Dziecko albo jest zupełnie nagie, jak na portrecie księcia Tuluzy pędzla Mignarda³⁸ – jego męskość osłania jedynie wstążka w tym celu rozwinięta – lub na obrazie chłopca z nożem ogrodniczym Largillière’a³⁹, albo jest ubrane, lecz nie w autentyczny strój, jaki wówczas noszono, lecz w koszulkę, bieliznę, która nie kryje nagości: dzieci na obrazach Belle’a stoją bosko z gołymi ramionami, Mignard sportretował księcia Burgundii w cienkiej koszulce. Takie konwencjonalne ujęcie małego dziecka odnajdujemy całe wieki później w albumach zdjęć rodzinnych i na witrynach niegdysiejszych „fotografów artystycznych”: niemowlęta wypinające nagie pośladki dla potrzeb pozy, bo przecież zwykle są pieczołowicie opatulone; dziewczynki i chłopcy przebrani z okazji zdjęcia w przejrzystą koszulinę. Utrwała się obraz dziecka nagiego – odziedziczyło

³⁶ Reprodukacja w: H. Gerson, *De nederlandse Schilderkunst*, 1952, t. I, s. 145.

³⁷ L. Hautecoeur, *Les peintres de la vie familiale*, 1945, s. 40.

³⁸ Muzeum w Wersalu.

³⁹ Rouches, *Largillière, peintre d'enfants*, „Revue de l'Art ancien et moderne”, 1923, s. 253.

tę nagość po renesansowych puttach. To zdumiewające, że temat początkowo czysto dekoracyjny tak przypadł do gustu zarówno mieszczaństwu, jak ludowi, i zakorzenił się głęboko na całe stulecia. Antyczny Eros, odnaleziony w XV wieku, wciąż służył za model dziewiętnastowiecznych i dwudziestowiecznych „portretów artystycznych”.

Znaczenie wieku XVII w ewolucji tematów wczesnego dzieciństwa nie ujdzie uwagi czytelnika. W tym właśnie stuleciu portrety dzieci stają się czymś banalnym i często spotykanym, a o wiele przecież starsze portrety rodzinne organizują się wokół postaci dziecka, będącego ośrodkiem kompozycji. Koncentracja uwagi na nim jest szczególnie uderzająca w obrazie rodzinnym pędzla Rubensa⁴⁰, na którym matka opiera dłoń na ramieniu syna, ojciec zaś trzyma go za rękę. U Fransa Halsa, Van Dycka i Lebruna dzieci całują się, obejmują, rozbawiają swoimi pieszczotami i figlami grupę poważnych dorosłych. Dobrze służą malarzowi barokowemu, bo dynamizują portret grupowy. W siedemnastowiecznym malarstwie rodzajowym dzieciństwo zajmuje miejsce uprzywilejowane: niezliczone konwencjonalne scenki z dziećmi przedstawiają lekcje czytania – zlaicyzowany temat Madonny z malarstwa religijnego XIV i XV wieku, a także lekcje muzyki czy rysunku. Na obrazach, zwłaszcza z pierwszej połowy stulecia, później na sztychach i rycinach, aż się roi od chłopców i dziewczynek, którzy czytają, rysują, grają na instrumentach. W drugiej połowie wieku nagość staje się, jak już mówiłem, rygorystycznie obowiązującą konwencją portretu dziecięcego.

Człowiek zaczął odkrywać dzieciństwo w wieku XIII, śledziliśmy kolejne etapy tego odkrycia w historii sztuki i w ikonografii XV i XVI wieku. Ale najbardziej znaczące i najliczniejsze świadectwa pojawiają się pod koniec XVI i w XVII wieku. Daje się też odczuć wyraźne upodobanie do malutkich dzieci, ich przymilania się i gaworzenia. Mówiliśmy już w poprzednim rozdziale, że nadano im nowe imiona: *bambin*, *pitchoun*, *fanfan*. Ludzie chętnie używają dzieciennych słówek i wyrażań, to znaczy słownictwa, jakim posługiwały się piastunki. Bardzo niewiele śladów dziecięcej gwary zachowało się w literaturze. A przecież znajdujemy je w *Boskiej Komедii*⁴¹:

Wzmożeszli sławę, że ta ziemską szata
Późnych lat dotrwa, niż gdybyś zmarł z młodu,
Kiedyś wymawiał jeszcze: „papu (*pappo*), tata”?

Pappo znaczy chleb. Słowo istniało we współczesnej Dantemu francuszczyźnie: *papin*. Występuje w jednym z „Misteriów Notre-Dame”, opowiadają-

⁴⁰ Zapewne rok 1609. Karlsruhe, *Rubens*, wyd. Verlags, s. 34.

⁴¹ Dante, *Boska Komedia, Czyściciel*, XI, 103-105, przeł. E. Porębowicz, Warszawa 1978.

cym o dziecku, które chciało nakarmić Jezuska. „Położył mu czerstwy chlebek (*papin*) na usta i mówi: «papu, słodkie dziecię, bardzo proszę. Sam wziął troszkę tego chlebka: papu, dziecko, zachęca *clergeon*, z pomocą boską. Widzę, że umierasz z głodu. Skosztuj odrobinę mego ciasteczka, mego papu»”. Ale czy słowo *papin* należało do dziecięcej gwary, czy raczej do potocznego, codziennego języka? Tak czy inaczej, „Misteria Notre-Dame”, podobnie jak inne czternastowieczne teksty, świadczą o zamiłowaniu do przedstawiania żywego dzieciństwa. Niemniej przed wiekiem XVII aluzji do dziecięcego szczebiotu jest w literaturze niewiele. Później jest ich w bród. Przykłady? – Podpisy do zbioru rycin Bouzonnet i Stelli z 1657 roku⁴², serii plansz przedstawiających zabawy putt. Rysunki nie mają w sobie nic oryginalnego, ale wierszowane podpisy o częstochowskich rymach sformułowane są w dzieciennym lub szkolnym żargonie, które zresztą niespecjalnie się różniły. Putta bawią się drewnianymi konikami – tytuł planszy: *Dada*.

Putta grają w kości, jeden nie gra,
Inny, wyłączony z gry,
Pociesza się swoim *toutou*.

Czternasto- i piętnastowieczne *papin* zapewne wyszło z użycia, w każdym razie zniknęło z języka mieszczaństwa, może dlatego, że nie było słowem specyficznie dziecięcym. Pojawiły się za to inne pocieszne słówka, po dziś dzień żywe: *toutou*, *dada*.

Putta mówią gwarą piastunek, a także żargonem szkoły i akademii wojskowej. Jazda sankami:

To *populo*, jak Cezar,
Każe się saniami wieźć.

Populo to słowo ze szkolnej łaciny. Pani de Sévigné, mówiąc o dzieciach hrabiny de Grignan, używa w tym samym sensie słowa „ludek”.

Mały gracz odznacza się sprytem: „Ten kadet wygląda na śmiałka”. *Cadet* to słowo z akademii wojskowej, gdzie na początku XVII wieku szlachetnie urodzeni chłopcy uczyli się fechtunku i jazdy konnej oraz zgłębiali tajniki sztuki wojennej. Słowo przetrwało w wyrażeniu: szkoła kadetów.

Gra w piłkę:

Obnażeni, dziarscy, rześcy chłopcy,
Jak tylko dostaną *campos*,
Biegną fechtować rakieta.

⁴² Cl. Bouzonnet *op. cit.*

„Dostać *campos*” to także wyrażenie ze szkoły wojskowej, znaczy: dostać przepustkę. Używane było w języku potocznym, występuje u pani de Sévigné. Kąpiel:

Gdy jedni pływają,
Większość nie je, ale pije
Za zdrowie *camarades* [towarzyszy].

Camarades to nowe słowo (zapewne z końca XVI wieku) również pochodzenia wojskowego. Być może, wprowadzili je niemieckojęzyczni najemnicy. Używane było w akademii i w języku mieszczaństwa. W języku ludowym do dziś się nie przyjęło; ludowa francuszczyzna woli starsze słowo *copain* (kumpel, kumpel) od średniowiecznego *campaign*.

Ale wróćmy do dzieciennego gaworzenia: w *Pedancie oszukanym* Cyrana de Bergerac Granger nazywa syna swoim *toutou* (niunia): „Chodź, uściskaj mnie, mój mały *toutou*”. Pojawia się słowo *bonbon*, które moim zdaniem należało do gwary piastunek, oraz nowe wyrażenia: „piękny jak aniołek”, „taki tyci”, używane przez panią de Sévigné.

W listach do przebywającej w Prowansji córki, hrabiny de Grignan, pani de Sévigné stara się nawet zanotować onomatopeje nie umiejącej jeszcze mówić wnuczki: „Gaworzy milutko titota, tetita, totata”⁴³.

Na początku XVII wieku Heroard, lekarz Ludwika XIII, starannie zapisywał w dzienniku naiwne powiedzonka swego wychowanka, jego jąkanie się, niewyraźną wymowę: „prosię”, „piś...”

Pani de Sévigné opisując wnuczkę – „swoje kochanie”, „swoje serduszko” – maluje sceny rodzajowe w guście Le Naina czy Bosse’a, tyle że bardziej czułościowe, jak ryciny z końca XVII i XVIII wieku. „Nasza dziewczuszka to prawdziwa czarna piękność, prześliczna, ślini się, jak mnie całuje, ale nigdy nie płacze”. „Ściska mnie, rozpoznaje, śmieje się do mnie, mówi do mnie «mamo», a nie «babciu»”. „Kocham ją ogromnie. Kazałam jej obciąć włosy: wygląda jak trzpiotka, co bardzo do niej pasuje. Śliczna cera, pierś, całe ciało. Umie robić mnóstwo rzeczy: głaszcze, bije, żegna się znakiem krzyża, przeprasza, dyga, całuje w rękę, wzrusza ramionami, tańczy, przymila się, łasi: słowem, jest przeurocza. Bawię się z nią całymi godzinami”⁴⁴. Wiele matek i piastunek miało tak samo uczuciowy stosunek do dziecka. Żadna nie uznała, że jest godzien równie ambitnej ekspresji. Te literackie sceny rodzinne odpowiadają scenkom uwiecznionym na ówczesnych obrazach i rycinach, świadczą o odkryciu małego dziecka: jego ciała, zachowań i gaworzenia.

⁴³ Madame de Sévigné, *op. cit.*, list z 8 stycznia 1672.

⁴⁴ *Ibid.*, listy z 18 września 1671, 22 grudnia 1671, 20 maja 1672.

Ubiory dzieci

Wyraźna do XIII wieku obojętność na specyfikę dzieciństwa – z wyjątkiem postaci Dzieciątka Jezus – widoczna jest nie tylko na obrazach. Również ubiór świadczy o tym, jak niewiele się dzieciństwo wyróżniało. Gdy tylko dziecko wyrastało z powijaków, to znaczy płóciennego bandaża, którym było szczelnie owinięte, ubierano je w odpowiedni dla jego stanu strój żeński bądź męski. Trudno to sobie wyobrazić nam, cośmy tak długo nosili krótkie spodenki, hańbiący znak przedłużonego dzieciństwa. Ludzie mojego pokolenia rozstawali się z krótkimi spodenkami dopiero pod koniec szkoły średniej i nie bez walki z opierającymi się rodzicami: mnie doradzano cierpliwość, powołując się na przykład wuja generała, który w krótkich spodenkach stanął do egzaminu na politechnikę! Dziś wiek młodzieńczy rozciągnął się w górę i w dół, a strój sportowy, noszony i przez młodzież, i przez dzieci, zastąpił charakterystyczne ubiory dziecięce z XIX i początku XX wieku. O ile w latach 1900-1920 niezmiernie wydłużył się okres noszenia ubiorów dziecięcych przez młodzież, o tyle w średniowieczu wszystkie klasy wiekowe nosiły się jednakowo, a ubiór sygnalizował wyłącznie różnice w hierarchii społecznej. Dziecko nie różniło się strojem od dorosłego. Trudno o bardziej przeciwstawne postawy wobec dzieciństwa.

Ale w XVII wieku dziecko, a w każdym razie dziecko z lepszego domu, szlacheckiego lub mieszczańskiego, ubrane jest już inaczej niż dorośli. Nastąpiła zasadnicza zmiana: dziecko ma strój stosowny do wieku, który wyróżnia je wśród dorosłych. Żeby się o tym przekonać, wystarczy rzut oka na liczne przedstawienia dzieci z początku XVII stulecia.

Przyjrzyjmy się pięknemu obrazowi Philippe'a de Champaigne z muzeum w Reims, na którym widzimy siedmioro dzieci rodziny Habert: najstarsze ma dziesięć lat, najmłodsze osiem miesięcy. Obraz jest dla nas tym cenniejszy, że malarz podał dokładny wiek swoich modeli. Najstarszy, dziesięcioletek, ma na sobie męski płaszcz i pozornie wygląda na dorosłego, choć najpewniej chodzi jeszcze do szkoły, a szkoła przedłuża dzieciństwo. Ale może wkrótce rzuci szkołę, wejdzie w świat mężczyzn, których ubiór już nosi, będzie dzielił ich życie w wojskowym obozie, gabinecie nauk albo w sklepie. Dwaj bliźniacy, którzy trzymają się czule za ręce i ramiona, mają po cztery lata i dziewięć miesięcy: ubrani są inaczej niż dorośli, noszą długie sukienki różniące się od sukni kobiecych, bo rozcięte z przodu i zapinane na guziki i sznurówki. Taką samą, przypominającą sutannę, sukienkę widzimy na *Obrazie ludzkiego życia* Cebesa¹. Dziecko najmłodsze, ledwie wyłonione z niebytu, jest nagie; dwa następne są w powijakach. Trzecie to dziecko około dwuletnie, które nie stoi jeszcze samodzielnie i odziane jest w sukienkę, choć wiemy skądinąd, że to chłopiec. Czwarte siedzi okrakiem na drewnianym koniku, ubrane w długą, rozpinaną z przodu sukienkę, taką samą, jaką mają na sobie bliźniacy Habert na obrazie Philippe'a de Champaigne. Taką właśnie nosili mali chłopcy przez cały wiek XVII. Widzimy ją na dziecięcym portrecie Ludwika XIII i na niezliczonych portretach dzieci francuskich, angielskich i holenderskich. Jeszcze na początku XVIII wieku nosi taką sukienkę de Bethisy², namalowany w 1710 roku przez Belle'a, ale nie jest już rozpinana z przodu, a od kobiecej sukni różni się brakiem koronkowych akcesoriów.

Sukienka jest czasem bardzo skromna, jak u chłopczyka na koniu w *Obrazie ludzkiego życia*, czasem strojna, ozdobiona trenem, jak suknia młodego księcia d'Anjou na rycinie Arnoulta³.

Ale sukienka w formie sutanny nie była pierwszym strojem chłopca po wyjściu z pieluszek. Wróćmy do portretu dzieci Habert: François, który ma dwadzieścia trzy miesiące, i najmłodszy, ośmiomiesięczny chłopczyk, ubrani są dokładnie tak samo jak ich siostra – w halkę, sukienkę i fartuszek. W XVI wieku najmłodszych chłopców ubierano tak jak dziewczynki, które zresztą nosiły strój dorosłych kobiet. W świecie kobiet, inaczej niż u mężczyzn, nie było różnicy między dziećmi a dorosłymi. W „Małżeństwie chrześcijańskim”⁴ Erazm daje nam opis takiego stroju, a jego tłumacz w 1714 roku bez trudu znajduje odpowiednie słowa we francuskim: „Nakładają dzieciom kaftanik, ciepłe pończochy, grubą halkę, na to wierzchnie ubranie krępujące ramiona i biodra;

¹ *Tabula Cebetis*, rycina Meriana. Por. Lebègue, *op. cit.*

² Muzeum w Wersalu, *Catherine de Bethisy z bratem*.

³ Arnoult, *Książę d'Anjou jako dziecko*. Rycina: Cabinet des Estampes in-f^o, Ed. 101, T. f^o 51.

⁴ Erazm, *op. cit.*

dziecko ugina się pod zwałami materiału i fałd, a wmawiają mu, że prześlicznie wygląda w tych klamotach”. Erazm walczył z tą nową natenczas modą, domagał się większej swobody dla młodych ciał, ale nie wygrał z obyczajem i dopiero pod koniec XVIII wieku strój dziecka stał się lżejszy, luźniejszy, wygodniejszy. Rysunek Rubensa⁵ przedstawia chłopczyka ubranego w strój jak z opisu Erazma: pod rozpiętą sukienką widać halkę. Dziecko dopiero zaczyna chodzić, trzymają je za zwisające z tyłu szelki, zwane wówczas „ryzami”. W dzienniku Heroarda, który pozwala nam śledzić dzień po dniu dzieciństwo Ludwika XIII, pod datą 28 czerwca 1602 roku (Ludwik XIII ma dziewięć miesięcy) czytamy: „Do sukienki doczepiono mu ryzy, żeby się uczył chodzić”⁶. Dziecku nie podoba się, że jego siostra jest tak samo ubrana: „Przyszła Madame w takiej samej sukience, z zazdrości odepchnął ją”. Jak długo chłopcy nosili ten kobiecy strój, mówiono o nich, że „mają mleko pod nosem”. Trwało to do czwartego, piątego roku życia. Jean Rou (urodzony w 1638 roku) opowiada w swoich pamiętnikach⁷, że w bardzo młodym wieku posłano go do szkoły d’Harcourt: „Kiedy miałem jeszcze mleko pod nosem, to znaczy zanim ubrano mnie w długą suknię z kołnierzem, poprzedzającą strój z krótkimi spodniami”; „ja jeden tak byłem odziany [to znaczy jak dziewczynka], czego w tym miejscu nikt nigdy jeszcze nie widział”. Kołnier przy sukni był kołnierzem męskim. Od tej pory ustalają się reguły ubierania dzieci stosownie do wieku: wpierw śliniak i sukienka dziewczęca, potem „długa sukienka z kołnierzem”, zwana również *jaquette*. Regulamin szkótek, na przykład szkoły parafialnej z 1654 roku⁸, przewiduje, że w niedziele, po lekcji religii, prowadzi się dzieci na mszę do kościoła; nie należy przy tym mieszać małych chłopców z dużymi, to znaczy ubiorów długich i krótkich: „malcy w *jaquette*” mają stać oddzielnie.

O tym, jak poważnie zaczęto traktować sprawę ubioru, świadczą zapiski Heroarda. Dziennik dzieciństwa Ludwika XIII odzwierciedla etapy dojrzewania, przemiany dziecka w mężczyznę. Niegdyś tych etapów nie dostrzegano, teraz stały się obowiązującym rytuałem. Heroard odnotowuje je starannie: 12 lipca 1602 delfinowi przypięto szelki do sukienki. Będzie je nosił ponad dwa lata. Mając trzy lata i dwa miesiące dostaje „pierwszą sukienkę bez szelek” – jest zachwycony, mówi do kapitana straży: „Tanie [Heroard stara się oddać dziecinny szczebiot], już nie mam szelek, będę chodzić sam!” Parę miesięcy wcześniej zmienił kołyskę na łóżko. Przeszedł na inny etap. W dniu swoich czwartych urodzin nosi pod sukienką pluderki, a w rok później zdejmują

⁵ Rysunek, *Luwr*, reprodukcja w: A. Michel, *Histoire de l’Art*, VI, s. 301, fig. 194.

⁶ *Journal sur l’enfance et la jeunesse de Louis XIII d’Heroard*, ogłoszony przez E. Soulié i E. de Barthelemy, 2 tomy, 1868.

⁷ *Mémoires de Jean Rou 1638–1711*, wyd. przez F. Waddingtona, 1857.

⁸ *Escole paroissiale ou la manière de bien instruire les enfants dans les petites écoles, par un prestre d’une paroisse de Paris*, 1654.

mu „dziecinny kapturek” i dostaje męski kapelusz. To ważna data: „Teraz, kiedy ci zdjęto, Panie, kapturek, nie będziesz dłużej dzieckiem, staniesz się mężczyzną” (7 sierpnia 1606). Ale sześć dni później królowa każe na powrót włożyć mu kapturek.

8 stycznia 1607: „Pyta, kiedy zacznie nosić krótkie spodnie [zamiast sukienki]. Pani de Montglat mówi, że jak skończy osiem lat”.

6 czerwca 1608 (delfin ma siedem lat i osiem miesięcy) Heroard notuje uroczyscie: „Jest ubrany w kaftan i krótkie spodnie, zrzucił dziecięce ubranie [to znaczy sukienkę], wdział płaszcz i przypasał szpadę [jak najstarszy z małych Habertów na obrazie Ph. de Champaigne]”. Zdarza się, że mu wkładają jeszcze sukienkę, jak ongiś kapturek, ale bardzo tego nie lubi: kiedy nosi kaftan i spodnie, „jest ogromnie kontent i wesół, za nic nie chce włożyć sukienki”. Strój to nie bagatela! Wyraźnie widzimy związek między ubraniem a świadomością, co to ubranie reprezentuje.

Pensjonariusze kolegów nosili pod suknią krótkie spodnie. W *Dialogach* Cordiera z końca XVI wieku uczeń mieszkający w internacie tak opisuje swoje przebudzenie⁹: „Obudziłem się, wstałem z łóżka, włożyłem bluzę i kaftan, usiadłem na stołku, wdziałem pończochy i pludry, włożyłem buty, przypiąłem pludry do kaftana klamerkami, przewiązałem pończochy podwiązką nad kolanem, zapiąłem pas, uczesałem się, starannie włożyłem czepek, narzuciłem suknię i wyszedłem z pokoju”...

Początek XVIII wieku w Paryżu¹⁰: „Wyobraźcie sobie Franciona, jak wchodzi do klasy: kalesony wystają mu spod spodni i opadają aż do stóp, suknię wdział na bakier, pod pachą ścisną teczkę, rozdaje na prawo i lewo kuksańce i prztyczki”. Osiemnastowieczny regulamin internatu La Flèche przewiduje, że w wyprawce ucznia ma się znajdować „suknia”, która musi mu starczyć na dwa lata¹¹.

Stroje dziewcząt nie są aż tak zróżnicowane. Zaraz po wyjściu z powijaków ubiera się je, jak niegdyś chłopców, w suknie kobiece. Jeśli jednak przyjrzymy się uważnie przedstawieniom dzieci w XVII wieku, zauważymy, że kobiecy strój chłopców i dziewcząt wyróżnia się ozdobą, której u dorosłych kobiet nie ma: dwie szerokie, przytroczone do ramion wstążki opadają z tyłu na plecy. Widzimy te wstążki z profilu na trzecim, licząc od lewej, dziecku Habert, na czwartym okresie życia w *Tabula Cebetis* (chłopczyk w sukience na drewnianym koniku), na dziesięcioletniej dziewczynce z „drabiny wieku”, pochodzącej z początku XVIII wieku i zatytułowanej *Nędza człowiecza czyli namiętności duszy*

⁹ Mathurin Cordier, *op. cit.*

¹⁰ Collège de Lisieux. Ch. Sorel, *Histoire comique de Francion*, wyd. E. Roy, 1926. *Przygody Francjona: opowieść ucieszna*, (wybór), przeł. J. Arnold, Warszawa 1986.

¹¹ C. de Rochémonteix, *Le Collège Henri IV de La Flèche*, 1889.

we wszystkich okresach życia – że ograniczę się do przykładów już tu omawianych. Widzimy je też na wielu portretach dziecięcych, nawet u Lancreta i Bouchera. Znikają dopiero pod koniec XVIII stulecia, kiedy strój dziecięcy ulega zmianie. Jednym z ostatnich obrazów dziecka ze wstążkami na plecach jest może portret namalowany w 1788 roku przez Gabrielle Guiard dla pań Adelajdy i Wiktorii¹². Przedstawia ich siostrę, infantkę, zmarłą trzydzieści lat wcześniej w wieku trzydziestu dwu lat. Gabrielle Guiard pokazała ją jednak jako małą dziewczynkę pod opieką piastunki, a fakt, że chciano zachować pamięć o „kobiecie trzydziestoletniej”, ukazując ją w takiej właśnie postaci, świadczy o zupełnie nowym podejściu do dzieciństwa. Wstążki z tyłu sukienki są wyraźnie widoczne: noszono je jeszcze około roku 1730, ale w czasie gdy powstał portret, wyszły już z mody.

W XVII i na początku XVIII wieku wstążki z tyłu sukni były znakiem dzieciństwa w stroju chłopców i dziewcząt. Ta zastrzeżona dla dzieci ozdoba zaintrygowała nowożytnych badaczy. Mylili je z *lisières* (ryzami – szelkami dla dzieci, które nie umiały jeszcze dobrze chodzić)¹³. W muzeum opactwa Westminster znajdują się woskowe figury nagrobne przedstawiające zmarłych. W czasie uroczystości pogrzebowych kładziono je na trumnach i ta średniowieczna praktyka przetrwała w Anglii do mniej więcej 1740 roku. Jedną z owych figur przedstawia markiza Normanby, zmarłego w wieku trzech lat. Ubrany jest w żółtą jedwabną spódnicę pod aksamitną suknią (ubiór dziecięcy) ze wstążkami – znakiem dzieciństwa, które w katalogu określone są jako szelki. Otóż w rzeczywistości szelki były plecione ze sznureczków i wcale nie przypominały wstążek. Na rycinie Guérarda ilustrującej „wiek męski” widzimy od tyłu dziecko (chłopca lub dziewczynkę) w sukience i czepku à la Fontange: między dwiema spadającymi z ramion wstążkami wyraźnie widać pierścieniowaty sznureczek – szelki, służące do podtrzymania dziecka stawiającego pierwsze kroki¹⁴.

Analiza obrazów i tekstów pozwoliła nam ustalić, jak wyglądał tradycyjny strój dziecka w okresie od końca XVI do połowy XVIII wieku. Inaczej niż w średniowieczu, różnił się on od stroju dorosłych, a to znaczy, że dzieci wyodrębniono ze świata dorosłych, narzucając im swoisty mundurek. Ale skąd się ten mundurek wziął?

Dziecięca sukienka to nic innego jak długi, średniowieczny habit z XII i XIII wieku, sprzed rewolucji ubraniowej, która wprowadziła krótki strój męski, widoczne, nie ukryte pod suknią płudry, poprzedzające nasz współczesny ubiór męski. Aż do XIV wieku wszyscy nosili suknię albo tunikę; męska

¹² Gabrielle Guiard, *Portrait de Madame Infante pour Mesdames*, 1788, muzeum w Wersalu.

¹³ Ludwik XV w 1715 trzymany w „ryzach” przez panią de Ventadour, rycina. Cabinet des Estampes, pet. fol. E e 3 a.

¹⁴ *Wiek męski*, rycina Guérarda, około 1700.

różniła się od kobiecej tym, że była krótsza i często otwarta z przodu. Na ilustracjach trzynastowiecznych kalendarzy u chłopów sięgała kolan, u dostojników spadała aż do stóp. Przez długie wieki mężczyźni nosili długi, dopasowany strój, różniący się diametralnie od tradycyjnej drapowanej szaty Greków i Rzymian. Odziedziczyli ten strój po galijskich i wschodnich barbarzyńcach, których ubiory przeniknęły do rzymskiej mody w pierwszych wiekach naszej ery. Noszono go i na Wschodzie, i na Zachodzie, od niego pochodzi również strój turecki.

W XIV wieku krótkie, obcisłe spodnie zastępują suknię w stroju męskim, ku rozpaczy moralistów i kaznodziejów, dla których nieobyčajność tej mody świadczy o zgniliznie moralnej epoki. Faktycznie, osoby czcigodne – czy to z racji wieku (aż do początków XVII wieku starcy są przedstawiani w sukni), czy pozycji społecznej (prawnicy, mężowie stanu, ludzie Kościoła) – dalej noszą sukienkę. Niektórzy noszą ją po dziś dzień, przynajmniej okazjonalnie: adwokaci, sędziowie, profesorzy, księża. Księża zresztą o mało jej nie zrzucili: kiedy w XVII wieku krótki strój przyjął się definitywnie i gdy zapomniano o skandalu towarzyszącym jego narodzinom, sutannę zaczęto uważać za nazbyt związaną z funkcją, by była w dobrym tonie. Ksiądz zrzucał sukienkę, kiedy występował w świeckim towarzystwie albo nawet przed swym biskupem, tak jak oficer zdejmował mundur, gdy zjawiał się na dworze¹⁵.

Dzieci również zachowały długą sukienkę, w każdym razie dzieci dobrze urodzone. Na miniaturze z piętnastowiecznych „Misteriów Notre-Dame”¹⁶ widzimy rodzinę zgromadzoną wokół łoża położnicy: ojciec nosi krótki strój, pludry i kaftan, ale trójka dzieci ma na sobie długie sukienki. Na innej ilustracji chłopiec, który próbuje nakarmić małego Jezusa, ubrany jest w rozciętą z boku sukienkę.

W Italii przeciwnie – większość dzieci na obrazach malarzy quattrocento nosi obcisłe pludry, jak dorośli. We Francji i w Niemczech odrzucono tę modę i nadal ubierano dzieci w długi habit. Na początku XVI wieku ten zwyczaj stał się powszechnie obowiązującą regułą. Na niemieckich arrasach z tego okresu widzimy czteroletnie dzieci w długich, rozciętych z przodu sukienkach¹⁷. Na francuskich rycinach Jeana Leclerca¹⁸ przedstawiających gry dziecięce dzieci noszą na spodnie zapinaną z przodu sukienkę, która stała się ich mundurkiem.

Wyróżniające dzieci wstążki spadające na plecy wzięły się stąd, co i sukienia. Szesnastowieczne płaszcze i suknie miały często rękawy, które albo wdzievano, albo swobodnie zwisały. Na rycinie Leclerca „Gra w piłkę do dołka”

¹⁵ Madame de Sévigné, *op. cit.*, list z 1 kwietnia 1672.

¹⁶ *Miracles Notre-Dame*, *op. cit.*, t. I, s. 58.

¹⁷ H. Göbel, *Wandteppiche*, 1923, t. I, pl. CLXXXII.

¹⁸ Jean Leclerc, *Les Trente-Six Figures contenant tous les jeux*, 1587.

widzimy takie, przytroczone w kilku miejscach rękawy. Eleganci, a zwłaszcza elegantki, cenili sobie efekt zwisających rękawów, toteż nie wkładali ich, i z czasem uległy one atrofii, jak organy, które przestają funkcjonować; stały się po prostu ozdobą. Straciły wylot, w który wkładano rękę, spłaszczyły się, zaczęły przypominać dwie wstęgi doczepione do ramion. Dziecięce wstążki z XVII i XVIII wieku to pozostałość szesnastowiecznych fałszywych rękawów. Znajdujemy je zresztą i w innych ubiorach, ludowych albo przeciwnie – ceremonialnych: w chłopskim płaszczu, który ignorantyni obrali za swój strój religijny na początku XVIII wieku, w wojskowych mundurach, na przykład muszkietarów, w lokajskiej liberii, a wreszcie w stroju pazia, to jest w ceremonialnym stroju młodszych i starszych chłopców z dobrych rodzin, którzy pełnili pewne posługi w wielkich domach. Za czasów Ludwika XIII paziowie nosili bufiaste szesnastowieczne płudry i zwisające fałszywe rękawy. Staroświecki strój pazia miał charakter uroczysty, wkładano go dla okazania szacunku i poważania: na rycinie Lepautre'a chłopcy w kostiumie pazia służą do mszy¹⁹. Ale ceremonialne stroje to raczej rzadkość, natomiast wstążki widzimy na ramionach wszystkich dobrze urodzonych dzieci, dziewcząt i chłopców, ze szlachty i z mieszczaństwa.

A zatem aby wyróżnić dziecko, niegdyś ubrane tak samo jak dorośli, zachowano do jego wyłącznego użytku elementy dawnych strojów, które dorośli dawno nosić przestali. Tak było z długą suknią, z fałszywymi rękawami, a także z dziecinnym kapturkiem niemowląt, takim samym jak ten, który nosili mężczyźni w XIII wieku; przytrzymywał im włosy przy pracy, jak to widzimy na kalendarzach Notre-Dame z Amiens i innych.

Pierwszy dziecięcy strój był strojem, który sto lat wcześniej nosili wszyscy, a teraz wyłącznie dzieci. Nie można było wymyślić dla nich z niczego zupełnie nowego kostiumu, a przecież odczuwano potrzebę wyodrębnienia dzieci w sposób widoczny. Wybrano więc dla nich strój, który zachował się gdzieś w tradycji, lecz przestano go nosić. Specjalny ubiór dziecięcy przyjął się szeroko w wyższych warstwach społecznych pod koniec wieku XVI. Ważny to dla nas moment, świadczący o nowym stosunku do dzieci. Oto wydzielone zostały ze świata dorosłych, tworzą osobną społeczność (zupełnie inną rolę pełniły stroje inicjacyjne). Musimy też pamiętać, jak bardzo liczył się strój w dawnej Francji. Nieraz był wart fortunę. Ludzie wydawali ogromne pieniądze na ubrania, a po śmierci sporządzano inwentarz garderoby nieboszczyka (dziś liczyłyby się tylko futra!). Próbowano ograniczyć ustawami przeciwko zbytowi nadmierny luksus stroju, który jednych rujnował, drugim zaś pozwalał udawać ludzi lepszego stanu. W o wiele większym stopniu niż w naszych współczesnych społeczeństwach,

¹⁹ Lepautre, rycina. Cabinet des Estampes, Ed. 43 fol. s. 11.

gdzie ubiór, zwłaszcza kobiecy, wciąż jeszcze jest widoczną oznaką pomyślności domu i pozycji społecznej, strój dokładnie określał miejsce człowieka w skomplikowanej i bezdyskusyjnej hierarchii. Nosiło się ubranie stosowne do stanu: podręczniki dobrych manier kładą nacisk na to, że nie przystoi ubierać się niezgodnie z wiekiem i urodzeniem. Każdy niuans sytuacji społecznej był sygnalizowany ubraniem. Pod koniec XVI wieku dzieci, uznane za odrębną społeczność, mają także swój odrębny strój.

Pierwszy ubiór dziecięcy jest archaiczny: to staroświecka długa sukienka. Ta skłonność do archaizowania utrzyma się: pod koniec XVIII wieku, w epoce Ludwika XVI, mali chłopcy noszą kryzy w stylu Ludwika XIII albo renesansowe kołnierze. Na obrazach Lancreta i Bouchera młodzi występują często w kostiumach z minionego stulecia.

Ale od wieku XVII ewolucję ubioru wyznaczać będą dwie nowe tendencje. Pierwsza podkreśla kobiecy charakter młodego chłopca. Widzieliśmy już, że zanim chłopiec „w śliniaku” włożył „suknię z kołnierzem”, nosił sukienkę i spódnicę dziewcząt. Zniewieścienie małego chłopca, od połowy XVI wieku wyraźne, to była początkowo rzecz nowa, ledwo dająca się zauważyć. Wyrażało się w szczegółach, na przykład górna część stroju chłopięcego ma charakter męski, ale dodają mu koronkowy kołnierz, jaki noszą dziewczynki, tak samo zresztą, jak dorosłe kobiety. Do czwartego, piątego roku życia chłopcy i dziewczynki są nie do odróżnienia, taki stan trwa mniej więcej dwa stulecia, dopiero około 1770 roku cztero- pięcioletni chłopcy przestają nosić sukienkę z kołnierzem, ale młodszy nadal są ubierani jak dziewczynki, i to aż do końca XIX wieku. Dopiero po I wojnie światowej chłopcy zrzucą dziewczęcą sukienkę, tak jak kobiety zrzucą gorset. Rewolucja stroju będzie odzwierciedleniem i wyrazem zmiany obyczajów. Ciekawe, że troska o wyodrębnienie dziecka dotyczyła jedynie chłopców, dziewczynki wyróżniały się tylko fałszywymi rękawami, które przestały nosić w XVIII wieku. Jak gdyby dzieciństwo było specyficznym stanem chłopców raczej niż dziewcząt. Świadczą o tym i inne wskazówki: chłopcy pierwsi zaczynają odgrywać wyspecjalizowane dziecięce role. Pod koniec XVI i na początku XVII wieku masowo uczęszczają do szkół. Nauczanie dziewcząt zacznie się dopiero w czasach Fénelona i pani de Maintenon, rozwijać się będzie późno i powoli. Ponieważ dziewczynki nie chodziły do szkół, wcześnie wkraczały w świat kobiet, jak niegdyś chłopcy w świat mężczyzn, nie było więc powodu podkreślać strojem różnicy u dziewcząt właściwie nieistniejącej, u chłopców konkretnej.

Ale dlaczego, żeby odróżnić chłopców od mężczyzn, ubierano ich jak dziewczynki, nie różniące się wyglądem od kobiet? Dlaczego ten nowy zwyczaj, tak zdumiewający w społeczeństwie, gdzie wcześniej rozpoczynano dorosłe życie, przetrwał prawie do naszych czasów, w każdym razie do początków

naszego stulecia, i to pomimo zmiany obyczajów i wydłużenia się okresu dzieciństwa? Dotykamy tu nie zbadanej jeszcze sprawy uświadomienia sobie przez społeczeństwo swojej postawy wobec wieku i płci; do tej pory zajmowano się wyłącznie jego świadomością klasową!

Druga tendencja ewolucji strojów dziecięcych wzięła się niewątpliwie z zamiłowania do przebierania się, mianowicie dziecko z mieszczańskiego domu ubierano w sposób przypominający strój ludowy albo ubranie do pracy. Pod tym względem dziecko wyprzedziło męską modę i zaczęło nosić długie spodnie jeszcze za panowania Ludwika XVI, przed erą sankiulotów. Strój dziecka w epoce Ludwika XVI jest jednocześnie staroświecki (renesansowy kołnierzyk), ludowy (długie spodnie) i wojskowy (mundurowa kurtka i guziki).

W XVII wieku strój ludowy jeszcze się nie wyodrębnił, tym bardziej stroje regionalne... Biedacy nosili ubrania, jakie im dawano²⁰ lub jakie kupowali u handlarzy starzyzną. Lud zaopatrywał się w odzież okazyjnie, tak jak dziś okazyjnie kupuje samochód. (Porównanie wczorajszego ubioru z dzisiejszym samochodem wcale nie jest retoryczne. Samochód odziedziczył społeczny sens ubrania, który dziś ono prawie straciło.) Człowiek z ludu ubierał się więc tak, jak człowiek szlachetnie urodzony kilkadziesiąt lat wcześniej: w Paryżu czasów Ludwika XIII spacerował w szesnastowiecznym czepku z piórami, a kobiety w kapturku z tej samej epoki. Rozdzźwięk między strojem ludu i strojem dobrze urodzonych był rozmaity w różnych regionach, w zależności od tego, jak szybko szlachta danego kraju nadażała za modą. Na początku XVIII wieku w niektórych regionach, na przykład nad Renem, kobiety noszą piętnastowieczne czepce. W XVIII wieku ta ewolucja ludowego stroju stanęła w martwym punkcie wskutek wyraźnego oddalenia się od siebie biednych i bogatych, ich fizycznej separacji, która zastąpiła dotychczasowe, tysiącletnie bliskie sąsiedztwo. Strój regionalny zrodził się z nowego zamiłowania do regionalizmu (powstają wtedy wielkie regionalne historie Bretanii, Prowansji itd., rośnie zainteresowanie lokalnymi narzeczami przemienionymi w dialekty w następstwie rozwoju francuszczyzny) i z rzeczywistych różnic stroju między różnymi populacjami i prowincjami, które z nierównym opóźnieniem przejmowały modę miejską i dworską.

Pod koniec XVIII wieku na wielkich ludowych przedmieściach pojawia się nowy, charakterystyczny ubiór: długie spodnie, będące wówczas tym, czym w XIX wieku stanie się robotnicza bluza, a dziś ochronne ubranie robocze – znakiem społecznej kondycji i funkcji. Zwróćmy uwagę, że w XVIII wieku w wielkich miastach ubiór ludu przestaje być odzieżą siedemnastowiecznych żebraków: bezkształtnym, staroświeckim łachem, znoszonym odzieniem, kupionym na tandecie. Świadczy to o jakimś zbiorowym poczuciu własnej od-

²⁰ Jean de Bray, 1663, *Rozdawanie ubrań*, H. Gerson, I, nr 50.

rębności, bliskim uświadomienia sobie przynależności klasowej, i które spontanicznie wyraża się w stroju. Rzemieślnicy noszą długie spodnie, od dawna będące strojem ludzi morza. Widzieliśmy je u włoskich komediantów, ale chodzą w spodniach przede wszystkim marynarze i mieszkańcy krajów nadmorskich – Flandrii, Nadrenii, Danii, Skandynawii. Skandynawowie nosili długie spodnie już w XVII wieku, jeśli wierzyć ówczesnym źródłom. W Anglii były znane w XII wieku²¹, ale przestano je nosić. Długie spodnie stały się częścią munduru marynarki wojennej, kiedy bardziej zorganizowane państwa stworzyły regulaminowy strój swoich wojsk i załóg. W tym samym, jak się zdaje, czasie, długie spodnie przyjęły się wśród mieszkańców przedmieść, którzy odrzucili ze wstrętem żebracze łachmany, oraz u młodych chłopców z dobrych rodzin.

Nowo powstały mundur szybko zaadaptowały dzieci mieszczańskie, wpięrowo w coraz liczniejszych – po wygnaniu jezuitów – prywatnych internatach, które przygotowywały uczniów do szkół i karier wojskowych. Sylwetka w mundurze podobała się, chętnie ubierano chłopców w stroje przypominające mundur wojskowy bądź marynarski: tak powstał typ małego marynarza, popularny od końca XVIII wieku po dziś.

Dzieci zaczęły nosić długie spodnie, bo dorośli jęli gustować w mundurach; w wieku XIX mundur stał się strojem dworskim i ceremonialnym, czym nigdy nie był przed Rewolucją. Chodziło też niewątpliwie o to, by dać dziecku swobodniejsze ubranie, uwolnić je od krępującego ruchy tradycyjnego stroju. Tę swobodę i luz mieszkańcy przedmieść obnosili z niejaką dumą. Długie spodnie uwolniły chłopców od niemodnej, dziecinnej sukienki i od zbyt ceremonialnych krótkich spodni. Zawsze zresztą uważano za rzecz atrakcyjną przydać dziecku z dobrego domu jakiś atrybut stroju ludowego, na przykład czepek zwany neapolitańskim, jaki nosili robotnicy, chłopci, później galernicy, i który klasyczny gust rewolucjonistów ochrzcił mianem czapki frygijskiej: na rycinie Bonnarda widzimy chłopca w takim właśnie nakryciu głowy²². Dziś możemy zaobserwować zmianę kostiumu, przypominającą pod wieloma względami przejście długich spodni przez chłopców w czasach Ludwika XVI: ochronne ubranie robocze, niebieskie spodnie z grubego płótna, przemieniły się w „jeansy”, obnoszone z dumą przez młodzież jako widoczna oznaka ich wieku.

Od wieku XIV, kiedy dzieci były ubierane tak samo jak dorośli, przeszliśmy do czasów wyspecjalizowanego, dziecięcego stroju. Zmiana dotyczyła głównie chłopców. Dzieciństwo dostrzeżono wpięrowo u nich, bo dziewczynki

²¹ Ewangeliarz Świętego Edmonta, Millar, *La Miniature anglaise*, 1926, pl. XXXV.

²² Cabinet des Estampes, 0 a 50 pet. fol 137.

o wiele dłużej żyły tradycyjnym życiem, wymieszane z dorosłymi kobietami: nieraz będziemy mieli okazję stwierdzić to opóźnienie kobiet w przyjmowaniu widocznych form nowoczesnej, z gruntu męskiej cywilizacji.

Jeśli idzie o ubiór, to wyodrębnienie dzieciństwa ograniczało się długi czas do chłopców, oczywiście wyłącznie ze szlacheckich i mieszczańskich domów. Dzieci z ludu, dzieci chłopskie i rzemieślnicze, bawiące się na ulicach i w kuchniach, ubrane są zawsze tak samo jak dorośli: nie widzimy na nich nigdy sukienki ani fałszywych rękawów. Żyją one po dawnemu w świecie, gdzie ani strój, ani praca, ani zabawa nie dzieliły ich od dorosłych.

Przyczynek do historii gier i zabaw

Dzięki dziennikom Heroarda możemy odtworzyć w wyobraźni życie dziecka na początku XVII wieku oraz gry i zabawy odpowiadające kolejnym etapom jego rozwoju fizycznego i umysłowego. W dzienniku mowa, co prawda, o delfinie Francji, przyszłym Ludwiku XIII, ale na dworze Henryka IV królewskie potomstwo z prawego i nieprawego łoża było traktowane tak samo, jak wszystkie dzieci szlachetnie urodzone. Królewskich pałaców od szlacheckich zamków nie dzieliła jeszcze w tych czasach absolutna przepaść. Młody Ludwik XIII chował się więc tak, jak jego towarzysze, z tą tylko różnicą, że nie chodził do kolegium, jak duża cześć szlacheckiej młodzieży. Lekcji szermierki i jazdy konnej udzielał mu pan de Pluvinel, profesor Akademii, gdzie kształciła się w wojennym rzemiośle młodzież szlachecka. Podręcznik jazdy konnej pana de Pluvinel ilustrują piękne ryciny C. de Posa, przedstawiające ćwiczenia młodego Ludwika XIII na maneżu. W drugiej połowie XVII wieku było już inaczej: kult monarchy od najwcześniejszego dzieciństwa separował przyszłego władcę od reszty śmiertelników, nawet z najlepszych domów.

Ludwik XIII urodził się 27 września 1601 roku. Wszystkie jego czyny i gesty zanotował starannie w swoim dzienniku lekarz Heroard¹. Mając rok i pięć miesięcy delfin „gra na skrzypcach i śpiewa”. Wcześniej zadowalał się zwykłymi dziecinnymi zabawkami: drewnianym konikiem, wiatraczkiem, „próbował kręcić bączka”. Teraz półtorarocznemu dziecku dają do ręki skrzypki,

¹ Heroard, *op. cit.*

wówczas jeszcze instrument nieszlachetny, na którym przygrywano do tańca na wiejskich weselach i zabawach. Od razu widzimy, jak wielką rolę odgrywała muzyka i taniec w dawnych czasach.

W tym samym wieku bawi się w *mail* (rodzaj krokiet): „delfin wywijając młotkiem zranił niechcący pana de Longueville”. To tak, jakby półtoraroczny Anglik zaczynał grać w krykieta albo w golfa. Kiedy ma rok i dziesięć miesięcy (lipiec 1603) „wybija na bębenku rozmaite rytmy”; każda kompania miała wtedy swojego dobosza i swój marsz. Zaczyna się nauka mówienia: „uczą go wymawiać poszczególne sylaby i składać słowa”. W tymże miesiącu „królowa siada do kolacji, każe go przynieść i posadzić na końcu stołu”: szesnasto- i siedemnastowieczne ryciny często przedstawiają dziecko siedzące przy stole na wysokim krzeselku z pulpitem, do którego jest przywiązane, żeby nie wypadło. Zapewne w takim krześle dla malców delfin asystował matce przy kolacji, jak tyle innych dzieci w tylu innych rodzinach. Ma równo dwa lata, gdy „przyprowadzony do gabinetu króla, tańczy przy dźwiękach skrzypek rozmaite tańce”. Zauważmy, jak wcześnie uczy się dzieci tańca; nic dziwnego, że w rodzinach zawodowych muzyków często trafiały się cudowne dzieci, jakbyśmy je dziś nazwali, na przykład mały Mozart. Przypadków takich będzie mniej i większe będą robić wrażenie, gdy zażyłość z muzyką, choćby w najbardziej elementarnej postaci, osłabnie albo całkiem zniknie. Delfin zaczyna mówić: Heroard fonetycznie zapisuje jego szczebiot: „*A dire au papa*” (powiem tacie), „*Equiviez*” (pisz). Często dostaje baty: „Nieznośny, dostał porządną chłostę [bo nie chciał jeść]; uspokojony, płacze i je kolację”. „Po długiej chłości wybiegł i głośno płakał w swoim pokoju”. Chociaż żyje wśród dorosłych, bawi się z nimi, tańczy i śpiewa, to nadal bawi się dziecięcymi zabawkami. Ma dwa lata i siedem miesięcy, kiedy Sully daje mu w prezencie „małą karetę z lalkami”. „Piękne lale z tu-tu [?]” – mówi delfin w swoim dziecięcym języku.

Lubi towarzystwo żołnierzy. „Żołnierze go kochają”. „Bawi się armatką”. „Bawi się w wojsko z żołnierzami. Pan de Marsan nakłada mu wysoki kołnierz, pierwszy raz w życiu; delfin jest zachwycony”. „Bawi się w wojnę z młodymi paniczami”. Chodzi do sali gry w piłkę, gra w krokiet, ale wciąż jeszcze sypia w kołysce. 19 lipca 1604: delfin ma dwa lata i dziewięć miesięcy, „z radością przygląda się, jak ustawiają dla niego łóżko, pierwszy raz śpi w łóżku”. Zna już podstawy religii, na mszy w czasie podniesienia pokazują mu hostię: „to Pan Bóg”. Zwróćmy przy okazji uwagę na wyrażenie „Pan Bóg”, stale dziś używane przez księży i ludzi pobożnych, a którego nie ma nigdzie w literaturze religijnej dawnych czasów. Na początku XVII wieku wyrażenie to należało zapewne do języka rodziców lub piastunek, zwracających się do dziecka. W XIX wieku przeniknęło do języka dorosłych i, wraz ze zniewieścieniem religii, Bóg Jakuba przemienił się w „Pana Boga” małych dzieci.

Delfin już umie mówić, jego zuchwałe odpowiedzi bawią dorosłych. „Synu, a dla kogo te różgi?” pyta król. Odpowiada ze złością: „Dla ciebie”. „Król nie mógł się nie roześmiać”.

W wigilię Bożego Narodzenia 1604 roku uczestniczy w tradycyjnych obchodach święta: ma wtedy trzy lata. „Przed wieczerzą ułożono w kominku wigilijny pniak, tańczył i śpiewał na przywitanie Bożego Narodzenia”. Dostaje prezenty: piłkę, mechanicznego gołębia i „małe wyroby włoskie”, zabawki przeznaczone tyleż dla niego, co dla królowej. W zimowe wieczory, kiedy ludzie siedzieli w domu, (w czasach gdy żyło się na świeżym powietrzu), delfin „zabawia się wycinankami z papieru”. Muzyka i taniec wciąż zajmują ważne miejsce w jego życiu. Heroard notuje z dumą: „Delfin tańczy wszystkie tańce”. Pamięta balety, które oglądał i w których niebawem zacznie grać role, jeśli już nie zaczął: „Wspominając zeszłoroczny balet [miał wtedy dwa lata] pyta: «Dlaczego baranek był zupełnie goły?» Sam grał nagiego Kupidyna.” „Tańczy galiardę, sarabandę, starą *bourrée*”. Chętnie śpiewa i gra na mandoli pana Boileau; śpiewa piosenkę o Robinie: „Robin idzie do Tours – Kupić sobie welur – Będzie piękna czapeczka – Mamo, daj Robineczka”. „Nauczył się piosenki, którą mu śpiewano do snu: «Kto chce posłuchać piosenki – O córce króla Ludwika – Burbon tak ją kochał – Że w końcu zrobił jej dziecko»”. Czarująca kołysanka dla malców! Za kilka dni skończy cztery lata i zna już nazwy strun lutni, a lutnia to szlachetny instrument. „Gra palcami na wargach i mówi: «a tio bas».” (Heroard zawsze fonetycznie zapisuje wymowę dziecka, a czasem jego jękanie.) Choć uczy się gry na lutni, nadal chętnie słucha popularnych skrzypek na weselu królewskiego kucharza albo grającego na dudkach murarza, który „naprawiał u niego kominek”: „słuchał go dość długo”.

Zaczyna się nauka czytania. Mając trzy lata i pięć miesięcy „bawi się książką o postaciach z Biblii, niańka uczy go liter, zna już wszystkie”. Uczą go potem wierszyków Pibraca – reguł grzeczności i moralności, które dzieci recytowały z pamięci. Od czwartego roku życia uczy się pisać: ma za nauczyciela kleryka z królewskiej kaplicy, Dumonta. „Każe sobie przynieść pulpit do jadalni, żeby pisać pod kierunkiem Dumonta; mówi: «Kładę mój przykład, idę do szkoły»” (przykład to wzór pisma do skopiowania). „Przerysowuje przykład ciągnąc piórem po odcisniętych liniach, robi to z wielką przyjemnością”. Zaczyna się uczyć łacińskich słówek. Kiedy skończy sześć lat, kleryka z kaplicy zastąpi zawodowy „pisarz”: „Kopiuje przykład. Beaugrand, pisarz królewski, pokazuje mu, jak pisać”.

Nadal bawi się lalkami: „Bawi się zabawkami i swoim niemieckim gabineciem [miniaturowe drewniane wyroby były specjalnością rzemieślników z Norymbergi]. Pan de Loménie podarował mu strojnego małego szlachcica z uperfumowanym kołnierzem... Czesze go i mówi: «Ożenie go z lalką Madame [swojej siostry]»”. Wciąż chętnie wycina z papieru. Opowiadają mu bajki. „Kazał

niańce opowiedzieć sobie historie o szczywanym lisie, złym bogaczu i o Łazarzu.” „Przed snem opowiedziano mu bajkę o Meluzynie. Mówię mu, że to tylko bajka, a nie prawdziwa historia”. (To już próba nowoczesnego wychowania.) Bajek słuchały nie tylko dzieci, również dorośli opowiadali je sobie wieczorami.

W wieku czterech, pięciu lat chłopiec bawi się lalkami, ale jednocześnie strzela już z łuku, gra w karty, w szachy (gdy ma sześć lat) oraz w niezliczone gry towarzyskie, jak gra w „piłkę z rakieta” czy w wyścigi. Mając trzy lata bawił się w „co kładziemy do koszyka?” – należało odpowiedzieć do rymu „delfiniątko, paniczyka”, zabawiały się tak i młodsze, i starsze dzieci. Z paziami króla, niewątpliwie od niego starszymi, bawi się w „jak wam się podoba kompania”, i w „raz po raz”; prowadzi w grze, czasem wygrywa, a kiedy nie zna właściwej odpowiedzi, to pyta. Gra w te gry jakby miał piętnaście lat, bawi się w „zapalenie świeczki z zamkniętymi oczami”. Kiedy nie ma paziów, bawi się z żołnierzami w „najrozmaitsze zabawy, jak w komórki do wynajęcia, w piszczałki, w berka i w chowanego”. Mając sześć lat bawi się w gry towarzyskie polegające na odgadywaniu zawodów i historyjek przedstawionych na migi. Tak samo zabawiali się i młodzi, i dorośli.

Delfin coraz częściej przebywa wśród dorosłych i bierze udział w ich widowiskach. Ma pięć lat, kiedy „prowadzą go na pole za psiarnią [w Fontainbleau], żeby obejrzał sobie zapasy Bretończyków, zatrudnionych przy królewskich robotach”. „Zaprowadzony do króla, do sali balowej, żeby obejrzał walki dogów z niedźwiedziem i bykiem”. „Idzie do sali gry w piłkę zobaczyć gonitwę borsuka”. A przede wszystkim bierze udział w baletach. Ma cztery i pół roku, kiedy „każe się przebrać i idzie do króla zatańczyć w balecie; nie chce zdjąć maski, żeby go nie rozpoznano”. Przebiera się często za dziewczynę, za „pikardyjską pokojówkę”, za pasterkę (nosi jeszcze chłopięcą tunikę). „Po kolacji przygląda się tańcom pod melodię piosenek niejakiego Laforest’a”, żołnierza-choreografa i autora fars. Ma pięć lat, kiedy „chłodno ogląda farsę, w której Laforest gra swawolnego męża, baron de Montglat wiarołomną żonę, a Indret kochanka, który ją uwiódł”; „tańczy w balecie, pięknie ubrany jak dorosły mężczyzna, w kaftanie i spodniach nałożonych na tunikę” (ma sześć lat). Ogląda balet o czarownikach i diabłach, w którym tańczą żołnierze pana de Marsan; balet ułożył Jean-Baptiste, Piemontczyk (jeszcze jeden żołnierz-choreograf). Tańczy nie tylko w baletach i tańcach dworskich, do których ma nauczyciela, tego samego co do nauki czytania i pisanja, lecz także wykonuje tańce ludowe, jakbyśmy je dziś nazwali, na przykład taniec przypominający tyrolski (widziałem taki w kawiarniach Innsbrucku w wykonaniu chłopców w skórzanych spodniach); paziowie króla tańczą „*branle* na świętego Jana od kapusty, przy czym wymierzają sobie kopniaki w zadek, naśladuje ich i tańczy razem z nimi” (ma pięć lat). Innym razem przebiera się na występy za dziewczynkę, a „po skoń-

czonej farsie zdejmuje sukienkę i tańczy: «na świętego Jana od kapusty kopią w tyłek sąsiada». Podoba mu się ten taniec”.

Wreszcie wspólnie z dorosłymi uroczyste obchodzi tradycyjne święta Bożego Narodzenia, Trzech Króli i świętego Jana: sam zapala stos świętojański na dziedzińcu zamku Saint-Germain. W wilię Trzech Króli: „Pierwszy raz został królem. Krzyki: „zdrowie króla!” Zostawia się częśćkę dla Boga. Ten, kto ją zje, daje jałmużnę. „Zaprowadzony do królowej, przygląda się, jak sadzą majowe drzewko”.

Wszystko się zmienia z nadejściem siódmym urodzin: delfin porzuca dziecięcy strój, a jego wychowaniem zajmują się od tej pory mężczyźni. Rozstaje się z „Mamangat”, panią de Montglat, opieka nad delfinem przechodzi w ręce pana de Soubise. Każą mu porzucić dziecięce zabawy, przede wszystkim lalki: „Nie powinieneś, panie, bawić się zabawkami [niemieckimi] ani udawać furmana, jesteś duży, nie jesteś już dzieckiem”. Uczy się jeździć konno i strzelać, chodzi na polowania. Gra w gry hazardowe: „Ciągnie los w *blanque*, wygrywa turkus”. Wydaje się, że siódmy rok życia był ważnym progiem, rozpoczął nowy etap, w umoralniającej i pedagogicznej literaturze XVII wieku jest to powszechnie zalecany wiek rozpoczęcia nauki w szkole albo nauki zawodu². Zmiana nie jest jednak aż tak wielka. Młody delfin przestaje bawić się lalkami (w każdym razie powinien przestać), ale nadal prowadzi taki sam tryb życia: tak samo dostaje baty, takie same ma rozrywki. Częściej, bo prawie codziennie, chodzi na przedstawienia: komedia, farsa i balet, urządzone przez naszych przodków w domu lub na dworze, zajmowały ważne miejsce w ich życiu. „Idzie do wielkiej galerii obejrzyć króla w gonitwie do pierścienia”. „Zabawia się słuchaniem okrutnych bajek La Clavette’a i innych”. „W swoim gabinecie gra z małymi szlachcicami w cetno i lichy [my mówimy w orła i reszkę], gra, jak król, w kości”. „Bawi się w chowanego” z porucznikiem szwoleżerów. „Poszedł się przyrzyć grze w piłkę, a stamtąd do wielkiej galerii obejrzyć gonitwę do pierścienia”. „Przebiera się, tańczy rolę Pantalone”. Ma już dziewięć lat: „Po kolacji idzie do królowej, z królową, księżniczkami i damami dworu bawi się w ciuciubabkę”. „Bawi się w komórki do wynajęcia” i inne tradycyjne gry towarzyskie. „Po kolacji piastunka króla opowiada mu bajki, słucha z przyjemnością”. Skończył trzynaście lat i bawi się w „zmrzuch oczko”, czyli w chowanego.

Do siódmego roku życia więcej lalek i drewnianych niemieckich zabawek, po skończeniu siedmiu lat więcej polowań, jazdy konnej, fechtunku, może też więcej przedstawień teatralnych: zmiana następuje nieznacznie, zresztą od początku dziecko bawi się w te same zabawy co dorośli. Mając dwa lata Ludwik XIII zaczął grać w krokieta i w piłkę, mając cztery strzelał z łuku; te „zręcznościowe gry” uprawiali wszyscy: pani de Sévigné gratuluje swojemu zięciowi

² Por. część III, roz. 2.

zręczności w grze w krokieta. Powieściopisarz i historyk Sorel jest autorem traktatu o grach towarzyskich przeznaczonego dla dorosłych, ale trzyletni delfin już się bawił w koszyczek, a sześćoletni w zawody i w teatr, zabawy, które zajmują ważne miejsce w „Domu gier” Sorela. Mając pięć lat grał w karty, mając osiem – wygrał w *blanque*, grę hazardową, w której ludzie tracili całe majątki.

Podobnie wygląda sprawa z widowiskami muzycznymi i teatralnymi: trzyletni Ludwik XIII tańczy galiardę, sarabandę i starą *bourrée*, występuje w dworskich baletach. Mając pięć lat ogląda farsy, mając siedem – komedie. Zasiada w pierwszym rzędzie, żeby obejrzeć walki zapaśników, gonitwę do pierścienia, walki niedźwiedzi i byków albo akrobatę na linie. Wreszcie bierze udział w wielkich zbiorowych zabawach z okazji świąt religijnych i sezonowych: na Boże Narodzenie, w święto majowe, na świętego Jana... Widzimy więc, że nie było wówczas równie rygorystycznego, jak dziś podziału na gry dziecięce i gry dorosłych. Dzieci i dorośli bawili się tak samo.

Na początku XVII wieku zupełnie małe dzieci zostają wyłączone ze wspólnych zabaw. Wiemy, w co i jak się bawiły, bo od kiedy w XV wieku pojawiły się w ikonografii putta, artyści przedstawiali je chętnie przy zabawie. Widzimy w tych scenach rozmaite zabawki: drewnianego konika, wiatraczek, ptaszka na uwięzi i czasem, choć rzadziej, lalki. Takimi zabawkami bawiły się dzieci najmłodsze, ale czy zawsze tak było? Czy aby nie należały one dawniej do świata dorosłych? Niektóre z dziecięcych zabawek zrodziły się z właściwej dzieciom potrzeby naśladowania: robią chętnie to samo co dorośli, tylko w zredukowanej skali, a więc bawią się drewnianym konikiem, bo koń w owych czasach to zwierzę pociągowe i główny środek transportu. Dziecięcy wiatraczek – kręcące się na patyku skrzydełka – imituje technikę nie tak znów starą, bo wprowadzoną dopiero w średniowieczu. Ten sam odruch naśladowania każe dziś naszym dzieciom udawać auto lub ciężarówkę. Ale wiatraki od dawna zniknęły z wiejskiego pejzażu, a dziecinne wiatraczki nadal można kupić w sklepie z zabawkami, na ulicznym straganie albo na targu. Dzieci to najbardziej konserwatywne społeczeństwo ludzkie.

Nie wszystkie jednak zabawki wzięły się z potrzeby naśladowania dorosłych. Mamy na przykład bardzo liczne przedstawienia dziecka bawiącego się ptaszkiem. Ludwik XIII miał dzierzbę, do której był bardzo przywiązany; niejednemu czytelnikowi przypomina się może ich oswojony, kaleki gawron z pierwszych lat dzieciństwa. Na obrazach ptak jest zwykle przywiązany na sznurku, dziecko trzyma go w ręku. Możliwe, że czasem był to drewniany ptaszek. Tak czy inaczej, sądząc z ikonografii, ptak na uwięzi był jedną z ulubionych dziecięcych zabawek. Otóż dowiadujemy się od historyka religii greckiej Nilssona³, że w starożytnej Grecji, tak samo zresztą jak w Grecji nowożytnej,

³ Nilsson, *La religion populaire dans la Grèce antique*.

w pierwsze dni marca chłopcy zgodnie ze zwyczajem strugali z drewna jaskółki kręcące się na osi i przystrojone kwiatami. Chodzili z nimi potem od domu do domu i dostawali podarki: ptak lub jego podobizna nie był więc dziecięcą zabawką, lecz elementem zbiorowego, sezonowego święta, w którym młodzież odgrywała przypisaną swemu wiekowi rolę. O tego typu świętach będziemy jeszcze mówić. To, co z biegiem czasu miało stać się indywidualną zabawką, bez związku ze zbiorowością, kalendarzem czy jakkolwiek treścią społeczną, pierwotnie było elementem tradycyjnych obchodów świąt, w których uczestniczyli wspólnie dorośli, dzieci i słabo zresztą wyróżniająca się młodzież. Nilsson pokazuje⁴ dalej, że na przykład huśtawka, tak często spotykana w ikonografii zabaw w XVIII wieku, należała do obowiązujących rytów kalendarzowego święta młodości, *Aiora*; chłopcy skakali wtedy na wypełnionych winem skórzanym worach, a dziewczęta huśtały się na huśtawkach, co możemy sprawdzić na malowanych greckich wazach. W interpretacji Nilssona zabawy te miały zapewnić płodność. Istniał ścisły związek między religijną ceremonią obchodzoną przez wspólnotę a zabawą, będącą istotnym obrzędkiem tej ceremonii. Z czasem zabawa oderwała się od swej religijnej symboliki i straciła charakter wspólnotowy: stając się zarazem i świecka, i indywidualna, trafiła do repertuaru zabaw i gier dziecięcych, będącego jakby przechowalnią zbiorowych manifestacji, zarzuconych przez dorosłych i zdesakralizowanych.

Podobną hipotezę możemy wysunąć odnośnie lalek i miniaturowych zabawek. Historycy zabawek i kolekcjonerzy lalek mają duże kłopoty z odróżnieniem lalki – dziecięcej zabawki – od innych figurek i statuetek, które archeolodzy znajdują w przemysłowych niemal ilościach na terenach wykopalisk i które na ogół miały znaczenie religijne w kultach domowych, obrzędach grzebalnych, jako wota pielgrzymów itp. Ileż to razy nazywano zabawkami miniaturowe sprzęty domowe składane do grobów! Nie chcę przez to powiedzieć, że w tamtych czasach dzieci nie bawiły się lalkami ani zabawkami naśladującymi przedmioty używane przez dorosłych. Ale nie tylko im te zabawki służyły; w starożytności dzieci dzieliły je choćby ze zmarłymi, dopiero w epoce nowożytnej mają na nie monopol. Dwuznaczność lalki i zminiaturyzowanych sprzętów utrzymywać się będzie przez całe średniowiecze, a na wsi jeszcze dłużej. Lalka może być także niebezpiecznym narzędziem w ręku czarownika, zaklinacza. Upodobanie do przedstawiania w pomniejszeniu ludzi i rzeczy wziętych z życia codziennego, dziś zastrzeżone dla dzieci, występuje także w sztuce ludowej, która służy tyleż rozrywce dorosłych, co uciesze malców. Przykładem takiej sztuki są słynne neapolitańskie szopki. W muzeach niemieckich i szwajcarskich znajdują się bogate kolekcje domków, wnętrz i mebli, reprodukujące szczegółowo w pomniejszeniu sprzęty codziennego użytku. Czy te arcy-

⁴ *Ibid.*

dzieła pomysłowości to naprawdę domki dla lalek? Dzieci oczywiście ceniły sobie te wyroby ludowego rzemiosła: „niemieckie zabawki” albo „małe wyroby włoskie” były we Francji bardzo poszukiwane. Miniaturowe przedmioty stały się z czasem wyłączną własnością dzieci, ale produkcję artystycznych drobiazgów określano jednym słowem *bimbeloterie* (bibeloty), niezależnie od tego, czy przeznaczone były dla dzieci, czy dla dorosłych. Słowo *bibelot* oznaczało dawniej zabawkę. Ewolucja języka sprawiła, że straciło swoje pierwotne znaczenie, ewolucja uczuć natomiast, że zminiaturyzowane przedmioty stały się zabawką wyłącznie dziecięcą. W wieku XIX *bibelot* jest ozdobą salonu: wystawiona za szkłem miniatura domowego sprzętu – malutka lektyka, mebelek, miniaturowa zastawa – nigdy nie miała służyć dzieciom do zabawy. Bibeloty to jakby mieszczański relikwiarz sztuki ludowej, której dziełem były neapolitańskie szopki i niemieckie domki dla lalek. Społeczeństwo przedrewolucyjnej Francji długo było wierne tym drobiazgom, co wydaje nam się dziecinadą tylko dlatego, że dziś należą one wyłącznie do dzieci.

W 1747 roku Barbier pisał: „W Paryżu wymyślono zabaweczki, które nazywają pajacykami... Przedstawiają one Arlekina i Scaramouche’a [z komedii włoskiej] albo piekarczyka [zawody], albo pasterzy i pasterki [gust do przebiegania się na ludowo]. Cały Paryż zabawia się tymi bagatelkami i gdziekolwiek by się ruszyć, pajacyki wiszą nad kominkiem. Daje się je w prezencie kobietom i pannom, a taką robią furorę, że na początku roku pełno ich było we wszystkich sklepach [na prezenty noworoczne]. Księżna de Chartres za marionetkę malowaną przez Bouchera zapłaciła 1500 funtów”. Znakomity bibliofil Jacob, za którym przytaczam ten cytat, twierdzi, że w jego czasach taka dziecinada nie byłaby możliwa: „Ludzie światowi są zbyt zajęci [ciekawe, co dzisiaj by powiedział!], żeby się zabawiać tak, jak za dobrych, próżniaczych czasów [?], kiedy kwitła moda na marionetki i kiwające się figurki; dziś zostawiamy te uciechy dzieciom”.

Innym przejawem ludowej sztuki naśladowczej miniatury jest teatr marionetek. Uległ tej samej ewolucji: lyoński Guignol z początku XIX wieku był postacią teatru ludowego, ale dla dorosłych. Dzisiaj Guignol to nazwa teatru kukiełkowego dla dzieci.

Ta uporczywa dwuznaczność dziecięcych zabawek wyjaśnia, dlaczego od XVI do początku XIX wieku ubrana lalka służyła elegantkom jako manekin, pełniła rolę modelki w modnym stroju i rysunku z żurnala. Księżna Lotaryngii (w 1571 roku) pragnie zrobić prezent położnicy: „Prosi, żeby jej przysłać pięć, sześć niezbyt dużych lalek, najlepiej ubranych, jakie się da znaleźć, bo chce je posłać córce Księżnej Pani Bawarskiej, która się właśnie urodziła”. Prezent jest przeznaczony dla matki, ale adresowany do córki! Większość lalek w zbiorach kolekcjonerów to nie zabawki dziecięce, zwykle dość toporne

i byle jakie, ale lalki modne. Wyjdą one z użycia, kiedy dzięki wynalazkowi litografii zastąpią je ryciny ilustrujące modę⁵.

Sprawa zabawek dla wczesnego dzieciństwa i ich pochodzenia nie jest więc jednoznaczna. Ale około roku 1600, od którego ten rozdział zacząłem, dwuznaczność znika, zabawki są już specjalnością dzieci, które robią z nich podobny jak dziś użytek. Z niewielkimi, co prawda, różnicami: jak widzieliśmy na przykładzie Ludwika XIII, lalka nie jest zabawką wyłącznie dziewczynek, chłopcy też się nią bawią. We wczesnym dzieciństwie nie było tak wyraźnego jak dziś zróżnicowania na dziewczynki i chłopców: i jedne, i drudzy nosili ten sam strój, tę samą sukienkę. Jest prawdopodobne, że istnieje związek między wyspecjalizowaniem zabawek dla dzieci a uczuciowym stosunkiem do małego dziecka, jaki ujawnia ikonografia i ewolucja stroju od końca średniowiecza. Dzieciństwo staje się terenem, gdzie się przechowuje zwyczaje, jakie dorośli zarzucili.

Okolo roku 1600 specjalizacja zabawek dotyczy tylko tych przeznaczonych dla małych dzieci do trzech, czterech lat. Potem jej nie ma. Powyżej tej granicy **d z i e c k o b a w i s i ę w t e s a m e g r y, c o d o r o ś l i, r a z z i n n y m i d z i e ć m i, r a z z d o r o ś ł y m i.** Potwierdza to bogata ikonografia: od średniowiecza do XVIII wieku malarze chętnie przedstawiają sceny zabaw, co też świadczy o tym, jak ważne było miejsce rozrywek w życiu społecznym dawnej Francji. Widzieliśmy już, że Ludwik XIII od najmłodszych lat bawił się lalką, lecz także grał w piłkę, w krokieta, w *crosse*, które nam się wydają *raczej grami dla młodzieży i dorosłych*. Na rycinie Arnaulta⁶ z końca XVII wieku dzieci rzucają kulą; sądząc po fałszywych rękawach w stroju dziewczynki, są to dzieci z dobrego domu. Pozwalano im bez przeszkód grać – gdy tylko były do tego zdolne – w karty i inne gry hazardowe, w dodatku grać na pieniądze. Na rycinie przedstawiającej grające putta⁷ Stella z sympatią pokazał rozpacz malca, który przegrał. Na siedemnastowiecznych obrazach w guście Caravaggia często widzimy bandy żołnierzy namiętnie oddających się grze w podejrzanym tawernach: obok starych wojaków są tam i bardzo młodzi, może dwunastoletni chłopcy, nie mniej przejęci grą. Na płótnie S. Bourdona⁸ grupa żebraków przygląda się dwóm chłopcom grającym w kości. Temat dzieci grających na pieniądze nie był wówczas dla opinii szokujący, spotykamy je nie tylko w scenach z wojakami i żebrakami, ale i wśród dostojnych postaci Le Naina⁹.

⁵ Ed. Fournier, *Histoire des jouets et jeux d'enfants*, 1889.

⁶ Arnault, rycina, Cabinet des Estampes, Oa 52 pet. fol. f^o 164.

⁷ C. Bouzonnet, *op. cit.*

⁸ Muzeum w Genewie.

⁹ P. Fierens, *Le Nain*, 1933, pl. XX.

Dorośli natomiast oddawali się zabawom dzisiaj zastrzeżonym dla dzieci. Rzeźba z kości słoniowej z XIV wieku przedstawia zabawę w żabę¹⁰: siedzący na ziemi młody człowiek usiłuje złapać kogoś z popychających go mężczyzn i kobiet. W „Godzinkach” Adelajdy Sabaudzkiej z końca XV wieku¹¹ kalendarz ilustrują głównie sceny gier, i to wcale nie rycerskich. (Kalendarze początkowo przedstawiały rozmaite rzemiosła, wyjątkiem był maj, miesiąc miłości. Z czasem pojawiły się, zajmując coraz więcej miejsca, gry rycerskie, jak polowanie z nagonką, a także popularne zabawy.) Przedstawiona jest między innymi zabawa w *fagots* (rodzaj „trzeciaka”): gracz stoi pośrodku koła utworzonego przez pary, damy chowają się za swoimi kawalerami i obejmują ich w pasie. Na innym obrazku kalendarza cała wieś bije się na śnieżki: kobiety i mężczyźni, dorośli i dzieci. Na tapiserii¹² z początku XVI wieku chłopci i szlachcice (ci ostatni przebrani za pasterzy) grają w „salonowca”. Dzieci nie ma. Grę w „salonowca” widzimy również na holenderskich siedemnastowiecznych obrazach: na jednym¹³ figuruje para dzieci, które bawią się wspólnie z dorosłymi w różnym wieku: kobieta z głową nakrytą fartuchem wyciąga do tyłu otwartą dłoń. Ludwik XIII bawił się z matką w „zmruż oczko”, czyli w chowanego. U Grande Mademoiselle (królewskiej siostry) w pałacu Rambouillet bawiono się w ciuciubabkę¹⁴. Na rycinie Lepeautre’a¹⁵ widać, że bawili się w nią także wieśniacy. W obu wypadkach była to zabawa dorosłych. Toteż nie dziwi nas komentarz współczesnego historyka Van Marle’a¹⁶, badacza ikonografii zabaw: „Jeśli idzie o rozrywki ludzi dorosłych, to doprawdy były one nie mniej dziecinne niż zabawy dzieci”. Ba, były dokładnie takie same!

Dzieci uczestniczyły wspólnie ze wszystkimi w sezonowych świątach, na których gromadziła się regularnie cała społeczność. Trudno nam sobie wyobrazić miejsce zabaw i świąt w życiu dawnego społeczeństwa, dziś bowiem w mieście czy na wsi istnieje tylko wąziutki margines na święto dla człowieka przytłoczonego z jednej strony nadmierną aktywnością zawodową, z drugiej zaś strony izolującą się, wymagającą rodziną. Cała literatura polityczna i społeczna, odzwierciedlająca opinię współczesną, traktuje o warunkach życia i pracy. Ruch związkowy broni naszych zarobków, ubezpieczenia zmniejszają ryzyko choroby i bezrobocia – w powszechnej opinii, w literaturze, w argumentacji politycznej

¹⁰ Luwr.

¹¹ Chantilly.

¹² Victoria and Albert Museum, London.

¹³ Berndt, nr 509 (Cornelis de Man), nr 544 (Molinar).

¹⁴ Fournier, *op. cit.*

¹⁵ Lepautre, rycina, Cabinet des Estampes, Ed. 73 in-f^o s. 104.

¹⁶ Van Marle, *op. cit.* t. I, s. 71.

takie są największe, a w każdym razie najbardziej widoczne zdobycze ludu. Nawet emerytura wydaje się nie tyle perspektywą odpoczynku, ile przywilejem pozwalającym owocnie gromadzić dobra. Zabawa stała się rzeczą niemal wstydliwą, dozwoloną tylko z rzadka i ukradkiem; jako fakt obyczajowy ma miejsce raz do roku, w postaci sierpniowego exodusu, kiedy to coraz liczniejsze masy ludzkie, coraz bardziej ludowe i coraz bardziej zmotoryzowane, ciągną na plaże i w góry, do wody, słońca, powietrza.

W dawnym społeczeństwie praca nie zabierała człowiekowi aż tyle czasu w ciągu dnia i nie liczyła się tak bardzo w opinii; nie miała wtedy tej egzystencjalnej wartości, jaką jej przyznajemy od z górą stu lat. Trudno nawet powiedzieć, że miała ten sam sens. Natomiast zabawy i rozrywki zajmowały o wiele więcej miejsca niż krótkie chwile, które my im ukradkiem poświęcamy. Dla ówczesnej społeczności były jednym z najważniejszych sposobów zacieśnienia zbiorowych więzi, trzymania się razem. Temu celowi służyły wszystkie niemal zabawy. Ich społeczną rolę najlepiej widać w wielkich zwyczajowych obchodach świąt sezonowych. Miały one miejsce w określonym dniu kalendarzowym, ich program regulowała tradycja. Zajmowali się tymi świętami specjaliści od folkloru i tradycji ludowych, którzy są nazbyt skłonni umieszczać je w środowisku wyłącznie wiejskim. A przecież dotyczyły całego społeczeństwa, pozwalały mu zmanifestować jego żywotność. Dzieci – i młodzież – brały w nich udział z tego samego tytułu, co inni członkowie zbiorowości, i odgrywały ustaloną zwyczajem rolę. Nie mam zamiaru pisać historii tych świąt: to ogromny temat, niezmiernie ważny w historii społecznej. Parę przykładów pozwoli nam jednak uchwycić, jakie miejsce w świecie zajmowały dzieci. Nawet nie sięgając do literatury folklorystycznej, głównie chłopskiej, dysponujemy bogatą dokumentacją: o znaczeniu świąt dla zbiorowej pamięci i wrażliwości świadczy obszerna ikonografia, obrazy z kręgu kultury mieszczańskiej, przedstawiano je bowiem starannie, chcąc jak najdłużej zachować w pamięci krótkie, wyjątkowe chwile.

Jednym z ulubionych przez artystów i ich klientelę tematów było Święto Trzech Króli, zapewne najważniejsze święto w roku. W Hiszpanii takim pozostało, we Francji straciło pierwszeństwo na rzecz Bożego Narodzenia. Kiedy pani de Sévigné, przebywając w swoim zamku w Rochers, dowiedziała się o narodzinach wnuka, chciała podzielić się radością ze służbą. Jak się z tego wywiązała, opisuje w liście do córki, pani de Grignan: „Dałam moim ludziom coś do picia i kolację ani gorszą, ani lepszą niż w wieczornicę Króli”¹⁷. Mówiło się „wieczornica Króli”. Miniatura z „Godzinek” Adelajdy Sabaudzkiej¹⁸ przedstawia pierwszy epizod święta. Rzec się dzieje u schyłku XV wieku, ale rytuał przez długi czas nie uległ zmianie. Przy stole siedzą kobiety i mężczyźni,

¹⁷ Madame de Sévigné, *op. cit.*, list z 1671.

¹⁸ Por. przypis 11.

krewni i znajomi. Jeden z biesiadników trzyma w ręku – na sztorc! – tradycyjne ciasto na Trzech Króli. Pod stołem schował się pięcio- czy siedmioletni chłopczyk. W dłoni ściska rodzaj filakterii z napisem zaczynającym się literami *Ph*... Iluminator utrwalił moment, kiedy dziecko losowało porcje świątecznego ciasta. Zgodnie z ustalonym ceremoniałem chłopiec chował się pod stołem, jeden z biesiadników dzielił ciasto na części i wołał chłopca: „*Phoebe, Domine...*” (stąd litery *Ph* na miniaturze), a ten w odpowiedzi wymieniał nazwisko gościa, któremu należało dać kawałek ciasta. I tak szło dalej. Jedną porcję zostawiano dla ubogich, mówiło się – dla Boga; ten, kto ją zjadł, musiał się okupić jałmużną. Możliwe, że ta jałmużna z czasem uległa zeświecczeniu i było obowiązkiem migdałowego króla opłacić się fantem albo kawałkiem ciasta już nie biedakom, lecz innym gościom. To zresztą nieważne, zapamiętajmy, jaką rolę powierzano tradycyjnie dziecku w protokole święta, bo stąd się niewątpliwie wywodzi procedura oficjalnych loterii w XVIII wieku: na frontyspisie poświęconej loteriom książki pt. „Krytyka”¹⁹ widzimy dziecko, które ciągnie losy. Tradycja przetrwała do dziś: ciągnie się losy tak, jak kiedyś losowało się kawałki ciasta. Skoro taka była rola dziecka, znaczy to, że spędzało ono wspólnie z dorosłymi długie godziny świątecznej wieczornicy.

Drugi epizod święta i jego punkt kulminacyjny to toast za zdrowie szczęśliwego znalazcy migdała. Biesiadnicy koronują go: król pije. Szczególnie upodobali sobie ten temat malarze flamandzcy i holenderscy: wszyscy znają słynne płótno Jordaensa z Luwru, ale bardzo wielu malarzy z północy malowało tę scenę, na przykład Metsu²⁰, który na mniej burleskowym, a bardziej realistycznym obrazie, wspaniale przedstawił zgromadzonych wokół migdałowego króla ludzi w różnym wieku i różnego stanu, panów i czeladź. Wszyscy skupili się przy stole. Król – starzec – pije wino. Chłopiec uchyla przed nim kapelusza: to zapewne on przed chwilą losował zgodnie z obyczajem kawałki ciasta. Inne dziecko, za małe, żeby odegrać tę rolę, siedzi na wysokim, zamykanym krzeselku, ciągle chętnie używanym. Nie umie jeszcze utrzymać się na nogach, ale też uczestniczy w święcie. Jeden z biesiadników przebrał się za błazna: w XVII wieku ludzie uwielbiali się przebierać, a na tę okazję pasowały stroje najbardziej groteskowe. Ponieważ jednak i na innych przedstawieniach wieczornicy Króli widzimy postać błazna, znaczy to, że był błaznem królewskim, grał rolę przewidzianą w ceremoniale święta.

Mogło się zdarzyć, że migdał przypadł w udziale dziecku. Heroard notuje pod datą 5 stycznia 1607 (uroczystość miała miejsce w wigilię Święta Trzech Króli), że przyszedł Ludwik XIII, wówczas sześciolatek, „pierwszy raz został

¹⁹ Reprodukowane w: H. d'Allemagne, *Récréations et passe-temps*, 1906, s. 107.

²⁰ Metsu, *Święto Trzech Króli*, reprodukowany w: Berndt, nr 515.

królem”. Obraz Steena z 1668 roku²¹ upamiętnia koronację najmłodszego syna malarza. Włożono dziecku papierową koronę, posadzono go na ławie jak na tronie, stara kobieta podaje mu z uśmiechem szklanice wina.

Na tym święto się nie kończyło. Trzeci epizod trwał aż do rana. Niektórzy z biesiadników są poprzebierani, a na nakryciu głowy mają niekiedy wypisaną rolę, którą odegrają w komedii. „Błazen” staje na czele małej ekspedycji, w której skład wchodzi kilka masek, grajek, zwykle ze skrzypkami, i znowu dziecko. Ma ono ściśle określone zadanie: niesie świeczkę trzech króli. W Holandii była ona, jak się zdaje, czarna. We Francji – różnokolorowa. Pani de Sévigné pisała o jakiejś kobiecie, że „była pstrokata jak świeczka na Trzech Króli”. Pod przewodnictwem błazna grupa „śpiewaków z gwiazdą”, jak ich we Francji nazywano, rusza w obchód po sąsiadach: proszą o opał i wiktuały, wzywają do gry w kości. Na rycinie Mazota z 1641 roku²² widzimy pochód śpiewaków z gwiazdą: dwóch mężczyzn, kobieta grająca na gitarze i dziecko ze świecą.

Na malowanym gwaszem wachlarzu z początku XVIII wieku²³ pocieszny orszak dotarł właśnie do domu sąsiadów. Izba jest przecięta pionowo na pół, jak w dekoracjach do misteriów albo na piętnastowiecznych obrazach: widzimy i wewnątrz domu, i ulicę za drzwiami. W izbie pije się zdrowie króla i koronuje królową; na dworze grupa masek stoi przed domem i puka do drzwi: zaraz im otworzą. Im więcej „błaznów”, tym więcej śmiechu – kto wie? może stąd się wzięło to porzekadło?

Przez cały czas dzieci aktywnie uczestniczą w tradycyjnych obchodach święta. Tak samo jest w Wigilię. Heroard opowiada, że trzyletni Ludwik XIII „przyglądał się, jak układano pniak bożonarodzeniowy, śpiewał i tańczył na przywitanie Bożego Narodzenia”. Być może, on właśnie sypał sól i kropił winem polano, zgodnie z obyczajem opisanym przez Thomasa Plattera z niemieckiej Szwajcarii, który pod koniec XVI wieku studiował medycynę w Montpellier. Rzecz się dzieje w Uzès²⁴. Kiedy ułożone na ruszcie grube polano zajmie się ogniem, domownicy zbierają się wokół kominka. Najmłodsze dziecko bierze do prawej ręki szklanekę wina, okruszki chleba i szczyptę soli, a do lewej zapaloną świecę. Wszyscy zdejmują czapki z głów, dziecko kreśli znak krzyża. W imię Ojca – rzuca odrobinę soli w kąt izby, w imię Syna – w drugi kąt itd. itd. Zachowywano później węgle z paleniska, bo miały ponoć dobroczynne działanie. Również i w tym święcie dziecko odgrywało jedną z zasadniczych ról przewidzianych tradycją. Rolę taką grało także przy okazjach mniej wyjątkowych,

²¹ Steen, Kassel, reprod. w: F. Schmidt-Degener i Van Gelder, Jan Steen, 1928, s. 82.

²² Rycina F. Mazota: *Noc*.

²³ Wachlarze malowane gwaszem, wystawa, Paryż, galeria Charpentier, 1954, nr 70 (z gabinetu Duchesne).

²⁴ Thomas Platter w *Montpellier, 1595–1599*, s. 346.

lecz mających ten sam społeczny charakter, mianowicie przy rodzinnym stole. Zwyczaj chciał, żeby jedno z najmłodszych dzieci odmawiało dziękczynienie, a pozostałe usługiwały do stołu: dolewały do kielichów, zmieniały talerze, kroїły mięso... Sens tych zwyczajów omówimy dokładniej, gdy zajmiemy się strukturą rodziny²⁵. Na razie zapamiętajmy, jak zwyczajną rzeczą było w XVI i XVII wieku powierzanie dzieciom specjalnej funkcji w ceremoniale towarzyszącym zgromadzeniom rodzinnym i towarzyskim, codziennym i niecodziennym.

W innych świętach, które także skupiały całą społeczność, monopol ról aktywnych miała młodzież, inne grupy wiekowe uczestniczyły w nich jako widzowie. Były to jakby specjalne święta młodzieży lub dzieci, różnica, jak wiadomo, nie była tak widoczna ani wyraźna, jak dzisiaj.

W średniowieczu²⁶ w dzień Świętych Młodzianków młodzież okupowała kościoły. Wybierała ze swego grona biskupa, który przewodniczył ceremonii zakończonej procesją, kwestą i ucztą. Zgodnie z tradycją, wciąż żywą w XVI wieku, młodzi ludzie budzili tego ranka swoich towarzyszy różgami, „żeby im pokazać niewiniątka”, jak wówczas mówiono.

Ostatki były świętem uczniów i młodzieży, Fitz Stephen opisał obchody tego święta w Londynie. Jego młody bohater, Thomas Becket²⁷, uczył się w szkole przy katedrze Saint-Paul: „Wszystkie dzieci ze szkoły przyniosły nauczycielowi koguty”. Walki kogutów, nadal popularne tam, gdzie jeszcze przetrwały, we Flandrii i w Ameryce Łacińskiej, są dziś rozrywką dorosłych, ale w średniowieczu były związane z młodzieżą i ze szkołą. Świadczy o tym piętnastowieczny tekst z Dieppe, w którym mowa o tym, ile trzeba zapłacić przewoźnikowi: „Nauczyciel, który prowadzi szkołę w Dieppe, płaci koguta, jeśli gry odbywają się w szkole albo w mieście; wolni od tej opłaty są wszyscy inni uczniowie z Dieppe”²⁸. Według Fitz Stephena w Londynie ostatki zaczynały się od walk kogutów, trwały one całe przedpołudnie. „Po południu młodzież wyruszała za miasto, żeby pograć w piłkę... Dorośli, rodzice i notable przybywali konno przyjrzeć się grze młodych i sami przy nich młodnieli”. Gra w piłkę, w *soule*, jak mówiono we Francji, łączyła we wspólnej akcji całą społeczność, walczyły w niej ze sobą dwie parafie albo dwie grupy wiekowe: „W dzień Bożego Narodzenia mieszkańcy Cairac w Owernii [gdzie indziej też, oczywiście] grają w piłkę albo kule, albo *chalendas*, z jednej strony mężczyźni żonaci, z drugiej kawalerowie; przenosi się tę piłkę czy kulę z miejsca na miejsce odbierając ją innym, a kto najdłużej piłkę utrzyma, ten zdobywa nagrodę”²⁹.

²⁵ Por. część III, roz. 2.

²⁶ T. L. Jarman, *Landmarks in the history of education*, London 1951.

²⁷ *Ibid.*

²⁸ Ch. de Robillard de Beaurepaire, *Recherches sur l'instruction publique dans le diocèse de Rouen avant 1789*, 1872, t. II, s. 284.

²⁹ J.-J. Jusserand, *Les Sports et Jeux d'exercice dans l'ancienne France*, 1901.

Jeszcze w XVI wieku w Avignonie organizacją karnawału zajmował się opat palestry, przewodniczący bractwa kleryków notarialnych i prokurator-skich³⁰; przywódcy młodzieży (książęta miłości, król palestry, opat albo kapitan młodzieży, opat czeladników i miejskich dzieci) byli zwykle, przynajmniej na południu Francji, „szefami od rozrywek”, jak ich określił współczesny erudyta. W Avignonie³¹ w dzień karnawału studenci cieszyli się specjalnym przywilejem: mieli prawo bić Żydów i nierządnicę. Od bicia można się było wykupić: w historii uniwersytetu w Avignonie czytamy, że 20 stycznia 1660 roku vicelegat ustalił wysokość okupu na jednego dukata od dziewczyny.

Wielkie młodzieżowe święta miały miejsce w maju i w listopadzie. Wiemy od Heroarda, że Ludwik XIII chodził w dzieciństwie do królowej przyrzec się z balkonu, jak sadzą majowe drzewko. Majowe święto było obok Święta Trzech Króli najchętniej przedstawianą przez artystów uroczystością. Mamy niezliczoną ilość obrazów, rycin i tapiserii na ten temat. M. A. Varagnac³² twierdzi, że z tej inspiracji powstała *Wiosna* Botticiellego z Uffizi. Inni malarze bardziej realistycznie przedstawiali obchody święta. Tapiseria z 1642 roku³³ pozwala nam wyobrazić sobie, jak wyglądała wieś lub osada w dzień 1 maja. Wszyscy wylegli na ulice. Para starszych ludzi i starzec stoją na progu swego domu, w ich stronę zmierza grupa młodych dziewcząt, ta, która idzie na przedzie, niesie kosz owoców i ciastek. Grupki młodzieży krążyły tak od domu do domu i każdy dawał im to, o co prosiły; kwesta to jeden z istotnych elementów świąt młodzieżowych. Na pierwszym planie widzimy małe dzieci, ubrane jak dziewczęta, w tuniki: nakładają sobie na głowy wianki z kwiatów i liści uplecione przez matki. Na innych obrazach widzimy, jak procesja młodych kwestarzy podąża w ślad za chłopcem, który niesie majowe drzewko. Na holenderskim płótnie z 1700 roku³⁴ banda dzieciaków biegnie za nim przez wieś, najmłodsze mają wianki na głowach. Dorośli oczekują przed domem na dziecięcy orszak. Miesiąc maj symbolizuje niekiedy długa tyczka w wieńcu z liści i kwiatów³⁵. Ale mniejsza o epizody towarzyszące majowemu drzewku. Zapamiętajmy, że młodzież chodzi po prośbie do dorosłych, a dzieci noszą na głowach wianki z kwiatów. Ten zwyczaj ma zapewne coś wspólnego z ideą odrodzenia wegetacji, symbolizowaną również przez drzewko, które się obnosi po

³⁰ Paul Achard, *Les Chefs de plaisirs*, „Annuaire administratif du département du Vaucluse”, 1869.

³¹ „Droit de barbe et batacule”, Laval, *Université d'Avignon*, s. 44-45.

³² A. Varagnac, *Civilisations traditionnelles*, 1948.

³³ Pory roku, Florencja. H. Göbbel, *op. cit.*, s. 409.

³⁴ Brokenburgh (1650–1702), reprod. w: Berndt, nr 131.

³⁵ Tapiseria z Tournai, H. Göbbel, *op. cit.*, t. II, s. 24.

wsi, a potem sady³⁶. Wianki były może popularną zabawą dzieci, a na pewno atrybutem dzieciństwa dla artystów. Na indywidualnych i rodzinnych portretach bardzo często widzimy dzieci, które noszą lub plotą wianki z kwiatów lub liści, na przykład dwie córeczki Nicolasa Maesa z muzeum w Tuluzie³⁷: jedna wkłada sobie na głowę wianek, druga sięga po kwiaty do koszyka, który podaje jej siostra. Uroczystości majowe kojarzą nam się, siłą rzeczy, z konwencją łączącą dzieciństwo z wegetacją.

Na początku listopada miały miejsce kolejne święta dzieci i młodzieży. „4 i 8 [listopada] – pisze student Platter pod koniec XVI wieku³⁸ – urządziliśmy maskaradę cherubinów. Ja też się przebrałem i poszedłem do domu doktora Sapota na bal”. Była to maskarada młodzieży, nie tylko dzieci. Dziś zwyczaj ten zanikł zupełnie, wyparty przez zaborcze sąsiedztwo Dnia Zmarłych. Opinia nie chciała zaakceptować zbyt bliskiego sąsiedztwa radosnego święta przebierańców. Przetrwało ono jednak w anglosaskiej Ameryce jako Halloween. Nieco później dzień świętego Marcina był okazją do specjalnych manifestacji młodzieży, zwłaszcza szkolnej. W dialogu z początku XVI wieku, mówiącym o życiu szkolnym w Lipsku³⁹, czytamy: „Jutro świętego Marcina. W ten dzień my, uczniowie, zbieramy bogaty plon... jest w zwyczaju, że biedni [uczniowie] chodzą od drzwi do drzwi prosić o pieniądze”. A więc znowu zbiórka pieniędzy po domach, praktykowana przez młodzież w dzień majowego święta. Czasem był to gest przyjaźni, czasem prawdziwa żebrania; odnosimy wrażenie, że natykamy się tu na ślad bardzo starej struktury, kiedy społeczeństwo było zorganizowane w klasy wiekowe. Zostało z niej tylko wspomnienie: w niektórych wielkich obrzędach zbiorowych młodzież odgrywa zasadniczą rolę. Młodzież lub dzieci, podział nadal nie jest wyraźny, choć zmieniły się obyczajowe realia, jak zdaje się świadczyć fakt, iż w XVII wieku wyłącznie małe dzieci, chłopców w tunikach, stroi się w kwietne wianki, podczas gdy w średniowiecznych kalendarzach zdobiły one młodzieńców, którzy osiągnęli wiek miłości.

Rola dzieci i młodzieży w zbiorowych obrzędach – czy to pierwszoplanowe, jak w święto majowe, czy uboczne, jak na Trzech Króli – podporządkowana była tradycyjnemu protokołowi i regułom święta, które mobilizowało całą społeczność i wszystkie grupy wiekowe.

Również i przy innych okazjach ludzie w najrozmaitszym wieku bawili się wspólnie: od XV do XVIII, a nawet początków XIX wieku (w Niemczech) niezliczone sceny rodzinne na obrazach, rycinach i tapiseriach ukazują rodziców

³⁶ Por. I. Mariette, *Cabinet des Estampes*, Ed. 82 in-f^o i Merian, *Cabinet des Estampes*, Ec 11 in-f^o, s. 58.

³⁷ Muzeum Augustianów, Tuluza.

³⁸ *Felix et Thomas Platter [Le Jeune] á Montpellier*, Montpellier 1892, s. 142.

³⁹ L. Massebieau, *Les colloques scolaires*, 1878.

i dzieci, którzy tworzą małą orkiestrę kameralną i akompaniują śpiewakowi. Najczęściej przy okazji wspólnego posiłku. Czasem już sprzątnięto ze stołu, czasem w środku kolacji następuje muzyczne intermedium; tak jest na holenderskim płótnie z 1640 roku⁴⁰: towarzystwo siedzi przy zastawionym stole, chłopiec, który usługuje, przystanął z talerzem i dzbanem wina w ręku, jeden z biesiadników oparł się o kominek, wznosi kielich wina i śpiewa pijacką zapewne piosenkę, drugi sięga po lutnię, żeby mu akompaniować.

Nie zdajemy dziś sobie sprawy, jak ogromne miejsce zajmowały niegdyś muzyka i taniec w życiu codziennym. Autor wydanej w 1597 roku *Introduction to practical music*⁴¹ opowiada, w jakich okolicznościach zaczął uprawiać muzykę. Był na kolacji w towarzystwie: „Kiedy skończyliśmy jeść i gdy zgodnie ze zwyczajem przyniesiono do stołu partytury, pani domu poprosiła z całą powagą, żebym zaśpiewał wskazaną przez nią partię. Musiałem się długo tłumaczyć, że nie umiem czytać nut. Wszyscy byli zdumieni, niektórzy zadawali sobie szeptem pytanie, gdzie też się wychowałem”. Być może, śpiew i muzyka cieszyły się większą popularnością w elżbietańskiej Anglii, ale również we Francji, Italii, Hiszpanii i Niemczech były powszechną praktyką, która mimo wszystkich zmian gustu i udoskonaleń technicznych przetrwała od średniowiecza do XVIII i XIX wieku, czasem dłużej, czasem krócej, zależnie od regionu. Dziś z takim muzykowaniem w domu spotykamy się już tylko w Niemczech, w Europie Środkowej i w Rosji. Kiedyś kwitło nie tylko w środowiskach szlacheckich i mieszczańskich, które lubiły, by je przedstawiano w czasie kameralnego koncertu, ale i wśród ludu, u chłopów i żebraków, gdzie grywało się na dudach, lirze korbowej lub na skrzypkach, które nie miały jeszcze godności dzisiejszych skrzypiec. Dzieci bardzo wcześnie zaczynały grać i śpiewać. Ludwik XIII od najmłodszych lat śpiewał satyryczne, popularne piosenki, które w niczym nie przypominały dziecięcych piosenek ostatnich dwu stuleci; znał też nazwy strun lutni, która była instrumentem szlacheckim. Dzieci biorą udział we wszystkich koncertach utrwalonych na starych płótnach. Często też grywały same, bez dorosłych, i malarze chętnie je przedstawiali z instrumentem w ręku: na przykład na obrazie Fransa Halsa⁴² jeden chłopiec śpiewa, drugi, brat lub kolega, akompaniuje mu na lutni. U Halsa i Le Naina mamy też wiele portretów dzieci grających na flecie⁴³. Popularnym w XVII wieku tematem z życia żebraków⁴⁴ byli mali ulicznicy, słuchający zachłannie grającego na lirze ślepeca z Dziedzińca

⁴⁰ Lamén (1602–1652). *Intermedium muzyczne*, reprodukcja w: Berndt, nr 472.

⁴¹ Thomas Morley, cyt. w: F. Watson, *The English grammar schools to 1660*, 1907, s. 216.

⁴² Franz Hals, *Dzieci muzykujące*, Kassel, Gerson, t. I, s. 167.

⁴³ Franz Hals, *Berlin*. Le Nain, Detroit; *Wóz w Luwrze*.

⁴⁴ Brouwer, *Lirnik wśród dzieci*, Harlem, reprodukcja u W. van Bode, s. 29. *Pracownia Georgesa de la Tour*, wystawa w Orangerie, Paryż 1958, nr 75.

Cudów. Na holenderskim obrazie Vinckelbaonsa⁴⁵ utrwalony został charakterystyczny moment, świadczący już o nowym stosunku do dziecka: lirnik gra przed dziecięcym audytorium, zewsząd zbiegają się ulicznicy, malca, który nie nadąża za kolegami, ojciec bierze na ręce, żeby dziecko nic nie straciło ze święta: uszczęśliwiony malec wyciąga rączki do lirnika.

Tak samo wcześniej dzieci zaczynały tańczyć; widzieliśmy, że Ludwik XIII w wieku trzech lat tańczył galiardę, sarabandę i starą *bourrée*. Porównajmy obraz *Le Nain*⁴⁶ z ryciną Guérarda⁴⁷. Dzieli je pięćdziesiąt lat, ale obyczaje w tym czasie się nie zmieniły, zresztą sztuka ryciny jest raczej konserwatywna. U *Le Nain* dzieci tańczą w kole, jeden z chłopców ma na sobie tunikę z kołnierzem, dwie dziewczynki unoszą złączone ramiona i reszta dzieci przechodzi pod tym mostkiem. Na rycinie Guérarda tańczą w kole dorośli, jedna z młodych kobiet podskakuje do góry jak dziewczynka skacząca ze skakanką. Prawie nie ma różnicy między tańcem dorosłych a tańcem dzieci, dopiero znacznie później taniec dorosłych ulegnie zmianie, a gdy zapanuje walc, stanie się definitywnie tańcem w parach. Tańce zbiorowe, zarzucone przez miasto i dwór, mieszczaństwo i szlachtę, ostaną się jeszcze na wsi, gdzie odkryją je współcześni badacze folkloru, oraz w dziewiętnastowiecznych dziecięcych tańcach w kole. Dzisiaj znikają zresztą i jedne, i drugie.

Taniec jest stałym elementem przedstawień teatralnych, o wiele mniej różni się od baletu niż nasze współczesne tańce w parach. Wiemy z dziennika Heroarda, że w czasach Ludwika XIII ludzie uwielbiali tańczyć; balety i komedie były to gatunki sobie bliskie, występowało się w balecie tak, jak tańczyło się na balu (podobieństwo nazw jest znaczące, dopiero później nastąpił podział: bal dla amatorów, balet dla profesjonalistów). Balet jest nieodłączny od komedii nawet w szkolnych teatrach kolegiów jezuickich. Na dworze Ludwika XIII autorzy i aktorzy rekrutowali się spośród dworskiej szlachty, a także służących i żołnierzy; w przedstawieniach brały udział dzieci.

Czy było tak tylko na królewskim dworze? Nie, to powszechna praktyka. Tekst Sorela⁴⁸ jest dla nas dowodem, że na wsi nigdy nie zaprzestano odgrywania widowisk dramatycznych, porównywalnych z dawnymi misteriami i ze współczesnymi widowiskami pasyjnymi w Europie Środkowej. „Myślę, że byłby wielce zadowolony [Aryst, którego zawodowi komedianci nudzili], gdyby ubrał, jak ja, w s z y s t k i c h w i e j s k i c h c h ł o p a k ó w [a dziewczęta nie?], żeby wystawili tragedię o złym bogaczu na scenie wyrastającej ponad dachy domów. Przed spektaklem wszystkie postaci pokazywały się widzom parami

⁴⁵ Vinckelbaons (1576–1629), reprod. w: Berndt, nr 942.

⁴⁶ *Le Nain*, reprod. w: P. Pierens, *Le Nain*, 1933, pl. XCIII.

⁴⁷ N. Guérard, rycina. Cabinet des Estampes Ee 3 in-f^o.

⁴⁸ Charles Sorel, *Maison des jeux*, 1642, t. I, s. 469-471.

po siedem czy osiem razy, jak figury na zegarze”. „Byłem niezmiernie szczęśliwy, że raz jeszcze mogłem obejrzeć historie o synu marnotrawnym, o Nabuchodonozorze, o amorach Medora i Angeliki, o zstąpieniu Radamantysa do piekieł, odegrane przez aktorów w takiej liberii”. Bohater Sorela ironizuje, w rzeczywistości wcale sobie nie ceni ludowych widowisk. Teksty i inscenizacja ustalone były tradycją, przekazywaną ustnie z pokolenia na pokolenie. W kraju Basków została ona utrwalona, zanim gry dramatyczne zniknęły. Pod koniec XVIII i na początku XIX wieku zapisano i opublikowano „baskijskie pieśni pasterskie”, których tematy należą do repertuaru powieści rycerskiej, jak również renesansowych sielanek⁴⁹.

Gry teatralne, tak samo jak muzyka i taniec, jednoczyły całą społeczność; dzieci i dorośli występowali wspólnie tak wśród aktorów, jak wśród widzów.

Teraz zastanowimy się, jak tradycyjna moralność oceniała te zabawy, zajmujące ogromnie ważne miejsce w życiu dawnych społeczeństw. Otóż ocena nie była jednoznaczna. Z jednej strony przytłaczająca większość akceptowała wszystkie zabawy bez żadnych zastrzeżeń, z drugiej zaś strony wpływowa i oświecona mniejszość rygorystów potępiała niemal wszystkie rozrywki bez wyjątku, uznając je za niemoralne. Przez długi czas obojętność moralna większości i nietolerancja elit współistniały ze sobą: w ciągu XVII i XVIII wieku ustalił się kompromis, który zapowiadał współczesną postawę wobec zabawy, diametralnie różną od dawnej. Sprawa jest dla nas interesująca, bo świadczy także o ewolucji stosunku do dziecka; pojawia się oto nie znana dotąd troska o ochronę jego moralności, a także o jego edukację. Zakazuje się dziecku tych zabaw, które od tej pory uważane są za złe, zaleca zaś zabawy uznane za dobre.

O tym, jak dalece zabawa była moralnie obojętna, świadczy fakt, że jeszcze w XVII wieku gry hazardowe cieszyły się estymą. Dziś wydają nam się podejrzane i niebezpieczne, wygrana w grze uchodzi za niemoralny i niegodny dochód. Nadal grywamy w gry hazardowe, ale z nieczystym sumieniem. W XVII wieku było inaczej: nasze dzisiejsze, nieczyste sumienie jest wynikiem wychowania w duchu moralności, które uczyniło z dziewiętnastowiecznego społeczeństwa społeczeństwo ludzi „prawomyślnych”.

„Fortuna wielkich panów i utytułowanych młodzieńców”⁵⁰ to poradnik dla młodych szlachciców, jak zrobić karierę. Autor, marszałek de Caillière, nie jest bynajmniej awanturnikiem: napisał budującą biografię ojca Ange de Joyeuse, świątobliwego zakonnika Ligi, jest człowiekiem wierzącym, jeśli nie przesadnie nabożnym, pozbawionym zresztą zupełnie talentu i oryginalności. Jego książka odzwierciedla więc powszechną opinię ludzi dobrze urodzonych

⁴⁹ Larché de Languis, autor *Pastorales basques*, 1769.

⁵⁰ Maréchal de Caillière, *La fortune des gens de qualité et des gentilshommes particuliers*, 1661.

w czasach, gdy się ukazała (1661). Marszałek de Caillière skwapliwie przestrzega młodych ludzi przed rozpustą, jest ona bowiem nieprzyjaciółką nie tylko cnoty, lecz i fortuny, które z konieczności idą w parze: „Okazje przypodobania się pryncypałowi uciekają młodemu rozpustnikowi przez okna burdelu albo kabaretu”. Czytelnik współczesny, który ze znużeniem przegląda te komunały, tym bardziej jest zdziwiony, gdy nasz moralista zaczyna rozprawiać o społecznej użyteczności gier hazardowych. „Czy *particulier* [skrót od *gentilhomme particulier*, tj. zwykły szlachetka zmuszony do zarabiania na życie w przeciwieństwie do wielkich panów] powinien grać w gry hazardowe i jak?”, brzmi tytuł rozdziału. Rzecz nie jest sama przez się oczywista: marszałek przyznaje, że zawodowi moralisci, ludzie Kościoła, bezapelacyjnie potępiają grę. Mógłby się zatem poczuć skrępowany, zmuszony do długich wyjaśnień. Ma jednak inne zdanie, pozostał wierny tradycyjnej opinii ludzi świeckich i stara się ją uzasadnić moralnie: „Nie jest niemożliwym dowieść, że gra może być bardziej pożyteczna niż szkodliwa, jeśli towarzyszą jej odpowiednie okoliczności”. „Powiadam, że o ile dla wielkiego pana [czyli bogatego szlachcica] gra jest niebezpieczna, o tyle dla *particulier* [czyli szlachcica w potrzebie], jest pożyteczna. Jeden wiele ryzykuje, bo jest bardzo bogaty, drugi nie ryzykuje niczym, bo nie ma majątku, a przecież tyleż samo może oczekiwać od fortuny co wielki pan”. Jeden ma wszystko do stracenia, drugi wszystko do wygrania: dziwne zaiste rozróżnienie moralne!

Ale według Caillière’a gra ma jeszcze inne zalety niż tylko sama wygrana: „Zawsze uważałem, że zamiłowanie do gry jest darem natury, o którego użyteczności nie wątpię”. „Przyjmuję za pewnik, że wszyscy naturalnie lubimy grać”. „Gry zręcznościowe [do których dzisiaj bardziej byśmy zachęcali] są przyjemne do oglądania, ale nie przynoszą korzyści”. „Mam na myśli grę w karty i w kości”, precyzuje marszałek. „Słyszałem od pewnego mądrego gracza, który dzięki grze zyskał spory majątek, że nie znalazł innego sekretu przemiany gry w sztukę, jak zapanować nad swoją namiętnością i potraktować ją jako zawód pozwalający zarobić pieniądze”. Niechaj gracz się nie lęka, bo brak szczęścia go nie zaskoczy: graczowi zawsze łatwiej zaciągnąć pożyczkę „niż dobremu kupcowi”. „Co więcej, gra daje owemu szlachetce wstęp do najlepszego towarzystwa, człowiek zręczny może stąd wyciągnąć niebagatelne korzyści... Znam takich, co jedyny dochód czerpią z kart i gry w trzy kości, a bardziej błyszczą w świecie niż prowincjonalni wielmoże z ich wielkimi majątkami” (ale bez gotówki).

Zacny marszałek kończy swój wywód zdumiewającą dla naszej moralności uwagą: „Człowiekowi, który umie i lubi grać, radzę postawić pieniądze; ponieważ ma ich niewiele, niewiele też ryzykuje, a zyskać może sporo”. Dla biografy ojca Ange gra jest nie tylko rozrywką, ale i profesją, najzupełniej przyzwoitym sposobem zdobywania pieniędzy i nawiązywania stosunków.

Nie jeden Caillière jest tego zdania. Kawaler de Méré, uważany za światowca i człowieka obytego, wypowiada się podobnie w swoim traktacie o obcowaniu w świecie⁵¹. „Zauważyłem też, że gra sprawia dobre wrażenie, jeśli się to robi zręcznie i z wdziękiem; w ten sposób człowiek może trafić wszędzie tam, gdzie się grywa, a książęta często by się nudzili, gdyby nie urozmaicali sobie czasu grą”. Tu podaje znakomite nazwiska: Ludwik XIII (który dzieckiem wygrał turkus w *blanque*), Richelieu, „który odpoczywał przy grze w *prime*”, Mazarini, Ludwik XIV i „królowa-matka, co już tylko albo gra, albo się modli”. „Jakiegokolwiek by się miało zasługi, trudno się cieszyć dobrą sławą, jeśli się nie bywa w wielkim świecie, a gra otwiera człowiekowi wszystkie drzwi. To pewny sposób, żeby się znaleźć w dobrym towarzystwie, zwłaszcza jeśli człowiek postępuje wytwornie”, to znaczy bez wszelkich „dziwactw”, „kaprysów” i przesądów. „Trzeba grać uczciwie, być gotowym zarówno na przegraną, jak na wygraną, a przy tym ani wyrazem twarzy, ani zachowaniem nie dać nic po sobie poznać”. Gracz musi jednak uważać, żeby nie zrujnować przyjaciół: choćbyśmy nie wiem jak przemawiali sobie do rozsądku, „zawsze mamy w sercu żal do tych, którzy nas zrujnowali”.

Skoro gry hazardowe nie spotykały się z moralnym potępieniem, nie było powodu zabronić ich dzieciom: stąd te niezliczone w sztuce obrazy dzieci grających w karty, w kości, w tryktraka itp. Dialogi szkolne, które służyły uczniom za podręczniki dobrych manier a zarazem łacińskich słówek, wyrażają się o grach przychylnie, choć może bez entuzjazmu, jako o szeroko przyjętej praktyce. Hiszpan Vives⁵² próbuje sformułować kilka reguł pozwalających uniknąć ekscesów: kiedy grać, z kim (wystrzegać się złego towarzystwa), w co, ile stawiać – „głupotą jest stawka zbyt niska, bo od tego zaraz się człowiek upaja, nie powinna też być za wysoka, żeby jeszcze przed grą nie zamąciło się człowiekowi w głowie” – jak stawiać (to znaczy jak być dobrym graczem) i jak długo.

Nawet w kolegiach, najskuteczniejszym miejscu umoralniania, gry na pieniądze były przez długi czas praktykowane, mimo że wychowawcy niechętnie się na to godzili. Na początku XVIII wieku regulamin kolegium oratoriańców w Troyes precyzuje: „Nie wolno grać na pieniądze, chyba że z rzadka i za pozwoleniem”. Badacz, który w 1880 roku ten tekst komentuje, nieco zbity z tropu zwyczajami tak odległymi od współczesnych norm wychowania, stwierdza, iż „w praktyce gra na pieniądze była dozwolona”⁵³. Cóż, w każdym razie była tolerowana.

⁵¹ Méré, *Oeuvres*, wyd. Ch. Boudhors, 3 tomy, 1930.

⁵² J. R. Vives, *Dialogistice linguae latinae exercitatio*, tłum. francuskie 1571.

⁵³ G. Carré, *Les Elèves de l'ancien collège de Troyes*, „Mémoires de la Société académique de l'Aube”, 1881.

Jeszcze około roku 1830 w angielskich *public schools* grano otwarcie w loterie i szły zakłady o wysokie stawki. Autor „Szkolnych dni Toma Browna” mówi o gorączce zakładów, jaka ogarniała uczniów w związku z grą w rugby; reforma dr Arnolda wyeliminuje później ze szkoły angielskiej wielowiekowe praktyki, przyjmowane niegdyś obojętnie, a teraz uznane za niemoralne i grzeszne⁵⁴.

Od wieku XVIII po dzień dzisiejszy postawa moralna wobec gier hazardowych ewoluowała w sposób dość złożony. O ile powszechne jest przekonanie, że hazard to niebezpieczna namiętność i zgubny nałóg, o tyle w praktyce wiele gier uległo transformacji: hazard odgrywa w nich mniejszą rolę, liczy się przede wszystkim umiejętność kalkulacji i wysiłek intelektualny gracza. I dlatego niektóre gry karciane oraz szachy nie są przedmiotem bezapelacyjnego potępienia, jak sama zasada gry hazardowej. Inną ewolucję przeszedł taniec, też przecież służący rozrywce. Widzieliśmy, jak ważne zajmował miejsce w życiu codziennym dorosłych i dzieci. Mniej nas to dziś szokuje niż powszechna praktyka gier hazardowych. Wiadomo, że nawet zakonnicy niekiedy tańczyli, co wcale nie oburzało opinii, przynajmniej w czasach poprzedzających Reformę zakonów w XVII wieku. Życie opactwa Maubisson na początku XVII wieku, kiedy przybyła tam, by je zreformować, matka Angelika Arnauld, nie było może budujące, ale niekoniecznie skandaliczne – na pewno zbyt światowe. „W letnie dni – cytuje matkę Angelikę jej biograf, L. Cognet⁵⁵ – jeśli pogoda była ładna, po nieszporach, przeorysza wyprowadzała mniszki z klasztoru nad stawy przy drodze do Paryża, gdzie często zachodzili mnisi z pobliskiego Świętego Marcina z Pontoise, żeby tańczyć z mniszkami równie swobodnie, jak to się robi w świecie, gdzie nikt by na to złego słowa nie powiedział”. Wspólne tańce mniszek z zakonnikami oburzyły matkę Angelikę od świętego Jana; trzeba przyznać, że nie bardzo odpowiadały duchowi klasztorowego życia, nie sprawiały jednak tak szokującego wrażenia, jakie wywołałyby dziś widok obejmujących się w tańcu par w habitach. No cóż, zakonnicy nie znali nowoczesnych figur tanecznych i nie mieli poczucia, że ich taniec jest czymś nieprzyzwoitym. Tradycyjnym zwyczajem były tańce kleryków przy pewnych szczególnych okazjach. Na przykład w Auxerre⁵⁶ każdy nowy kanonik dla uczczenia szczęśliwego wydarzenia (swojej nominacji) dawał parafianom w prezencie piłkę – albo *soule* – i rozgrywano wielką wspólną grę w dwu drużynach: kawalerowie przeciwko żonatom, albo jedna parafia przeciwko drugiej. W Auxerre święto zaczynało się od odśpiewania *Victimae laudes Paschali*, a kończyło tańcem w kole w wykonaniu wszystkich kanoników. Historycy mówią, że ten czternastowieczny ponoć zwyczaj był praktykowany jeszcze w wieku XVIII. Jest możliwe, że zwolennicy

⁵⁴ Thomas Hughes, *Tom Brown's school days*, 1857.

⁵⁵ L. Cognet, *La Mère Angélique et saint François de Sales*, 1951, s. 28.

⁵⁶ J.-J. Jusserand, *op. cit.*

reformy trydenckiej patrzyli na tańce kanoników tak samo złym okiem, jak matka Angelika od świętego Jana na tańce siostrzyczek z Maubisson z ojcami z Pontoise. W różnych czasach różne jest poczucie tego, co uchodzi, a co nie. W XVII wieku tańce nie miały tego seksualnego charakteru, jakiego nabrały później, w XIX i XX wieku. Istniały nawet tańce poszczególnych zawodów i profesji, jak na przykład popularny na Biskajach taniec piastunek, które płaśały z niemowlętami na rękach⁵⁷.

Toteż stosunek do tańca mniej nam mówi o obojętności dawnego społeczeństwa na moralny bądź niemoralny charakter rozrywek niż stosunek do gier hazardowych. Pozwala jednakowoż ocenić, jak srodze nietolerancyjne były elity reformatorskie.

W społeczeństwie czasów dawnego ustroju gry we wszystkich możliwych postaciach – fizyczne, towarzyskie, hazardowe – zajmowały niezmiernie ważne miejsce, które utraciły w naszych społeczeństwach technicznych, lecz które zajmują nadal w istniejących do dziś społeczeństwach prymitywnych i archaicznych⁵⁸. Namietność, której oddawano się w każdym wieku i bez różnicy stanu, spotkała się z absolutnym potępieniem Kościoła, a także ludzi świeckich, ceniących rygor i ład, i próbujących okiełznać dzikie jeszcze masy ludzkie, ucywilizować pierwotne jeszcze zwyczaje.

Kościół średniowieczny potępiał grę w każdej postaci bez wyjątku, szczególnie we wspólnotach kleryckich, z których wywodzą się kolegia i uniwersytety. Ich statuty świadczą o tym, jak nieprzejednane było stanowisko Kościoła w tej materii. Angielskiego historyka uniwersytetów średniowiecznych H. Rashdalla⁵⁹ uderzyło generalne odrzucenie wszelkich rozrywek, nieuznawanie, że istnieją zabawy niewinne w statutach szkół, do których chodzili przecież głównie chłopcy w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Potępiano niemoralność gier hazardowych, nieprzyzwoitość gier towarzyskich, komedii oraz tańca, wreszcie brutalność gier fizycznych, które istotnie kończyły się często bijatyką. Statuty kolegiów zredagowane zostały właśnie po to, by ograniczyć okazje do zabawy i zmniejszyć ryzyko wykroczeń. Ustawa soboru w Sens z 1485 roku kategorycznie zabrania zakonnikom grać w piłkę, szczególnie w samej koszuli i publicznie; prawda, że w XV wieku, jeśli człowiek nie miał na sobie kaftana albo sukni, a spodnie nosił rozpięte, to wszystko mu było widać jak na dłoni! Kościół, który nie był jeszcze w stanie zapanować nad ludźmi świeckimi, oddającymi się burzliwym zabawom, pragnął uchronić przynajmniej swoich zakonników, zakazując im absolutnie jakichkolwiek gier. Kontrast między

⁵⁷ Nazywał się ten taniec Karril-danza. Informacja pani Gil Reicher.

⁵⁸ R. Caillois, *Quatre Essais de sociologie contemporaine*, 1951.

⁵⁹ H. Rashdall, *The Universities of Europe in the Middle Ages*, 1895, 3 tomy, wznow. 1936.

dwoma trybami życia musiał być ogromny... o ile zakazu naprawdę przestrzegano. Oto co regulamin wewnętrzny kolegium w Narbonne⁶⁰ w wersji z 1379 roku mówi o zabawach pensjonariuszy: „W domu nikt nie ma prawa grać w piłkę albo w *crosse* [rodzaj hokeja], albo w inne niebezpieczne (*insultuosos*) zabawy pod karą sześciu denarów; pod karą dziesięciu sous zabrania się gry w kości czy jakiegokolwiek innej na pieniądze oraz wesołych kolacyjek (*comestiones*)”. Gra i obżarstwo traktowane są tak samo. A więc nigdy nie wolno się odprężyć? „Można co najwyżej czasami i z rzadka [co za ostrożność! Szybko o niej zapomniano, zresztą faktycznie to przecież otwarte drzwi do wszystkich potępianych wybryków!] oddawać się uczciwej i wypoczynkowej zabawie [jakiej, skoro nawet gra w piłkę jest zabroniona; może grom towarzyskim?], jeśli stawką jest pinta albo kwarta wina lub owoce, i pod warunkiem, że gra się cicho i tylko wyjątkowo (*sine mora*)”.

W kolegium w Seez w 1477 roku⁶¹: „Nikomu nie wolno oddawać się grze w kości ani w inne gry nieuczciwe i zabronione, ani nawet w takie jak gra w piłkę, zakazane we wspólnych pomieszczeniach [to znaczy na dziedzińcu klasztornym, bo wspólna sala służyła jako refektarz], a dozwolone gdzie indziej pod warunkiem, że grywa się rzadko (*non nimis continue*)”. Jeden z rozdziałów wydanej w 1501 roku bulli kardynała d’Amboise, założyciela kolegium w Montaigu, nosi tytuł: *De exercito corporali*⁶². Co to znaczy? Tekst zaczyna się od ogólnej i raczej dwuznacznej uwagi: „Ćwiczenia fizyczne wydają się niezbyt użyteczne, jeśli są połączone ze studiami duchowymi i religijnymi, natomiast dobrze służą zdrowiu, gdy się je uprawia na przemian ze studiami teoretycznymi i naukowymi”. Ale przez ćwiczenia fizyczne rektor rozumie nie tyle gry, ile prace ręczne, przeciwstawione umysłowym; ma na myśli w pierwszym rzędzie prace domowe, będące jego zdaniem również wypoczynkiem: dyżury w kuchni, sprzątanie, usługiwanie do stołu. „Przy wszystkich tych ćwiczeniach [to znaczy zajęciach domowych] trzeba się żwawo i sprawnie uwijać”. Zabawy dopuszcza się dopiero po robocie, i to z jakimi zastrzeżeniami! „Kiedy ojciec przełożony uzna, że zmęczone pracą i nauką umysły potrzebują rekreacji, będzie je tolerował (*indulgebit*)”. Gry uczciwe, nie męczące i bezpieczne, są dozwolone we wspólnych pomieszczeniach. W Montaigu były dwa rodzaje studentów: stypendyści, których nazywano *pauperes*, oraz pensjonariusze, którzy płacili za internat. Obie grupy mieszkały osobno. Regulamin przewiduje, że stypendystom wolno grać krócej i rzadziej niż ich kolegom, pewnie dlatego, że muszą być od tamtych lepsi, a więc bardziej skupieni na nauce. Reforma

⁶⁰ Félibien, V, s. 662.

⁶¹ *Ibid.*, s. 689.

⁶² *Ibid.*, s. 721.

Uniwersytetu Paryskiego w 1452 roku⁶³, choć sformułowana w duchu nowoczesnej już dyscypliny, trwa przy tradycyjnych rygorach: „W dni świąteczne nauczyciele zakażą uczniom [kolegów] niemoralnych i niepocziwych tańców oraz nieprzyzwoitych świeckich strojów [krótkich, bez sukni]. Zezwolą im na przyjemną i zacną zabawę, żeby mogli odetchnąć od pracy i wypocząć”. „Nie pozwolą im w święta pić na mieście ani chodzić po domach”. Reformator ma na myśli tradycyjny orszak, kiedy w czasie świąt sezonowych młodzież chodziła po domach z kwestą i życzeniami. W jednym z dialogów szkolnych Vives tak przedstawia sytuację w szesnastowiecznym Paryżu⁶⁴: „Uczniowie grywają jedynie w piłkę za zgodą nauczycieli, ale czasem w sekrecie grają w karty i w szachy, mali chłopcy grają w *garignons*, największe urwisy – w kości”. Faktycznie uczniowie, tak samo jak inni miejscy chłopcy, chodzili do tawern i szulerni, tańczyli i grali w karty. Rygorystycznym zakazom towarzyszyła nieodmiennie bezskuteczność: zdumiewające to dla współczesnego człowieka, który wyżej sobie ceni skuteczność niż zasady!

Akcję ludzi Kościoła i nauczycieli popierali oficerowie wymiaru sprawiedliwości i policji, prawnicy ceniący ład i sprawną administrację, dyscyplinę i aurytet. Przez całe stulecia nieprzerwanie przepisy broniły uczniom wstępu do sal gier. W Muzeum Sztuki i Tradycji Ludowych zachowała się osiemnastowieczna tablica ogłoszeń z obwieszczeniem wydanym przez szefa policji w Moulins 27 marca 1752 roku: „Zabrania się nauczycielom gry w piłkę i w bilard zezwalać na grę w godzinach lekcyjnych, a tym, co mają kule, kręgle i inne przybory do gier, używać ich do grania uczniom i służącym”. Proszę zwrócić uwagę na to łączenie uczniów ze służącymi, którzy byli często w tym samym wieku i których porywczoci i braku opanowania tak się obawiano. Kule i kręgle, dziś rozrywki stateczne, powodowały niegdyś poważne bójkę, tak iż w XVI i XVII wieku policja zakazywała ich czasem zupełnie, próbując objąć całe społeczeństwo restrykcjami, które ludzie Kościoła chcieli narzucić klerykom i uczniom. Głosiciele porządku i moralności w praktyce zaliczali gry do wykroczeń, takich jak pijaństwo i prostytutka; można je było w ostateczności tolerować, ale przy najmniejszych ekscesach – bezwzględnie zakazać.

Ta potępiająca gry postawa zmieniła się jednak w wieku XVII, głównie za sprawą jezuitów. Humanisci czasów renesansu w swej antyscholastycznej reakcji dostrzegli już wychowawcze zalety gier. Ale dopiero kolegia jezuitów narzuciły stopniowo stróżom porządku publicznego bardziej tolerancyjną opinię na ich temat. Jezuici od początku zrozumieli, że nie jest możliwe ani nawet pożądane zlikwidować gry, czy choćby tylko ograniczyć ich repertuar do paru układkami tolerowanych. Przeciwnie, postanowili je zaakceptować

⁶³ Por. Théry, *Histoire de l'éducation en France*, 1858, t. II.

⁶⁴ J. R. Vives, *op. cit.*

i wprowadzić do oficjalnego programu nauczania, z tym że sami je wybiorą, uregulują i będą kontrolować. Tak zdyscyplinowane rozrywki zostały przyjęte, zalecone i uznane od tej pory za równie wartościowe środki wychowawcze, jak sama nauka. Nie tylko przestano mówić o niemoralności tańca, ale zaczęto go uczyć w szkole, ponieważ taniec nadaje ruchom ciała harmonię, leczy człowieka z niezgrabności, zapewnia mu lekkość, dobrą postawę, „piękny wygląd”. Wprowadzono również do szkół komedię, tak poniewieraną przez siedemnastowiecznych moralistów. U jezuitów wystawiano na początek dialogi łacińskie, głównie na tematy religijne, potem przechodzono do teatru francuskiego, do tematów świeckich. Nawet balety były tolerowane, i to mimo sprzeciwu władz Bractwa: „Zamiłowanie do tańca – pisze P. de Dainville⁶⁵ – tak żywe u poddanych Króla-Słońce, który w 1669 roku założył Akademię tańca, okazało się silniejsze niż zakazy generałów zakonu. Po roku 1650 każdą niemal tragedię urozmaicały występy baletowe”.

Album rycin Crispisna de Posa z 1602 roku przedstawia sceny z życia szkolnego w kolegium „u Batawian”: nauka w klasach, zajęcia w bibliotece, a także lekcja tańca i gra w piłkę⁶⁶. Rozrywki, dotąd zakazane bądź ledwie tolerowane jako mniejsze zło, na dobre przyjęły się w szkole. Jezuiti opracowali łacińskie podręczniki gimnastyki, zawierające regulaminy zalecanych gier. Coraz powszechniej uznawano potrzebę ćwiczeń fizycznych. Fénelon pisał: „Dzieci najbardziej lubią gry, które zmuszają całe ciało do ruchu; cieszą się, gdy tylko nie każe im się siedzieć w miejscu”. Na podstawie starych „gier zręcznościowych” i łacińskiej gimnastyki jezuitów osiemnastowieczni lekarze⁶⁷ opracowali nową technikę higieny ciała: wychowanie fizyczne. W napisanym przez Crouseza, profesora filozofii i matematyki w Lozannie, „Traktacie o wychowaniu dzieci” z 1722 roku czytamy: „Ciało człowieka w okresie dorastania wymaga ruchu... Uważam, że ćwiczenia fizyczne są ważniejsze od wszystkich innych”. „Gimnastyka medyczna i chirurgiczna” Tissota zaleca gry fizyczne, najlepsze ćwiczenia dla ciała: „Wszystkie członki nabierają sprawności... nie mówiąc już o tym, że nawoływania i okrzyki graczy zwiększają pojemność płuc”. Pod koniec XVIII stulecia ćwiczenia fizyczne zyskały nowe, patriotyczne uzasadnienie: przygotowują do wojny. Zrozumiano wtedy, jakie usługi może oddać wojsku wychowanie fizyczne. Musztra wojskowa stała się niemal dyscypliną naukową w czasach, gdy pojawiły się załączki nowoczesnego nacjonalizmu. Kształtujące zabawy jezuitów, gimnastykę zalecaną przez lekarzy, szkolenie żołnierza i wymogi patriotyzmu łączy pewne pokrewieństwo. Za Konsulatu ukazuje się „Gimnastyka młodzieży, czyli elementarz ćwiczeń i gier rozpatrywanych pod kątem ich

⁶⁵ P. de Dainville, *Entre nous*, 1958, 2.

⁶⁶ *Academia sive speculum vitae scolasticae*, 1602.

⁶⁷ J.-J. Jusserand, *op. cit.*

fizycznej i moralnej przydatności”. Autorzy, Duvivier i Jauffret, piszą wprost: podstawą gimnastyki są ćwiczenia wojskowe, „zwłaszcza w naszych czasach [rok XI] i w kraju, w którym żyjemy”. „Nasze dzieci są żołnierzami, zanim się urodzą, natura bowiem i duch naszej konstytucji z góry przenaczyły je do wspólnej obrony”. „Wszystko co wojskowe tchnie wielkością i szlachetnością, która wynosi człowieka ponad jego ograniczenia”.

Tak oto za sprawą humanistycznych pedagogów, oświeceniowych lekarzy i pierwszych nacjonalistów przeszliśmy od gwałtownych i podejrzanych gier w starym stylu do gimnastyki i przygotowania wojskowego, od ludowych walk i bijatyk do towarzystw gimnastycznych.

Troska o moralność, zdrowie i wspólne dobro doprowadziła do ewolucji gier, które jednocześnie uległy specjalizacji: niegdyś wspólne całemu społeczeństwu, teraz dostosowane zostały do odpowiednich grup wiekowych i klas społecznych.

Daniel Mornet w swojej „Historii literatury klasycznej”⁶⁸ tak pisze o grach towarzyskich: „Młodzi *bourgeois* z mojego pokolenia [urodził się w 1878] zabawiając się w rozmaite gry na tańczących porankach w swoich rodzinnych domach, nie zdawali sobie na ogół sprawy, że te gry, liczniejsze i bardziej skomplikowane, dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej były rozrywką warstwy najbardziej uprzywilejowanej”. Ba, już znacznie wcześniej! W „Godzinkach” księżnej burgundzkiej z XV wieku⁶⁹ mamy ilustrację gry w „liściki”: dama trzyma na kolanach koszyczek, do którego młodzieńcy wkładają papierki. Pod koniec wieków średnich takie gry-oferty, gry repliki, były bardzo modne. „Dama rzucała kawalerowi (albo kawaler damie) nazwę kwiatu lub jakiegoś przedmiotu, a ten (ta) musiał z miejsca odpowiedzieć do rymu komplementem lub epigramem”. Tak nam wyjaśnia zasadę gry wydawca pism Christine de Pisan, która skomponowała 70 takich gier-rymowanek⁷⁰. Na przykład:

Oferuję pani różę.
– Sercem moim tobie służę.
Więcej wyznać się nie ważę.
Sama zgadnij, o czym marzę.

Początkowo były to gry i zabawy dworskie, które później przeszły do ludowych piosenek i do dziecięcych wyliczanek, jak gra w koszyczek, którą zabawiał się trzyletni Ludwik XIII. Ale dorośli i młodzież dalej się w nie bawili. Te same

⁶⁸ D. Mornet, *Histoire de la littérature classique*, 1940, s. 120.

⁶⁹ Chantilly.

⁷⁰ Christine de Pisan, *Oeuvres poétiques*, wyd. M. Roy, 1886, s. 34, 188, 196, 205.

gry przedstawia dziewiętnastowieczna plansza z obrazkami z Epinalu, ale tytuł planszy brzmi *Zabawy dawnych czasów*, czyli że wyszły już z mody, stały się prowincjonalne, grają w nie tylko dzieci i pospólstwo: „salonowiec”, „gwizdek”, „nóż do wiadra”, „chowany”, „lata ptaszek po ulicy”, „miły kawaler”, „ciuciubabka”, „człowieku nie śmieję się”, „obrażalski”, „siodełko”, „całus pod świecznikiem”, „kołyska miłosna”. Niektóre gry przejęły dzieci, inne zachowały dwuznaczny i niezupełnie niewinny charakter, z którego to powodu ściągały niegdyś na siebie gromy moralistów, nawet nie bardzo surowych, jak Erazm⁷¹.

„Dom gier” Sorela pozwala nam uchwycić tę ewolucję w ciekawym momencie, w pierwszej połowie XVII wieku⁷². Sorel rozróżnia gry towarzyskie, „zręcznościowe” i „hazardowe”. W te ostatnie „grają wszyscy, sładzy tak samo jak panowie... z taką samą łatwością ludzie głupi i grubiańscy, jak uczeni i subtelni”. Gry towarzyskie natomiast wymagają „ciętego dowcipu i umiejętności konwersacji”. W zasadzie „mogą się podobać jedynie osobom wysokiego stanu, które wiedzą, co to grzeczność i galanteria, mają dar wymowy i błyskawicznej riposty, są bystre i wykształcone; inni w te gry bawić się nie potrafią”. Taką w każdym razie opinię o grach towarzyskich ma Sorel. Faktycznie w jego czasach zabawiały się w nie także dzieci oraz lud, „ciemny i grubiański”. Sorel musi to przyznać. „Gry dziecięce możemy nazwać pierwszymi grami”. „Są wśród nich gry zręcznościowe” (laska, klocki, bąk, drabinki, piłka, wolant, „spróbuj go złapać z otwartymi lub zawiązanymi oczami”), a także „inne, wymagające więcej dowcipu”. Tu Sorel daje przykład „rymowanych dialogów”, rymowanek Christine de Pisan, które bawiły i dużych, i małych. Sorel domyśla się, że są to gry bardzo stare: „Te dziecięce zabawy w rymowanie [koszyczek, na przykład] o bardzo starych i prostych słowach, wzięte zostały z historii i opowieści z dawnych czasów; pokazują one, jak się niegdyś ludzie zabawiali, i naiwnie przedstawiają to, co się przydarzyło szlachetnie urodzonym damom i kawalerom”.

Sorel zauważa, co bardzo istotne, że w dziecięce gry bawi się również lud: „Gry dziecięce służą także prostakom, nie bardziej oświeconym od dzieci”. Niemniej Sorel przyznaje, że na początku XVII wieku „osoby wysokiego stanu również oddają się tym zabawom dla odprężenia”. Opinia nie widzi w tym nic zdrożnego: gry „mieszane”, czyli wspólne dla każdego wieku i stanu, „są godne polecenia, bo zawsze dobrze służyły...” „Są gry, które nie zmuszają umysłu do wysiłku, toteż może się w nich wprawiać niedojrzała młodzież, choć przyznać trzeba, że czasami służą także starszym i poważnym osobom”. Nie wszyscy godzą się z tym stanem rzeczy. W „Domu gier” Aryst uważa, że rozrywki dzieci i prostaków są niegodne człowieka bywałego w świecie. Sam Sorel nie skreśliła ich jednak zupełnie: „Nawet te, co wydają się liche, można udoskonalić,

⁷¹ Erazm, *op. cit.*

⁷² Ch. Sorel, *op. cit.*

znajdując dla nich nowe zastosowanie, inne od pierwotnego, które podałem tylko dla przykładu”. I próbuje podnieść poziom intelektualny tych domowych „gier towarzyskich”. Prawdę mówiąc, nie bardzo dziś rozumiemy, dlaczego gra w morę, w której prowadzący pokazuje jeden lub dwa, lub trzy palce, a towarzystwo musi natychmiast ten gest dokładnie powtórzyć, miałyby być bardziej dowcipna i na wyższym poziomie niż gra w koszyczek, pozostawiona definitywnie dzieciom. Zgadza się raczej z Arystem, który patrzy na nie wszystkie krytycznym okiem. Jeszcze bardziej nas dziwi sam fakt, że Sorel, powieściopisarz i historyk, poświęcił poważną księgę tym rozrywkom i ich rewizji: to jeszcze jeden dowód, jak ważne było ich miejsce w życiu społeczeństwa dawnych czasów.

W XVIII wieku rozróżniano więc gry dla dorosłych i szlachty oraz gry dla dzieci i gminu. Takie rozróżnienie istniało już w wiekach średnich. Wówczas jednak, w XII wieku, dotyczyło niewielu specyficznych gier, mianowicie rycerskich. Jeszcze wcześniej, zanim ukształtowało się ostatecznie pojęcie szlachty, gry i zabawy były jednakie dla wszystkich, niezależnie od ich miejsca na drabnie społecznej. Niektóre przez długi czas zachowały ten charakter: Franciszek I i Henryk II nie gardzili zapasami, Henryk II grywał w piłkę. W następnym stuleciu nie było to już przyjęte. Richelieu uprawiał skoki w swojej galerii, tak jak Tristan na dworze króla Marka. Ludwik XIV grał w piłkę. Ale w wieku XVIII te tradycyjne gry zostają ostatecznie zarzucone przez szlachetnie urodzonych.

Od wieku XII niektóre gry są zastrzeżone wyłącznie dla rycerzy⁷³, i to dorosłych. Zapasy były grą pospolitą, turniej i gonitwa do pierścienia – grami rycerskimi. W turnieju nie mogli brać udziału ludzie niskiego stanu, tak samo zresztą jak szlacheckie dzieci: może właśnie wtedy po raz pierwszy zabroniono uczestnictwa w grze zbiorowej jednocześnie dzieciom i ludziom pospolitym. Dzieci naśladowały więc zakazane zabawy: kalendarz w brewiarzu Grimani pokazuje groteskowe turnieje dzieci, wśród których rozpoznano przyszłego Karola V: siedzą okrakiem na beczkach jak na rumakach.

Pojawia się nowa tendencja: szlachetnie urodzeni nie powinni przestać z gminem, mają się bawić wśród swoich. Nie stało się tak jednak aż do momentu, gdy w XVII wieku szlachta utraciła swoją pozycję społeczną na rzecz mieszczaństwa. Wiele dokumentów ikonograficznych z XVI i początku XVII wieku świadczy o wymieszaniu rang podczas obchodów wielkich świąt sezonowych. W dialogu z *Dworzanina* Baltazara Castiglione⁷⁴, klasycznego, szesnastowiecznego dzieła przetłumaczonego na wszystkie języki, jest dyskusja

⁷³ De Vries i Marpugo, *Le Bréviaire Grimani*, 1904–1910, 12 tomów.

⁷⁴ B. Castiglione, *Il cortegiano*, 1528. Polska adaptacja dzieła Castiglione przez Ł. Górnickiego niezupełnie pokrywa się z przekładem francuskim. Stąd brak odpowiednich cytatów z polskiego *Dworzanina* – przyp. tłum.

na ten temat i nie ma wśród rozmówców zgody: „U nas w Lombardii, mówi pan Pallacivino, inaczej na to patrzą [że dworzanin ma się bawić wyłącznie ze szlachcicami]: wielu dobrze urodzonych panów tańczy w święta przez cały boży dzień z chłopami i bawi się z nimi w wyścigi, zapasy i skoki; ja nie widzę w tym nic zdrożnego”. Na co odzywają się protesty, a w końcu dyskutanci przystają, że w ostateczności szlachcic może iść w zawody z chłopami pod warunkiem, że bez wysiłku z nimi wygra: musi być „pewien wygranej”. „Przykry i upokarzający jest widok szlachcica pokonanego przez chłopą, zwłaszcza w zapasach”. Duch sportowy był wtedy jeszcze rzeczą nieznaną, chyba że w postaci feudalnego honoru i tylko w ramach gier rycerskich.

Pod koniec XVI wieku skończyły się turnieje. Zastąpiły je inne popisy zręczności, urządzone przez szlachecką młodzież na dworze i w Akademiach, gdzie w pierwszej połowie XVII wieku młodzi szlachcice wprawiali się we władaniu bronią i w jeździe konnej. Gonitwa do kwintany: celowanie kopią w drewnianą figurę lub garnek, które zastąpiły żywy cel z dawnych turniejów. Bieg do pierścienia: zrywanie w galopie pierścienia. W podręczniku Pluvinela, dyrektora Akademii, na rycinie Crispina de Posa⁷⁵ widzimy młodego Ludwika XIII grającego w kwintanę. Autor pisze, że gra ta leży pośrodku między „furią przełamywania szranków przeciwnika [w turnieju rycerskim] a łagodnością gonitwy do pierścienia”. W połowie XVI wieku w Montpellier, opowiada student medycyny Félix Platter⁷⁶, „7 czerwca szlachta urządziła gonitwę do pierścienia; konie okryte w bogate czapraki zdobyły kity z kolorowych piór”. W dzienniku dzieciństwa Ludwika XIII Heroard często wspomina o wyścigach do pierścienia w Luwrze i w Saint-Germain. „Gonitwę do pierścienia ćwiczy się codziennie” (w kaftanie, nie w zbroi), mówi specjalista Pluvinel. Kwintana i pierścień, które zastąpiły turnieje, średniowieczne igrzyska rycerskie, też były zastrzeżone dla szlachty. Ale co się później z nimi stało? Nie znikły całkowicie, jak można by się spodziewać, ale spotykamy je wcale nie w pobliżu kortów tenisowych i pól golfowych w bogatych dzielnicach, lecz na jarmarcznych świętach, w wesołych miasteczkach, gdzie nadal strzela się do celu (głowy Turków), a dzieci na drewnianych konikach karuzeli gonią za pierścieniem. Rycerskie średniowieczne turnieje przerodziły się w dziecięce i ludowe zabawy.

Nie brak innych przykładów tej ewolucji, w wyniku której dawne gry trafiły do arsenału dziecięcych i ludowych zabaw. Na przykład serso: pod koniec średniowiecza wcale nie było zabawą małych dzieci. Na tapiserii z XVI wieku⁷⁷ grają w serso młodzieńcy, jeden z nich podbija właśnie obręcz kijkiem; na drzeworycie Jeana Leclerca z końca XVI wieku nie tylko toczą przed sobą obręcz

⁷⁵ Pluvinel, ryciny Crispina de Posa. Cabinet des Estampes Ec 35, in-f^o fig 47.

⁷⁶ Félix et Thomas Platter, *op. cit.*

⁷⁷ Göbbel, *op. cit.*, t. II, s. 196.

przy pomocy kijka, ale skaczą przez nią jak przez skakankę: „Kto lepiej wskoczy do obręczy”, brzmi podpis⁷⁸. Serso umożliwiało akrobacje, karkołomne nieraz figury. Było na tyle starą i dobrze znaną zabawą, że wykorzystywano je w tradycyjnych tańcach, jak to opisuje w 1596 roku w Avignonie szwajcarski student Félix Platter. W ostatki zbierają się na ulicy grupki młodzieży w maskach, w kostiumach „pielgrzymów, chłopów, marynarzy, w strojach włoskich, hiszpańskich i alzackich”, przebrani za kobiety. Towarzyszą im muzycy. „Wieczorem młodzi chłopcy i dziewczęta ze szlacheckich domów, ubrani na biało i obwieszani klejnotami, tańczą na ulicy z obręczami. Każdy trzyma wysoko nad głową biało-złote serso. Gdy weszli do obręży, przyjrzałem im się z bliska. Piękny był to widok, kiedy przy dźwiękach muzyki sznur tancerzy rytmicznie zwijał się i rozwijał pod uniesionymi w górę obręczami”. Tego rodzaju tańce dziś jeszcze można obejrzeć w wykonaniu baskijskich chłopów.

Pod koniec XVII wieku w miastach już tylko małe dzieci bawią się w serso: na rycinie Meriana⁷⁹ chłopczyk toczy przed sobą obręcz, tak jak to będą robić dzieci przez cały wiek XIX i częściowo XX. Serso, niegdyś zabawka wspólna wszystkim, rekwizyt akrobatów i tancerzy, służy od tej pory coraz młodszym dzieciom, aż znika zupełnie. Może stało się tak dlatego, że dzieci interesuje tylko taka zabawka, która je zbliża do świata dorosłych.

Na początku rozdziału mówiłem o tym, że Ludwikowi XIII opowiadano czarodziejskie baśnie, bajki Meluzyny. Ale opowiadano je sobie również wśród dorosłych. „Pani de Sévigné wychowała się na baśniach”, pisze M. E. Storer, historyk zajmujący się „modą na bajki” u schyłku XVII wieku⁸⁰. Nie odpowiada na żarciki pana de Coulanges na temat niejkiej pani Cuverdon „z obawy, że ropucha wskoczy jej na głowę, żeby ją ukarać za niewdzięczność”. To aluzja do baśni trubadura Gauthiera de Coincy, którą znała z tradycji.

6 sierpnia 1677 pani de Sévigné pisze: „Pani de Coulanges zechciała nam opowiedzieć bajki, którymi dają się rozpieszczać – bo tak to się nazywa – damy z Wersalu. Rozpieszcza więc nas bajką o zielonej wyspie, na której wyrosła księżniczka piękniejsza od poranka. Dobre wróżki chuchały na nią noc i dzień itd. Opowieść trwała dobrą godzinę”.

Wiemy też, że Colbertowi⁸¹ „w wolnych chwilach specjalnie wynajęci ludzie [podkreślenie moje] opowiadali baśnie przypominające historię o Oślejków”.

Ale w drugiej połowie stulecia te bajki wydają się już zbyt proste, ludzie zaczynają się nimi interesować w nowy sposób, tradycyjne i naiwne recytacje

⁷⁸ Leclerc, *op. cit.*

⁷⁹ Merian, rycina, Cabinet des Estampes Ec 11 in-f^o, s. 58.

⁸⁰ M. E. Storer, *La Mode des contes de fées (1685–1799)*, 1928.

⁸¹ M. E. Storer, *op. cit.*

przemieniają się w modny gatunek literacki. Z jednej strony pojawiają się publikacje z bajkami zastrzeżonymi w zasadzie dla dzieci, jak baśnie Perraulta, z drugiej – poważniejsze wydania przeznaczone wyłącznie dla dorosłych. Dzieci i lud zostają odtrącone. Ta ewolucja przypomina opisaną wyżej ewolucję gier towarzyskich. Pani de Murat tymi słowami zwraca się do nowoczesnych wrózek: „Stare wróżki, wasze poprzedniczki, zdają się przy was niepoważne. Oddawały się pospolitym i błahym zajęciom, bawiły się w służki i piastunki. Cała ich robota polegała na sprzątaniu domu, nastawianiu rosółu, praniu, kołysaniu i usypianiu dzieci, dojeniu krów, kleceni masła i innych tym podobnych głupstwach... I dlatego z ich gestów i czynów pozostały dziś tylko bajki matki Gęsi”. „To były po prostu gęsi”. „Ale wy, moje panie [wróżki nowoczesne], inną obrałyście drogę. Wy zajmujecie się ważnymi sprawami, z których najdrobniejsze to przydać rozumu tym, co go nie mają, obdarzyć urodą brzydkich, wymową nieuczonych, bogactwem biednych”.

Inni autorzy są odmiennego zdania: cenią sobie urok baśni, którymi karmili się w dzieciństwie, i chcą go zachować dla potomnych. Tak przedstawia te baśnie panna Lhéritier:

Sto razy piastunka lub przyjaciółka
Opowiadała mi tę piękną baśń przy kominku;
ja tylko upiększyłam ją nieco.

„Zdziwi was zapewne, że te, tak niewiarygodne bajki dotarły do nas z głębi wieków, mimo iż nikt ich nigdy nie zapisał”.

Niełatwo w nie uwierzyć,
Ale póki będą na świecie dzieci,
Matki i babcie,
Nie znikną z ludzkiej pamięci.

Wielowiekową ustną tradycję zaczyna się wreszcie zapisywać: „niektóre bajki z tych, co mi opowiadano w dzieciństwie... zręczne pióra spisały nie tak dawno na papierze”. Panna Lhéritier sądzi, że bajki powstały w średniowieczu: tradycja „upewnia mnie, że trubadurzy i prowansalscy bajarze wymyślili Finette na długo przedtem, nim Abelard i słynny książę Thibauld de Champagne napisali swoje historie”. Bajka staje się gatunkiem literackim, bliskim filozoficznej powiastce bądź archaizującym, jak u panny Lhéritier: „Przyznacie, że najlepsze są te bajki, które najudatniej naśladowują styl i prostotę opowieści piastunek”.

Kiedy u schyłku XVII wieku bajka staje się nowym gatunkiem literatury poważnej i pisanej (filozoficznej lub archaizującej, to nieważne), ci, do których ta literatura jest adresowana, przestają słuchać recytacji. Colbert i pani

de Sévigné słuchali baśni, które im opowiadano: nikt nie widział w tym nic osobliwego, przeciwnie, była to banalna rozrywka, jak dziś lektura powieści kryminalnej. W 1771 roku jest już inaczej: stare, prawie zapomniane opowieści z ustnej tradycji stają się przedmiotem archeologicznego i etnologicznego zainteresowania wykształconej, dorosłej publiczności, zapowiadając nowożytnie zainteresowanie folklorem i gwarą. Księżna de Choiseul pisze do pani du Deffand, że Choiseul „każe sobie czytać całymi dniami czarodziejskie baśnie. Wszyscy zabraliśmy się do tej lektury. Wydają nam się równie prawdziwe, jak współczesna historia”. To tak, jakby któryś z naszych mężów stanu poniósłszy polityczną klęskę zabrał się do czytania Tintina i Bécassine (postacie z francuskich komiksów) i uznał te historie za nie głupsze niż rzeczywistość! Księżna dała się skusić i napisała dwie bajki w guście filozoficznej powiastki, sądząc po początku „Księcia zaczarowanego”: „Przyjaciółko moja, Margot, ty, co w moim gabinecie przywoływałaś sen lub otwierałaś mi powieki czarownymi baśniami o matce Gęsi, o przyjacielu baranie, opowiedz mi piękną historię, którą bym mogła ucieszyć towarzystwo. Nie, mówi Margot, spuśćmy z tonu, ludziom trzeba teraz czegoś więcej niż dziecięcych bajek”.

Inna anegdota z tych czasów opowiada o znudzonej damie, którą pewnego dnia zaciekawili, jak Choiseula, bajki. Wezwała pokojówkę i kazała sobie przynieść historię o Piotrze z Prowansji i pięknej Magielonie, o której z pewnością byśmy dziś nie pamiętali, gdyby nie wspaniałe pieśni Brahmsa; „Zdumiona subretka, nie wierząc własnym uszom, kazała sobie trzy razy powtórzyć ten dziwny rozkaz, ale cóż, musiała się podporządkować: zeszła do kuchni i czerwona ze wstydu przyniosła żadaną książeczkę”.

W XVIII wieku wyspecjalizowani wydawcy, głównie z Troyes, drukowali bajki na użytek wiejskiej klienteli, do której docierali przez kolporterów. Te wydania zwane Błękitną Biblioteką (błękitnymi bajkami), ponieważ były drukowane na niebieskim papierze, nie miały nic wspólnego z literacką modą końca XVII wieku: były zapisem starych opowieści z ustnej tradycji, tak wiernym, jak tylko na to pozwalała nieunikniona ewolucja gustu. Wydany w 1784 roku tom z Błękitnej Biblioteki zawiera opowieść o Piotrze z Prowansji i pięknej Magielonie, o Robercie Diable, o czterech synach Aymona, bajki Perraulta, panny de la Forse i pani d’Aulnay.

Ale oprócz tomów Błękitnej Biblioteki długie wieczory wypełniali bazarze, okazjonalni bądź zawodowi recytatorzy, spadkobiercy dawnych bardów, śpiewaków i żonglerów. Malarstwo i rycina w XVII i XVIII wieku, a także litografia początków XIX stulecia, upodobały sobie temat gawędziarza szarlatana⁸². Bazarz siedzi na podwyższeniu, opowiada swoją historię i tyczką wskazuje tekst

⁸² Guardi w Fiocco, *Venetian painting*, pl. LXXIV. Magnasco w: Geiger, *Magnasco*, pl. XXV. G. Dou, Monachium, reprod. w: K. d. K., pl. LXXXI.

zapisany na płachcie papieru, którą trzyma w wyciągniętych ramionach jego współnik; słuchacze mogą śledzić treść oczami. W niektórych miastach prowincjonalnych tak jeszcze spędzali wieczory drobnomieszczanie. Pamiętnikarz opowiada, że pod koniec XVIII wieku w Troyes mężczyźni zbierali się w porze podwieczorku, zimą w gospodzie, „latem w ogrodach, gdzie zdejmowali peruki i wkładali czepki”⁸³. Nazywało się takie zgromadzenia „koterią”. „Każda koteria miała co najmniej jednego bajarza, na którym każdy się wzorował”. Pamiętnikarz wspomina jednego z tych bajarzy: starego rzeźnika. „Dwa dni, które z nim spędziłem [w dzieciństwie], minęły na słuchaniu opowieści, bajek i historii, których urok, siłę i naiwność z trudem potrafiłaby, nie mówię oddać, ale choćby odczuć dzisiejsza rasa [dzisiejsze pokolenie]”.

Od starych bajek, których w epoce Colberta i pani de Sévigné słuchali wszyscy, odstąpiła wprawdzie szlachta, potem mieszczaństwo. Pozostawiono je dzieciom i chłopstwu. Lud z kolei zapomniał o nich, gdy Błękitną Bibliotekę zastąpił „Petit Journal”; dzieci zostały ostatnią publicznością, zresztą na niedługo, bo literatura dziecięca ulega dzisiaj takiej samej przemianie, jak gry i obyczaje.

Jedną z najpopularniejszych gier była piłka ręczna, budziła też najmniej sprzeciwu u moralistów schyłku średniowiecza, którzy tolerowali tę grę cieszącą się wzięciem we wszystkich warstwach społecznych. Przez całe stulecia grali w nią i królowie, i gmin. Pod koniec XVII wieku skończyła się ta piękna jednorodność. Od tej pory szlachetnie urodzeni przestają grać w piłkę. W 1657 roku w Paryżu było 114 domów gry, w 1700, mimo wzrostu liczby ludności, już tylko 10, w XIX wieku zaledwie dwa, jeden przy ulicy Mazarine, drugi na tarasie Tuileries, gdzie istniał jeszcze w 1900 roku⁸⁴. Już Ludwik XIV grywał w piłkę bez entuzjazmu, mówi Jusserand, historyk gier. Dobrze urodzeni dorośli przestali więc grać w piłkę, ale chłopcy i dzieci (nawet dobrze urodzone) pozostali wierni piłce ręcznej w najrozmaitszych wariantach: piłeczki, wolanta, peloty. Przetrwiała także w kraju Basków, gdzie przybrała udoskonaloną formę małej i wielkiej *chistera*.

Rycina Meriana⁸⁵ z końca XVII wieku pokazuje nam partię gry w piłkę z udziałem dzieci i dorosłych. Właśnie ją nadmuchują. Ale w oczach ludzi dbających o obyczajność i dobre maniery gra w *ballon* albo *soule* była już wtedy podejrzana. Thomas Elyot i Szekspir odradzają ją szlachcie. Król Anglii Jakub I zabrania grać w piłkę swemu synowi. Zdaniem du Cange’a tylko chłopcy grywają w *chole*, rodzaj nadmuchiwanej piłki nożnej, „popularnej wśród chłopów w naszych prowincjach”. Ta tradycja przetrwała do XIX wieku w Bretanii: „Pan albo ktoś znaczny we wsi – czytamy w tekście z roku VIII – rzucał w tłum

⁸³ *Vie de M. Grosley*, 1787.

⁸⁴ J.-J. Jusserand, *op. cit.*

⁸⁵ Merian, rycina, Cabinet des Estampes, Ec 10 in-f^o.

piłkę wypełnioną trocinami, a mężczyźni z różnych kantonów starali się ją sobie wyrwać... Widziałem w dzieciństwie [autor urodził się w 1749], jak jeden mężczyzna złamał sobie nogę, kiedy goniąc za piłką przeskakiwał przez piwniczne okienko. Te gry wyrabiały w człowieku siłę i odwagę, ale powtarzam, nie były bezpieczne”. Stąd się też pewnie wzięło porzekadło: „gra ręczna, gra chłopska”. Wiemy, że oprócz chłopów, nadal grywały w piłkę dzieci.

Wiele innych gier zręcznościowych przeszło, jak piłka, w ręce dzieci i gminu. Na przykład krokiet, o którym pisała pani de Sévigné w liście do zięcia w 1685 roku⁸⁶: „rozegrałam dwie partyjki krokietu [w Rochers]. O, mój drogi hrabio, zawsze wspominam, z jaką gracją odbijałeś kule! Chciałabym, byście mieli w Grignan równie piękną aleję [do gry]”. We wszystkie te gry – piłkę, kręgle, krokiet – zarzucone przez szlachtę i burżuazję, grało się nadal w XIX wieku na wsi i w dzieciennych pokojach.

Przetrwała również wśród ludu i dzieci inna, niezmiernie popularna rozrywka dawnego społeczeństwa: przebieranki. Od XVI do XVIII wieku powieści są pełne historii o chłopcach przebranych za dziewczęta, księżniczkach przebranych za pasterki itd. itp. Cała ta literatura jest odbiciem gustu, któremu ludzie mogli pofolgować przy okazji świąt sezonowych i innych: na Trzech Króli, w ostatki, w święta listopadowe... Przez całe wieki było rzeczą najzupełniej zwyczajną, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety, występować na balu w masce. Ludzie, także szlachcice, chętnie pozowali do portretu w ulubionym przebraniu. W wieku XVIII bale maskowe i kostiumowe są w dobrym towarzystwie coraz rzadsze i coraz bardziej dyskretne. Karnawał staje się świętem ludowym, trafia nawet za ocean, do Ameryki, gdzie przyjmuje się wśród czarnych niewolników. Przebieranki pozostawia się dzieciom. Już tylko one bawią się w karnawale w maskach i przebraniach.

Za każdym razem mamy do czynienia z tą samą powtarzającą się monotonię ewolucją. Skłania to nas do ważnego wniosku.

Wyszliśmy od sytuacji, w której gry i zabawy były jednakie i wspólne dla wszystkich grup wiekowych i społecznych. Należy podkreślić, że gdy wyższe warstwy społeczne zarzuciły te gry i zabawy, ostały się one z a r a z e m i wśród ludu, i wśród dzieci z klas wyższych. W Anglii, co prawda, dżentelmeni nie zrezygnowali ze starych gier, jak we Francji, ale zmodernizowali je, i w tej nowej, zmienionej nie do poznania postaci, jako „sport”, zawojowały one dziewiętnastowieczne mieszczaństwo.

Jest rzeczą bardzo istotną, że dawna wspólnota zabaw skończyła się w tym samym momencie między dziećmi i dorosłymi oraz między ludem i mieszczaństwem. Ta zbieżność pozwala nam już teraz dostrzec, iż istnieje związek między świadomością dzieciństwa a świadomością klasową.

⁸⁶ Madame de Sévigné, *op. cit.*, list z 13 czerwca 1685.

Od bezwstydu do niewinności

Jedno z najbardziej władczych i najpilniej przestrzeganych, nie pisanych praw naszej współczesnej moralności żąda od dorosłych, by w obecności dzieci wystrzegali się jakichkolwiek, zwłaszcza żartobliwych aluzji do spraw płci. Taka postawa była dawnemu społeczeństwu najzupełniej obca. Czytając dziennik królewskiego lekarza Heroarda, w którym notował wszystkie drobne wydarzenia z życia młodego Ludwika XIII¹, jesteśmy zdumieni, że dzieci traktowano z taką swobodą; peszą nas grubiańskie żarty i nieprzyzwoite gesty, które wtenczas wydawały się naturalne i nikogo nie szokowały. Najlepszy to dowód, że w ostatnich latach XVI i na początku XVII wieku stosunek do dzieciństwa był zupełnie inny niż dzisiaj. Ludwik XIII nie ma jeszcze roku: „Śmieje się do rozpuku, kiedy służąca go łaskocze w ptaszka”. Czarujący żarcik przypada dziecku do gustu, bo woła pazia: „Hej! Podkasuje sukienkę i pokazuje mu ptaszka”.

Delfin ma rok: „Bardzo wesoły i ożywiony, każe wszystkim całować się w ptaszka”, notuje Heroard. Nie wątpi, że to wszystkich cieszy, i tak samo zachowuje się w obecności gości, pana de Bonnières i jego córki: „śmieje się na cały głos, podwija sukienkę, pokazuje ptaszka najpierw jemu, potem jej, ściska ptaszka w garści, chichocze, trzęsie się na całym ciele”. Tak to wszystkich rozbawiło, że dziecko, rade z sukcesu, powtarza gest przed „panienką”: „Podkasał tunikę i pokazał jej ptaszka z wielkim zapałem; prawie wychodził z siebie. Położył się na plecach, żeby lepiej widziała”.

¹ Heroard, *op. cit.*

Ma przeszło rok, kiedy go zaręczają z hiszpańską infantką. Otoczenie daje mu do zrozumienia, na czym rzecz polega, i malec zdaje się rozumieć, o co chodzi. Pytają go: „Gdzie jest kochaś infantki? Kładzie rękę na ptaszku”.

Przez pierwsze trzy lata życia delfina nikt się nie wzdraga przed dotykaniem dla żartu organów płciowych dziecka ani nie widzi w tym nic zdrożnego: „Markiza [de Verneuil] często wkładała mu rękę pod tunikę; każe się położyć do łóżka piastunki, która bawi się z nim i wsuwa mu rękę pod koszulkę”. „Pani de Verneuil chce się z nim bawić, głaszcze go w sutki; odpycha ją i mówi: «zabierz, zabierz, zostaw, idź sobie», bo piastunka go pouczyła: «Panie, nie pozwól nikomu dotykać się w sutki ani w ptaszka, bo ci go utną». Zapamiętał to sobie”.

„Wstał z łóżka, nie chce włożyć koszuli, mówi: «nie koszula, nie [Heroard lubi wiernie naśladować dziecięcy szczebiot], najpierw chcę mleka z mego ptaszka», wyciąga rękę i udaje, że go doi, psyka przy tym pss, pss, częstuje wszystkich, wreszcie pozwala sobie włożyć koszulę”.

Klasyczny, często powtarzany żarcik, to powiedzieć mu: „Panie, zgubiłeś ptaszka”, na co „odpowiada radośnie: «A cio to!» i podnosi go palcem”. Nie tylko służba, bezmyślne młokosy i kobiety lekkich obyczajów, jak królewska kochanka, stroili sobie takie żarciki. Królowa-matka również: „Królowa kładzie mu rękę na ptaszku i mówi: «Synu, trzymam twój dzióbek»”. A oto jeszcze bardziej niezwykła scenka: „Rozebrany, Madame [jego siostra] też, oboje leżą nago w łóżku razem z królem, całują się, gaworzą, rozśmieszają króla. Król pyta: «Synu, gdzie pakiecik dla infantki?» Pokazuje go ojcu mówiąc: «Wcale nie ma kości, tato». Potem, jako że był trochę napięty: «Zaraz będzie miał, czasem ma»”.

No właśnie, pierwsze erekcje dziecka budzą rozbawienie: „Obudził się o ósmej, zawołał pannę Bethouzay i mówi: «Patrz, mój ptaszek robi most zwodzony, raz w górę, raz w dół!» Bo podnosił go i opuszczał”.

Czteroletni delfin jest już, można powiedzieć, uświadomiony: „Zaprowadzony do królowej; pani de Guise pokazuje mu łóżko królowej i mówi: «Tutaj zostałeś spółdzony, Panie». «Z mamą?»”. „Pyta męża piastunki: «Co to jest? – To moja jedwabna pończocha. – A to? [jak w grach towarzyskich] – To moje pludry. – Z czego są? – Z aksamitu. – A to? – To rozporek. – A co masz w środku? – Nie wiem, Panie. – E tam, ptaszka! A dla kogo? – Nie wiem, Panie. – Dla pani Doundoun! [piastunki]»”.

„Wciska się między nogi pani de Monglat [jego guwernantka, bardzo godna, budząca szacunek kobieta, która wcale się nie przejmuje – podobnie jak Heroard — żarcikami dla nas zupełnie nieznośnymi]. Król mówi: «Oto syn pani de Monglat, właśnie go urodziła!» Zrywa się i chowa między nogi królowej”.

Kiedy ma pięć, sześć lat, dorośli przestają się bawić jego genitaliami, za to on zabawia się genitaliami innych: w łóżku sąsiadującym z jego łóżkiem leży panna Mercier, pokojowa (służący delfina, często pary małżeńskie, spali w tym

samym pokoju i raczej się nie przejmowali obecnością dziecka). „Zabawia się z nią”, każe jej poruszać palcami u stóp, podnieść nogi do góry, „każe piastunce przynieść różgi, żeby ją wychłostać... Piastunka pyta: «Coś tam zobaczył u Mercier?» – Odpowiada chłodno: «Widziałem jej tyłek.» – «Coś jeszcze zobaczył, Panie?» – Odpowiada chłodno, nie śmiejąc się, że widział jej cipę”. Innym razem „bawi się z panną Mercier, woła mnie [Heroarda] i mówi, że Mercier ma taką wielką cipę [pokazuje dwie pięści] i że w środku jest woda”.

W roku 1608 kończą się tego rodzaju zabawy: delfin staje się małym mężczyzną, skończył siedem lat i czas nauczyć go dobrych manier i przyzwoitego języka. Kiedy go pytają, którędy dzieci wychodzą na świat, odpowiada jak Agnès u Moliera, że przez ucho. Pani de Monglat karci go, kiedy „pokazuje ptaszka małej Ventelet”. Rankiem, po przebudzeniu kładą go jeszcze do łóżka guwernantki, między nią i jej męża, ale Heroarda już to oburza, notuje na marginesie: *insignis impudentia**. Od dziesięcioletniego chłopca wymaga się powściągliwości, której nikt nie oczekiwał u pięcioletniego dziecka. Wychowanie zaczyna się dopiero od siódmego roku życia. Tę spóźnioną troskę o przyzwoitość przypisać trzeba rozpoczynającej się wówczas reformie obyczajów, będącej znakiem religijnej i moralnej odnowy w XVII wieku. Jest tak, jakby wychowanie liczyło się dopiero od chwili, gdy zbliża się wiek męski. Ale młodego Ludwika XIII nie potrzeba właściwie niczego uczyć, bo gdy ma czternaście lat i dwa miesiące, zostaje niemal siłą wepchnięty do łóżka swej młodziutkiej żony. Po ceremonii „o szóstej i trzy kwadransie kładzie się i je w łóżku kołację. Pan de Gramont i kilku młodych panów opowiadają mu tłuste dowcipy, żeby nabrał animuszu. Każe sobie przynieść pantofle i suknię; o ósmej idzie do sypialni królowej, tam w obecności królowej-matki kładą go do łóżka królowej-mażonki. Kwadrans po dziesiątej wraca, mówi, że się godzinę przespał i uczynił tę rzecz dwa razy; na to wygląda, że swoim czerwonym p...”

Małżeństwa czternastoletnich chłopców nie zdarzały się już tak często, jak dawniej, ale u trzynastoletnich dziewcząt były na porządku dziennym.

Nie ma powodu sądzić, że w rodzinach szlacheckich i mieszczańskich panował inny klimat moralny: seksualne żarciki i zabawy z dziećmi nikogo nie szokowały. Jacqueline Pascal w wieku dwunastu lat pisała wiersze na temat ciąży królowej.

Thomas Platter, student medycyny w Montpellier pod koniec XVI wieku, pisze: „Znałem dzieciaka, który zrobił ten afront służącej swoich rodziców [zawiązał sznurówkę w chwili ślubu, przez co uczynił z męża impotentą]. Błagała go, żeby to rozwiązał i zdjął zły urok. Zrobił to, a mąż z miejsca ozdrowiał i odzyskał wigor”. P. de Dainville, historyk jezuitów i pedagogiki humanistycznej, stwierdza: „Poszanowanie dziecka było wówczas [w XVI wieku]

* Wielka bezwstydnosc.

rzeczą najzupełniej nieznaną. W obecności dzieci pozwalano sobie dosłownie na wszystko: dosadne słowa, gorszące gesty, drażliwe sytuacje; dzieci wszystko słyszały i wszystko widziały”².

Zdumiewa nas ten brak zahamowań wobec dzieci, to strojenie sobie żartów ze spraw płci, ta swoboda języka i śmiałość gestów – łatwo sobie wyobrazić, co miałyby na ten temat do powiedzenia współczesny psychoanalityk. Otóż myliłby się głęboko. Postawa człowieka wobec seksu, tak samo jak i sam seks, zmieniają się zależnie od środowiska, a zatem i zależnie od epoki i mentalności. Opisane przez Heroarda seksualne gesty dorosłych wobec małych dzieci wydają nam się anomalią, dziś nikt by sobie publicznie nie pozwolił na coś podobnego. Ale na początku XVII wieku wcale tak nie było. Rycina Baldunga Griena z 1511 roku przedstawia Świętą Rodzinę. Gest świętej Anny wydaje nam się osobliwy: rozchyła ona uda Dzieciątka, jakby chciała wyjąć i pogłaskać jego członek. Byłoby jednak błędem dopatrywać się w tym geście swawolności³.

Igranie z genitaliami dziecka ma długą tradycję i jest dziś jeszcze szeroko rozpowszechnioną praktyką w społeczeństwach muzułmańskich. Pozostały one na uboczu rewolucji technicznej i ominęła je także wielka reforma etyczna, początkowo chrześcijańska, później laicka, która w XVIII a zwłaszcza w XIX wieku zdyscyplinowała mieszczańskie społeczeństwa Anglii i Francji. Spotykamy się więc w krajach muzułmańskich z zachowaniami, które nam są zupełnie obce, lecz wcale by nie zdziwiły zacnego Heroarda. Weźmy dla przykładu stronicę z powieści pt. „Posąg z soli” tunezyjskiego Żyda Alberta Memmi. Jego książka to ciekawe świadectwo tego, czym jest tradycyjne społeczeństwo tunezyjskie i jaki jest stan mentalności tamtejszej młodzieży, ulegającej powoli wpływom zachodnim. Bohater powieści opowiada scenkę, której był świadkiem w tramwaju, kiedy jechał do stołecznego liceum. „Przede mną siedział muzułmanin z synkiem, drobniutkim chłopaczkiem w zawoju na głowie i z pomalowanymi henną dłońmi. Obok mnie, po lewej, siedział sklepikarz z Dzerby: trzymał między nogami kosz na zakupy, za ucho miał zatknięty ołówek. W wagonie było cicho i ciepło. Dżerbijczyk uśmiechnął się do dziecka, które odpowiedziało mu uśmiechem, po czym spojrzało pytająco na ojca. Ojciec skinął głową zadowolony i uśmiechnął się do sklepikarza. Ile masz lat? – zapytał tamten chłopczyka. – Dwa i pół – odpowiedział ojciec. – Czy kot ci go zjadł? – spytał sklepikarz chłopca. – Nie – odpowiedział ojciec – jeszcze nie jest obrzezany, ale wkrótce będzie. – Ach tak! – sklepikarz ucieszył się, że znalazł temat do rozmowy z dzieckiem. – A nie sprzedałbyś mi go? – Nie! – gwałtownie zaprotestował chłopiec. Najwyraźniej znał tę zabawę, już mu taką

² F. de Dainville, *La Naissance de l'humanisme moderne*, 1940, s. 261. Mechin, „Annales du college royal de Bourbon Aix”, 2 tomy, 1892.

³ Curjel, H. *Baldung Grien*, pl. XLVIII.

propozycję robiono. Ja też ją znałem [dziecko żydowskie]. W swoim czasie odgrywałem tę scenę osaczony przez innych prowokatorów, pełen wstydu i żądy, buntu i ciekawości. W oczach dziecka błyszczała rozkosz rodzącej się męskości [Memmi, człowiek wykształcony, przypisuje chłopcu takie uczucia, bo wie, co nauka mówi o wczesnym przebudzeniu seksualnym dziecka; niegdyś ludzie sądzili, że małe dziecko jest, przeciwnie, nieczułe na seksualność], a zarazem bunt przeciwko tak bezczelnej agresji. Zerknął na ojca. Ojciec uśmiechał się, to była przyjęta gra [podkreślenie moje]. Nasi sąsiedzi z pobłażaniem przyglądali się przychylnie t r a d y c y j n e j s c e n i e. – Dam ci dziesięć franków – zaproponował Dźerbijczyk. – Nie – odparł chłopczyk. – No daj, sprzedaj mi swojego k... – prosił Dźerbijczyk. – Nie, nie! – Dam ci pięćdziesiąt franków. – Nie! – Niech będzie: tysiąc franków! – Nie! – Dźerbijczyk patrzył na dziecko łakomym wzrokiem. – A jak dodam torbę cukierków? – Nie, nie! – Więc nie? To twoje ostatnie słowo? – zawołał Dźerbijczyk udając złość. – Nie! – Wtedy nagle mężczyzna skoczył do malca z groźną miną i brutalnie sięgnął ręką do malutkiego rozporaka. Dziecko broniło się piąstkami. Ojciec śmiał się w głos, Dźerbijczyk związał się nerwowo, a nasi sąsiedzi uśmiechali się szeroko”.

Ta scenka z XX wieku pozwala nam chyba lepiej zrozumieć wiek XVII, przed wielką reformą moralności. Musimy się wystrzegać anachronizmów, takich jak tłumaczenie kazirodztwem barokowych wprost wybuchów miłości macierzyńskiej u pani de Sévigné, co uczynił ostatni wydawca jej *Listów*. Nie przesadzajmy, była to zabawa nie bardziej gorsząca niż pieprzne dowcipy w męskich rozmowach.

Ta pół-niewinność, która nam się wydaje rozpustna albo naiwna, wyjaśnia popularność już od XV wieku tematu siusiającego chłopca. Ma on swoje miejsce i w ilustracjach do „Godzinek”, i na kościelnych obrazach. W kalendarzach Hennessy⁴ i w brewiarzu Grimani⁵ z początku XVI wieku zimę ilustruje obraz zasypanej śniegiem wsi: przez otwarte drzwi chaty widzimy kobietę, która przędzie wełnę i grzejącego się przy ogniu mężczyznę, na pierwszym planie, przed drzwiami, dziecko siusia na śniegu.

Na przeznaczonym niewątpliwie dla kościoła *Ecce Homo* Flamanda P. Pietersza⁶, nie brak wśród tłumu widzów dzieci: matka podnosi swego malca do góry, żeby lepiej widział. Rozhukani chłopcy zbiegają po schodach. Matka podtrzymuje dziecko, które sika. Podobną scenką mogli cieszyć oczy urzędnicy magistratu Tuluzy podczas mszy w pałacowej kaplicy. Wielki tryptyk przedstawiał historię Jana Chrzciciela⁷. W środkowej części: kazanie. W tłumie zasłuchanych są oczywiście dzieci: kobieta karmi niemowlę, jakiś chłopiec wspiął

⁴ J. Destrée, *Les Heures de Notre-Dame dites de Hennessy*, 1895 i 1923.

⁵ S. de Vriès i Marpugo, *op. cit.*

⁶ H. Gerson, *Von Geertgen tot Fr. Halz*, 1950, t. I, s. 95.

⁷ Muzeum Augustianów, Tuluza.

się na drzewo, inny, z boku, podkasał sukienkę i sika, na wprost dygnitarzy tuluzkańskiego parlamentu.

Bogactwo takich obrazów i częstotliwość występowania pewnych tematów (dziecko przy piersi, dziecko siusiające) w XV, a zwłaszcza w XVI wieku, świadczą o nowym i szczególnym zainteresowaniu dzieckiem. Jest też godne uwagi, że w religijnej ikonografii tego okresu pojawia się bardzo często scena obrzezania, przedstawiona z chirurgiczną niemal dokładnością. Nie dopatrujemy się w tym figlarności. Wydaje się, że obrzezanie i Oczyszczenie Najświętszej Marii Panny traktowane były w XVI i XVII wieku jak święta dzieciństwa, jedyne kościelne święta dzieci przed uroczystą celebracją pierwszej komunii. W kościele Świętego Mikołaja w Paryżu znajduje się obraz z początku XVII wieku pochodzący z opactwa Saint-Martin-des Champs. Scenie obrzezania przygląda się całe mnóstwo dzieci, jedne przyszyły z rodzicami, inne wdrapały się na filary, żeby lepiej widzieć. Czyż nie jest dla nas dziwne, a nawet szokujące, że właśnie obrzezanie było uroczystością dla dzieci wybraną i że w niej tak tłumnie uczestniczyły? Dla nas to może szokujące, ale nie dla współczesnego muzułmanina ani dla człowieka XVI czy początków XVII wieku.

Dzieci asystujące przy religijnej wprawdzie, ale związanej z genitaliami operacji, nie tylko nie budziły oporów, lecz nawet przy tej okazji pozwalano sobie publicznie i bez troski na gesty, które stawały się zakazane, gdy tylko dziecko osiągnęło dojrzałość płciową, to znaczy gdy wkraczało w świat dorosłych. Dwa były po temu powody. Po pierwsze, uważano, że małemu, niedojrzałemu dziecku sprawy płci są najzupełniej obce i obojętne. Toteż wszystkie gesty i aluzje, na które sobie przy nim pozwalano, nie miały konsekwencji, traciły więc charakter seksualny, neutralizowały się. Po drugie, ludzie nie mieli jeszcze wówczas poczucia, że to, co się odnosi do spraw płci, nawet jeśli praktycznie pozbawione jest dwuznacznych podtekstów, może faktycznie naruszyć niewinność dziecka albo nasze o niej wyobrażenie. Otóż nie uważano wtedy wcale, że ta dziecięca niewinność naprawdę istnieje.

Taka była przynajmniej powszechna opinia, bo moralisci i wychowawcy myśleli już inaczej, w każdym razie ci najlepsi, nowatorzy, za którymi mało kto podążał: dopiero z dystansu czasu widać, jak byli ważni. W końcu zatryumfowały przeciw ich – czyli nasze – koncepcje.

Ten nurt myślowy był już w XV wieku na tyle potężny, że spowodował zmianę tradycyjnej dyscypliny w szkołach. Jego głównym przedstawicielem był wówczas Gerson, doskonały obserwator dzieci i ich praktyk seksualnych. Zajmował w tej kwestii jasne stanowisko. Sam fakt, że obserwował specyficzne zachowania dzieci i poświęcił im poważny traktat *De confessione mollicei*⁸, świad-

⁸ Gerson, *De confessione mollicei*, Opera, 1706, t. II, s. 309.

czy o nowym stosunku do dziecka. Trzeba to widzieć w kontekście widocznych w ikonografii i ubiorze dziecka oznak nowego zainteresowania dzieciństwem.

Gerson studiował zachowania seksualne dzieci. Napisał swój traktat na użytek spowiedników, żeby wzbudzali u swych małych, dziesięcio- i dwunastoletnich pokutników poczucie winy. Gerson wie, że masturbacja, erekcja bez ejakulacji, są zjawiskiem powszechnym: jeśli zagadnąć na ten temat jakiegoś mężczyznę i jeśli ten zaprzecza, to z całą pewnością kłamie. Dla Gersona to bardzo poważny grzech. *Peccatum mollicei*, „nawet jeśli z racji wieku nie towarzyszy mu wytrysk... odbiera dziecku niewinność bardziej nawet, niż gdyby zadawało się z kobietami”. Co więcej, nie jest daleki od sodomii.

Opinia Gersona jest bliższa współczesnym poglądom na temat masturbacji, nieuniknionego stadium wczesnej seksualności, niż sarkazmy powieściopisarza Sorela, którego bohater Francjon widzi w niej konsekwencję zamkniętego życia w szkolnym internacie.

Dzieci nie są początkowo świadome swojej winy: *Sentiunt ibi quemdam pruritum incognitum tum stat erectio***, i wyobrażają sobie, że wolno im *se fricent ibi et se palpent et se tracent sicut in allis locis dum pruritus inest***. Bierze się to z przyrodzonego zepsucia: *ex corruptione naturae*. Daleko nam jeszcze do idei dziecięcej niewinności, ale już blisko do obiektywnego poznania zachowania dziecka. Jak uchronić dziecko przed niebezpieczeństwem? Dzięki radom spowiednika, a także zmieniając złe nawyki wychowawcze w szkołach, obchodząc się z dziećmi inaczej niż dotychczas. Trzeba przemawiać do nich językiem skromnym, używając słów niewinnych. Trzeba unikać zabaw, w których dzieci całują się, dotykają, patrzą sobie w oczy: *figerent oculi in eorum decore****. Należy unikać zbliżenia małych dzieci z dużymi: *pueri capaces doli, puellae, juvenes***** nie powinni spać w jednym łóżku z osobami starszymi, nawet tej samej płci – spanie we wspólnym łóżku było wówczas szeroko przyjętą praktyką we wszystkich warstwach społecznych. Nawet na królewskim dworze przetrwała ona do końca XVI wieku: zabawy Henryka IV z synem i córką, których mu przyprowadzano do łóżka, uzasadniają po blisko dwustu latach ostrożność Gersona. Zabrania on jakiegokolwiek dotykania *in nudo******, radzi być czujnym: *a societaliatibus persuis ubi colloquia prava et gestus impudici fiunt in lecto absque dormitione******.

* Czują jakieś nieznanne swędzenie i wtedy następuje erekcja.

** Trzeć się tam, macać, dotykać, jak wszędzie, gdzie swędzi.

*** Mają oczy wpatrzone w swoją urodę.

**** Chłopcy zdolni do uwodzenia, dziewczęta, młodzieńcy.

***** Nagości.

***** Przed (prawdopodobny błąd – *persuis* zamiast *perversis*) przewrotną towarzyskością, kiedy z bezsenności w łóżku powstają nieprzystojne rozmowy i bezwstydnymi gesty.

Gerson wraca do tej kwestii w kazaniu o pożądlivosti na czwartą niedzielę Adwentu: dziecko powinno się sprzeciwić tym, którzy go chcą dotykać czy całować, a jeśli tego nie uczyni, to tak czy inaczej musi się wypowiedzieć, *in omnibus casibus**, co trzeba podkreślić, bo na ogół nie widziano w tym nic złego. Dalej Gerson mówi, że „byłoby dobrze” rozdzielać dzieci w nocy: przypomina w związku z tym opisany przez świętego Hieronima wypadek dziewięcioletniego chłopca, który spółdził dziecko. Mówi jednak tylko „byłoby dobrze”, nie śmie żądać więcej, bo było powszechnie przyjęte, że dzieci spały razem w jednym łóżku, jeśli nie ze służącym, służącą lub rodzicami⁹.

W regulaminie napisanym dla szkoły przy Notre-Dame-de Paris Gerson zaleca izolowanie dzieci, tak by stale znajdowały się pod kontrolą nauczycieli; na tym ma polegać nowa dyscyplina, którą omówimy później w osobnym rozdziale. Nauczyciel śpiewu nie powinien uczyć dzieci *cantilenas dissolutas impudicasque***, uczniowie mają obowiązek donieść na kolegę, który postępuje nieuczciwie lub nieprzystojnie (wykroczeniem jest m. in. mówienie po *gallicum**** zamiast po łacinie, przeklinanie, kłamstwo, obraza, wylegiwanie się w łóżku, opuszczanie lekcji, rozmawianie w kościele). Nocą w sypialni musi się palić lampka: „Tyleż z szacunku dla wizerunku Najświętszej Panny, co dla potrzeb naturalnych, i żeby robili w świetle tylko te czynności, które mogą i powinny być widziane”. Dziecku nie wolno zmieniać łóżka w nocy, ma spać obok tego kolegi, którego mu wyznaczono. I za dnia, i w nocy *conventicula vel societates ad partem extra alias***** są niedozwolone. Ile starania, żeby nie dopuścić do zbytnej zażyłości między chłopcami, a także by uniknąć złego towarzystwa służby! „Zabrania się służącym, nie wykluczając kleryków, *capellani* i personelu kościoła, spoufalania się z dziećmi: mogą odzywać się do nich wyłącznie w obecności nauczycieli” (nie można powiedzieć, by panowało zaufanie).

Dzieci nie należące do fundacji nie mają prawa przebywać z uczniami ani uczyć się wraz z nimi (chyba że za specjalnym pozwoleniem przełożonego), „aby nasze dzieci (*pueri nostri*) nie nabrały złych przyzwyczajęń”.

To jest coś zupełnie nowego, nie znaczy jednak wcale, że w szkole tak się istotnie rzeczy miały. W drugiej części książki zobaczymy, jak to wyglądało naprawdę, i ile trzeba było czasu i wysiłku, żeby w kolegiach zapanowała wreszcie w XVIII wieku surowa dyscyplina. Gerson znacznie wyprzedził instytucje swego czasu. Jego regulamin jest interesujący ze względu na ideał etyczny, jaki

* W każdym przypadku.

⁹ Gerson, *Doctrina pro pueris ecclesiae parisiensis, Opera*, 1706, t. IV, s. 717.

** Piosenek rozwiązłych i bezwstydných.

*** Po francusku.

**** Schadzki czy zgromadzenia na stronie inne niż przewidziane.

mu przyświeca, a którego wcześniej nikt tak jasno nie sformułował. W przyszłości będzie to ideał jezuitów, środowiska Port-Royal, bractwa doktryny chrześcijańskiej, wszystkich surowych moralistów i wychowawców XVII wieku.

Ale w wieku XVI wychowawcy byli bardziej tolerancyjni, starali się jedynie nie przekraczać pewnych granic. Wiemy to z książek, na których uczniowie uczyli się czytać i pisać, skąd czerpali łacińskie słówka i reguły grzeczności. Te podręczniki dobrego wychowania oraz dialogi, w których występuje dla urozmaicenia kilku uczniów lub nauczyciel i uczeń, są wiarogodnym świadectwem szkolnych obyczajów. U Vivesa mamy zdania, które Gersonowi nie przypadłyby do gustu, ale stała za nimi tradycja: „Która część jest bardziej wstydliva – ta z przodu [zwróćmy uwagę na tę dyskrecję], czy dziura w zadku? – Obie są nieprzyzwoite, tyłek z racji swej brzydoty, a ta druga z powodu rozpusty i hańby”¹⁰.

Nie brak grubiańskich dowcipów ani tematów, które nie mają w sobie nic wychowawczego, wprost przeciwnie. W dialogach angielskich Ch. Hoo-le’a¹¹ są na przykład kłótnie; jedna wybucha w szynku – a szynk był wtedy o wiele gorszym miejscem niż dzisiaj kawiarnia – i dotyczy tego, w której gospodzie pije się najlepsze piwo. Ale nawet u Vivesa daje się zauważyć pewną skromność: „Trzeci palec nazywają wstydliwym. Dlaczego? – Nauczyciel powiedział, że wie dlaczego, ale nie powie, bo rzecz jest brzydka i nikczemna, nie staraj się nawet dowiedzieć, bo nie przystoi prawemu dziecku wypytywać o tak brzydkie rzeczy”. To dość niezwykła na te czasy uwaga. Swoboda języka była tak naturalna, że nawet o wiele później najsurowsi reformatorzy w swoich kazaniach do dzieci i uczniów pozwalali sobie na porównania dla nas szokujące. I tak ojciec jezuita Lebrun w 1653 roku nakłania „wielce szlachetnych pensjonariuszy kolegium w Clermont” do unikania łakomstwa: „Kapryszą i wybrzydząją *tanquam praegnantes mulierculae*”¹².

Pod koniec XVI wieku sytuacja wyraźnie się zmienia. Niektórzy wychowawcy zdobywają sobie autorytet i narzucają innym swoje przekonania, nie tolerują oni dłużej, by wkładano dzieciom do ręki dzieła budzące wątpliwości. Rodzi się pomysł wydawania klasycznych książek w wersji ocenzurowanej na użytek dzieci. To bardzo ważny moment, mamy prawo datować od tej chwili poszanowanie dzieciństwa, które pojawia się w tym samym czasie u katolików i u protestantów, we Francji i w Anglii. Do tej pory nikt się nie wzdragał przed daniem dzieciom do czytania Terencjusza. Jezuici skreślili z programu tego,

¹⁰ J. R. Vives, *op. cit.*

¹¹ Cyt. w: F. Watson, *op. cit.*, s. 112.

* Jak brzemiennie niewiastki.

¹² A. Schimberg, *Education morale dans les collèges de jésuites*, 1913, s. 227.

klasycznego przeciw autora¹³. W Anglii posługiwano się zmodyfikowaną wersją Corneliusa Schonaeusa, wydaną w 1592 roku i wznowioną w 1674. Brinsley zaleca ją w swoim podręczniku dla nauczycieli¹⁴.

We francuskich akademiach protestanckich posługiwano się dialogami Cordiera (1564), które zastąpiły dialogi Erazma, Vivesa, Mosellanusa i innych. Wyczuwa się w tym podręczniku staranie o skromność i grzeczność języka. Raptem jeden tylko żarcik na temat papieru¹⁵: chłopcy wymieniają rozmaite rodzaje papieru – to taka gra towarzyska – a więc papier szkolny, na koperty, bibuła. W końcu jeden się poddaje, a drugi wymienia „papier służący do wycierania pośladek w ustępie – przegrałeś”. Bardzo to niewinny żarcik w porównaniu z tradycyjnymi grubiaństwami. Cordiera naprawdę można „dać każdemu do ręki”. Obok jego dialogów używane będą powszechnie dialogi religijne S. Castellione.

Port-Royal wyda oczyszczoną wersję Terencjusza: „Komédie Terencjusza bardzo przyzwoite przez to, że co nieco zmienione”¹⁶. W kolegiach jezuitów karom cielesnym i wymierzaniu chłosty towarzyszą niezwykle środki ostrożności, szczegółowo podane w regulaminie. Wszystko po to, by nie obrażać skromności. Mówi się o tym, że nie należy ściągać spodni delikwentom, *adolescentum*, „jakiegokolwiek byliby stanu i wieku” (podoba mi się ta wzmianka o stanie), wystarczy odsłonić tylko tyle skóry, ile potrzeba na wymierzenie kary, *non amplius**¹⁷.

Wielka zmiana obyczajów następuje w wieku XVII. Najmniejsza z poufałości, na jakie pozwalało sobie na dworze Henryka IV, nie byłaby tolerowana przez panią de Maintenon u królewskich dzieci, nawet bastardów. Zresztą w domach libertynów też nie. To już nie tylko kilku pojedynczych moralistów, jak Gerson, ale cały szeroki ruch, przejawiający się w bogatej literaturze moralnej i pedagogicznej, a także w pobożnych praktykach i w nowej ikonografii religijnej.

Przyjęło się nowe, ważne pojęcie – dziecięca niewinność. Spotkaliśmy je już u Montaigne’a, który skądinąd nie robił sobie złudzeń co do cnoty młodych uczniów: „Stu szklarzy nabawiło się francy, nim doszli w Arystotelesie do rozdziału «O umiarkowaniu»”¹⁸. Ale przytacza on również anegdotę zapowiadającą inne uczucia: „Albuquerque, wicekról Indów z ramienia Emanuela,

¹³ P. de Dainville, *op. cit.*

¹⁴ F. Watson, *op. cit.*

¹⁵ Mathurin Cordier, *op. cit.*

¹⁶ Przez Pomponiusza i Trobatusa.

* Nie więcej.

¹⁷ Cyt. w: P. de Dainville, *op. cit.*

¹⁸ Montaigne, I, 25, *op. cit.*, s. 251.

króla Portugalii, będąc w gwałtownym niebezpieczeństwie na wzburzonym morzu, wziął na ramiona małego chłopca jedynie w tej myśli, aby w owej wspólnej ich doli niewinność dziecka służyła mu za polecenie wobec łaski Bożej i za porękę jej pomocy¹⁹. Sto lat później przekonanie o dziecięcej niewinności było już komunałem. Oto dla przykładu tekst towarzyszący rycinie F. Guérarda, na której przedstawione zostały dziecięce zabawy (lalka, bębenek itp.)²⁰:

Oto wiek niewinności,
Do którego powinniśmy wrócić,
By cieszyć się przeszłością,
Naszą nadzieją na tym świecie.
Wiek, kiedy potrafimy wszystko przebaczyć,
Kiedy nie umiemy nienawidzić
I nic nas nie może zmartwić;
Złoty wiek ludzkiego żywota,
Wiek, co się nie lęka piekieł,
Wiek, kiedy życie jest nie bardzo trudne,
A śmierć nie bardzo straszna,
Kiedy niebo stoi otworem.
Czule i delikatnie traktujcie
Młodzianków, którzy są nadzieją Kościoła,
Niebo gniewa się na tych,
Co ich gorszą...

Jak daleką przeszliśmy drogę, pokazuje bogata literatura, której kilka tytułów podaję niżej. Dobrym przykładem jest „Obyty w świecie chłopiec, czyli sztuka wychowywania szlachty do cnoty, nauk i wszelkich ćwiczeń stosownych dla jej kondycji”, wydane w 1643 roku dzieło de Grenaille’a, koniuszego i pana na Chatauniers²¹. Napisał wcześniej „Obytą w świecie pannę”. Zainteresowanie edukacją, „instytucją młodości”, jest znamienne, autor zdaje sobie sprawę, że nie on jeden zajmuje się tym tematem i w przedmowie przeprosza: „Sądzę, że nie wkraczam wcale na teren pana Faret²², poruszając temat, który on zaledwie musnął, i mówiąc o edukacji tych, których doskonałe przymioty był przedstawił”. „Prowadzę obytego w świecie chłopca od wczesnego dzieciństwa do młodości. Wpierw omawiam jego narodziny, potem edukację. Dbam o ogładę jego obyczajów, tak samo jak umysłu; kształcę w nim pobożność i przyzwoitość, by nie był bezbożny ani przesądny”. Podręczniki *savoir vivre*’u i dobrego

¹⁹ *Ibid.*, I, 39, *op. cit.*, s. 342.

²⁰ F. Guérard, Cabinet des Estampes Ee 3 a, pet. in fo.

²¹ M. de Grenaille, *L'Honneste Garçon*, 1642.

²² Faret, *L'Honnête Homme*, 1630. Boileau rymował jego nazwisko z kabaretem.

wychowania istniały już wcześniej i aż do początków XIX wieku cieszyły się wielkim wzięciem. Ale obok traktatów adresowanych do dzieci, na początku XVII wieku pojawia się cała literatura pedagogiczna na użytek rodziców i wychowawców. Powołuje się ona na Kwintyliana, Plutarcha i Erazma, jest jednak zupełnie nowa, tak nowa, że pan de Grainaille musi się bronić przed tymi, dla których edukacja młodzieży to kwestia wyłącznie praktyczna, niewarta, by jej poświęcać specjalne księgi. To prawda, że jest Kwintylian itd., ale dla chrześcijan temat wychowania ma szczególną wagę: „Skoro Pan Panów przyzywał do siebie niewiniątka, to nie wydaje mi się, by ktokolwiek z jego poddanych miał prawo je odtrącać ani by ludzie mogli mieć wstręt do ich wychowywania, bo przecież to czyniąc naśladowają anioły”. To zestawienie dzieci z aniołami staje się banalnym tematem literatury budującej. „Mówią, że anioł przybrał postać dziecka oświecił świętego Augustyna, ten zaś dzielił się chętnie światłem z dziećmi i obok dzieł dla wielkich teologów znajdujemy u niego rozprawy poświęcone dzieciom”. De Grenaille powołuje się na przykład Ludwika Świętego, który zredagował instrukcje dla syna. „Kardynał Bellarmin napisał dla dzieci katechizm”. Richelieu, „wielki książę Kościoła, oświecał najmłodszych i udzielał rad wielkim tego świata”. Montaigne’a, którego byśmy się nie spodziewali spotkać w tym doborowym towarzystwie, również niepokoiли źli wychowawcy, zwłaszcza pedanci.

„Nie wyobrażajmy sobie, że dzieciństwo to okres słabości; przeciwnie, pokażę tutaj, że stan, przez wielu traktowany z pogardą, ma w sobie świetność”. Istotnie, mówi się w tych czasach chętnie o głupocie i słabości dzieciństwa. Przedtem raczej je ignorowano jako okres przejściowy i pozbawiony znaczenia. To podkreślanie nieważkości dzieciństwa jest może dziełem umysłu klasycznego, domagającego się rozumu, ale też, i przede wszystkim, reakcją na nowe ważne miejsce, jakie dziecko zajęło w rodzinie i w uczuciach rodzinnych. Wrócimy do tego w konkluzjach pierwszej części tej pracy. Zapamiętajmy na razie, że dorośli każdego stanu lubią się bawić z małymi dziećmi. Nie ma w tym nic nowego, ale dopiero teraz sprawa na tyle zwraca uwagę, że aż złości. Rodzi się wtedy uczucie irytacji wobec dziecinady, jaką podszyty jest współczesny stosunek do dziecka. Dochodzi do tego pogarda społeczeństwa mężczyzn, żyjących na wolnym powietrzu lub „ludzi z towarzystwa”, dla profesora, wychowawcy kolegium, „pedanta” w czasach, gdy kolegia były coraz liczniejsze i coraz chętniej uczęszczane, a dzieciństwo kojarzyło się już dorosłym z okresem nauki w szkole. Niechęć tych mężczyzn do dzieci, trosk i powagi w traktowaniu zagadnienia też świadczy o tym, że dzieciństwo zaczęło być wyróżniane, ich zdaniem, nadmiernie.

Dla autora „Obytego w świecie chłopca” dzieciństwo jest „światne” z powodu dzieciństwa Chrystusa. To, że Chrystus przyjął postać nie tylko człowieka,

ale w dodatku dziecka, interpretowane było jako znak największego upokorzenia. Według świętego Bernarda Chrystus był mniejszy niż pierwszy Adam. Ale do chwały dzieciństwa przyczyniły się też inne święte dzieci: niewiniątka, mali męczennicy, co nie chcieli wielbić fałszywych bożków, żydowski chłopiec świętego Grzegorza z Tours, którego ojciec chciał spalić w piecu za to, że się przechrzcił. „Mógłbym jeszcze pokazać, że dziś, tak samo jak w minionych stuleciach, są męczennicy wiary pośród dzieci. W historii Japonii mamy postać małego Ludwika, który w wieku dwunastu lat przewyższał szlachetnością doskonałych mężów”. Na tym samym stosie co dom Charles Spinola spłonęła kobieta „z małym dzieckiem”, dla de Grenaille’a to dowód, że „dziecięce usta chwalą Pana”. Czerpie on przykłady świętych dzieci z obu Testamentów, a od siebie dodaje jeszcze jeden, nie spotykany w literaturze klasycznej, mianowicie dziecięcą wyprawę krzyżową: „Nie wolno nam zapomnieć o cncie dzielnych francuskich chłopców, których opiewa Nauclerus i którzy za czasów Innocentego III w liczbie dwudziestu tysięcy ruszyli z krucjatą wyrwać Jeruzalem z rąk niewiernych”.

Wiemy, że chłopcy z *chansons de geste* i powieści rycerskich zachowywali się jak prawdziwi rycerze, co dla pana de Grenaille świadczy o ich roztropności i cncie. Podaje on jeszcze przypadek dziecka, które w pojedynku ze „słynnym gladiatorem” broniło barw cesarzowej, żony imperatora Konrada. „Przeczytajcie w *Amadisach* o czynach Renauda, Tankreda i innych rycerzy; baśń nie większą im przyznaje waleczność niż prawdziwa historia temu małemu Achillesowi”.

„Czyż nie jest tak, że wiek tak wczesny może się mierzyć z innymi, a nawet często nad nimi góruje?” „Kto się odważy wreszcie powiedzieć, że Bóg ceni dzieci tak samo jak ludzi najstarszych?” Kocha je dla ich niewinności, tak „blińskiej bezgrzeszności Bożej”. Dzieci nie wiedzą, co to namiętność czy występki: „Ich życie wydaje się zupełnie rozumne, nawet gdy nie są jeszcze zdolne władać rozumem”. Nie ma już mowy o *peccatum mollicei**, nasz szlachcic z 1642 roku wydaje się pod tym względem bardziej zacofany od Gersona. Drażni go sama idea dopatrująca się w dziecku bezwstydu i grzechu, jest ona bowiem argumentem tych, którzy uważają dzieciństwo za „męską i grzeszną bezmyślność”.

W tym samym duchu wypowiada się środowisko Port-Royal, a wpieryw Saint-Cyran, którego biografowie-janseniści podkreślali, jak wysokie miał mniemanie o dzieciństwie i naszych obowiązkach wobec dzieci. „Podziwiał Bożego Syna, który pełniąc swój najwyższy urząd chciał, by nie zabraniano dziatkom przychodzić do Niego, który całował je i błogosławił, który tak usilnie nam zalecał, byśmy nimi nie gardzili ani ich nie zaniedbywali, i który wreszcie wyrażał się o nich w słowach tak pochlebnych i zdumiewających, że ogłuchliby od nich ci, co znieważają najmłodszych. Pan de Saint-Cyran okazywał zawsze

* Grzech lubieżności.

dzieciom dobroć, a nawet odnosił się do nich z szacunkiem, by uhonorować dziecięcą niewinność i Ducha Świętego, który w dzieciach mieszka”²³. Pan de Saint-Cyran jest „bardzo oświecony” i „daleki od światowych maksym [to znaczy pogardy dla wychowawców], innym okiem patrzy na edukację młodzieży, bo wie, jak wielkie ma ona znaczenie. Jakkolwiek trudne i ponizające byłoby to zajęcie w oczach światowców, nie pozwalał, by trudniły się nim osoby, które by czuły się w prawie na to narzekać”.

Rodzi się oto nowa moralna koncepcja dzieciństwa, która kładzie nacisk raczej na jego bezbronność niż na „chwałę”, jak powiadał pan de Grenaille, a przy tym łączy tę bezbronność z niewinnością dziecka, będącą odbiciem boskiej czystości. W myśl tej koncepcji wychowanie dziecka jest jednym z naszych pierwszych obowiązków. Jest to reakcja na obojętność wobec dzieciństwa z jednej strony, z drugiej zaś na zbyt czułościowy i egoistyczny stosunek do dziecka, który powoduje, że dorośli traktują je jak zabawkę i pobłazają dziecięcym kaprysom. Wreszcie jest to reakcja na przeciwieństwo takiego stosunku, mianowicie na pogardę ze strony rozumnego człowieka. Ta właśnie koncepcja dominuje w literaturze pedagogicznej końca wieku. W „Regułach wychowania dzieci” z 1687 roku²⁴ Coustel pisze: „Trzeba kochać dzieci i przewycięzać niechęć, jaką budzą w człowieku rozumnym... Dzieci nie zasługują na wielki szacunek, jeśli brać pod uwagę ich zewnętrżność, która jest jedną słabością tak na ciele, jak na umyśle. Ale uczucia nasze się zmieniają, jeśli patrzymy w przyszłość i gdy postępowanie dyktuje nam Wiara”. Wtedy widzimy w dziecku przyszłego „dobrego prawnika”, „zacnego proboszcza”, „wielkiego pana”. A przede wszystkim trzeba pamiętać, że dziecięce dusze, czyste jak w chwili chrztu, są siedzibą Jezusa Chrystusa. „Bóg daje nam przykład, kiedy każe aniołom towarzyszyć dzieciom na każdym kroku i nigdy ich nie opuszczać”. I dlatego „wychowanie dzieci jest jedną z najważniejszych spraw na świecie”, pisze Varet w „Edukacji chrześcijańskiej”²⁵. Wtóruje mu Jacqueline Pascal w regulaminie małych pensjonariuszek Port-Royal: „Baczenie na dziecko jest sprawą tak ważną, że powinniśmy przekładać ten obowiązek nad wszystkie inne, których wymaga od nas posłuszeństwo, oraz nad nasze osobiste satysfakcje, płynące ze spraw duchowych”²⁶.

Nie są to jakieś oderwane, odosobnione opinie, ale prawdziwa doktryna, która przyjęła się szeroko u jezuitów, tak samo jak u oratorianów i jansenistów. Jest ona częściowo odpowiedzialna za rozkwit instytucji wychowawczych,

²³ F. Cadet, *L'Education à Port-Royal*, 1887.

²⁴ Coustel, *Règles de l'éducation des enfants*, 1687.

²⁵ Varet, *De l'éducation chretienne des enfants*, 1666.

²⁶ Jacqueline Pascal, *op. cit.*

kolegiów, szkółek, nauki w domach prywatnych oraz za ewolucję szkolnych obyczajów w kierunku surowszej dyscypliny.

Generalne zasady tej doktryny powtarzają się do znudzenia w ówczesnej literaturze. Dzieci nigdy nie wolno pozostawiać samym sobie – ta jeszcze piętnastowieczna zasada płynęła z doświadczenia życia klasztorowego. Ale zaczęto się jej naprawdę trzymać dopiero w wieku XVII, kiedy uznała ją za niezbędną szeroka publiczność, a już nie tylko garstka zakonników i pedantów. „Trzeba szczelnie zamknąć wszystkie otwory w klatce... wyjąć tylko parę prętów, żeby mogły żyć i dobrze się czuć, jak to się robi słowikom, żeby śpiewały, i papugom, żeby się nauczyły mówić”²⁷. Wychowawcom nie brakowało jednak subtelności, bo i u jezuitów, i w szkole Port-Royal lepiej poznano psychologię dziecka. W regulaminie szkoły Port-Royal czytamy: „Trzeba doskonale czuwać nad dziećmi, nie zostawiać ich nigdy i nigdzie samych ani w zdrowiu, ani w chorobie... To nieprzerwane pilnowanie dzieci musi być delikatne i nie pozbawione pewnego zaufania, żeby czuły, iż jesteśmy z nimi dlatego, że je kochamy, a nie tylko dlatego, żeby ich pilnować... Wtedy raczej lubią to nasze czuwanie, niż się go lękają”²⁸.

Zasada pilnowania dzieci obowiązuje absolutnie wszędzie, ale traktuje się ją dosłownie tylko w internatach jezuitów, w szkołach Port-Royal i na pensjach prywatnych, to znaczy dotyczy ona jedynie niewielkiej liczby dzieci bardzo bogatych. Chciano je ustrzec od sąsiedztwa kolegiów przez długi czas cieszących się złą sławą – we Francji krócej niż w Anglii, dzięki jezuitom. „Za wielkie mnóstwo uczniów w kolegiach – pisze Coustel²⁹. – Gdy tylko dziecko postawi nogę w szkole, zaraz traci niewinność, prostotę i skromność, które czyniły je przedtem miłym Bogu i ludziom”. Niechętnie dawano dziecku prywatnego nauczyciela, sprzeciwiały się bowiem temu niezmiernie towarzyskie obyczaje. Dziecko powinno wcześniej poznać ludzi, powinno obcować z dorosłymi, życie społeczne było niezwykle ważne, liczyło się bardziej niż łacina. Lepiej „umieścić pięcioro lub sześcioro dzieci z porządnym nauczycielem lub dwoma w domu prywatnym”. Tę myśl znajdujemy już u Erazma.

Zasada druga: dziecka się nie pieści, od zarania należy traktować je surowo. „Nie mówcie mi, że to tylko dzieci i że trzeba mieć cierpliwość. Skutki pobłażania występują w tym wieku aż nazbyt często”. To reakcja na *mignotage*, rozpieszczanie dzieci poniżej ośmiu lat i opinię, że jeszcze są za małe, żeby je wychowywać. Courtin w 1671 roku³⁰ długo się na ten temat rozwodzi: „Pozwala się młodzieńskim umysłom swobodnie spędzać czas nie bacząc, czy robią coś

²⁷ F. Cadet, *op. cit.*

²⁸ Jacqueline Pascal, *op. cit.*

²⁹ Coustel, *op. cit.*

³⁰ Courtin, *La Civilité nouvelle, contenant bon usage et parfarte instruction*, Bâlea 1671.

dobrego, czy złego; na wszystko im się pozwala, niczego nie zabrania, śmieją się, kiedy trzeba płakać, płaczą, kiedy wypada się śmiać, mówią, gdy należy milczeć, milczą, gdy dobre wychowanie każe odpowiedzieć [to już owo słynne „dziękuję panu” małych Francuzów, które zdumiewa i oburza amerykańskich ojców rodzin]. Że pozwalamy im zachowywać się w ten sposób, jest z naszej strony okrucieństwem. Ojcowie i matki powiadają, że będą je poprawiać, gdy podrosną. Czy nie lepiej postępować tak, by nie było niczego do poprawiania?”

Trzecia zasada: powściągliwość. „Wielka skromność” zachowania. W Port-Royal „kiedy tylko położą się spać, każde odwiedza się w łóżku, żeby sprawdzić, czy leży z należytą skromnością, a w zimie także, żeby zobaczyć, czy dobrze przykryte”³¹. Próbuje się wykorzenić zwyczaj sypiania po parę osób w jednym łóżku. Powtarza się ta prawdziwa propaganda przez cały wiek XVII. Spotykamy się z nią również u J. B. de la Salle, w wydanej w 1713 roku „Obyczajności chrześcijańskiej”: „Przede wszystkim nie należy, chyba że się jest małżeństwem [takiego zastrzeżenia nikt by dziś nie zamieścił w książce przeznaczony dla dzieci, choć właściwie nie tylko dla nich, a ogromne postępy przyzwoitości i skromności nie hamowały jednak swobody, na którą my byśmy sobie nie pozwolili], spać w obecności osoby płci odmiennej, bo to się kłóci z ostrożnością i obyczajnością. Tym bardziej nie wolno osobom płci odmiennej spać w jednym łóżku, nawet gdy są to bardzo małe dzieci, bo nie jest przyzwoite, by osoby nawet tej samej płci spały razem”. Święty Franciszek Salezy szczególnie to zalecał pani de Chantal: „Ojcowie i matki muszą nauczyć swoje dzieci, by nie obnażały się przed sobą, kiedy się kładą spać”.

Dobór lektur i tematów konwersacji świadczy o trosce o przyzwoitość: „Niechaj uczą się czytać z książek, w których czystość języka idzie w parze z wyborem rzeczy zacnych... Kiedy zaczynają pisać, nie pozwólcie, by znalazły się w przykładach [do kopiowania] brzydkie sformułowania”³². Daleko odeszliśmy od swobodnego języka małego Ludwika XIII, języka, który tak bawił poczciwego Heroarda. Oczywiście należy unikać powieści, balów, komedii, odradza się je zresztą i dorosłym. Trzeba uważać na piosenki – bardzo istotne zalecenie w społeczeństwie, gdzie muzyka zajmowała tyle miejsca: „Zwracajcie szczególną uwagę na to, żeby dzieci nie uczyły się nowoczesnych piosenek”³³. Ale stare piosenki wcale nie są lepsze: „Wśród piosenek, które wszyscy znają i których uczą się dzieci, gdy tylko zaczynają mówić... niemal wszystkie są pełne złorzeczeń i najgorszych kalumnii, prawie każda to bezlitosna satyra nie oszczędzająca ani świętej osoby panującego, ani urzędników miejskich, ani naj-

³¹ Jacqueline Pascal, *op. cit.*

³² Varet, *op. cit.*

³³ *Ibid.*

niewinniejszych i najpoważniejszych osób”. Piosenki wyrażają „nieokiełznaną namiętność”, pełne są „niepocziwej dwuznaczności”³⁴.

Na początku XVIII stulecia Jean Baptiste de la Salle³⁵ nadal ostrzega przed widowiskami: „Nie wypada chrześcijaninowi bywać na przedstawieniach marionetek [ani na komediach]... Człowiek roztropny patrzy na takie widowiska z pogardą... a ojcowie i matki nie powinni pozwalać, żeby je dzieci oglądały”. Komédie, bale, tańce oraz spektakle „bardziej prostackie”, jak występy sztukmistrzów, kuglarzy i tancerzy na linie, są zabronione. Zezwala się jedynie na gry kształcące, to znaczy figurujące w programie nauczania – wszystkie inne są podejrzane.

W literaturze pedagogicznej, tak dbałej o „skromność”, stale powtarza się przestroga, by nie zostawiać dzieci w towarzystwie służby (wbrew ogólnie przyjętym zwyczajom): „Jak najrzadziej zostawiajcie je z czeladzią, szczególnie z lokajami [słowa służba używano w szerszym niż dziś znaczeniu, chodziło o domowników, czyli również współpracowników, jakbyśmy dziś powiedzieli]. Te osoby, chcąc zaskarbić sobie przychylność dzieci, opowiadają im zwykle same głupstwa i podsycają w nich upodobanie do gry, rozrywek i próżnowania”³⁶.

Jeszcze na początku XVIII wieku przyszedł kardynał de Bernis wspominając dzieciństwo (urodził się w 1715) pisał³⁷: „Nie masz nic groźniejszego dla obyczajów, a może i zdrowia, jak zostawiać dzieci zbyt długo pod opieką pokojowych... Z dzieckiem pozwalają oni sobie na to, czego by nie śmieli zaryzykować z młodzieńcem”. To ostatnie zdanie odzwierciedla mentalność, jaką omówiliśmy wyżej na dworze Henryka IV i w tunezyjskim tramwaju w XX wieku. Utrzymywała się nadal wśród ludu, w warstwach wykształconych była nie do przyjęcia. Moralisci domagali się odseparowania dzieci od świata „służby domowej”, gdyż byli świadomi niebezpieczeństwa, jakie niesie z sobą zażyłość z niewiele często starszymi od nich służącymi. Chcieli uchronić dziecko przed żartami i gestami, które zostały uznane za nieobyczajne.

Zasada czwarta to tylko nowy przejaw dbałości o skromność i przyzwoitość: tradycyjną familiarność ma zastąpić w życiu codziennym większa powściągliwość gestów i języka. I dlatego zaczęto walczyć z mówieniem sobie per ty. W kolegium jansenistów w Chesnay³⁸ „tak ich przyzwyczajono do tytułowania

³⁴ *Ibid.*

³⁵ Jean-Baptiste de La Salle, *Les Règles de la bienséance et de la civilité chrétienne*. Pierwsze wydanie w 1713.

³⁶ Varet, *op. cit.*

³⁷ *Mémoires du cardinal de Bernis*, 2 tomy, 1878.

³⁸ *Règlement du collège du Chesnay*, Wallon de Beaupuis, *Suite des vies des amis de Port-Royal*, 1751, t. I, s. 175.

się wzajemnie, że nigdy nie zwracali się do siebie per ty ani też nie słyszano, by wypowiedzieli choć słowo, które by mogło sprawić przykrość koledze”.

Podręcznik obyczajności z 1671 roku³⁹ uczy, że dobre wychowanie wymaga zwracania się do innych w drugiej osobie liczby mnogiej, idzie jednak na ustępstwa i w pewnych wypadkach akceptuje nie bez zakłopotania dawne zwyczaje językowe: „Mówi się zwykle «vous», a nie «tu», chyba że chodzi o małe dziecko, do którego zwraca się osoba o wiele starsza. Tak się zwykło mówić nawet wśród najbardziej dwornych i uczonych ludzi. Tak zwracają się we Francji ojcowie do swoich dzieci, póki się one nie usamodzielnią. Nauczyciele zwracając się do małych uczniów i inni w podobnych stosunkach mogą zgodnie ze starym zwyczajem ich «tykać». W niektórych prowincjach zwyczaj dopuszcza użycie «ty» w rozmowach z bliskimi przyjaciółmi, gdzie indziej ludzie są bardziej powściągliwi i grzeczni”.

Jean Baptiste de la Salle zabrania nauczycielom „tykać” uczniów nawet w szkółkach dla małych dzieci: „Mówić do dzieci powściągliwie, nigdy ich nie «tykać», bo to oznaka zbytnej poufałości”. Jest oczywiste, że pod taką presją zaczęto znacznie powszechniej zwracać się do dzieci per *vous*. Ze zdumieniem czytamy w pamiętnikach pułkownika Gerarda, że pod koniec XVIII wieku żołnierze zwracali się do siebie „vous”, przy czym jeden miał 25, drugi 23 lata! W każdym razie pułkownik Gerard używa zwrotu „vous” i nie widzi w tym nic śmiesznego.

W Saint-Cyr u pani de Maintenon panienci mają unikać „mówienia sobie «ty» i manier sprzecznych z zasadami dobrego wychowania”⁴⁰. „Nie należy zwracać się do dzieci dziecięcym językiem i dostosowywać się do ich manier; przeciwnie, trzeba je podciągać do swego poziomu i zawsze przemawiać do nich rozumnie”.

Już w dialogach Cordiera z drugiej połowy XVI wieku uczniowie w tekście francuskim mówili sobie „vous”, a w wersji łacińskiej, naturalnie, „ty”. Faktycznie potrzeba powagi zatryumfowała w obyczajach dopiero w XIX wieku, i to pomimo ewolucji pedagogiki w przeciwnym, bardziej liberalnym kierunku. L. Wylie, nauczyciel języka francuskiego ze Stanów Zjednoczonych, spędził rok szkolny 1950/51 we wsi na południu Francji. Był zdumiony powagą, z jaką nauczyciele szkoły podstawowej we Francji traktują swoich uczniów, a rodzice-chłopi swoje dzieci. Cóż za kontrast w porównaniu z podejściem amerykańskim! „Każdy krok w rozwoju dziecka wydaje się zależeć od tego, co ludzie nazywają r o z u m e m... Dziecko jest uważane za rozumne i oczekuje się, że takim pozostanie”. Ten rozsądek, samokontrola i powaga, których się od dziecka bardzo wcześnie wymaga, a których w Stanach Zjednoczonych nikt

³⁹ Por. przypis 30.

⁴⁰ Th. Lavallée, *Histoire de la maison royale de Saint-Cyr*, 1862.

od niego nie żąda, to ostateczny wynik kampanii rozpoczętej pod koniec XVI wieku przez zakonników i moralistów-reformatorów. Zresztą i u nas takie wymagania w miastach zanikły, przetrwały natomiast na wsi, gdzie tak zaskoczyły amerykańskiego obserwatora.

Uznanie niewinności dziecka wymaga od nas, byśmy z jednej strony chronili je przed brudem życia, szczególnie przed tolerowaną, jeśli nie akceptowaną, seksualnością dorosłych, z drugiej – byśmy tę niewinność wzmocnili, rozwijając w dziecku charakter i kształcąc rozum. Można by się w tym dopatrzeć pewnej sprzeczności, bo z jednej strony zachowuje się dzieciństwo, z drugiej się je postarza, ale to sprzeczność tylko w naszych oczach. To my, ludzie XX wieku, widzimy związek między dzieciństwem, prymitywizmem, irracjonalizmem i myśleniem prelogicznym. Taką postawę zajmował już Rousseau, ale należy ona do wieku XX, gdyż dopiero od niedawna znalazła odbicie w teoriach psychologów, pedagogów, psychiatrów, psychoanalityków oraz w opinii publicznej. Ta właśnie postawa jest dla amerykańskiego nauczyciela, L. Wylie, punktem odniesienia przy ocenie tego innego stosunku do dziecka, jaki był odkrył na wsi w Vaucluse, i w którym rozpoznajemy relikwiny znacznie starszej postawy wobec dzieciństwa, tej, co ukształtowała się w XV i XVI wieku, a stała powszechna i popularna w wieku XVII.

W tej koncepcji dzieciństwa, starszej niż nasza współczesna, lecz nowiej w stosunku do średniowiecza, pojęcia niewinności i rozumu nie były sprzeczne. *Si puer prout decet, vixit* podręcznik obyczajności z 1671 roku tłumaczy: „jeśli dziecko sprawowało się jak mężczyzna”⁴¹.

W nowym klimacie moralnym pojawia się pedagogiczna literatura dziecięca, już nie przeznaczona dla dorosłych. W całej masie książek wychowawczych, jakie wydawano począwszy od wieku XVI, bardzo trudno jest się zorientować, które były adresowane do dorosłych, a które do dzieci. Ta niejasność wynika ze struktury rodziny oraz ze stosunków między rodziną a społeczeństwem, czym zajmiemy się w ostatniej części książki.

W wieku XVII różnica rysuje się wyraźniej. Ojcowie jezuitów drukują nowe podręczniki dobrych obyczajów bądź adaptują stare, cenzurują dawnych autorów, wydają traktaty gimnastyczne itp., na przykład „Sztukę obyczajnej rozmowy”⁴² z 1617 roku przeznaczoną dla pensjonariuszy Bractwa Jezusowego w Pont-à-Mousson i La Flèche. Wydane w 1713 roku „Reguły przyzwoitości i grzeczności chrześcijańskiej” na użytek chrześcijańskich szkół dla chłopców Jeana Baptiste’a de la Salle będą wznawiane przez cały wiek XVIII i jeszcze na początku XIX. To klasyczne dzieło niewątpliwie silnie oddziaływało na obyczaje,

⁴¹ L. Wylie, *Village in the Vaucluse*, Cambridge, USA, 1957.

⁴² *Bienséance de la conversation entre les hommes*, Pont-à-Mousson 1671.

ale i w nim autor nie zwraca się otwarcie bezpośrednio do dzieci. Niektóre zalecenia są skierowane raczej do rodziców czy po prostu do dorosłych, którzy nie znają jeszcze dobrych manier. A przecież z tej książki dzieci uczyły się czytać i pisać, zawierała ona przykłady do kopiowania będące jednocześnie wzorami zachowania. Dzieci uczyły się ich na pamięć. W drugiej połowie XVIII wieku sprawa się wyjaśnia. Oto w roku 1761 „Podręcznik manier obyczajnych dzieciom ku nauce, w którym na początku podany jest sposób, jak nauczyć się czytania, wymowy i pisania, na nowo poprawiony [bo wszystkie te podręczniki podają się za reedycje Cordiera, Erazma czy „Galatea”; gatunek jest tradycyjny, dodaje się rzeczy nowe do starej kanwy i stąd przetrwały w tych dziełkach postawy, którym w życiu z pewnością przestano hołdować] i wzbogacony na końcu o piękny traktat o ortografii. Sporządzony przez misjonarza z przepisami i zaleceniami ku nauce młodzieży”⁴³. Autor tej księgi zwraca się wprost do młodzieży nowym, sentymentalnym tonem: „Lektura tej książki nie będzie dla was bezużyteczną, moje drogie dzieci... Zwróćcie uwagę, kochane dziatki... Drogie dziecko, które jesteś dla mnie dzieckiem Boga i bratem Jezusa Chrystusa, od zarania skłaniaj się ku dobru... Chcę was nauczyć prawideł dobrego chrześcijanina... Gdy tylko wstaniecie z łóżka, przeżegnajcie się... Jeśli jesteście w pokoju rodziców, przywitajcie się z nimi”. W szkole: „Nie przeszkadzajcie kolegom... Nie rozmawiajcie na lekcjach... Nie używajcie zbyt pośpiesznie słowa «ty»”. Ten łagodny ton, charakterystyczny dla wieku XVIII, w niczym nie zmienia ideału charakteru, rozumu i godności, jaki się chce dziecku wpoić: „Drogie dzieci, nie bądźcie jak ci, co bez przerwy gadają i nie dają innym dojść do słowa... Dotrzymujcie obietnic, bo tak postępuje człowiek honorowy”. Duch tych nauk jest nadal siedemnastowieczny, ale sposób wykładu – „Moje drogie dzieci” – już dziewiętnastowieczny. Świat dzieci wyodrębnia się wyraźnie ze świata dorosłych.

Zachowały się jednak gdzieś ślady dawnej obojętności na wiek. Przez długi czas dzieci uczyły się łaciny, a także greki, z dystychów przypisywanych Katonowi. Ów pseudo-Katon jest cytowany w *Roman de la Rose*. Dzieci uczyły się z niego przez cały wiek XVII, istnieje nawet wydanie z roku 1802. Otóż nauki moralne pseudo-Katona są sformułowane w bardzo dosadnym języku, w duchu późnej starożytności i średniowiecza, którym nie znana była delikatność Gersona, Cordiera, jezuitów, Port-Royal, słowem – siedemnastowiecznej opinii. Dzieci tłumaczyły więc na francuski tego rodzaju maksymy: „Nie dowierzaj żonie uskarżającej się na służę, bo często żona nie znosi tego, kto kocha jej męża”. Albo: „Nie staraj się poznać zamysłów Boga przy pomocy

⁴³ *Civilité puérile et honnête pour l'instruction des enfants...*, sporządzona przez misjonarza, 1753.

czarów”. „Uciekaj przed żoną, która chce nad tobą zapanować z racji swego wiana, nie zatrzymuj jej, jeśli jest niesforna” itd. itp.

Pod koniec XVI wieku tego rodzaju nauki moralne były niewystarczające i dlatego zaproponowano dzieciom czterowersze Pibraca, utrzymane w bardziej chrześcijańskim, budującym i nowoczesnym duchu. Jednak nie wyparły one dystychów pseudo-Katona, dodano je tylko do tamtych, i podręczniki szkolne z początku XIX wieku zawierają oba teksty. Pseudo-Katon i Pibrac popadli też później wspólnie w zapomnienie.

Nowemu stosunkowi do dzieciństwa w XVII wieku odpowiada nowa pobożność i nowa ikonografia religijna. Tu również dziecko zaczyna zajmować miejsce centralne. Od początku XVII wieku w religijnym malarstwie, grafice i rzeźbie postać Dzieciątka Jezus nabiera wielkiego znaczenia. Przedstawia się je samo, bez Marii Panny czy Świętej Rodziny. Jak możemy zobaczyć na obrazie Van Dycka w Dreźnie, Dzieciątko Jezus jest zwykle ujęte w symbolicznej pozie: kładzie stopę na węzu, opiera się o glob ziemski, trzyma w lewej ręce krzyż, a prawą podnosi w geście błogosławieństwa. Spotykamy to władcze dziecko na portalach kościołów (Dalbade w Tuluzie). Święte dzieciństwo otacza szczególny kult. I ta ikonografia przygotowała wszystkie „Święte Rodziny”, obrazy Chrystusa w świątyni i sceny obrzezania z XV i XVI wieku. Ale w XVII wieku zmienia się akcent. Omówiłem już ten temat, tu chciałbym tylko podkreślić związek między kultem świętego dzieciństwa a wielkim zainteresowaniem samym dzieciństwem, powstawaniem nowych szkółek i kolegiów, rozwojem pedagogiki. Kolegium w Juilly poświęcone było przez kardynała de Bérulle tajemnicy Dzieciątka Jezus⁴⁴. Jacqueline Pascal do regulaminu pensjonariuszek Port-Royal wprowadziła dwie modlitwy, w tym jedną „dla uczczenia tajemnicy dzieciństwa Jezusa Chrystusa”⁴⁵. Warto ją przytoczyć: „Bądźcie jak nowo narodzone dzieci... Spraw, Panie, byśmy zawsze zachowali prostotę i niewinność dzieci, a nie ich głupotę i słabość jak ludzie światowi”. (Mamy tu dwa aspekty rozumienia dzieciństwa w XVIII wieku: niewinność, którą trzeba zachować, oraz niewiedza i słabość, które trzeba wyplenić lub przezwyciężyć.) „Daj nam święte dzieciństwo, którego bieg lat nam nie odbierze i od którego nie przejdziemy do starości pierwszego Adama ani do śmierci w grzechu, daj nam dzieciństwo, które z nas uczyni stworzenia Jezusa Chrystusa i zaprowadzi do Jego pełnej chwały nieśmiertelności”.

Mniszka z zakonu karmelitanek w Beaune, Małgorzata od Świętego Sakramentu, słynęła z kultu dla świętego dzieciństwa. Nicolas Rolland⁴⁶, założyciel szkółek z końca XVII wieku, odbył pielgrzymkę do jej grobu. Dostał

⁴⁴ H. Bremond, *Histoire littéraire du sentiment religieux*, 1921, t. III, s. 512.

⁴⁵ Jacqueline Pascal, *op. cit.*

⁴⁶ Rigault, *Histoire générale des frères des écoles chrétiennes*, 1937, t. I.

z tej okazji od przeoryszy karmelitanek „figurkę Dzieciątka Jezus, do której modliła się czcigodna siostra Małgorzata”. Zakładane są szkoły i instytucje wychowawcze pod wezwaniem Świętego Dzieciństwa, jak na przykład kolegia oratorianów kardynała de Bérulle. Ojciec Barre w 1685 roku układa „Statuty i regulaminy” szkół chrześcijańskich i dobroczynnych Świętego Dzieciątka Jezus. Panie z Saint-Maur, będące wzorem kongregacji wychowawczej, oficjalnie noszą tytuł Instytutu Świętego Dzieciątka Jezus. Na pierwszej pieczęci bractwa szkół chrześcijańskich ignorantynów figuruje Dzieciątko Jezus prowadzone przez świętego Józefa.

Siedemnastowieczna literatura umoralniająca i pedagogiczna powołuje się często na te fragmenty Ewangelii, w których Jezus wspomina o dzieciach, na przykład w cytowanym wyżej⁴⁷ „Obytnym w świecie chłopcu” czytamy: „Skoro Pan Panów przyzywał do siebie niewiniątka, to nie wydaje mi się, by ktokolwiek z jego poddanych miał prawo je odtrącać”. W modlitwie zawartej w regulaminie dla dziewcząt z Port-Royal Jacqueline Pascal parafrazuje słowa Chrystusa: „Bądźcie jak nowo narodzone dzieci”. „Jeśli nie staniecie się jak dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Bożego”. Zakończenie modlitwy przypomina epizod z Ewangelii, który w XVII wieku cieszy się nową sławą: „Panie, obdarz nas łaską, byśmy byli jak dzieci, które do siebie przyzywasz i których usta sławią Twoje imię”.

To aluzja do sceny, w której Jezus prosi, by pozwolono dzieciom przyjść do Niego. Nie była ona nieznaną w starej ikonografii, o czym mówiliśmy już, wspominając o miniaturze z ewangeliarza Ottona III⁴⁸, na której dzieci wyglądające jak dorośli, tylko mniejsze, otaczają Chrystusa. Mamy też inne przedstawienia tej sceny w trzynastowiecznych Bibliach, trafiają się jednak rzadko i potraktowane są jak banalne ilustracje – bez uczucia i żaru. Natomiast od końca XVI wieku ta scena często się powtarza, zwłaszcza na rycinach, i jest oczywiste, że wiąże się ze specjalną, nową formą kultu. Czujemy to wyraźnie patrząc na piękny sztych Stradana, którego twórczość zainspirowała wielu artystów epoki⁴⁹. Podpis podaje temat: *Jesus parvulis oblatis imposuit manus et benedixit eis** (Mt, 19,13; Mk, 10,13; Łk., 18,15). Siedzącemu Jezusowi kobieta przedstawia swoje dzieci – nagie putta. Obok czekają inne kobiety z dziećmi. Zwróćmy uwagę, że dziecku towarzyszy matka. W przedstawieniach średnio-wiecznych, wierniejszych tekstowi Ewangelii, który nie frapował wyobraźni artystów na tyle, by chcieli dodać coś od siebie, dzieci gromadziły się same wokół Chrystusa. Teraz dziecko występuje z matką, co wskazuje, że rodzina

⁴⁷ M. De Grenaille, *op. cit.*

⁴⁸ Por. *supra* część I, roz. 2.

⁴⁹ Stradan (1523–1605), rycina, Cabinet des Estampes Cc 9 in fo, s. 239.

* Jezus dotykał dzieci, kładł na nie ręce i błogosławił im.

nabrała nowego znaczenia. Tę samą scenę widzimy na obrazie holenderskim z 1620 roku⁵⁰. Chrystus przysiadł na piętach pośrodku gromady tłoczących się dzieci. Niektóre to jeszcze niemowlęta na rękach matek. Inne, nagie, bawią się i biją (częsty wówczas temat bijących się putt) albo krzyczą i płaczą. Starsze są spokojniejsze, składają ręce do modlitwy. Na obliczu Chrystusa maluje się uśmiech i uwaga, połączenie rozbawienia i czułości, z jaką dorośli zwracają się do dzieci w czasach nowożytnych, w XIX wieku. Chrystus trzyma rękę nad głową chłopca, drugą podnosi, żeby pobłogosławić inne dziecko, które się do niego garnie. Scena była bardzo popularna, możliwe, że dzieci dostawały taki obrazek na własność, jak później święty obrazek na pamiątkę pierwszej komunii. W katalogu wystawy poświęconej obrazom dziecka (Tours, 1947) figuruje inna osiemnastowieczna rycina na ten sam temat⁵¹.

Istnieje zatem religia dla dzieci i nowy, praktycznie dla nich zastrzeżony kult Anioła Stróża. „Dodam jeszcze – czytamy w «Obytem w świecie chłopcu»⁵² – że choć wszystkim ludziom towarzyszą szczęsne duchy, które pomagają im dostąpić zbawienia, to wydaje się, że tylko dzieci Chrystus obdarzył Aniołami Stróżami. Nie żebyśmy byli tej łaski całkiem pozbawieni, ale wiek męski zawdzięcza ją dzieciństwu”. Anioły wołają „giętkość” dzieci od „buntu mężczyzn”. Fleury w swoim „Traktacie o studiach” z 1686 roku⁵³ twierdzi, że „Ewangelia zabrania nam gardzić dziećmi przez wzgląd na to, że czuwają nad nimi szczęsne anioły”. Przedstawiona w postaci dziecka lub młodzieńca dusza prowadzona przez anioła to często występujący temat w ikonografii XVI i XVII wieku. Na obrazie Domenichina⁵⁴ anioł, nieco zniewieściały trzynasto- czternastoletni chłopiec, zasłania tarczą chłopczyka w krótkiej koszulce, broniąc go przed atakiem demona, czatującego na dziecko dorosłego mężczyzny. To jakby ilustracja zdania z „Obytego w świecie chłopca”: „Do Boga należy wiek najwcześniejszy [dzieciństwo], ale u wielu ludzi Diabeł jest panem starości, a także wieku, który Apostoł nazywa dokonanym”.

Stary temat Tobiasza z aniołem symbolizuje teraz para dusza-dziecko i jej przewodnik Anioł Stróż. Przykładem niechaj służy piękne płótno Tourniera wystawione w Londynie i w Paryżu oraz rycina Abrahama Bosse⁵⁵. Na rycinie Mariette'a⁵⁶ anioł pokazuje dziecku niesiony przez inne anioły krzyż na niebie.

⁵⁰ Volckert (1585–1627) reprod. w: Berndt, nr 871.

⁵¹ Katalog nr 106.

⁵² M. de Grenaille, *op. cit.*

⁵³ Fleury, *Traité du choix et de la méthode des études*, 1686.

⁵⁴ Pinakoteka w Neapolu.

⁵⁵ Tournier, *l'Ange gardien*, Narbonne, 1656–1657. Wystawa w Petit Palais, 1958, nr 139. Abraham Bosse, rycina, Cabinet des Estampes Ed. 30 a in fo, GD 127.

⁵⁶ Mariette, rycina, Cabinet des Estampes, Ed. 82 in fo.

Temat Anioła Stróża z duszą-dzieckiem zdołał baptysteria: odkryłem taką chrzcielnicę w barokowym kościele Świętego Krzyża w Donauworth w południowych Niemczech. Pokrywą misy wieńczy kula, wokół której owinał się wąż. Na kuli stoi anioł, cokolwiek zniewieściały młodzik, który prowadzi duszę-dziecko. Nie jest to tylko symboliczne przedstawienie duszy w postaci dziecka (co było ciekawym i dziwnym pomysłem średniowiecza), lecz także ilustracja związanego z sakramentem chrztu specyficznego kultu dzieciństwa, kultu Anioła Stróża.

XVI i XVII wiek to również okres dzieci wzorowych. Historyk kolegium jezuitów w La Flèche⁵⁷ wykorzystując annały kongregacji z 1722 roku (czyli około 50 lat późniejsze od wydarzenia) opowiada o budującym życiu Guillaume Ruffina. Urodzony 19 stycznia 1657, w 1671 roku, mając 14 lat, był uczniem trzeciej klasy. Należał oczywiście do kongregacji (pobożnego stowarzyszenia dobrych uczniów pod wezwaniem Marii Panny; sądzę, że nadal ono istnieje w kolegiach jezuitów). Odwiedzał chorych, dawał jałmużnę ubogim. W 1674 roku, kiedy kończył pierwszy rok filozofii (były dwa), zachorował. Dwukrotnie ukazała mu się Najświętsza Panna. Uprzedziła go o dacie śmierci, wypadającej „w dzień imienin mojej dobrej Matki”, we Wniebowzięcie. Przyznam, że czytając ten tekst przypomniałem sobie nie bez rozbawienia moje dzieciństwo w kolegium jezuitów; otóż niektóre osoby czyniły tam starania o kanonizację ucznia zmarłego parę lat wcześniej *in odore sanctatis**, jak utrzymywała rodzina. Nie było trudno dostąpić świętości w krótkim uczniowskim życiu, nie wymagało to wcale specjalnego daru ani wczesnej dojrzałości, przeciwnie, wystarczyło trzymać się po prostu cnót dzieciństwa i zachować dziecięcą niewinność. Taki był przypadek świętego Ludwika Gonzagi, często cytowany w siedemnastowiecznej literaturze poświęconej sprawom edukacji.

Obok żywotów małych świętych budującym tematem dla uczniów była młodość Błogosławionych – albo wyrzuty sumienia z powodu szalonej młodości. W rocznikach kolegium jezuitów w Aix zapis z 1634 roku mówi: „Dwa razy w tygodniu nasza młodzież słucha kazania ojca Barry, rektora, który obrał za temat heroiczne czyny świętych w młodości”. W poprzednim poście w 1633 roku „obrał za temat ubolewania świętego Augustyna nad swą młodością”⁵⁸.

Poza wielkimi świętami sezonowymi, bardziej pogańskimi niż chrześcijańskimi, nie było w średniowieczu religijnych świąt dla dzieci. Jak już mówiliśmy, począwszy od XV wieku artyści przedstawiają niektóre epizody Nowego Testamentu, jak Oczyszczenie Marii Panny albo obrzezanie, wśród dzieci wystę-

⁵⁷ C. de Rochemonteix, *Un collège de jésuites aux XVII-XVIII siècles. Le collège Henri IV de La Flèche*, Le Mans 1889, 4 tomy.

* Z reputacją osoby świętej.

⁵⁸ Mechin, *Annales du collège royal Bourbon Aix*, 1892, t. I, s. 89.

pujących o wiele liczniej niż na średniowiecznych lub renesansowych obrazach tłumu. Ale choć te sceny stały się w ikonografii świętami dzieciństwa, nie mogły odgrywać tej roli w codziennej praktyce religijnej, zwłaszcza w jej oczyszczającej, siedemnastowiecznej postaci. Wielkim świętem religijnym dzieci stała się z czasem stopniowo pierwsza komunija; pozostała nim do dziś, nawet u niepraktykujących. Pierwsza komunija zajęła miejsce zarzuconych starych świąt ludowych. Ze wbrew postępującej laicyzacji utrzymuje się nadal, zawdzięcza może temu, iż jest indywidualnym świętem dziecka, celebrowanym zbiorowo w kościele i obchodzonym prywatnie w domu. Święta najbardziej zbiorowe najwcześniej zniknęły.

Uroczysta celebracja pierwszej komunii to relikwiarz ogromnej uwagi, z jaką zaczęto traktować warunki wymagane do przyjęcia Eucharystii. Szczególnie w Port-Royal chciano uczynić z komunii nie tyle uroczystość wyjątkową, ile lepiej przygotowaną, bardziej świadomą i skuteczną. Jest prawdopodobne, że do tego czasu dzieci przystępowały do komunii bez specjalnego przygotowania, kiedy zaczynały chodzić na mszę, co następowało zapewne bardzo wcześnie, zważywszy że od najmłodszych lat żyły wśród dorosłych. W regulaminie pensjonariuszek Port-Royal Jacqueline Pascal każe starannie ocenić moralne i duchowe możliwości dziecka, zanim pozwoli mu się przystąpić do komunii, i przygotować je do niej wiele wcześniej⁵⁹. „Nie dopuści się do komunii dzieci za młodych, zwłaszcza tych, co są niepoważne, lekomyślne i mają wyraźne wady. Trzeba zaczekać, aż je Bóg odmieni, najlepiej przez dłuższy czas, rok albo co najmniej sześć miesięcy, żeby zobaczyć, czy poprawa będzie trwała. Nigdy nie żałowałam, że kazałam niektórym dzieciom czekać, bo utwierdziło to w cnocie pozostałe, które były dobrze dysponowane, i pokazało, jak mało były dysponowane te pierwsze... Nigdy dość ostrożności przy pierwszej komunii, bo często wszystkie następne od niej zależą”.

W Port-Royal pierwsza komunija następowała dopiero po bierzmowaniu: „Kiedy nam powierzają dzieci, które nie były jeszcze bierzmowane ani nie przystąpiły do pierwszej komunii, to zwykle przesuwamy ją na później, po bierzmowaniu, aby wypełnione duchem Jezusa Chrystusa były lepiej przygotowane na przyjęcie Jego Świętego Ciała”.

W XVIII wieku pierwsza komunija staje się w klasztorach i kolegiach uroczystą ceremonią. Pułkownik Gerard opowiada w pamiętnikach⁶⁰ o swojej trudnej pierwszej komunii. Urodził się w 1766 roku w ubogiej rodzinie, miał pięcioro rodzeństwa. Gdy rodzice go odumarli, w wieku 10 lat poszedł na służbę do ludzi. Wikary miejscowej parafii zainteresował się chłopcem i posłał

⁵⁹ Jacqueline Pascal, *op. cit.*

⁶⁰ *Les Cahiers du colonel Gerard (1766–1846)*, 1951.

go do opactwa Saint-Avit, gdzie był posiłkowym kapelanem. Pierwszy kapelan, jezuita, nie lubił chłopca. Dopuszczał go do pierwszej komunii, gdy ten miał około 15 lat (tak się zwykło mówić: dopuścić). „Postanowiono, że przystąpię do pierwszej komunii razem z innymi pensjonariuszami. Dzień wcześniej bawiłem się z psem na podwórku, kiedy zjawił się nagle pan de N., jezuita. «Zapomniałeś, krzyknął, że masz jutro przyjąć Ciało i Krew Pana naszego Jezusa Chrystusa?» Przorzyza wezwała mnie do siebie i oświadczyła, że nie wezmę udziału w jutrzejszej uroczystości... Po trzech miesiącach pokuty zostałem dopuszczony do pierwszej komunii. Po drugiej kazano mi przyjmować Hostię co niedziela i w każde święto”.

Pierwsza komunია stała się uroczystą ceremonią, jaką jest po dziś dzień. Od połowy XVIII wieku przyjęło się upamiętniać wydarzenie specjalną wzmianką na świętym obrazku. W 1931 roku na wystawie w Wersalu⁶¹ eksponowana była rycina przedstawiająca świętego Franciszka z Asyżu. Na odwrocie widniał napis: „Świadectwo pierwszej komunii François Bertranda, 26 kwietnia 1767, w Niedzielę Przewodnią, w parafii św. Sebastiana w Marly, Brail, proboszcz od św. Sebastiana”. Była to więc nie tylko pobożna pamiątka, ale i zaświadczenie wzorowane na oficjalnych aktach katolickich.

W XIX wieku specjalny strój nadał ceremonii jeszcze bardziej uroczysty charakter. Pierwsza komunია stała się najbardziej widocznym przejawem postawy wobec dzieciństwa między wiekiem XVII a końcem XIX; uświęcała dwa przeciwstawne aspekty dzieciństwa: niewinność oraz rozumowe pojmowanie tajemnic wiary.

⁶¹ Wystawa: „Enfants d'autrefois”, Wersal 1931.

KONKLUZJA

Dwie postawy wobec dzieciństwa

W społeczeństwie średniowiecznym, które jest dla nas punktem wyjścia, ludzie nie mieli żadnego poczucia specyfiki dzieciństwa. Nie znaczy to wcale, by zaniechali i porzucali dzieci bądź żeby nimi gardzili. Świadomość dzieciństwa to nie to samo, co czułość dla dzieci; mieć świadomość dzieciństwa to zdawać sobie sprawę z odrębności dziecka, które w zasadniczy sposób różni się od młodego nawet dorosłego. Otóż takiej świadomości nie było. Gdy tylko dziecko mogło się obejść bez stałej opieki matki, piastunki czy niani, wchodziło w świat dorosłych i nie wyróżniało się w nim niczym osobliwym. To społeczeństwo dorosłych wydaje się nam dziś często dziecinne, niewątpliwie ze względu na jego poziom umysłowy, lecz także na wiek fizyczny, bo przecież w dużej mierze składało się z dzieci i młokosów. Samo słowo, dziecko, nie miało wtedy tak wąskiego jak dziś znaczenia; mówiło się „dziecko”, tak jak dziś w języku potocznym mówi się *gars* (chłopak, facet). Nieokreśloność wieku występowała wyraźnie w każdej aktywności społecznej: w zabawie, w pracy, w wojsku. Na wszystkich obrazach przedstawiających zbiorowiska ludzkie jest miejsce dla małych i starszych dzieci: jedno lub dwa niemowlęta skulone w torbie zawieszanej u szyi kobiety¹, chłopczyk sikający w kącie izby, dziecko odgrywające w święcie tradycyjną, przypisaną mu rolę, dziecko uczące się zawodu w warsztacie, obsługujące rycerzy itd. itp.

¹ P. Michault, *Doctrinal du temps présent*, wyd. Th. Walton, 1931, s. 119.

„A oto gruba kobiecina
Z dwojgiem dzieci w torbie”.

Obraz Van Laer (1592–1642), reprod. w: Berndt, nr 468.

Dziecko zupełnie malutkie, zbyt delikatne, żeby się mieszać z dorosłymi, nie liczy się. Słowa Moliera świadczą dobitnie, jak głęboko zakorzeniona była w XVII wieku ta bardzo stara mentalność. Argan w *Chorym z urojenia* ma dwie córki, jedną pannę na wydaniu i malutką Ludwisię, która dopiero zaczyna mówić i chodzić. Argan grozi starszej córce, że pošle ją do klasztoru, żeby ją zniechęcić do amatorów. Brat Argana mówi na to: „Skąd pochodzi, bracie, że ty przy swoim majątku i mając tylko jedną córkę, b o m a ł e j j e s z c z e n i e l i c z e, skąd pochodzi, powtarzam, że chcesz ją zamykać w klasztorze?”² Mała się nie liczyła, bo mogła umrzeć. Montaigne przyznawał nie bez żalu, ale bez większego smutku, że dzieci go odumarały w kołysce³. Gdy tylko dziecko wyrastało z okresu wysokiej śmiertelności, kiedy nie było pewności, czy przeżyje, natychmiast mieszało się z dorosłymi.

Słowa Montaigne’a i Moliera świadczą o tym, że archaiczna postawa wobec dzieciństwa bynajmniej nie znikła w XVI i XVII wieku, lecz nadal utrzymywała się uparcie. Od wieku XIV pojawia się w sztuce, ikonografii, kulcie zmarłych tendencja do zaznaczania w poetycki bądź familiarny sposób osobowości dziecka i jego odrębności. Prześledziliśmy tę ewolucję na przykładzie putta, portretu dziecięcego i wizerunku dziecka przedwcześnie zmarłego. Doprowadziła ona do tego, że w XVI i XVII wieku, tam gdzie się poczucie odrębności dziecka pojawiło, to znaczy w wyższych warstwach społeczeństwa, otrzymało ono specjalny strój, wyróżniający je od dorosłych. W społeczeństwie, dla którego formy zewnętrzne i ubiór miały wielkie znaczenie, wyspecjalizowany strój dla dzieci, zwłaszcza chłopców, świadczył o głębokiej zmianie stosunku do nich: liczą się one o wiele bardziej niż sądzi brat Argana w *Chorym z urojenia*. Z tej sztuki, tak wobec dzieci bezwzględnej, jak niektóre uwagi La Fontaine’a, warto przytoczyć rozmowę Argana z małą Ludwisią: „Popatrz na mnie. No? – Co, tatusiu? – Dalej! – Co? – Nie masz mi nic do powiedzenia? – Powiem ci, tatusiu, jeżeli masz ochotę, żeby cię rozerwać, bajkę o *Oślej skórze* albo o *Kruku i lisie*, której się niedawno nauczyłam”. Pojawiło się oto nowe uczucie wobec dzieciństwa, *mignotage*: dziecko wzrusza i śmieszy dorosłego swoją naiwnością i wdziękiem. Takiego uczucia doznawały już wcześniej kobiety opiekujące się dziećmi, matki i piastunki. Oto co mówi na temat piastunek szesnastowieczne wydanie „O właściwych mocach wszechrzeczy”⁴: „Cieszy się, gdy dziecko jest wesołe, boleje nad nim, kiedy jest chore, podnosi je, gdy upada, otula je, jeśli się rozkopie, myje i szoruje, jeśli się zabrudzi”. Piastunka wychowuje dziecko: „Uczy je mówić, wymawia słowa, jakby była jąkałą, żeby lepiej i wcześniej nauczyło się mówić... Nosi dziecko na rękach, potem tuli je w ramionach, potem

² Molier, *Chory z urojenia*, przeł. T. Żeleński (Boy), akt III, scena III.

³ Montaigne, *op. cit.*, II, 8, s. 74.

⁴ Bartholomeus Anglicus, *op. cit.*

trzyma na kolanach, żeby je uspokoić, gdy płacze; przeżuwa mięso dla dziecka, które nie ma jeszcze zębów, żeby je mogło bezpiecznie przełknąć, kołysze dziecko do snu, owija je ciasno, żeby miało proste ciało, kąpie je i namaszcza...” Thomas More utrwalił obraz małego scholara, którego matka posyła do szkoły: „Kiedy chłopiec nie wstawał w porę, bo za długo wylegiwał się w łóżku, kiedy później płakał, bo był spóźniony i wiedział, że go w szkole zbiją, matka uspokajała go, że tak się zdarza tylko w pierwsze dni, żeby się na przyszłość nie spóźniał, i mówiła: «Idź synu, sama uprzedziłam nauczyciela, weź chleb z masłem, obiecuję ci, że nie dostaniesz lania». Pocieszała go tak, żeby nie wybuchnąć płaczem i nie zatrzymać go w domu, bo oczywiście dziecko, które się spóźniło, dostawało baty w szkole”⁵.

Małutkie dzieci zapewne zawsze budziły w matkach, opiekunkach i nianiach zachwyty i czułość, ale nie okazywano tych uczuć na zewnątrz. Dopiero z czasem ludzie zaczęli ujawniać rozkosz, jaką im sprawiały małe dzieci i ich pieczy. Pani de Sévigné opowiada nie bez afektacji, jak spędza czas z małą wnuczką: „Czytam opowieść Krzysztofa Kolumba o odkryciu Indii, co ogromnie mnie zajmuje, ale twoja córka bawi mnie jeszcze bardziej. Kocham ją... Głaszcze twój portret i pieści go tak czule, że nie sposób jej nie ucałować”⁶. „Od godziny bawię się z twoją córeczką. Jest przemiła... Kazałam jej obciąć włosy: wygląda jak trzpiotka, co bardzo do niej pasuje. Śliczna cera, pierś, całe ciało. Umie robić mnóstwo rzeczy: głaszcze, bije, żegna się znakiem krzyża, przeprasza, dyga, całuje w rękę, wzrusza ramionami, tańczy, przymila się, łasi: słowem jest przeurocza. Bawię się z nią całymi godzinami”. A ponieważ pani de Sévigné boi się choroby, lekkim tonem dorzuca uwagę dla nas szokującą, bo śmierć dziecka to poważna sprawa, z której się nie żartuje: „Bardzo bym nie chciała, by to dziecko umarło”. Widzieliśmy już u Moliера, że tej pierwszej wrażliwości na dzieciństwo towarzyszyła nadal tradycyjna obojętność. Pani de Sévigné opisuje żałobę pewnej kobiety po stracie dziecka: „Pani de Coetquen dostała wiadomość o stracie swej wnuczki: padła bez zmysłów. Bardzo jest zgnębiona, powiada, że nigdy już nie będzie miała takiej pięknej”. Być może, pani de Sévigné uznaje to za brak serca (!), bo dodaje: „Jej mąż jest po prostu niepokieszony”⁷.

Te nowe uczucia wobec dzieci pod koniec XVI, a zwłaszcza w XVII wieku, wywołały krytyczną reakcję malkontentów, którzy uznali, że dzieciom poświęca się zbyt wiele uwagi: ta całkiem nowa postawa jest jakby odwrotnością czułości dla dzieciństwa. Taką samą irytację budzi ona w Montaigne’u: „Nie mogę

⁵ Cyt. za: Jarman, *op. cit.*

⁶ Madame de Sévigné, *op. cit.*, list z 1 kwietnia 1672.

⁷ *Ibid.*, list z 19 sierpnia 1671.

pojąć owej miłości, jaką ogarnia się dzieci ledwie że urodzone, nie mające jeszcze ani poruszeń duszy, ani wyraźnego kształtu ciała, przez który mogłyby się stać lube; niechętnie też cierpiałem, aby je wówczas hodowano w moim pobliżu”. Montaigne nie zgadza się, byśmy kochali dzieci „dla naszej uciechy, jako małpki”, by nas wzruszało ich „dreptanie, igry a błazeństwa”. Widać, że jego otoczenie bardzo się dziećmi przejmowało⁸.

Wiek później podobnie sądzi Coulanges, kuzyn pani de Sévigné. Czujemy, jak bardzo go drażni czułośćkowość jego krewnych i przyjaciół w stosunku do dzieci. „Ojcom rodzin” zadedykował następującą piosenkę⁹:

Żeby dobrze wychować dzieci,
Nie szczędźcie im nauczycieli;
Kaźcie dzieciom milczeć w towarzystwie,
Póki nie wyrosną,
Bo nie ma nic nudniejszego,
Jak słuchać cudzego dzieciaka.

Zaślepiiony ojciec sądzi,
Że synalek opowiada wyborne historie.
Inni woleliby ogłuchnąć,
Byle nie słyszeć tych głupstw,
A tu ich zmuszają
Do okłaskiwania r o z p i e s z c z o n e g o b a c h o r a .

Kiedy wam powiedzą,
Że dziecko miłe i grzeczne,
Że nakarmione i dostało cukierek,
Nie żądajcie nic więcej,
Niechaj się nim zajmie sługa,
Tak samo jak nauczyciel.

Czy rozsądny człowiek by uwierzył,
Że można pisać listy
Do trzyletnich brzdąców,
Które zaczną czytać dopiero za cztery lata?
A przecież całkiem niedawno
Widziałem ojca, co się tak zabawiał.

Wiedźcie jeszcze, dobrzy ludzie,
Że nie ma nic gorszego,

⁸ Montaigne, *op. cit.*, II, 8, s. 71.

⁹ Coulanges, *Chansons choisies*, 1694.

Jak ujrzyć wasze dziatki
 Siedzące rzędem przy stole.
 Ci s m a r k a c z e z tłustym podbródkiem
 Wsadzają palce do wszystkich dań.

Niechaj jedzą przy osobnym stole
 Pod okiem guwernantki,
 Która ma ich uczyć czystości.
 Niechaj nie będzie pobłażliwa,
 Bo nigdy nie jest za wcześnie
 Na naukę, jak ładnie jeść.

A oto wierszyk dla ojca rodziny wydającego kolację:

Niech pan zabierze syna
 I nie bawi się w niańkę.
 Dzieci z nauczycielem
 Niechaj jedzą w oficynie,
 Bo małe dziatki przy stole
 To prawdziwa plaga i utrapienie.

Zniecierpliwienie i irytacja są tak samo nowe jak czułość i pieśczoć, i jeszcze bardziej obce średniowiecznej obojętności na wymieszanie wieku. Montaigne i de Coulanges są tak samo wyczuleni na obecność dzieci jak pani de Sévigné, są nawet od niej bardziej nowocześni, bo uważają, że od dzieci należy się separować. Nie powinny mieszać się z dorosłymi, szczególnie przy stole, nie rozpieszczajmy ich w ten sposób, bo będą źle wychowane.

Moraliści i wychowawcy z XVII wieku podzielają niechęć Montaigne'a i Coulangesa do rozpieszczania malców. Simon Fleury w swoim „Traktacie o studiach”¹⁰ wyraża się równie cierpko, jak Montaigne: „Kiedy wpadną w pułapkę, którą zastawiliśmy, i mówią głupstwa, wybuchamy śmiechem, tryumfujemy, że je oszukaliśmy, całujemy je i pieścimy, jak gdyby odpowiedziały poprawnie. Wydawać by się mogło, że biedne dzieci służą tylko do tego, by bawić dorosłych, jak pieski czy małpki”.

Autor „Galatea”, popularnego w kolegiach jezuitów podręcznika dobrych manier, sądzi jak de Coulanges, że „wielki błąd popełniają ci, którzy mają zawsze na ustach swoją żonę, swoje dziatki i ich piastunkę. Mój wnuczek tak mnie rozśmieszył: posłuchajcie...”¹¹

¹⁰ Fleury, *op. cit.*

¹¹ G. della Casa, *Il Galateo*, tłum. fr. 1609, s. 162-168.

D'Argonne w dziele pedagogicznym pt. „Edukacja pana de Moncade” z 1690 roku¹² również się uskarża, że ludzie interesują się wyłącznie małymi dziećmi, ich pieszczotami i igraszkami; zbyt wielu rodziców uważa swoje dzieci wyłącznie za źródło rozrywki i przyjemności. Ważna uwaga, bo pod koniec XVII wieku *mignotage* nie jest uczuciem charakterystycznym wyłącznie dobrze urodzonych, przeciwnie, pod wpływem moralistów stają się bardziej powściągliwi. Teraz dzieci rozpieszczą lud. J.-B. de la Salle konstatuje¹³, że dzieci ubogich są szczególnie źle wychowane, ponieważ „robią, co im się podoba, a rodzice wcale się tym nie przejmują [nie z obojętności!], uwielbiają dzieci i czego one chcą, tego chcą i sami”.

U siedemnastowiecznych moralistów i wychowawców wykształca się inny stosunek do dzieciństwa; omówiliśmy go w poprzednim rozdziale, nadał on kierunek edukacji aż do XX wieku w mieście i na wsi, tak wśród mieszczaństwa jak wśród ludu. Przywiązanie do dziecka, poczucie specyfiki i odrębności dzieciństwa, wyrażą się już nie w „igraszkach” i pieszczotach, lecz we wzmożonym zainteresowaniu psychiką dziecka i w trosce o jego rozwój moralny. Dziecko nie jest ani zabawne, ani miłe: „Każdy człowiek czuje w sobie tę młodość dzieciństwa, dla zdrowego rozsądku obmierzą, tę cierpkość młodości, która karmi się czułymi przedmiotami, a dla człowieka roztropnego jest jeno grubiańską rozpustą”. Tak powiada *El Discreto* Balthazara Graciana, autora osiemnastowiecznego traktatu o wychowaniu, przełożonego w 1723 roku na francuski przez ojca jezuitę¹⁴. Tylko czas leczy z dzieciństwa i młodości, które są okresami zupełnej niedoskonałości. Żeby te opinie właściwie zrozumieć, należy je umieścić w kontekście epoki i porównać z innymi. Interpretowano je błędnie jako świadectwo nieznamomości dzieciństwa. Otóż trzeba w nich raczej widzieć początek poważnego i autentycznego zainteresowania dzieciństwem. Bo z l e k k o m y ś l n o ś c i ą i beztróską dzieciństwa godzić się nie wypada – to stary błąd. Trzeba je wpierw lepiej poznać, potem korygować. W tekstach z końca XVI i z XVII wieku mamy moc uwag na temat psychologii dziecka¹⁵. Wychowawcy starają się lepiej poznać umysłowość dzieci, żeby dostosować do ich poziomu metody nauczania. Troszczą się o dzieci, bo mają one w sobie czystość chrztu, są podobne aniołom, umiłowane przez Chrystusa. Ale dbałość o dzieci wymaga, byśmy rozwijali ich wątki jeszcze umysł, byśmy uczynili z nich rozumnych ludzi i dobrych chrześcijan. Ton bywa szorstki, akcent pada

¹² D'Argonne, *L'Education de Monsieur de Moncade*, 1690.

¹³ J.-B. de La Salle, *Conduite des écoles chrétiennes*, 1720.

¹⁴ B. Gracian, *El Discreto*, Huesca 1646. Tłum. fr. P. de Courbeville, 1723.

¹⁵ Co widać w *Ratio* jezuitów (1586) i w Regulaminie Jacqueline Pascal dla małych pensjonariuszek Port-Royal.

na surowość wychowania, przeciwieństwo rubasznym i swobodnym obyczajów. Nie zawsze jednak: nawet Jacqueline Pascal stać na humor i czułość. Pod koniec wieku wychowawcy starają się godzić łagodność i rozsądek. Zdaniem opata Goussault, radcy parlamentu i autora „Portretu kobiety obyczajnej”¹⁶, „spoufalając się z dziećmi, rozmawiając z nimi o wszystkim, traktując je jak ludzi rozumnych i pozyskując sobie łagodnością, niezawodnie uczynimy z nich to, co chcemy. Dzieci są jak młode rośliny, które trzeba pielęgnować i często podlewać. W porę dana rada, dowody czułości i przyjaźni w stosownym czasie, wzruszają i zaskarbiają młode serca. Pieszczoty, prezenty, słowa zaufania i przyjaźni robią na dzieciach wrażenie, i niewiele jest takich, które by się oparły tym łagodnym i łatwym sposobom wywierania ich na ludzi uczciwych i honorowych”. Zawsze bowiem chodzi o to, by wywierować dzieci na uczciwych, honorowych, rozumnych ludzi.

Pierwsza postawa wobec dzieciństwa – rozpieszczanie – pojawiła się w środowisku rodzinnym. Druga w środowisku poza rodziną, z zewnątrz: u ludzi Kościoła i szlachty urzędniczej, u nielicznych w XVI wieku, a w XVII o wiele liczniejszych moralistów, którzy mieli ambicje zaprowadzić rozumne i cywilizowane obyczaje. Oni także byli wrażliwi na niedostrzegany niegdyś fenomen dzieciństwa, nie chcieli jednak traktować dzieci jak urocze, wdzięczne zabawki, bo widzieli w nich stwory Boga, które należy zarazem ochronić i okiełznać. Taki stosunek do dzieciństwa zakorzenił się z czasem w rodzinie.

W wieku XVIII do tych dwu postaw przyjętych w rodzinie dochodzi nowy, trzeci czynnik: dbałość o higienę i zdrowie. Troska o ciało nie była obca moralistom i wychowawcom XVII wieku. Z poświęceniem opiekowali się chorymi (przy czym bezlitośnie demaskowali symulantów), ale ciałem człowieka zdrowego interesowali się wyłącznie z powodów moralnych: ciało nie dość zahartowane skłania człowieka do gnuśności, lenistwa, pożądlivości, słowem – do wszystkich występków!

Korespondencja generała de Martange z żoną¹⁷ daje nam wyobrażenie o problemach, jakie zaprzętały rodziców w sto lat po pani de Sévigné. Martange urodził się w 1722 roku, ożenił w 1754. Do jego tekstów jeszcze wrócimy. Generał przejmuje się absolutnie wszystkim, co dotyczy jego dzieci, od pieszczenia malców po edukację. Bardzo dba o ich zdrowie, a nawet o higienę. Wszystko, co się wiąże z dziećmi i rodziną, jest sprawą poważną i godną uwagi. Dziecko zajęło centralne miejsce w rodzinie, przy czym ważna jest nie tylko przyszłość dziecka i urządzenie go w życiu, ale sama jego obecność, egzystencja sama w sobie.

¹⁶ Goussault, *Le Portrait d'une honnête femme*, 1693.

¹⁷ *Correspondance du général de Martange*, *op. cit.*

CZEŚĆ II

Szkoła

Młodzi i starzy scholarzy w średniowieczu¹

W tej części książki zajmiemy się różnymi aspektami dziejów edukacji świadczącymi o ewolucji postawy wobec dzieciństwa w ludzkiej mentalności. Zobaczymy, jak szkoła i kolegia, w średniowieczu zastrzeżone dla niewielkiej liczby kleryków i łączące w swobodzie obyczajów uczniów w różnym wieku, stały się u zarania czasów nowożytnych miejscem odseparowania dzieci na czas ich kształcenia tyleż moralnego, co umysłowego, a także poskramiania ich za sprawą bardziej autorytarnej dyscypliny i wydzielenia w ten sposób ze społeczeństwa dorosłych. Ta ewolucja od XV do XVIII wieku nie przebiegała gładko i bez oporów; wiele cech właściwych średniowieczu utrzymywało się przez długi czas nawet w obrębie kolegiów, a co dopiero wśród ludności, która do szkół nie chodziła.

W tekstach średniowiecznych bardzo niewiele znajdujemy informacji na temat wieku scholarów. Kiedy wbrew opozycji kapituł rozpowszechniły się szeroko szkoły prywatne, kanonicy, chcąc bronić zagrożonego monopolu szkoły katedralnej, próbowali narzucić konkurentom ograniczenia. Nigdy nie dotyczyły one wieku. Zabroniono szkołom prywatnym kształcenia wykraczającego poza Donata, synonim nauczania podstawowego. Przez bardzo długi czas brak jakichkolwiek wskazówek na temat wieku uczniów, nie ma ich nawet u siedemnastowiecznych moralistów. W kontraktach zawieranych przez rodziny ze szkołą i określających warunki, na jakich syn-uczeń był przyjmowany do szkoły, rzadko kiedy podany jest wiek tego ostatniego, jakby to była rzecz bez znaczenia. Istotnym elementem psychologicznym struktury demograficznej, jaką

¹ Z tej części zachowaliśmy w tym wydaniu jedynie konkluzje każdego rozdziału. Rozdział „Od eksternatu do internatu” został w całości pominięty.

jest szkoła, była zupełna obojętność na wiek tych, którzy tę strukturę tworzyli, podczas gdy w XIX stuleciu i w naszych czasach wiek odgrywa zasadniczą rolę. Można ustalić, że w średniowieczu do szkoły zaczynały chodzić na ogół dzieci dziesięcioletnie. Ale współcześni nie zwracali na to specjalnej uwagi, uznając za całkiem naturalne, że dorosły, który chce się uczyć, zasiada w ławce razem z dziećmi. Liczył się przedmiot nauczania, a nie wiek słuchaczy. Nikt nie widział nic dziwnego w tym, że dorosły studiuje Donata, podczas gdy obok niego jakiś wybitnie uzdolniony mały chłopiec powtarza *Organon*.

Skoro wiek był sprawą obojętną, a ogólnie stosowane metody polegały na symultanicznym nauczaniu i powtarzaniu lekcji, nie dziwi nas, że w szkole średniowiecznej wszystkie grupy wiekowe tworzyły jedno wspólne audytorium. Otóż ma to kapitalne znaczenie. Szkoły nie dysponowały wówczas przestronnymi lokalami. Nauczyciel instalował się na klasztornej podwórku, skąd musiał uprzednio usunąć kramy, albo w kościele lub u jego bram. Później, kiedy szkół było więcej, jeśli nie miał pieniędzy, zadowalał się nawet udzielaniem nauk na rogu ulicy. Święty Tomasz nieraz okazywał pogardę dla tych ubogich bakalarzy, którzy przemawiają *coram pueris in angulis*². Zwykle nauczyciel wynajmował salę, *schola*, których cena była zresztą w miastach uniwersyteckich reglamentowana. W Paryżu wszystkie szkoły mieściły się przy jednej ulicy, rue du Fouarre: *vicus straminis*^{**}. Oczywiście, były one od siebie zupełnie niezależne. Rozrzucano słomę na podłodze i uczniowie siadali na ziemi. W XIV wieku pojawiły się ławki, ale ten nowy zwyczaj wydawał się nieco podejrzany. Potem nauczyciel czekał na uczniów, jak kupiec czeka na klientów. Zdarzało się, że odbierał ich sąsiadowi. W sali zbierali się chłopcy i mężczyźni w najróżniejszym wieku, od sześciu do dwudziestu i więcej lat. „Widzę uczniów w szkole – mówi Robert de Salisbury w XII wieku³. – Wielu ich jest [mogło być ponad dwustu]. Widzę mężczyzn w różnym wieku: *pueros, adolescentes, juvenes, senes*”^{***} – czyli wszelkiego wieku, bo nie było słowa na określenie dojrzałego mężczyzny, od *juvenes* przechodziło się od razu do *senes*.

Jeszcze w XV wieku regenci z „Doktrynału” Pierre Michaulta⁴ zwracali się do małych i dużych słuchaczy:

Mili uczniowie, co nas słuchacie,
Czyście starzy, czy młodzi, dojrzały czy zieloni...

* Do uczniów na rogach ulic.

² *De unitate intellectus contra Averroistas* (LXIX, s. 252).

** Słomiany zaułek.

³ R. de Salisbury, *De vanitatae mundi*, P. L., 176, 709.

*** Chłopców, młodzików, młodzieńców, starców.

⁴ P. Michault, *op. cit.*

„A ta [klasa Rapine, należąca do regenta szkoły Faulceté], co ma niezliczone mnóstwo uczniów młodych i starych, czytała rozdział o budowlach” (z *Doctrinale* Aleksandra de Villa Dei, następcy Prisciana i poprzednika Despautère’a). Czy mogło zresztą być inaczej, skoro nie było gradacji w programach i starzy scholarzy po prostu częściej powtarzali to, co młodzi słyszeli po raz pierwszy? Poza tym nie było między nimi żadnych różnic.

To wymieszanie wieku utrzymywało się i poza szkołą, która w tamtych czasach nie opiekowała się wcale uczniami. Nauczyciel był sam jeden, czasem miał pomocnika, nie mógł więc kontrolować uczniów poza salą lekcyjną. Gdy tylko kończyły się zajęcia, wymykali się spod jego władzy. Ale też ta władza, *for* nauczyciela, była jedyną, jaką uznawano. I młodzi, i starzy scholarzy pozostawieni byli sami sobie. Bardzo niewielu mieszkowało z rodzicami lub u krewnych. Niektórzy mieszkali na stacji, czy to u samego nauczyciela, czy u księdza lub u kapelana, zależnie od warunków kontraktu, który przypominał umowy czeladnicze. Ci mieszkający u księdza byli najbardziej pilnowani, w każdym razie miano ich na oku. Byli traktowani jak członkowie rodziny kleryka, któremu zostali powierzeni na zasadzie pośredniej między nowoczesną edukacją szkolną a tradycyjną nauką zawodu – omówimy ją w dalszej części książki⁵. Innej formy internatu wówczas nie znano. Większość uczniów mieszkała, gdzie się dało, często wynajmowano w parę osób wspólny pokój. Wypada przyjąć, że i tam młodszy byli wymieszani ze starszymi, a ich wzajemne stosunki wyznaczała tradycja inicjacji. Wrócimy do tego, kiedy będziemy omawiać dyscyplinę w szkołach.

To wymieszanie wieku zdumiewa nas dzisiaj, jeśli nie szokuje, ale dla współczesnych było czymś tak zwyczajnym, że nawet tego nie zauważali. Zresztą, jak mogli odczuwać wymieszanie wieku, skoro sama kwestia wieku była im obojętna?

Rozpoczynając naukę w szkole dziecko wkraczało od razu w świat dorosłych. Wymieszanie wieku, tak naturalne, że nie dostrzegane, to jedna z najbardziej charakterystycznych, a zarazem najtrwalszych, bo głęboko zakorzenionych w życiu cech dawnego społeczeństwa. Przetrwała ona wiele zmian strukturalnych i dopiero pod koniec średniowiecza zaczęła się ewolucja, która doprowadziła do naszej współczesnej, tak różnicującej wiek postawy. Ale aż do Rewolucji średniowieczna obojętność wobec wieku nie znika zupełnie. Fakt, iż się ostała mimo innych przeobrażeń mentalności, świadczy, że mamy tu do czynienia z jakąś fundamentalną postawą wobec życia, wyznawaną przez długi ciąg pokoleń.

⁵ Por. III część, roz. 2.

Nowa instytucja: kolegium

W XIII wieku kolegia to ufundowane przez donatorów schroniska dla ubogich studentów, którzy żyją tam we wspólnocie wzorowanej na regułach klasztornych. W kolegiach nie prowadzi się nauczania. Dopiero od XV wieku te małe, demokratyczne wspólnoty przemieniają się w instytucje kształcące: ich liczni mieszkańcy (już nie tylko stypendyści fundacji, spośród których rekrutowali się także administratorzy i nauczyciele) podlegają autorytarnej hierarchii i pobierają nauki na miejscu. W końcu dochodzi do tego, że nauczanie odbywa się w kolegium, które stanie się wzorem dla wielkich instytucji szkolnych od XV do XVII wieku – kolegiów jezuitów, ignorantynów i oratorian. Były one jeszcze bardziej odległe od pierwszych czternastowiecznych kolegiów niż od naszych współczesnych liceów. Mimo znacznych różnic (zwłaszcza brak internatu dziś) zapowiadały już nowoczesną szkołę. Ostateczne zaprowadzenie dyscypliny zwińczyło ewolucję, która od szkoły średniowiecznej, zwykłej sali lekcyjnej, doprowadziła do nowoczesnego kolegium, instytucji skomplikowanej, służącej nie tylko nauczaniu, ale i kontroli, i opiece nad młodzieżą.

Ewolucja instytucji szkolnej jest związana z równoległą ewolucją postaw wobec wieku i dzieciństwa. Początkowo akceptowano bez oporów wymieszanie wieku. Później przyszła chwila, kiedy zaczęło ono budzić niechęć, zwłaszcza w przypadku najmłodszych. Najwcześniej się wyróżnia malców uczących się gramatyki. Ale na tym się nie kończy. Wyodrębniono z czasem dzieci starsze, logików i fizyków, a także studiujących sztuki wyzwolone, choć wielu z nich mogłoby już z racji wieku funkcjonować jako dorośli. Zróżnicowanie zaczęło się od najmłodszych, ale dotyczyło ich nie jako dzieci, lecz jako scholarów, początkowo uczniów-kleryków, jako że niemal wszyscy nosili tonsurę. I dla-

tego nie zastosowano wobec nich, żeby ich odróżnić od dorosłych, jakiegoś specjalnego reżimu dla dzieci i młodocianych, nie było zresztą żadnego wzoru i nie wiedziano, na czym taki reżim miałby polegać. Po prostu chciano ustrzec młodzież przed pokusami świeckiego życia, jakie prowadzili często również klerycy. Ażeby bronić moralności dzieci, wzorowano się na trzynastowiecznych fundacjach dominikanów i franciszkanów, które podtrzymywały tradycje życia klasztornego, choć zrezygnowały z zasady zamknięcia, odosobnienia, pierwotnej wspólnoty mnichów. Uczniowie nie byli związani żadnym ślubem, ale przez czas nauki prowadzili specyficzny tryb życia, właściwy nowym wspólnotom. Młodzież szkolna była przez to odseparowana od reszty społeczeństwa, w którym dalej panowało wymieszanie wieku, płci i stanów. Tak wyglądała sytuacja w wieku XIV.

Później zmienił się cel tego rodzaju bytowania, mieszczącego się gdzieś w połowie drogi między życiem świeckim a poddanym regule klasztornej. Początkowo celem było zapewnienie młodym klerykom przyzwoitych warunków bytowych. Potem specyficzny tryb życia w kolegium nabrał samoistnej wartości, stał się warunkiem dobrej edukacji, również świeckiej. Na początku XIV wieku sama idea edukacji była obca przyjętym poglądom. Ale w 1452 roku kardynał d'Estouteville mówi już o *regimen puerorum** i o odpowiedzialności moralnej nauczycieli, którzy mają pieczę nad duszami. Dzieci trzeba nie tylko kształcić, ale i wychowywać, toteż należy im narzucić surową dyscyplinę – zmodyfikowaną, bo bardziej autorytarną i zhierarchizowaną dyscyplinę kolegium, które staje się narzędziem powszechnej edukacji dzieci i młodzieży.

W tym samym czasie, w XV a zwłaszcza w XVI wieku, zmienia się system rekrutacji w kolegiach. Wpierw przyjmowały niewielką garstkę oświeconych kleryków, teraz otwierają się dla coraz liczniejszych laików ze szlachty i mieszczaństwa, a także, jak zobaczymy dalej, dla rodzin z warstw niższych. Kolegium z wydzielonym ciałem nauczycielskim, rygorystyczną dyscypliną i bardzo licznymi klasami, staje się niezmiernie ważną instytucją społeczną: wszystkie wykształcone pokolenia przedrewolucyjnej Francji zostaną przez nie uformowane. Jeśli nie w niepokornej rzeczywistości codziennego życia, to przynajmniej w racjonalnej opinii wychowawców, rodziców, zakonników i urzędników sądowych, kolegium tworzy grupa uczniów od 8-9 do ponad 15 lat, poddana innemu niż dorośli prawu.

* Regulamin dla chłopców.

Początki klas szkolnych

Kiedy i jak od średniowiecznej nieokreśloności przeszliśmy do rygorystycznej, nowoczesnej koncepcji klasy szkolnej będącej klasą rówieśników?

Na początku XV wieku populacja szkolna została podzielona na grupy o różnym stopniu zaawansowania, które dalej uczyły się w jednej sali i pod okiem jednego nauczyciela. We Włoszech ta przejściowa formuła utrzymywała się przez długi czas. Później, w ciągu XV stulecia, każda z grup dostała własnego nauczyciela, ale nadal uczyły się wszystkie we wspólnym lokalu. Takie rozwiązanie obowiązywało w Anglii jeszcze w drugiej połowie XIX wieku. Wreszcie izolowano klasy i ich profesorów w osobnych salach; ta flamandzka i paryska inicjatywa dała początek nowoczesnej strukturze klasy. Nastąpiło zróżnicowanie populacji szkolnej, pod koniec XV wieku jeszcze nie zorganizowanej. Podział na klasy wiązał się z nową potrzebą dostosowania nauczania do poziomu ucznia. Chodzi tu o sprawę zupełnie zasadniczą. Dbłość o to, by wykład nauczyciela był dla ucznia zrozumiały, to coś zupełnie nowego w stosunku zarazem do średniowiecznych metod symultanicznego uczenia się i powtarzania, jak i do pedagogiki humanistycznej, która nie odróżniała dziecka od dorosłego i myliła wykształcenie szkolne – przygotowanie do życia – z kulturą – nauką wyniesioną z życia. Wyodrębnienie klas świadczy o uświadomieniu sobie specyfiki dzieciństwa i wieku młodzieńczego, o poczuciu, że w obrębie dzieciństwa – i wieku młodzieńczego – istnieją rozmaite kategorie. Instytucja zhierarchizowanego kolegium wydzieliła w XIV wieku dzieciństwo szkolne z powszechnego wymieszania wieku występującego w całym społeczeństwie.

Ustanowienie klas szkolnych w XVI wieku wprowadziło podziały wewnątrz szkolnej populacji.

Czy ówczesne kategorie, często przypadkowe i nie odpowiadające jeszcze późniejszym wymogom porządku, dyscypliny i skuteczności nauczania, były kategoriami wieku? Są świadectwa, że tak istotnie było: dla Baduela w 1538 roku klasy szkolne to sposób na podzielenie uczniów „wedle wieku i stopnia rozwoju”. W pierwszym ćwierćwieczu XVI stulecia Thomas Platter po burzliwej młodości wylądował w dobrej szkole w Schlestadt, do której uczęszczało jednocześnie dziewięciuset *discipuli*. To, że z powodu ignorancji umieszczono go, osiemnastolatka, pośród dzieci, nie wydawało mu się rzeczą całkiem zwyczajną; odnotowuje ten fakt jako anomalię. „Kiedy poszedłem do szkoły, nie umiałem nic, nawet czytać Donata, a miałem już przecie osiemnaście lat. Zasiadłem pośród dzieci jak kura między pisklętami”.

Nie przeceniajmy jednak tych świadectw, bo moglibyśmy popaść w przesadę. Wiek i stopień zaawansowania w nauce szły zwykle w parze, ale przecież nie zawsze, a kiedy kłóciły się z sobą, nie budziło to specjalnego zdziwienia, czasem w ogóle żadnego. Tak czy inaczej, stopień zaawansowania w nauce liczył się zawsze bardziej niż wiek. Na początku XVII wieku klasa nie miała tej demograficznej homogeniczności, jaka ją charakteryzuje od końca XIX wieku, niemniej stale do niej zmierzała. Klasy szkolne, uformowane z powodów innych niż demograficzne, z czasem zaczynają służyć poszczególnym kategoriom wieku, co początkowo wcale nie było przewidziane. Istniał zatem nie dostrzegany jeszcze, bo obcy zakorzenionym nawykom, związek między strukturyzacją możliwości ucznia a jego wiekiem. Potrzeba analizowania i dzielenia znamionująca narodziny nowoczesnej świadomości w strefie najbardziej intelektualnej, to znaczy w kształceniu pedagogicznym, zrodziła takie same potrzeby i metody w dziedzinie pracy (podział pracy) i w reprezentacji wieku (niechęć do mieszania zbyt różnych poziomów, a więc i wieku). Konieczność rozdzielenia uczniów w różnym wieku teoretycznie uznano i uzasadniono dopiero później, po tym, jak się przyjęła w praktyce, po długich, empirycznych próbach. Każę nam to przyjrzeć się bliżej problemowi wieku szkolnego i odpowiadających mu klas.

Wiek uczniów

Badamy związki między klasami szkolnymi a wiekiem uczniów, badamy programy szkolne (wpierw przegląd kilku biografii z XV, XVII i XVIII wieku). Następnie analizujemy kilka „katalogów”, w których pryncypałowie i regenci prowadzili uaktualniane listy uczniów, co pozwala nam ustalić skład klasy pod względem wieku.

Te analizy prowadzą do paru istotnych wniosków. Przypadki wczesnie rozwiniętych dzieci w XVI i na początku XVII wieku wydają się pozostałością średniowiecznych zwyczajów, nie tylko szkolnych, lecz i ogólnych; na przykład w nauce zawodu wiek był wymieszany i czyjaś wczesna biegłość dziwiła nie bardziej niż wyjątkowe zdolności małego ucznia. Zresztą zauważyliśmy, że błyskotliwe kariery omawianych przez nas pamiętnikarzy charakteryzuje wczesny życiowy start: przez pewien czas był on związany z sukcesem. Niemniej wkrótce, najpóźniej w XVIII wieku, cudowne dzieci przestają budzić powszechny podziw. To znak, że następuje pierwszy wyłom w niezróżnicowaniu młodego wieku. Polityka szkolna, która eliminuje zbyt małe dzieci bez względu na ich zdolności, już to nie przyjmując ich do szkoły, już to każąc im repetować najniższe klasy, świadczy o wyraźnym rozeznaniu między wydłużonym wczesnym dzieciństwem a dzieciństwem szkolnym. Aż do połowy XVII wieku wczesne dzieciństwo trwało do 5-6 roku życia, kiedy chłopiec rozstawał się z matką, piastunką, niańkami. W wieku 7 lat mógł rozpocząć naukę w kolegium. Później wiek szkolny został przesunięty: rozpoczynano naukę w 9-10 roku życia od trzech klas gramatyki. W ten sposób dzieci poniżej 9-10 lat oddzielono od dzieci szkolnych. Opóźnienie rozpoczęcia nauki w kolegium tłu-

maczono słabością, „głupotą” lub niezdolnością małych dzieci. Rzadko kiedy uzasadniano to opóźnienie tym, że szkoła zagraża dziecięcej niewinności; jeśli taki argument wysuwano, to zagrożenie dotyczyło nie tylko malców.

Niechęć do wczesnego wkraczania w życie przejawia się więc w wyodrębnieniu przez kolegia pierwszego okresu dzieciństwa, przedłużonego do dziesiątego mniej więcej roku życia.

Ale w pozostałej części populacji szkolnej przez cały wiek XVII i XVIII utrzymuje się dawne wymieszanie wieku: dzieci od 10 do 14 lat, młodzież w wieku lat 15-18 oraz 19-25-letni młodzieńcy chodzą do tych samych klas. Aż do końca XVIII wieku nie myślano o tym, żeby ich rozdzielać. Na początku XIX wieku oddzielono, co prawda, od reszty dojrzałych, „brodatych” młodzieńców po dwudziestce, ale nikogo nie raziła obecność w klasie zapóźnionych młokosów i wymieszanie młodzieży w różnym wieku, jeśli tylko nie łączono ich z całkiem małymi dziećmi. Nie odczuwano jeszcze potrzeby oddzielenia dzieci starszych – do 12-13 lat – od młodszej i starszej młodzieży. Te dwie kategorie nadal uczyły się razem, rozdzielono je dopiero w XIX wieku, z chwilą gdy upowszechniły się wśród burżuazji instytucje wykształcenia wyższego – uniwersytety i szkoły wyższe. Za Pierwszego Cesarstwa nawet pobór rekrutów, dla burżuazji łatwy do uniknięcia, nie był żadną wyraźną cezurą, a nasze dzisiejsze podziały jeszcze się nie przyjęły.

Zwróćmy uwagę, że brak rozróżnienia między drugim dzieciństwem a wiekiem młodzieńczym, który u burżuazji zanikł w XIX wieku, utrzymuje się po dziś w niższych warstwach społecznych, odsuniętych od wykształcenia średniego. W większości szkół podstawowych obowiązuje dalej stary zwyczaj simultaneousnego nauczania. Jeśli po uzyskaniu świadectwa szkoły podstawowej młody robotnik nie idzie do technikum lub do zawodówki, z miejsca wkracza do świata pracy, gdzie szkolne podziały wiekowe nie funkcjonują. Może on wybierać sobie kolegów w o wiele szerszej i zróżnicowanej grupie wiekowej niż bardzo ograniczona grupa rówieśników w klasie szkolnej. Koniec dzieciństwa, wiek młodzieńczy i początek dojrzałości nie przeciwstawiają się sobie, jak to ma miejsce u mieszczaństwa, ukształtowanego przez praktykę nauczania średniego i wyższego stopnia.

Ten okres – drugie dzieciństwo-wiek młodzieńczy – wyodrębnił się z chwilą, gdy ustaliła się zależność między wiekiem a szkołą. Nie nastąpiło to od razu. Przez długi czas, w XVI i XVII wieku, ta zależność była bardzo niepewna.

Uregulowanie nowego cyklu promocji, narzucenie wszystkim uczniom obowiązku uczęszczania na pełny kurs, a nie tylko na parę wybranych lekcji, wymogi nowej pedagogiki, dostosowanej do mniej licznych i bardziej jednorodnych oddziałów szkolnych, doprowadziły na początku XIX wieku do coraz bardziej rygorystycznego powiązania wieku z klasą. Nauczyciele przyzwyczaili

się ustalać skład klas w zależności od liczby lat uczniów. Wiek, niegdyś wymieszany, zaczął się różnicować w takiej mierze, w jakiej zbiegał się z klasą, gdyż od końca XVI stulecia klasa szkolna uznana została za jednostkę strukturalną. Bez kolegium i jego żywych komórek burżuazja nie przywiązywałaby do najdrobniejszych różnic wieku uwagi, jaką im poświęca. Byłaby na nie tak samo obojętna jak lud.

Rozwój dyscypliny¹

Aż do XV wieku scholar nie podlegał żadnej zewnętrznej władzy dyscyplinarnej, żadnej szkolnej hierarchii, co nie znaczy, że był pozostawiony sam sobie. Albo mieszkał w pobliżu szkoły we własnej rodzinie, albo – częściej – przy rodzinie, której został powierzony na zasadach umowy, przypominającej kontrakty zawierane przy oddaniu ucznia do nauki zawodu i przewidującej uczęszczanie do szkoły, łacińskiej oczywiście. Wchodził wtenczas do rozmaitych bractw, stowarzyszeń i korporacji, uczestniczył w najrozmaitszych pobożnych ćwiczeniach bądź w zabawach, oddawał się dewocji lub ucztowaniu, miał poczucie życia we wspólnocie. Albo też mały uczeń podążał za swoim nauczycielem, dzielił z nim dole i niedole, będąc przy tym często wykorzystywany i nękanym przez pryncypała. W każdym wypadku uczeń był członkiem społeczności lub grupy przyjaciół, a brutalne niekiedy, lecz rzeczywiste koleżeństwo w o wiele większym stopniu niż szkoła i nauczyciel wyznaczało jego życie codzienne; opinia to koleżeństwo szanowała i przyznawała mu pewną wartość moralną.

Od schyłku średniowiecza wpływowa opinia patrzy na ten system koleżeński coraz mniej przyjaznym okiem, ba, ma on coraz gorszą reputację, wreszcie jawi się jako forma bałaganu i anarchii. W braku zinstytucjonalizowanego i uznanego koleżeństwa młodzież szkolna organizuje się na nowych zasadach i podporządkowana zostaje autorytarnej hierarchii. Takiej ewolucji ulega nie tylko dzieciństwo, dotyczy ona całego społeczeństwa, a jednym z jej przejawów jest ustanowienie absolutyzmu królewskiego. W szkole ta ewolucja powoduje

¹ Pominięte fragmenty zostały zaznaczone trzema gwiazdkami.

równoległą zmianę stosunku do dzieciństwa – lub też jest jej skutkiem. Ta zmiana właśnie nas tu interesuje

Przyjrzyjmy się teraz, jak zostały wprowadzone nowe zasady dyscypliny.

Od wieku XV oświeceni organizatorzy, wyznawcy ładu i porządku, walczyli ze szkolnymi nawykami solidarności korporacyjnej, próbując jednocześnie narzucić nową postawę wobec dzieciństwa i wykształcenia. Reprezentują ją Gerson i kardynał d'Estouteville. Dla tego ostatniego² niebezpiecznie jest dawać dzieciom swobodę. Powinny one podlegać hierarchii i kontroli, należą bowiem do *aetas infirma**, stanu, który wymaga „większej dyscypliny i surowszych zasad”. Nauczyciele – *principales* – to dla kardynała już nie pierwsi spośród kolegów ucznia. Dzieli ich od *infirmi* wyraźny przedział. Misją nauczycieli jest nie tylko przekazywanie uczniom pewnej wiedzy, jak w stosunkach między starymi a młodymi czeladnikami; mają oni poza tym – i przede wszystkim – kształtować umysły, wpajać cnoty, nie tylko uczyć, ale i wychowywać. We wcześniejszych tekstach nie spotykamy się z tak jasno wyrażonym stanowiskiem.

Wychowawcy zmienili oblicze: *monemus omnes et singulos pedagogos presentes et futuros... ut sic intendant regimini suorum domesticorum puerorum et scolarium*** . Jest obowiązkiem nauczycielskiego sumienia starannie dobierać współpracowników, regentów i *submonitores: viros bonos, graves et doctos**** . Nie powinni uczniom pobłażać, przeciwnie, mają używać swej władzy, karać i karać, bo chodzi przecież o zbawienie dusz, za co są odpowiedzialni przed Bogiem: *ne eorum dampnationem***** .

Pojawiają się jednocześnie dwie nowe idee: pojęcie ułomności dzieciństwa i poczucie odpowiedzialności moralnej nauczyciela. Postulowany przez te idee system dyscyplinarny nie mógł się przyjąć w dawnej średniowiecznej szkole, gdyż nauczyciel nie interesował się wtedy zachowaniem swoich uczniów poza szkołą.

² Théry, *Histoire de l'éducation*, 1858, 2 tomy, t. II, apendyks.

* Wiek wąty, niepewny.

** Upominamy wszystkich wychowawców terażniejszych i przyszłych, i każdego z osobna ... aby w ten sposób układali regulaminy dla swoich wychowanków w domu i w szkole.

*** Zastępców „mężów prawych, poważnych i uczonych”.

**** Aby do ich potępienia nie dopuścili.

Nowa dyscyplina wkracza do kolegiów za sprawą nowoczesnej organizacji instytucji szkolnej; przełożony szkoły i regent przestają być *primi inter pares**, a stają się depozytariuszami wyższej władzy. Autorytarne i zhierarchizowane rządy w kolegiach umożliwią od wieku XV ustanowienie i rozwój coraz bardziej rygorystycznego systemu dyscyplinarnego.

Trzy charakterystyczne cechy tego systemu to: stały nadzór, donosicielstwo jako zinstytucjonalizowana zasada kierowania szkołą, szeroko stosowane kary cielesne.

Dzieje dyscypliny w szkołach od XIV do XVII wieku nasuwają dwie ważne obserwacje.

Po pierwsze, dyscyplina poniża ucznia: różgi aplikowane wedle widzimisię nauczyciela i wzajemne szpiegowanie się uczniów zastąpiły dawne korporacyjne koleżeństwo, takie samo wśród szkolnych dzieci jak wśród dorosłych. Zmiana postaw dotyczy nie tylko młodzieży: w XV i XVI wieku kary cielesne upowszechniają się równocześnie z autorytarną, hierarchiczną i absolutystyczną koncepcją społeczeństwa. Niemniej jest zasadnicza różnica między dyscypliną dzieci a dyscypliną dorosłych – nie była ona aż tak wyraźna w średniowieczu. Nie wszyscy dorośli podlegają karom cielesnym: nie stosuje się ich wobec ludzi dobrze urodzonych i sposób egzekwowania dyscypliny pozwala rozróżniać stany społeczne. Natomiast podlegają karom i dostają różgi wszystkie dzieci i cała młodzież bez względu na pochodzenie. Nie znaczy to wcale, że nie było w szkole różnic stanowych. Oczywiście były, tak samo wyraźne jak gdzie indziej. Ale poniżający dla szlachty charakter kary cielesnej nie powstrzymywał jej przed wymierzaniem chłosty własnym dzieciom. To również świadczy o nowym stosunku do dzieciństwa.

Po drugie, wiek szkolny podlegający biciu zostaje wydłużony: początkowo tylko małe dzieci dostawały różgi, od XVI wieku jest na nie narażona cała populacja szkolna, często sięgająca, a czasem przekraczająca, dwudziesty rok życia. Usiłuje się więc zmniejszyć różnice między dzieciństwem a wiekiem młodzieńczym i cofnąć młodzież do dzieciństwa, podporządkowując ją identycznej dyscyplinie. W obrębie szkoły – bo poza szkołą jest nieco inaczej – młokos oddala się od dorosłego, a zbliża do dziecka, z którym dzieli upokorzenia chłosty, kary plebejskiej.

* Pierwsi pośród równych.

A zatem dzieciństwo i wiek młodzieńczy są upokarzane; pod tym względem nie różnią się od siebie. Wszystkie dzieci każdego stanu poddane są degradującemu reżimowi jak plebejusze. Świadomość specyfiki dzieciństwa, jego odrębności od świata dorosłych, wyrosła z bardziej podstawowego poczucia ułomności dzieci, która je zrównuje z najniższymi warstwami społecznymi.

Upokarzanie dzieci po to, żeby dzieciństwo wyodrębnić, bicie młodzieży dla jej dobra w wieku XVIII przestaje być powszechną praktyką. Obyczaje łagodnieją. Historia szkolnej dyscypliny pozwala prześledzić zmianę świadomości zbiorowej pod tym względem.

We Francji dyscyplinarny system szkolny budzi protesty opinii publicznej, co doprowadza do jego zniesienia w 1763 roku, kiedy to korzystając z potępienia jezuitów zreorganizowano system szkolnictwa.

Służalczy i poniżający charakter kary cielesnej przestaje być uznawany za odpowiedni dla ułomnego dzieciństwa. Przeciwnie, budzi on początkowo dyskretny, później coraz ostrzejszy sprzeciw. Pojawia się idea, że dzieciństwo nie jest wcale okresem niewolniczym i że nie zasługuje na metodyczne poniżanie.

Karanie uczniów budzi niechęć, szczególnie silną w wypadku dzieci starszych. Stopniowo zaprzestaje się w szkołach wymierzania chłosty uczniom klas retoryki.

Jednocześnie zanika praktykowane z dawien dawna donosicielstwo. Szkołki Port-Royal i tradycja jansenistyczna były pod tym względem prekursorskie. Około roku 1700 w nowym kolegium Sainte-Barbe przyjęte zostają metody Port-Royal³. Fundacje likwidują w tym samym czasie kary cielesne, średniowieczne zasady współzawodnictwa stosowane przez znieawidzonych jezuitów oraz przestaje działać instytucja obserwatorów. Co więcej, w cotygodniowych zebraniach nauczycieli, kiedy to zapadają decyzje w sprawie kar i nagan, uczestniczy „trybun” uczniów, który broni swoich kolegów. Ten zupełnie nowy duch po roku 1763 zapanuje w liceum Louis-le-Grand, a następnie w całym szkolnictwie.

³ Quicherat, *Histoire de Sainte-Barbe*, 1860.

Rozluźnienie dawnej dyscypliny szkolnej wiąże się z nową orientacją postawy wobec dzieciństwa, które nie kojarzy już się z ułomnością i koniecznością jego poniżenia. Teraz chodzi o to, by obudzić w dziecku „dorosłe” poczucie odpowiedzialności i godności. Nie przeciwstawia się dziecka dorosłemu (choć w obyczajach wyraźnie różni się od niego), lecz przygotowuje je do dorosłego życia. To przygotowanie nie dokonuje się od razu i brutalnie. Wymaga starań, etapów, kształcenia. Ta nowa koncepcja edukacji zatryumfuje w wieku XIX.

„Szkółki”

W tym rozdziale omawiam dwa zjawiska: wpierw, w odniesieniu do XVII stulecia, demograficzną specjalizację wieku – od 5-7 do 10-11 lat – w szkółkach i w niższych klasach kolegiów, następnie, gdy idzie o XVIII wiek, społeczną specjalizację dwu rodzajów nauczania, jednego dla ludu, drugiego dla arystokracji i mieszczaństwa. Z jednej strony, odseparowano dzieci młodsze od starszych, z drugiej – bogatych od biednych. Moim zdaniem, istnieje związek między tymi dwoma zjawiskami. Oba są przejawem ogólnej tendencji do segregacji, wyodrębniania tego, co poprzednio było wymieszane, rozdzielania tego, co ledwie się niegdyś różniło. Ta tendencja, nieobca rewolucji kartezjańskiej, doprowadziła do powstania nowoczesnych społeczeństw egalitarnych, w których rygorystyczne poszufladkowanie geograficzne zastąpiło bliskość dawnych hierarchii.

Trudne dzieciństwo w szkole

Zdumiewa nas nieprzyzwoitość szkolnych obyczajów, są one nie do pogodzenia z naszym wyobrażeniem o dzieciństwie i wieku dorastania, ba, z trudem tolerujemy je u dorosłych z ludu – świadczą w naszym mniemaniu o ich niskim poziomie umysłowym. W XVI i XVII wieku współcześni umieszczali scholarów w tym samym łotrzykowskim świecie co żołnierzy, służących i ogólnie rzecz biorąc żebraków. Ludzie przyzwoici, którzy posiadali jakiś majątek na tej ziemi, odnosili się nieufnie i do jednych, i do drugich. Kanonik z Dijon¹, mówiąc o tamtejszej złotej młodzieży (należał do niej syn przewodniczącego miejskiego parlamentu), która w 1592 roku wyjeżdżała na „uniwersytet praw w Tuluzie”, określa ją słowem „robactwo”: „Wielkie szczęście, żeśmy się pozbyli tego robactwa” – jakby chodziło o bandę hultajów. Postać z komedii Lariveya utożsamia niektórych uczniów z buntownikami żyjącymi na marginesie społeczeństwa. „Nie myślę o nich jak o uczniach, lecz jak o l u d z i a c h w o l n y c h, którzy żyją poza prawem i nie mają potrzeb”. Ludzie wolni znaczyło wtedy tyle co włóczykije (*truands*). Słowo to (*truand*), we współczesnym języku określające dorosłego, wzięło się ze szkolnej łaciny: *trutanus*, włóczęga, i odnosiło się głównie do uczniów-włóczęgów, będących plagą ówczesnej społeczności szkolnej. Zachowało ten sens w angielskim, gdzie *truant* znaczy wagarowicz.

Dopiero pod naciskiem wychowawców przestano utożsamiać scholarą z dorosłym obszarpańcem, obie te postacie pojawiły się w czasach, gdy elegancja stroju i języka była zawarowana nawet nie dla kleryka, lecz dla dwornego

¹ Ch. Mutteau, *Les Écoles de Dijon*.

dorosłego. Nowe pojęcie moralne dziecka dobrze wychowanego wyróżniło je, przynajmniej to, które chodziło do szkoły, i oddzieliło od podejrzanych dorosłych. Pojęcie to ukształtowało się w wieku XVII, nie wcześniej. Wiemy, że wzięło się z reformatorskich poglądów elity myślicieli i moralistów, którzy sprawowali urzędy kościelne i państwowe. Dziecku dobrze wychowanemu oszczędzone będą brutalność i bezwstyd, które staną się specyficzną cechą ludu i złoczyńców. We Francji dziecko dobrze wychowane to mały burżuj. W Anglii będzie to dżentelmen, typ społeczny przed XIX wiekiem nie znany, stworzony za sprawą *public schools* przez arystokrację broniącą się przed demokratycznym ciśnieniem. Obyczaje klas panujących w XIX wieku narzucone zostały opornym początkowo dzieciom przez prekursorów, którzy te obyczaje wykoncypowali, nie odpowiadały one bowiem jakiejś konkretnej rzeczywistości. Dopiero w XIX wieku obyczaje dzieci dobrze wychowanych stały się obyczajami elity, a później przyjęte zostały przez naszych współczesnych, niezależnie od kondycji społecznej. Dawną średniowieczną niesforność i popędliwość zarzuciły na początku dzieci, a na końcu lud: dziś jest ona udziałem marginesu społecznego – nicponi, ostatnich spadkobierców dawnych włóczykijów, żebraków, wyjętych spod prawa, scholarów z XVI i początków XVII wieku.

KONKLUZJA

Szkoła a długość dzieciństwa

W pierwszej części książki badaliśmy narodziny i rozwój dwu odrębnych postaw wobec dzieciństwa: najpierw *mignotage* (rozpieszczanie), szeroko rozpowszechnione również wśród ludu, dotyczące najwcześniejszych lat życia i związane z ideą krótkiego dzieciństwa, następnie uświadomienie sobie niewinności i słabości dziecka, a co za tym idzie, spoczywającego na dorosłych obowiązku uchronienia jednej i uzbrojenia drugiej. Przez długi czas tę drugą postawę zajmowała nieliczna garstka prawników, księży i moralistów. Gdyby nie oni, dziecko pozostałoby „pucką” i „bobasem”, miłą, komiczną istotką, z którą można się czule i swobodnie – jeśli nie swawolnie – zabawiać, bez żadnej moralnej czy wychowawczej troski. Dziecko, które skończyło 5 lub 7 lat, rozpływało się w tłumie dorosłych. To poczucie krótkiego dzieciństwa utrzymywało się długi czas w warstwach niższych. W XVII wieku moralisci i wychowawcy, spadkobiercy tradycji sięgającej Gersona, reformatorów Uniwersytetu Paryskiego w XV wieku i założycieli kolegiów u schyłku średniowiecza, zdołali narzucić ogółowi swój poważny stosunek do dzieciństwa, a to dzięki sukcesowi instytucji szkolnych i praktyk wychowawczych, którym nadali kierunek i dyscyplinę. Ci sami, opętani ideą wychowania ludzie stoją u narodzin nowoczesnego poczucia dzieciństwa i nowoczesnej szkoły.

Dzieciństwo wydłużyło się poza lata, kiedy malutki człowieczek dreptał w „ryzach” i „szczebiotał”; między czas sukienki z kołnierzem a czas uznanej dorosłości wprowadzony został nowy etap, dotąd niezwykajny, a od tej pory coraz bardziej powszechny: etap szkoły, nauki w kolegium. W naszych społeczeństwach klasy wiekowe organizują się wokół instytucji. Na przykład

wiek młodzieńczy, w przeszłości niemal nie zauważany, wyróżnił się pod koniec wieku XVIII i w XIX ze względu na pobór do wojska i służbę wojskową. W XVI i XVII wieku słowo „uczeń” – aż do początku XIX wieku synonim studenta, używano ich wymiennie; gimnazjalista było słowem nie znanym – oznaczało długie dzieciństwo, tak jak w XIX i XX wieku „rekrut” było oznaką wieku młodzieńczego.

Demograficzna funkcja szkoły nie od razu stała się dla ludzi oczywista i konieczna. Przeciwnie, przez całe wieki instytucja ta była obojętna na podział i wiek uczniów, ponieważ jej naczelnym zadaniem było wyłącznie kształcenie. Nic nie predysponowało łacińskiej szkoły do roli wychowawczej. W średniowieczu nie była ona dla dzieci, pełniła funkcję jakby technikum dla kleryków, „młodych i starych”, jak mówi „Doktrynał” Michaulta. U podnóża nauczycielskich katedr przyjmowała, nie przywiązując wagi do wieku, dzieci, młodzież i dorosłych, uczniów przedwcześnie dojrzałych czy zapóźnionych.

Przynajmniej do XVIII wieku wiele z tej mentalności przetrwało w życiu i obyczajach szkolnych. Widzieliśmy, jak późno wprowadzono podział na poszczególne regularne klasy, jak zróżnicowany był wiek w klasie, do której chodziły jednocześnie dzieci dziesięcio- trzynastoletnie i piętnasto- dwudziecioletnie młokosy. W języku potocznym powiedzieć o kimś, że jest w wieku szkolnym, niekoniecznie znaczyło, że mowa o dziecku, mogło to oznaczać graniczny wiek, po przekroczeniu którego niewiele ma się szans na sukces. Tak należy interpretować mądre rady, jakie Teresa Pansa daje swojemu mężowi, który wyrusza na wyprawę z Don Kichotem¹: „nie zapominaj o mnie i o dzieciach. Bacz, że nasz mały Sanczyk ma już piętnaście lat skończonych, czas tedy, aby poszedł do szkół, zwłaszcza że jego wuj, ksiądz, chce go przeznaczyć do stanu duchownego”. Idzie się do szkoły wtedy, kiedy się może, bardzo wcześnie albo bardzo późno. Tak to widziano przez cały wiek XVII, mimo iż pojawiły się prądy przeciwne. W XVIII wieku ślady takiej postawy były na tyle wyraźne, że po Rewolucji pamiętali o niej najstarsi wychowawcy, którzy potępiali dawną praktykę trzymania w kolegiach zbyt starych uczniów. Na dobre znikła ona dopiero w XIX wieku.

Obojętność na kształcenie najmłodszych cechowała nie tylko zacofanych konserwatystów. Jest godne uwagi, że rensansowi humaniści dzielili w tym względzie opinię swoich tradycyjnych wrogów. Jak średniowieczni scholastycy, mylili edukację z kulturą, rozciągali kształcenie na całą długość ludzkiego życia, nie przypisując szczególnej wartości dzieciństwu czy młodości, nie zastanawiając się nad znaczeniem poszczególnych etapów rozwojowych. Toteż niewielki mieli wpływ na strukturę szkoły, a ich rolę wyolbrzymili historycy literatury, gdyż prawdziwymi nowatorami byli piętnastowieczni scholastycy – kardynał

¹ M. Cervantes, *op. cit.*, t. II, 5, s. 35.

d'Estouteville, Gerson, organizatorzy kolegiów i szkół, a wreszcie i przede wszystkim jezuici, oratorianie i janseniści w XVII wieku. Oni wyczuli odrębność dzieciństwa i lepiej poznali psychologię dziecka, oni szukali metody odpowiadającej dziecięcej psychice.

Kolegium czasów minionych przez długi czas zachowało wiele cech swojej poprzedniczki, łacińskiej szkoły katedralnej, i dopiero o wiele później stało się instytucją przeznaczoną specjalnie dla dzieci.

Trzeba przyznać, że bardzo wielu nie przeszło przez kolegia czy nawet szkoły. Ci, co nigdy nie uczyli się w kolegium bądź przebywali tam krótko (rok lub dwa), jak dawniej wcześniej wkraczali w życie. Dzieciństwo było bardzo krótkie. Tam, gdzie kolegium go nie przedłużało, wyglądało tak jak w średniowieczu.

Jeszcze w XVII wieku data urodzenia niekoniecznie wyznaczała podziały w szkole. Wielu młodych szlachciców gardziło kolegium, lekceważyło akademię i nie czekając zaciągało się do armii. W słynnym opisie śmierci Turenne'a w 1675 roku pani de Sévigné wspomina o obecnym u boku marszałka jego czternastoletnim bratanku. U schyłku panowania Ludwika XIV pewien pułkownik wymienia czternastoletnich poruczników. Chevert rozpoczął służbę wojskową w wieku jedenastu lat².

Tak było z żołnierzami. Pani de Sévigné, która, jak pokazał E. G. Leonard, bardzo się interesowała sprawami wojskowymi, przytacza następującą anegdotę: „Despréaux z Gourvillem poszli zobaczyć się z księciem. Księżę kazał im obejrzeć swoje wojsko. – No i co pan powie o mojej armii? – spytał księżę. – Panie – odparł Despréaux – myślę, że będzie dobra, jak dorośnie. Najstarszy nie ma jeszcze osiemnastu lat”³.

W XVII wieku wczesny start był wspólny oficerom i szeregowym żołnierzom. W XVIII wieku utrzymuje się, jeśli chodzi o żołnierzy, lecz w przypadku oficerów znika: rozpoczynają służbę po skończeniu pełnego cyklu szkolnego, przedłużonego czasem o specjalne szkoły wojskowe.

O ile w XVII wieku nauczanie nie było jeszcze przywilejem klasowym, o tyle monopol na kształcenie miała jedna tylko płeć. Kobiety były ze szkoły wykluczone. Toteż nawyki krótkiego dzieciństwa i wczesnego wkraczania w świat dorosłych pozostały tu nie zmienione od średniowiecza po wiek XVII. „Od kiedy skończyłam dwanaście lat, pięć razy, dzięki Bogu, wzięłam sobie męża u wrót kościoła” – mówi w XIV wieku pewna postać kobieca u Chaucera. Pod koniec XVI wieku trzynastoletnia Katarzyna Marion poślubia Antoniego Arnauld. Na tyle pewnie czuje się w roli pani domu, że wymierza policzek

² E. G. Leonard, *Les problèmes de l'armée*, 1958, s. 164.

³ L. Cognet, *La Réforme de Port-Royal*, 1950, s. 13 i 100.

„swojej pierwszej pokojowej, dwudziestoletniej dziewczynie, która nie oparła się czymś awansom”⁴. Katarzyna Lemaître, która to zapisała, sama wyszła za mąż w wieku lat czternastu. Jej siostrę Annę zamierzano wydać za mąż, kiedy miała lat dwanaście. Nie doszło do tego tylko z powodu religijnego powołania dziewczynki. Pretendentowi do ręki nie śpieszyło się, zresztą musiało mu zależeć bardziej na rodzinie, bo „nie tylko czekał z ożenkiem, aż Anna złożyła śluby zakonne, ale w ogóle nie chciał się żenić, póki nie zobaczył, że najmłodsza siostra też chce zostać zakonnica. Kiedy omawiano zamążpójście mojej siostry Anny, mała była sześciolatnim dzieckiem...” Słowem – cztery do sześciu lat narzeczeństwa. Zresztą dziesięcioletnie dziewczynki były już kobietami, jak ta Anna Arnauld, od początku wychowywana do roli dorosłej kobiety. „W dziesiątym roku życia mała była tak rozgarnięta, że sama prowadziła dom pani Arnauld, która specjalnie ją przygotowywała do roli matki rodziny i pani domu, jaką miała odgrywać w przyszłości”.

Oprócz instruktażu w prowadzeniu domu dziewczęta nie otrzymywały żadnego innego wykształcenia. W rodzinach, gdzie chłopców posyłano do kolegium, dziewczęta niczego się nie uczyły. Fénelon skarży się na ich powszechną ignorancję. Przyznaje, że dba się bardzo o wykształcenie chłopców: „najmądrzejsi ludzie wypracowali reguły w tej materii. Iluż to jest nauczycieli, ile kolegów! Jakie wydatki na druk książek, badania naukowe, metody nauczania języków, dobór profesorów... Świadczy to, jak wielkie znaczenie przywiązuje się do kształcenia chłopców”. Ale dziewczynki! „Ludzie czują się w prawie porzucić je na pastwę losu, zdane na prowadzenie przez nieoświecone i nietaktowne matki”⁵. Nic dziwnego, że kobiety ledwie umieją czytać i pisać! „Nauczcie dziewczynkę poprawnie czytać i pisać. To wstyd, że tak często widzi się kobiety dowcipne i grzeczne [czyli z towarzystwa], które dukają, zacinają się albo śpiewają zamiast czytać... Jeszcze gorzej jest z ortografią, nie umieją stawiać i łączyć liter, kiedy piszą”. To niemal analfabetki. Przyjął się zwyczaj oddawania dziewcząt do klasztoru, który nie był wcale instytucją służącą edukacji. Dziewczęta oddawały się tam praktykom religijnym, żadnego innego wykształcenia nie otrzymywały.

Pod koniec stulecia wzorem nowoczesnej instytucji kształcącej dla dziewcząt będzie Saint-Cyr pani de Maintenon: zaczynały naukę w wieku 7-12 lat, kończyły około dwudziestki⁶. Skargi na szkółki mieszane i na szkoły urszulanek wskazują na ogólną tendencję do szkolnej edukacji dziewcząt, ale stanie się ona faktem z dwóchsetletnim opóźnieniem.

⁴ *Ibid.*

⁵ F. Fénelon, *De l'éducation des filles*, 1687.

⁶ Th. Lavallée, *Histoire de la maison royale de Saint-Cyr*, 1862.

Od wieku XV, a zwłaszcza w XVI i XVII, mimo utrzymującej się średniowiecznej obojętności na lata, kolegium służy zasadniczo kształceniu i wychowaniu młodzieży, kierując się przy tym pewną znajomością psychologii, co widzimy u Cordiera, w *Ratio* jezuitów, w bogatej literaturze pedagogicznej Port-Royal. Wychowawcy odkrywają potrzebę dyscypliny – stałej i organicznej, czyli czegoś zupełnie innego niż gwałtowne wybuchy nie cieszącej się szacunkiem władzy. Prawnicy zdawali sobie sprawę, że nieokrzeseane społeczeństwo, którym rządzono, potrzebuje twardej ręki, ale dyscyplina szkolna poczęła się z innego ducha i z innej tradycji. Wywodzi się mianowicie z dyscypliny kościelnej i zakonnej, jest nie tyle narzędziem przymusu, co moralnego i duchowego doskonalenia. Ceni się ją dlatego, że jest skuteczna, że jest niezbędnym warunkiem pracy w zespole, a przy tym ma swą budującą, ascetyczną treść. Wychowawcom pozwala sprawować permanentny (przynajmniej teoretycznie) nadzór nad dziećmi, nocą i dniem.

Zasadnicza różnica między średniowieczną szkołą a kolegium czasów nowożytnych leży we wprowadzeniu dyscypliny. Z kolegiów rozszerzy się ona na pensjonaty prywatne, gdzie uczniowie mieszkają, niekiedy zaś na całe miasto, ale w praktyce jest mało skuteczna. Nauczyciele usiłują trzymać ucznia pod coraz surowszą kontrolą, od końca XVII wieku rodzice uznają, że stwarza to najlepsze warunki do porządnej edukacji. Rosną szeregi nielicznych niegdyś mieszkańców internatów; idealną instytucją XIX wieku będzie właśnie internat, liceum, małe seminarium, kolegium zakonników, szkoła pedagogiczna. Mimo że stare obyczaje trwają, dyscyplina nadaje kolegium w czasach minionych nowoczesny charakter, zapowiadający już nasze współczesne szkoły średnie. Wyrazem tej dyscypliny jest nie tylko lepsza kontrola wewnątrz szkoły, ale też narzucenie rodzinom respektowania pełnego cyklu nauczania. Szkoła obejmuje dzieci i młodzież, czyli nie sięga, jak w średniowieczu i renesansie, wieku dojrzałego, za to trwa stosunkowo długo (jednak nie tak długo, jak w wiekach średnich). Ubogiej czy niecierplivej szlachty, tak samo jak prostych rzemieślników, szczęśliwych, że mogą dać swoim dzieciom łaćński polor, nie zadowala już rok lub dwa spędzone w kolegium, jak to bywało w wieku XVII. Pod koniec XVIII stulecia cykl szkolny przypomina cykl dziewiętnastowieczny: trwa co najmniej cztery do pięciu lat. W szkole dziecko jest poddane coraz bardziej rygorystycznej i efektywnej dyscyplinie, która je dzieli od wolności człowieka dorosłego. Dzieciństwo zostaje przełożone na cały czas pobytu ucznia w szkole.

Z jednej strony populacja podlegająca nauczaniu, z drugiej – ci, którzy od niepamiętnych czasów rozpoczynali dorosłe życie, gdy tylko zaczęli chodzić pewnym krokiem i swobodnie władać językiem. Ten podział nie pokrywa się z podziałem stanowym. Jądro populacji szkolnej stanowią niewątpliwie

dzieci z rodzin mieszczańskich oraz ze szlachty urzędniczej i duchownej. Ale wśród tych, co do szkół nie uczęszczają, są szlachcice, a w szkołach są dzieci rękodzielników i chłopów. Dziewczynki z dobrych domów były nie bardziej wykształcone niż te z niższych warstw społecznych, często nawet gorzej, bo dziewczętom z ludu zdarzało się opanować pisanie do perfekcji, jako przyszły zawód. Uczęszczanie do szkoły w czasach, gdy kolegium obejmowało w zasadzie całość wykształcenia, które my dzisiaj dzielimy na podstawowe, średnie i wyższe, o wiele mniej niż obecnie odpowiadało konturowi stanów społecznych. Wysiłki apostołatu szkolnego pod koniec XVII wieku doprowadziły do utworzenia bractw szkół chrześcijańskich i nie ograniczały się tylko do ubogich. Do szkół ludowych chodzili mali mieszczanie, do niższych klas kolegiów synowie rzemieślników i chłopów.

Mogłoby stać się i tak, że nasz system oświaty opierałby się na jednej szkole: w dawnych czasach, aż do wieku XVIII szkoła była w zasadzie jedna. Uczestnictwo w nauczaniu szkolnym rozciągnęłoby się społecznie i geograficznie, natomiast długość cykli byłaby różna, zależnie od kierunku. Szlachta urzędnicza i duchowna studiowałaby do końca dwa lub trzy lata filozofii – odpowiadające studiom akademickim, zaś inni, ludzie rzemiosła i miecza, kończyliby edukację wcześniej. Tak to się zresztą działo w połowie XVII wieku. Kolegia i łacińskie regencje tworzyły całą sieć szkół wokół kolegium o pełnym programie nauki. Na peryferiach nauczano już tylko w niższych klasach. Może to dziwić, jeżeli pomyśleć o rygorystycznej i zróżnicowanej hierarchii społecznej w starej Francji: nawyki szkolne zależały bardziej od funkcji niż miejsca na drabinie społecznej. Zresztą postawy wobec życia, podobnie jak wiele cech życia codziennego, niewiele się od siebie różniły.

Ten stan rzeczy nie przetrwał – od wieku XVIII jedyną szkołę zastępuje system dwustopniowego nauczania, którego każda gałąź odpowiada już nie wiekowi, lecz stanowi społecznemu: liceum bądź kolegium dla mieszczan (szkoła średnia) i szkoła dla ludu (podstawowa). Nauka w szkole średniej trwa długo. W podstawowej przez długi czas trwała krótko i dopiero rewolucyjne zmiany po dwu ostatnich wojnach światowych sprawiły, że we Francji i w Anglii ten cykl się wydłużył. Być może, jedną z przyczyn społecznej specjalizacji szkół są techniczne wymogi długiego nauczania; w momencie gdy narzuciło się ono definitywnie w obyczajach, przestano tolerować uczniów, którzy nie byli od początku zdecydowani iść aż do końca i zaakceptować wszystkie reguły gry, bo reguły zamkniętej społeczności, czy to będzie szkoła, czy wspólnota religijna, wymagają takiego samego poświęcenia się bez reszty jak gra. Z chwilą gdy świadomie ustanowiono regułę długiego cyklu, nie było już miejsca dla tych, którzy z racji swej kondycji społecznej, zawodu rodziców lub majątku nie mogli przezeń przejść aż do końca.

Ale ta ewolucja ma jeszcze jedną przyczynę, mianowicie działalność ludzi władzy, wiedzy i rozumu, co widzieliśmy już u narodzin wielkich zmian obyczajowych u zarania epoki nowożytnej. Jak już mówiliśmy, oni właśnie zrozumieli specyfikę dzieciństwa oraz moralną i społeczną wagę edukacji, metodycznego kształcenia dziecka w specjalnych, przystosowanych do tego celu instytucjach. Bardzo wcześnie niektórzy z nich przejęli się swoim sukcesem – u pewnych tylko klas społecznych, czego nie zawsze byli świadomi. Richelieu, który wyobrażał sobie wzorową Akademię w utopijnym mieście, jakie chciał zbudować, potem Colbert, obawiali się nadmiaru intelektualistów i niedostatku siły roboczej: ten stary temat całe pokolenia konserwatywnej burżuazji przekazywały sobie aż do naszych dni! W XVII wieku ci prekursorzy, mimo swego autorytetu, wołali na pustyni: nie mogli pohamować rozwoju kolegów i ich penetracji wszędzie na prowincji. Ale w XVIII wieku te ich przesady przejęła pewna kategoria ludzi „oświeconych”, którzy do pewnego stopnia są w wielu dziedzinach ich spadkobiercami. Ci światli myśliciele, ludzie Oświecenia, liczni i ustosunkowani, wywierali na opinię wpływ, jakiego żadna grupa prawodawców, kleryków czy intelektualistów w przeszłości nie mogła sobie nawet wyobrazić. Niektórzy z nich, jak Condorcet, pozostali wierni koncepcji jednego nauczania dla wszystkich. Ale większość proponowała – gdy tylko wygnano jezuitów – ograniczenie do jednej klasy społecznej przywileju długiego, klasycznego kształcenia, i zepchnięcie ludu do kształcenia drugiej kategorii, wyłącznie praktycznego.

Wiemy też, że stosunek do dzieciństwa znalazł swój najbardziej nowoczesny wyraz w tym samym środowisku oświeconych mieszczan, wielbicieli Greuze’a, czytelników *Emila* i *Pameli*. Natomiast dawne sposoby życia przetrwały niemal do naszych dni w warstwach ludowych, które krócej były poddane działaniu szkoły. Można się nawet zastanawiać, czy aby w pierwszej połowie XIX wieku nie nastąpił tu regres pod wpływem zatrudnienia dzieci w przemyśle tekstylnym. Ich praca utrwaliła cechę społeczeństwa średniowiecznego: wczesne wkraczanie w świat dorosłych. Różnice w potraktowaniu ucznia, dziecka mieszczańskiego lub plebejskiego, zmieniły cały koloryt życia.

Istnieje zatem godny uwagi synchronizm między nowoczesną klasą wiekową a klasą społeczną: obie narodziły się w tym samym czasie – u schyłku XVIII wieku, w tym samym środowisku – burżuazji.

CZEŚĆ III

Rodzina

Obrazy rodziny

Trudno mówić o świeckiej ikonografii w średniowieczu, bo do wieku XIV obrazy świeckie niewiele się różniły od religijnych. Jest jednak pewien temat świecki, który wzbogacił średniowieczne przedstawienia świata, a jego popularność i częstotliwość występowania nie są dla nas bez znaczenia, chodzi mi mianowicie o tematy związane z profesją. Wiadomo, że w epoce rzymskiej Galowie chętnie przedstawiali na płaskorzeźbach grobowców sceny ze swego pracowitego życia¹. Ten temat rozmaitych prac i zajęć gdzie indziej nie występuje. Archeolodzy zwrócili uwagę, że nader rzadko, jeśli w ogóle, pojawia się on na nagrobkach w Afryce rzymskiej², a to by znaczyło, że wywodzi się z bardzo odległej przeszłości, ale utrzymał się i rozwinął w wiekach średnich. Choć słowo „świecki” jest tu anachronizmem, mamy prawo twierdzić, że o „świeckiej” ikonografii średniowiecza decyduje przede wszystkim temat prac. Znamienne, że praca przez długie wieki uważana była za najważniejszą działalność człowieka, a jej wspomnienie łączyło się z kultem grzebalnym w epoce gallo-rzymskiej oraz z uczoną i społeczną koncepcją świata w kalendarzach średniowiecznych katedr. Historykom to się pewnie wydaje naturalne, ale pomyślcie, ilu ludzi wolałoby dziś zapomnieć o swojej pracy i marzy o pozostawieniu innego obrazu samych siebie! Próby lirycznego potraktowania funkcjonalnych aspektów naszego życia wydają się dziś daremne i prowadzą jedynie do pozbawionego korzeni akademizmu. Współczesny człowiek, nawet jeśli lubi swój zawód, przecież by go nie zaproponował jako temat artyście, gdyby ten był skłonny właśnie

¹ P. M. Duval, *Życie codzienne w Galii*, przeł. E. Bąkowska, Warszawa 1967.

² G. Ch. Picard, *Les Religions de l'Afrique antique*, 1954.

taki temat zaakceptować. Miejsce, jakie praca zajmuje w ikonografii średnio-wiecznej, świadczy o jej wysokiej wartości uczuciowej dla ludzi tamtych czasów. Wygląda na to, że w życiu codziennym właśnie ona liczyła się najbardziej.

Najpopularniejsze przedstawienia prac i zajęć łączą się z tematem pór roku, który już omawialiśmy w związku z okresami życia³. Wiemy, że sztuka średniowieczna na Zachodzie chętnie łączyła wspólną symboliką pojęcia, których niewidoczne powiązania pragnęła podkreślić. Pory roku wiązały się z pracami polowymi, tak samo jak z okresami życia czy żywiołami. Taki jest sens katedralnych kalendarzy ze szkła i kamienia oraz miniatur ilustrujących Godzinki.

Tradycyjna ikonografia dwunastu miesięcy roku ustaliła się w XII wieku, „prace i dni” spotykamy z niewielkimi wariantami w Saint-Denis, w Paryżu, w Senlis, w Chartres, w Amiens, w Reims itd. Z jednej strony – wielkie prace polowe: sianokosy, żniwa, winobranie i tłoczenie wina, świniobicie; z drugiej – pauza, zimowa i wiosenna przerwa. Pracują chłopci, ale w scenach odpoczynku od pracy występują już to wieśniacy, już to szlachta. Styczeń (miesiąc królewski) należy do szlachcica, który siedzi przy suto zastawionym stole. Luty należy do chłopca, który przynosi drwa z lasu i krząta się przy kominku. Maj to zawsze ewokacja młodzieży w związku ze świętami majowymi, raz będzie to wieśniak odpoczywający wśród kwiecia, a raz młody szlachcic wyruszający na polowanie z sokołem. Na tych obrazkach człowiek jest zawsze sam, tylko wyjątkowo za siedzącym przy stole panem stoi młody sługa (w Saint-Denis). I zawsze jest to mężczyzna, nigdy kobieta.

Ewolucję tej ikonografii możemy prześledzić w modlitewnikach aż do wieku XVI. Najpierw pojawia się kobieta, dama będąca obiektem dworskiej miłości albo pani domu. W „Godzinkach” diuka de Berry w lutym chłop nie grzeje się już sam przy ogniu, jak na ścianach katedry Senlis, Paryża czy Amiens. Przy palenisku siedzą trzy kobiety, a zziębły chłop stoi przed chatą na ośnieżonym podwórku. Gdzie indziej scena przedstawia wnętrze izby w zimowy wieczór, kiedy nie wychodzi się z domu: mężczyzna grzeje sobie przy ogniu ręce i gołe stopy, siedząca obok niego kobieta spokojnie przedzie wełnę (Charles d'Angoulême). W kwietniu pojawia się temat dworskiej miłości: dama spotyka się z kawalerem w zamkniętym ogrodzie (Charles d'Angoulême). Dama towarzyszy rycerzom na polowaniu. Ale nawet szlachetnie urodzona dama jest nie tylko bezczynną, nierzeczywistą heroiną kwietniowych ogrodów i majowych świąt: nadzoruje również prace w tym ogrodzie („Godzinki” turyńskie). Częściej pojawia się chłopka. Razem z mężczyznami pracuje w polu (Berry, Angoulême). W upalne dni przynosi odpoczywającym żniwiarzom picie (Hennessy, Grimani). Mąż na taczkach odwozi ją do domu z dzbanem wina, które

³ Por. część I, roz. 1.

mu zaniosta. Podczas kwietniowych i majowych świąt rycerze i damy nie są już sami. Tak jak opiekująca się ogrodem dama z „Godzinek” turyńskich, pracują razem z chłopami i winogradnikami (zbiór czereśni w tych „Godzinkach”). Z czasem, zwłaszcza w XVI wieku, rodzina pana na włościach coraz częściej jest przedstawiana z chłopami, których pilnuje albo z którymi się wspólnie bawi. Na licznych tapiseriach szesnastowiecznych widzimy bukoliczne sceny wiejskie: pan i jego dzieci biorą udział w winobranii albo doglądają zbiorów. Mężczyzna nie jest już sam. Para nie jest już wymagowaną parą dworskiej miłości. Kobieta i rodzina uczestniczą w pracach i występują obok mężczyzny w domu i w polu. Nie są to sceny rodzinne we właściwym sensie słowa, bo w XV wieku nie ma jeszcze dzieci. Lecz pojawiła się potrzeba dyskretnego zaznaczenia z nieznaną dotąd nutą intymności małżeńskiej współpracy, współnictwa mężczyzn i kobiet w codziennych zajęciach.

Jednocześnie pojawia się w kalendarzach ulica. Występowała już w ikonografii średniowiecznej: ożywioną ulicę możemy podziwiać na pięknych widokach paryskich mostów w trzynastowiecznym manuskrypcie opisującym żywot świętego Dionizego. Jak w dzisiejszych miastach arabskich, ulica była siedzibą rękodzielników, miejscem wykonywania pracy zawodowej a także spotkań, plotek, widowisk, gier i zabaw. Poza życiem domowym, przez długi czas ignorowanym przez artystów, wszystko działo się na ulicy. Ale na scenach z kalendarzy, które miały charakter wiejski, ulica pojawia się dopiero w XV wieku. W „Godzinkach” turyńskich miesiące listopad i grudzień ilustruje tradycyjne świniobicie. Odbywa się na ulicy i przyglądają mu się stojący na progu domów sąsiedzi. Gdzie indziej (kalendarz w „Godzinkach” Adelajdy Sabaudzkiej) przedstawiony jest rynek: mali nicponie ucinają sakiewki zaaferowanym i roztargnionym kumoszkom. Temat małych rabusiów kradnących sakiewki występować będzie w rodzajowym malarstwie pikarejskim przez cały wiek XVII⁴. Na innej ilustracji z tego samego kalendarza widzimy powracającą z rynku gospodynię, która zatrzymała się, żeby porozmawiać z sąsiadką wyglądającą przez okno. Mężczyźni odpoczywają na ławce pod okapem i przyglądają się z rozbawieniem chłopcom, którzy grają w piłkę i mocują się ze sobą. Średniowieczna ulica, tak jak dzisiejsza ulica arabska, nie jest przeciwieństwem intymności życia prywatnego, lecz jego przedłużeniem na zewnątrz domu, miejscem pracy i życia towarzyskiego. Artyści stosunkowo późno zaczęli przedstawiać życie prywatne i zanim weszli do wnętrza domu, ukazywali je na ulicy. Być może, życie prywatne toczyło się bardziej na ulicy niż w domu.

Wraz z ulicą wkraczają do obrazków z kalendarza gry i zabawy: zawody rycerskie, turnieje („Godzinki” turyńskie Hennessy), zespołowe zabawy, trady-

⁴ „Godzinki” Adelajdy Sabaudzkiej, księżnej Burgundii, Chantilly.

cyjne święta, jak majowe drzewko. Kalendarz z „Godzinek” Adelajdy Sabaudzkiej składa się głównie z ilustracji najrozmaitszych gier towarzyskich i zręcznościowych oraz tradycyjnych zabaw: Święto Trzech Króli, majowy korowód, zapasy, biegi, gra w piłkę, skoki na bukłakach z wodą, bitwa na śnieżki. W innych manuskryptach mamy strzelanie z kuszy (Hennessy), muzykowanie na łódce (Hennessy), kąpiele (Grimani). Wiadomo, że zabawa nie była wówczas jedynie rozrywką, lecz także sposobem uczestniczenia w życiu społeczności lub grupy: ludzie bawili się w rodzinie i z sąsiadami, szli w zawody z inną grupą wiekową lub inną parafią⁵.

Wreszcie z końcem XVI wieku pojawia się w kalendarzach nowa postać: dziecko. Widzieliśmy je już wcześniej w szesnastowiecznej ikonografii, szczególnie często występowało w misteriach Notre-Dame. Ale w kalendarzach go nie było, jak gdyby ta stara tradycja ikonograficzna długo nie chciała zaakceptować nowego przybysza. Dzieci nie uczestniczą w pracach polowych. Tylko czasem usługują do stołu na styczniowych ucztach. Widzimy je na rynkach w „Godzinkach” Adelajdy Sabaudzkiej, tamże biją się na śnieżki i wygwizdują w kościele kaznodzieję, który je wyrzuca za drzwi. W ostatnich manuskryptach flamandzkich z XVI wieku aż się roi od dzieci; artyści najwyraźniej upodobali sobie ten temat. Kalendarze z „Godzinek” Hennessy i Grimani naśladują obraz zasypanej śniegiem wsi z *Très Riches Heures* diuka de Berry: w lutym, jak opisaliśmy, chłop śpieszy do domu, gdzie kobiety czekają na niego przy ogniu. Ale w tych dwóch kalendarzach przybyła nowa postać: dziecko w pozie Manneken Pis – stoi w progu chaty i sika na śnieg. Temat Manneken Pis spotykamy wszędzie w ówczesnej ikonografii, na przykład w *Kazaniu Jana Chrzyciela* z muzeum Augustianów w Tuluzie, zdobiącym niegdyś kaplicę parlamentu miejskiego, albo w obrazach putt Tycjana⁶.

W „Godzinkach” Hennessy i Grimani dzieci jeżdżą na łyżwach, małpują rycerskie turnieje dorosłych (jest wśród nich mały przysły Karol V). W „Godzinkach” monachijskich biją się na śnieżki. W *Hortulus animae* bawią się w dworskie zaloty, siedząc okrakiem na beczkach udają rycerzy na koniu, ślizgają się na lodzie⁷.

Na kolejnych ilustracjach miesiący pojawiają się więc nowe postacie: kobieta, sąsiedzi i kompani, wreszcie dziecko, świadczące o nowej, wcześniej nie znanej potrzebie intymności, i przedstawienia znajomego, jeśli jeszcze nie rodzinnego życia.

W XVI wieku ikonografia miesiący ulega ostatniej, znamiennej przemianie: staje się rodzinna, łączy się z symboliką innej tradycyjnej alegorii, miano-

⁵ Por. część I, roz. 4.

⁶ Jedno z putt na *Bachanaliach* w Prado (Madryt).

⁷ *Hortulus animae*, 7 tomów, Frankfurt 1907.

wicie okresów życia. Pokazywano je na rozmaite sposoby, z których dwa były najważniejsze: ten najczęściej spotykany, przedstawiał rozmaite okresy życia na stopniach piramidy wznoszącej się od narodzin do dojrzałości i spadającej następnie do starości i śmierci. Przetrwiał ten obraz w sztuce rytowniczej, ale wielcy malarze odrzucili zbyt naiwną kompozycję. Chętnie natomiast przedstawiali trzy okresy życia w postaci dziecka, młodzieńca – lub młodej pary – i starca. Na obrazie Tycjana⁸ widzimy dwa śpiące putta, dalej, na pierwszym planie, młodą chłopkę grającą na flecie i nagiego mężczyznę, wreszcie siedzącego w głębi zgarbionego starca, który trzyma w ręku czaszkę. Ten sam temat podjął w XVII wieku Van Dyck⁹. Na tego typu kompozycjach trzy lub cztery okresy życia przedstawiane były, zgodnie z tradycją, oddzielnie. Nikomu nie wpadło na myśl ukazać je w obrębie jednej rodziny, której różne pokolenia symbolizowałyby trzy lub cztery okresy życia. Artyści – i opinia, której byli wyrazicielami – trzymali się wiernie indywidualistycznej raczej koncepcji wieku: przedstawiali tego samego człowieka na różnych etapach życia.

Ale w tymże XVI stuleciu zrodziła się nowa idea: długość życia przedstawia symbolicznie rodzinna hierarchia. Mieliśmy już okazję cytować dzieło „O właściwych mocach wszechrzeczy”, stary, średniowieczny tekst, przetłumaczony na francuski i wydany drukiem w 1556 roku¹⁰. Jest to, jak mówiliśmy, zwierciadło świata. Szósta księga traktuje o „Wieku”. Ilustruje ją drzeworyt, który nie przedstawia drabiny wieku ani trzech lub czterech portretów tego samego człowieka w różnym okresie życia, lecz po prostu rodzinne zgromadzenie. Ojciec, który siedzi, trzyma na kolanach dziecko. Po jego prawicy stoi matka, po lewicy – syn. Drugi syn przyklęknął, żeby wziąć coś z rąk ojca. Jest to portret rodzinny, jakich było wtedy całe mnóstwo w Italii, w Niderlandach, w Anglii, Francji i w Niemczech, a zarazem rodzajowa scenka rodzinna, ulubiony temat malarzy i grafików, który będzie się cieszyć niezmierną popularnością w wieku XVII. Nie był on zupełnie nieznanym u schyłku średniowiecza. Rozwinięty został w ciekawy sposób na kapitulu łoża w weneckim Palazzo Ducale, zwanym kapitelem małżeńskim. Venturi datuje go na rok 1424¹¹, Toesca twierdzi, że powstał wcześniej, pod koniec XIV wieku¹², co jest bardziej prawdopodobne ze względu na styl i stroje, ale bardziej zdumiewające z uwagi na temat. Osiem lic kapitelu opowiada dramatyczną historię ilustrującą nietrwałość życia – temat był popularny w XV i XVI wieku, ale tu jest przedstawiony, co nowatorskie, na przykładzie jednej rodziny. Zaczyna się od zaręczyn. Następnie widzimy młodą

⁸ Londyn, Bridgewater Gallery.

⁹ Van Dyck, *Cztery okresy życia*.

¹⁰ Por. część I, roz. 1.

¹¹ Venturi, *Storia del Arte italiana*, t. VI, s. 32.

¹² Toesca, *Storia del Arte italiana*, t. II.

kobietę ubraną w ceremonialną suknię z naszytymi metalowymi krążkami: nie wiadomo, czy to ozdoba, czy monety. Trzecie lico głowicy przedstawia ślub: jedno z małżonków trzyma koronę nad głową drugiego; ten ryt zachował się w liturgii wschodniej. Dalej małżonkowie całują się. Na piątym obrazie leżą nago w małżeńskim łóżu. Scena szósta: urodziło się dziecko, rodzice trzymają wspólnie niemowlę w powijakach. Ich szaty wydają się skromniejsze niż za czasów zaręczyn i ślubu, spoważnieli, ubierają się z pewną surowością albo na dawną modłę. Na siódmym licu cała rodzina pozuje do portretu. Matka i ojciec trzymają dziecko za ramię i rękę. To już prawdziwy portret rodzinny, taki jak na ilustracji do dzieła „O właściwych mocach wszechrzeczy”. Ale na ósmym obrazie wybucha dramat: rodzina przechodzi ciężką próbę, dziecko umarło, leży na łóżku ze złożonymi rękami. Matka ociera łzy, drugą rękę kładzie na ramieniu dziecka, ojciec modli się. Sąsiednie kapitele zdobią nagie putta igrające z owocami, ptaszkami i piłeczkami, banalne to, ale pozwala umieścić kapitel małżeński w jego ikonograficznym kontekście.

Historia małżeństwa zaczyna się jak historia rodziny, ale kończy ją inny temat – przedwczesna śmierć.

W muzeum Saint-Raymond w Tuluzie znajdują się fragmenty kalendarza, który sądząc po strojach pochodzi z początku drugiej połowy XVI wieku. Lipiec: cała rodzina pozuje do portretu, podobnie jak na rycinie z „O właściwych mocach wszechrzeczy”; dodatkowy ważny szczegół to służący, którzy figurują obok członków rodziny. Ojciec i matka stoją pośrodku. Ojciec trzyma za rękę syna, matka córkę. Obok mężczyzn stoi służący. Obok kobiet – służąca. Płcie są rozdzielone jak na portretach donatorów. Z jednej strony mężczyźni, ojcowie i synowie, z drugiej – kobiety, matki i córki. Służba należy do rodziny.

Sierpień pozostaje miesiącem żniw, ale zamiast przedstawić same żniwa, artysta woli pokazać zwózkę i zapłatę za płony: pan trzyma w ręku monety, które da chłopom. Scena wiąże się z bardzo często spotykanym w XVI wieku, zwłaszcza na tapiseriach, repertuarem obrazów przedstawiających szlachtę na wsi: pilnuje swoich chłopów albo zabawia się z nimi.

Październik: rodzinny obiad. Rodzice i dzieci przy stole. Najmłodsze na wysokim, specjalnym krzeselku dla dzieci, jakie są i dziś. Do stołu służy chłopiec z serwetką w ręku: może to pacholek, może członek rodziny; usługiwanie do stołu nie było niczym poniżającym, przeciwnie.

Listopad: ojciec jest stary i chory. Tak bardzo chory, że potrzebuje lekarza, który banalnym, znanym z tradycyjnej ikonografii gestem podnosi urynał, żeby obejrzeć jego zawartość.

Grudzień: cała rodzina zebrała się przy łóżku umierającego ojca. Przynoszą wiatyk. Żona klęczy u stóp łóżka. Za nią klęczy młoda, zapłakana kobieta.

Młody mężczyzna trzyma w ręku gromnicę. W głębi widać małe dziecko, to zapewne wnuk, nowe pokolenie, które zapewni ciągłość rodzinie.

Ten kalendarz łączy następstwo miesięcy roku z następstwem okresów życia, ale przedstawia te okresy w postaci historii rodziny: młodość założycieli rodziny, ich dojrzałość u boku dzieci, starość, choroba i śmierć, przy czym jest to dobra śmierć sprawiedliwego (równie tradycyjny temat), a także śmierć patriarchy otoczonego rodziną.

Kalendarz zaczyna się tak samo jak historia rodziny na kapitulu z pałacu Dożów. Ale inaczej niż tam, gdzie śmierć przedwcześnie zabiera ukochane dziecko, tu wszystko przebiega zgodnie z naturalną rzeczą kolejną. Umiera ojciec u kresu życia wypełnionego pracą, otoczony zgodną rodziną, której z pewnością zostawił prosperujący majątek. Na tym polega różnica. Nie chodzi tu o nagłą śmierć, ale o ilustrację nowego uczucia – uczucia rodzinnego.

Temat rodziny pojawił się w ilustracjach miesięcy nieprzypadkowo. Zmierzająca do tego cała, szesnasto- i siedemnastowieczna ikonografia.

Początkowo sceny przedstawiane przez artystów działy się w nieokreślonej przestrzeni, później albo w miejscach publicznych, jak kościoły, albo w plenerze. W sztuce gotyckiej, wolnej od romańsko-bizantyjskiego symbolizmu, sceny plenerowe występują częściej, a to dzięki wynalazkowi perspektywy i zamiłowaniu do pejzaży: w ogrodzie dama spotyka się z kawalerem; myśliwi na koniach przemierzają pola i lasy; damy kąpią się w ogrodowej fontannie; ścierają się wrogie armie, rycerze walczą w turniejach, wojsko biwakuje wokół namiotu króla; księżęta wkraczają do swoich twierdz lub opuszczają je na czele orszaku mieszczan i ludu. Do miast wjeżdżamy po mostach, wędrujemy wzdłuż kramów, w których pracują złotnicy, widzimy sprzedawców wafli, po rzece płyną barki załadowane towarem. W plenerze rozgrywane są wszystkie gry. Towarzyszymy zonglerom i pielgrzymom. Świecka ikonografia średniowieczna jest ikonografią plenerową.

Kiedy trzynastowieczny lub czternastowieczny artysta ma zilustrować jakąś konkretną anegdotę, jakieś wydarzenie, waha się i jego naiwność przeraża się w niezręczność (nic wspólnego z wirtuozerią malarzy anegdot z XV i XVI wieku!). Niewiele jest zatem scen we wnętrzach. Pojawiają się częściej w wieku XV. Ewangelista, niegdyś przedstawiany w nieokreślonym miejscu, staje się skrybą stojącym przy pulpicie z piórem i skrobaczką w dłoni. Początkowo ukazany jest na tle dekoracyjnej draperii, później w pokoju z książkami na półkach. Od Ewangelisty przechodzimy do pisarza: oto Froissart pisze dedykację na książce w swojej komnacie¹³. Na miniaturach zdobiących „Terencjusza

¹³ A. Lindner, *Der Braslauer Froissart*, 1912.

Książąt” kobiety w swoich komnatach przędą wełnę, służące krzątają się, damy leżą w łóżkach, nie zawsze same. Widzimy kuchnie, wnętrza szynków. Sceny zalotów i rozmowy dzieją się teraz w zamkniętej przestrzeni.

Pojawia się temat porodu: pretekstem były narodziny Marii Panny. Wokół łoża położnicy uwijają się służące, kумы i akuszerki. Mamy też już temat śmierci kameralnej: konający walczą we własnym łóżku o zbawienie.

Coraz częstsze przedstawienia izby, sypialni, świadczą o nowej tendencji uczuć, które oto zwracają się ku intymności życia prywatnego. Sceny rozgrywające się na zewnątrz bynajmniej nie znikają, z nich wywodzi się pejzaż, ale coraz więcej jest scen we wnętrzach, scen bardziej oryginalnych, charakterystycznych dla malarstwa rodzajowego. W XVI a zwłaszcza XVII wieku życie prywatne, w średniowieczu stłumione, zdominuje ikonografię Zachodu, malarstwo i grafikę: obrazy holenderskie i flamandzkie, grafika francuska świadczą o nadzwyczajnej sile tych uczuć, tak nam już bliskich, że trudno zdać sobie sprawę, jak wielką były nowością.

Ogromny materiał ilustrujący życie prywatne można podzielić na dwie grupy: z jednej strony umizgi i hulanki w karczmach i obozowiskach, scenki z życia marginesu społecznego, z podejrzanego światka żebraków, włóczęgów i cyganów – pominiemy tu ten temat, bo nas nie dotyczy; z drugiej zaś strony jego odwrotna strona, to znaczy życie rodzinne. Kiedy przeglądamy zbiory rycin albo zwiedzamy galerie malarstwa XVI i XVII wieku, uderza nas ten prawdziwy zalew obrazów rodzinnych. We Francji ów nurt dosięga punktu kulminacyjnego w pierwszej połowie XVII wieku, w Holandii panuje przez całe stulecie i jeszcze dłużej. We Francji w drugiej połowie XVII wieku trwa nadal w grafice i w gwaszach na malowanych wachlarzach, potem zjawia się na powrót w osiemnastowiecznym malarstwie sztalugowym i utrzymuje aż do wieku XIX, do wielkiej rewolucji estetycznej, która wygna ze sztuki scenę rodzajową.

W XVI i XVII wieku mamy niezwykłą wprost liczbę portretów grupowych. Czasem są to portrety bractw i cechów, ale większość przedstawia zgromadzenie rodzinne. Pojawiły się w XV wieku, kiedy donatorzy zaczęli umieszczać skromnie swoje podobizny w dole religijnej sceny na znak hołdu i pobożności. Początkowo byli dyskretni i samotni, ale rychło ściągnęli całą rodzinę, żywych i umarłych, znalazło się miejsce dla zmarłych żon i dzieci. Z jednej strony mąż i synowie, z drugiej żona lub żony, każda ze swoimi córkami.

„Piętro” donatorów zajmuje coraz więcej miejsca i coraz bardziej się zaludnia, ze szkodą dla sceny religijnej, która staje się ilustracją, zaledwie przybudówką. Najczęściej przedstawia już tylko świętych patronów ojca i matki, święty umieszczony jest po stronie mężczyzn, święta po stronie kobiet. Zwróćmy uwagę na poczesne miejsce tego kultu świętych patronów, uznanych za opiekunów rodziny; jest to prywatny, domowy kult o charakterze rodzinnym, przy-

pominający kult Anioła Stróża, który był jednak bardziej związany z osobą dziecka.

Liczne szesnastowieczne przykłady ilustrują ten etap portretu donatorów i rodziny: witraże z rodziną Montmorency w Montfort-L'Amaury, Montmorency i Écouen czy obrazy wotywno-filarne na murach i filarach niemieckich kościołów; wiele z nich można dziś jeszcze obejrzeć w Norymberdze, wiele równie naiwnych i nieudolnych trafiło do prowincjonalnych muzeów w Niemczech i Szwajcarii. W tym stylu malowali Holbeinowie¹⁴. Wydaje się, że Niemcy najdłużej byli przywiązani do tego typu religijnego portretu rodzinnego, przeznaczonego dla kościoła. Był to jakby tańszy wariant witraża donatorów z dawnych czasów, zapowiadający bardziej anegdotyczne i malownicze *ex-vota* z XVIII i początku XIX wieku. Nie będą już one przedstawiać rodzinnego zgromadzenia żywych i umarłych, lecz cudowne wydarzenie, które uratowało donatora lub członka jego rodziny od utonięcia, wypadku czy choroby... Portret rodzinny też jest swoistym *ex-voto*.

Angielska rzeźba nagrobna epoki elżbietańskiej to także przykład portretu rodzinnego w służbie pobożności, przykład bardzo specyficzny, o wiele rzadziej występujący we Francji, w Niemczech czy we Włoszech. Na wielu angielskich grobowcach z XVI i XVII wieku wokół zmarłego przedstawiona jest na płaskorzeźbie bądź rondzie cała jego rodzina; uderzające, że figurują tam wszystkie dzieci nieboszczyka, żywe i umarłe. Wiele takich grobowców znajduje się w Westminster Abbey. Zmarły w 1571 roku Sir Richard Pecksall leży między swoimi dwiema żonami, a u stóp pomnika widzimy cztery małe postacie córek. Po bokach spoczywającej Małgorzaty Stuart, zmarłej w 1578 roku, stoją jej synowie i córki. Na grobie Winifredy, markizy Winchesteru, zmarłej w 1586 roku, przy nieboszczce klęczy mąż przedstawiony w pomniejszeniu, obok leży mała trumienka dziecka.

Sir John i lady Puckering, zmarła w 1596 roku, leżą obok siebie pośrodku grupy ośmiu córek. Małżonkowie Norris (1601) klęczą, wokół nich stoi ich sześciu synów.

W Holdham na grobie Johna Coke (1639) jest aż 21 postaci ustawionych w rzędzie, jak na portretach donatorów; ci, co umarli, trzymają krzyż w ręku. Na grobie Cope'a d'Ayleya w Hambledon (1633) czterech chłopców i trzy dziewczynki stoją przed klęczącymi rodzicami; dwoje z nich, chłopiec i dziewczynka, trzyma w rękach czaszkę.

W Westminster księżna Buckingham kazała w 1634 roku postawić grobowiec męża, zamordowanego w 1628: oboje małżonków przedstawionych w pozycji leżącej otaczają dzieci¹⁵.

¹⁴ Bazylea, Muzeum Sztuki.

¹⁵ Por. Fr. Bond, *Westminster Abbey*, 1909.

Te niemieckie i angielskie przedstawienia mają w sobie jeszcze wiele cech średniowiecznego portretu rodzinnego. Ale w wieku XVI portret rodzinny uwalnia się od funkcji religijnej. Jest tak, jakby „parter” donatorów zagarnął całe płótno i przegnał scenę religijną, która albo zupełnie znika, albo trwa w postaci pobożnego obrazka zawieszzonego w tle na ścianie. Tradycja obrazu wotywnego jest jeszcze żywa w obrazie Tycjana z 1560 roku¹⁶: mężczyźni rodziny Cornaro – starzec, dojrzały mężczyzna z siwą brodą, młody człowiek z czarną bródką (kształt i kolor brody są wskazówkami wieku) i sześciu chłopców, z których najmłodszy bawi się z psem – stoją przy ołtarzu. Zdarza się, że portret rodzinny przybiera materialny kształt obrazu kościelnego: w Victoria and Albert Museum znajduje się tryptyk z 1628 roku przedstawiający w środkowej części chłopca i dziewczynkę, a na bocznych skrzydłach oboje rodziców¹⁷. Te obrazy nie są przeznaczone do kościołów, zdobią prywatne wnętrza, a laicyzacja portretu rodzinnego to nowe, istotne zjawisko. Rodzina kontempluje oto samą siebie, czuje potrzebę uwiecznienia swojego obrazu, a czasem też przypomnienia zmarłych członków rodziny w postaci ich wizerunku lub inskrypcji na ścianie.

Ponieważ tego rodzaju portretów rodzinnych jest bardzo wiele, nie warto ich tu wymieniać: lista byłaby długa i monotonna. Spotykamy je w XVI, XVII i jeszcze na początku XVIII wieku we Flandrii, tak samo jak we Włoszech (Tycjan, Pordenone, Veronese), we Francji (Le Nain, Lebrun, Tournier), w Anglii i w Holandii (Van Dyck). Musiały być w tej epoce równie liczne, jak portrety indywidualne. Mówi się często, że portret świadczy o postępującym indywidualizmie. Być może, ale przede wszystkim jednak świadczy o ogromnym rozwoju uczuć rodzinnych.

Członkowie rodziny są wpierw dość sztywno ustawieni, jak na obrazach donatorów, na rycinie ilustrującej okresy życia w dziele „O właściwych mocach wszechrzeczy” czy też na miniaturze z muzeum Saint-Raimond. Nawet gdy zdają się nieco bardziej ożywni, „pozują” cokolwiek uroczyście, żeby podkreślić łączącą ich więź. Na płótnie Pourbusa¹⁸ mąż opiera lewą dłoń na ramieniu żony, u ich stóp jedno z dwojga dzieci powtarza gest ojca i kładzie rękę na ramieniu siostrzyczki. Van Dyck sportretował Sebastiana Leersa, który trzyma żonę za rękę¹⁹. Na obrazie Tycjana²⁰ trzech brodatych mężczyzn stoi wokół chłopca, jedynej jasnej nuty na tle innych postaci odzianych na czarno; jedna z nich wskazuje palcem dziecko będące środkiem kompozycji. Malarz

¹⁶ Tycjan, reprod. w: K. d. K., s. 168.

¹⁷ Victoria and Albert Museum, nr 5, 1951.

¹⁸ Pourbus, *Le Portrait dans l'art flamand*. Wystawa Paryż 1952, nr 71.

¹⁹ Tycjan, *Sebastian Leers z żoną i dziećmi*, reprod. w: K. d. K. nr 279.

²⁰ Tycjan, reprod. w: K. d. K., 236.

nie próbuje na ogół nadać postaciom jakiegoś żywszego wyrazu: członkowie rodziny stoją jeden przy drugim, czasem złączeni gestem podkreślającym ich wzajemne uczucia, lecz nie uczestniczą wspólnie w jakiejś akcji. Tak jest na obrazie Pordenonego z galerii Borghèse: ojciec, matka, siedmioro dzieci; tak samo na portrecie rodziny Pembroke Van Dycka²¹: księżę i księżna siedzą, inne postacie stoją – na prawo para, zapewne syn z żoną, na lewo dwóch bardzo eleganckich wyrostków (elegancja jest oznaką wieku młodzieńczego, dojrzały mężczyźni noszą się surowo), chłopiec-uczeń z książką pod pachą, dwóch młodszych chłopców.

W połowie XVI wieku pojawiają się przedstawienia rodziny zgromadzonej przy stole pełnym owoców: rodzina Van Berchaun pędzla Florisa (1561) albo rodzina Anselma Martina sportretowana przez Vosa (1577)²². Czasami rodzina przerywa biesiadę i muzykuje: nie był to, jak wiemy, sztuczny zabieg malarza, wspólne posiłki często kończyły się koncertem albo przerywane były piosenkami. W sztuce francuskiej rodzina pozować będzie artyście, w sposób mniej czy więcej sztuczny, aż do początków XVIII wieku (Tournier, Largillère). Ale pod wpływem Holendrów portret rodzinny często zostaje potraktowany jak scenka rodzajowa: koncert po ucztach to jeden z ulubionych tematów malarstwa holenderskiego. Od tej pory przedstawia się rodzinę w uchwyconej na żywo chwili życia codziennego²³: mężczyźni siedzą przy kominku, kobieta zdejmuje kociołek z ognia, dziewczynka karmi braciszka. Trudno od tej pory odróżnić portret rodzinny od sceny rodzajowej ewokującej życie rodzinne.

W pierwszej połowie XVII wieku stare alegorie średniowieczne również ulegają powszechnemu wymieszaniu, artyści zrywają z ikonograficzną tradycją i traktują je jak ilustracje życia rodzinnego. Widzieliśmy to na przykładzie kalendarzy. Podobnie zmieniły się i inne klasyczne alegorie. W XVII wieku okresy życia stają się pretekstem do obrazków z życia rodzinnego. Abraham Bosse ukazał na serii sztychów cztery okresy życia człowieka: dzieciństwo przedstawione zostało w pokoju dzieciennym; siostra czuwa przy niemowlęciu w kołysce, małe dziecko w sukience stoi w kojcu na kółkach (bardzo często spotykany mebelek w XV-XVIII wieku), dziewczynka bawi się lalką, chłopczyk papierowym wiatraczkiem, dwóch starszych chłopców szykuje się do bójki, jeden zrzucił na ziemię płaszcz i kapelusz. Wiek męski ilustruje obraz rodziny zebranej przy bogato zastawionym stole, scena analogiczna do występującej w portretach i często powtarzająca się w grafice francuskiej i w malarstwie

²¹ Van Dyck, *Rodzina Pembroke*, reprod. w: K. d. K., 393.

²² *Le Portrait...*, Paryż 1952, nr 19 i 93.

²³ P. Aertsen, połowa XVI wieku. Repr. w: Gerson, I, 98.

holenderskim. Drzeworyt ilustrujący okresy życia w „O właściwych mocach wszechrzeczy” i miniatura z Saint-Raimond w Tuluzie utrzymane były w tym samym duchu. Wiek męski to zawsze rodzina. U Humbelota²⁴ rodzina nie siedzi za stołem, lecz zebrała się w gabinecie ojca, bogatego kupca, w izbie piętrzą się paki z towarem i worki z dokumentami. Ojciec z piórem w rękę pochyla się nad rachunkami, pomaga mu syn, który za nim stoi, obok żona bawi się z córeczką; do izby wchodzi służący z koszem pełnym wiktuałów, pewnie przybył prosto z wiejskiego majątku. Pod koniec XVII wieku ten sam temat przedstawił na rycinie F. Guérard: ojciec, młodszy niż u Humbelota-Huarta, pokazuje za oknem port, nadbrzeże i statki, źródło swojej fortuny. Obok stołu, przy którym pracuje i gdzie leży jego sakiewka, żetony i liczydło, żona kołysze owinięte w pieluchy niemowlę i pilnuje drugiego dziecka w sukience. Podpis dobrze oddaje ducha i ton tej scenki:

Szczęśliwy ten, kto szanuje prawa niebios
I poświęca lwią część swego życia
Służbie Bogu, rodzinie i królowi²⁵.

Rodzina zatem liczy się nie mniej niż Bóg i król.

Nas, ludzi XX wieku, wcale to nie dziwi, ale w tamtych czasach taki stosunek do rodziny był czymś nowym. Humbelot przedstawi ten sam temat rysując młodą kobietę, która pokazuje dziecku pierś; nie zapominajmy, że w XVII wieku bardzo późno odstawiano dzieci od piersi. U Guérarda mamy przedstawienie otoczonej dziećmi pani domu z pękiem kluczy, która wydaje polecenia służącej²⁶.

Inne alegorie również zostają sprowadzone do scen rodzinnych. U holenderskiego malarza z początku XVII wieku węch – jeden z pięciu zmysłów – ilustruje banalna scena toalety nagiego dziecka, któremu matka wyciera pupę²⁷.

U Abrahama Bosse’a ziemię, jeden z czterech żywiołów, symbolizuje taki oto obrazek z życia rodzinnego: w ogrodzie stoi piastunka z dzieckiem ubranym w sukienkę, stojący przed domem rodzice wpatrują się w maleństwo z rozrzewnieniem i zabawiają się rzucając mu owoce – płody ziemi.

Nawet Błogosławieństwa są okazją do ewokacji życia rodzinnego: u Bonnard-Sandrarta²⁸ Piąte Błogosławieństwo przemieniło się w obraz matki wybaczącej dzieciom ich przewinienia. Przebaczenie zostaje usankcjonowane rozdaniem łakoci – to już błogosławieństwo rodzinne, jakby rodem z XIX wieku.

²⁴ Humbelot-Huart, Cabinet des Estampes, Ed. 15 in fo.

²⁵ Rycina Guérarda, Cabinet des Estampes, 0-22, t. VI, około 1701.

²⁶ N. Guérard, *Młoda pani w domu*, rycina, Cabinet des Estampes, Ee 3 in fo.

²⁷ David II Ryckaert (1586–1642). Muzeum w Genewie.

²⁸ Bonnard I Sandrart, *Piąte Błogosławieństwo*, Cabinet des Estampes, Ed. 113 in fo t. I.

Nowożytna scena rodzajowa pochodzi od ilustracji tradycyjnych alegorii średniowiecznych. Ale zbyt wielki dystans dzieli obecnie stary temat i jego nową formę. Nie pamiętamy o alegorii pór roku i zimy, gdy patrzymy na obraz Stelli przedstawiający wieczór w chłopskiej izbie: mężczyźni jedzą wieczerzę, kobiety przędą i wyplatają kosze przy kominku, dzieci się bawią lub się je myje. To już nie zima, tylko wieczornica. Już nie wiek męski, dojrzały, tylko rodzinne zgromadzenie. Zrodziła się oto oryginalna ikonografia, obca starym, zarzuconym tematom, które początkowo ilustrowała. Inspiracją dla artysty są uczucia rodzinne, a nie dawne alegorie. Można by sporządzić cały katalog tematów powtarzanych aż do przesytu: matka pochylona nad dzieckiem w kołysce²⁹ lub karmiąca piersią niemowlę³⁰, kobieta myjąca dziecko, matka iskająca wszy na główce dziecka – bardzo banalna operacja, poddawały się jej nie tylko dzieci, bo i Samuel Pepys³¹ – śpiące w kołysce niemowlę, któremu przygląda się stojąc na palcach braciszek lub siostrzyczka, dziecko w kuchni lub w spiżarni ze służącą albo pacholkiem³², dziecko na zakupach u kupca. Ten ostatni temat, często spotykany w malarstwie holenderskim³³, podejmowali chętnie francuscy graficy: w połowie wieku Abraham Bosse (u cukiernika), pod koniec stulecia Le Camus (u szynkarza, w winiarni). Płótno *Le Naina* przedstawia zmęczonego, śpiącego wieśniaka. Żona ucisza dzieci, pokazuje, że ojciec śpi i nie wolno go budzić: to już jakby Greuze, nie z racji stylu, oczywiście, ale sentymentalizmu. Ośrodkiem akcji jest dziecko. U Petera de Hoocha³⁴ rodzina zebrała się przy obiedzie. Ojciec siedzi za stołem i pije. Obok stoi na krześle dwuletni chłopczyk w pikowanym okrągłym czepku (wkładano takie dzieciom, które jeszcze nie umiały dobrze chodzić, żeby nie zrobiły sobie krzywdy padając). Kobieta (służąca?) jedną ręką podtrzymuje dziecko, drugą podaje kielich innej kobiecie (matka?), która moczy w nim sucharek. Da go papudze, żeby

²⁹ G. Dou, reprodukcja w: K. d. K., s. 90, 91, 92.

³⁰ Rysunek Fragonarda, Wystawa w Bernie, 1954. G. Dou, reprodukcja w: K. d. K. 94. Brouwer W. de Bode, s. 73. Berey, rycina, Cabinet des Estampes Ed. 108 in fo. Stella, *Zima*, rycina, Cabinet des Estampes Da 44 in fo, s. 41. Crispin de Pos, Cabinet des Estampes Ec 35 in fo, s. 113.

³¹ Dassonville, rycina, Cabinet des Estampes Ed 35 c pet. in fo, 5, 6, 26. G. Dou, reprodukcja w: K. d. K. 94. G. Terboch, *Kobieta iskająca główkę dziecka*, Berndt, 109. P. de Hooch, reprodukcja w: K. d. K. 60. – Siberechts, Berndt, 754.

³² G. Dou, reprodukcja w: K. d. K. 122, 123, 124 (*Dziecko w kuchni przygląda się obróbce warzyw*). P. de Hooch, *Służąca podaje dziewczynce konewkę*, reprodukcja w: K. d. K. 57. A. de Pope, *Dziecko przygląda się kucharce, która sprawia dziczyznę*, Berndt, 634. Velasquez, *Służący podnosi dziecko, żeby je postawić na stole z owocami*, reprodukcja w: K. d. K. 166. Strozzi, *Kucharka skubie gęś*, G. Fiacco, pl. IV. M. Le Nain, *Ogrodnik*, Fierens, 87.

³³ G. Dou, *Dziewczynka płaci handlarce*, reprodukcja w: K. d. K. 133. Van Mieris, *Dziecko kupuje sucharek i go zjada*, Berndt, 533. Le Camus.

³⁴ P. de Hooch, repr. w: Berndt, 399.

ucieszyć dziecko. Bo właśnie radość dziecka, które scala rodzinę, jest prawdziwym tematem obrazu, sensem przedstawionej anegdoty. Uczucia rodzinne, które rozbudziły się w XVI i XVII wieku, są nierozłączne z czułym stosunkiem do dzieciństwa. Zainteresowanie dzieciństwem, które analizowaliśmy na początku książki, jest tylko pewną formą, pewną specyficzną ekspresją bardziej podstawowego i ogólnego uczucia rodzinnego.

Analiza obrazów prowadzi nas do wniosku, że uczucia rodzinne były w średniowieczu nieznane, że zrodziły się w XV i XVI wieku, a znalazły sobie wyraz w sztuce w wieku XVII. Spróbujmy zestawić tę hipotezę z obserwacjami historyków społeczeństwa średniowiecznego.

Historycy prawa i społeczeństwa twierdzą, że związki krwi tworzyły nie jedną, lecz dwie odrębne, choć koncentryczne grupy: rodzinę lub *mesnie*, którą można porównać z naszą współczesną rodziną, oraz ród, wspólnotę wszystkich potomków jednego przodka. Rodzinę i ród dzieliło coś więcej niż tylko różnica, były do siebie w opozycji, rozwój rodziny powodował osłabienie rodu i na odwrót, przynajmniej u szlachty. Rodzina lub *mesnie*, choć nie obejmuje całego rodu, składa się z wielu elementów, czasem wielu par małżeńskich mieszkających pod jednym dachem: żyją oni z majątku, którego nie chcieli dzielić i który użytkują na zasadach *frereche* albo *fraternitas**. *Frereche* grupuje wokół rodziców te dzieci, które nie mają własnych dóbr, bratanków i nieżonatych kuzynów. Tendencja do niedzielenia rodziny, która zresztą obejmowała zwykle nie więcej niż dwa pokolenia, dała początek tradycjonalistycznym, dziewiętnastowiecznym teoriom o wielkiej rodzinie patriarchalnej. Nowoczesna rodzina miała rzekomo być skutkiem ewolucji, która u schyłku średniowiecza osłabiła ród i tendencje do niedzielenia rodziny.

W rzeczywistości historia związków między rodem a rodziną jest bardziej skomplikowana. Badał ją Georges Duby w okręgu Mâcon od IX do XIII wieku włącznie³⁵. W państwie Franków, pisze G. Duby, „rodzina w X wieku była według wszelkiego prawdopodobieństwa wspólnotą ograniczoną do najprostszej komórki rodzinnej, której spójność po śmierci rodziców przedłuża czasem przez chwilę *frereche*. Związki rodzinne są luźne, bo niepotrzebne: organy porządkowe starego państwa Franków były jeszcze na tyle silne, że człowiek wolny mógł sobie pozwolić na niezależne życie i wybrać, jeśli wolał, towarzystwo sąsiadów i przyjaciół raczej niż krewnych”.

Solidarność rodowa i wspólność posiadania nasilają się natomiast wtedy, gdy podupada państwo: „Po roku 1000 nowy podział władzy zmusza ludzi

* Pobratymstwo.

³⁵ G. Duby, *La Société aux XIe et XIIe siècles dans la région mâconnaise*, 1953.

do ściślejszego łączenia się w grupy”. Zacieśniają się wówczas związki krwi, co odpowiada potrzebie obrony, tak samo jak i inne formy stosunków i zależności między ludźmi: związki lenne, władza pana feudalnego, wspólnota wiejska. „Zbyt niezależni i nie będący w stanie stawić czoła zagrożeniom rycerze szukają schronienia w solidarności rodowej”.

Jednocześnie daje się zaobserwować w XI i XII wieku w rejonie Mâcon wzmocnienie wspólnoty posiadania. Wtedy właśnie zaczyna się wspólnota majątkowa małżonków pod zarządem męża; w X wieku nie istniała, mąż i żona zarządzali każde własnym dziedzicznym majątkiem, oddzielnie kupowali i sprzedawali, współmałżonek nie miał tu nic do powiedzenia.

Wspólność posiadania obejmowała najczęściej i dzieci, z góry pozbawione spadku: „Potomstwo pozbawione jakiegokolwiek osobistego mienia i niezależności ekonomicznej pozostaje w domu rodzicielskim pod władzą ojca”. Wspólnota majątkowa często trwa dalej po śmierci rodziców: „Trzeba sobie wyobrazić, czym był wówczas rycerski dom, gdzie w tej samej posiadłości, na tym samym podwórzu żyło dziesięciu czy dwudziestu panów, dwie lub trzy pary małżeńskie z dziećmi, niezamężne siostry i nieżonaci bracia oraz wuj kapelan, który zjawiał się od czasu do czasu i przygotowywał któregoś z siostrzeńców do stanu duchownego”. *Frereche* trwa nie dłużej niż dwa pokolenia, ale nawet po *divisio** majątku ród zachowuje zwierzchnie prawo nad podzieloną spuścizną; *laudatio parentum*** : krewni zmarłego mają prawo odzyskać w ustalonym czasie dziedzictwo sprzedane przez niego pod warunkiem zwrotu nabywcy sumy przez niego zapłaconej.

To dotyczy rodziny rycerskiej, można już powiedzieć szlacheckiej. G. Duby przypuszcza, że w rodzinie chłopskiej nie było takiego zacieśnienia związków krwi, ponieważ chłopci inaczej niż szlachta zapełnili pustkę, jaka się utworzyła po rozpadzie państwa Franków: opiekę władzy publicznej zastąpiło zwierzchnictwo seniora, a wspólnota wiejska zapewniała chłopu ramy organizacyjne i obronne inne niż rodzina. Ta wspólnota odgrywała dla chłopów rolę rodu u szlachty.

W wieku XIII sytuacja znów się odwróciła. Nowe formy gospodarki pieniężnej, rozszerzenie majątku ruchomego, większa częstotliwość transakcji przy jednoczesnym wzroście władzy książęcej (króla Kapetyngów lub głowy wielkiego księstwa) i większym bezpieczeństwie publicznym spowodowały osłabienie solidarności rodowej i rezygnację z zasady niezdzienienia majątku. Rodzina w wąskim znaczeniu tego słowa na powrót odzyskała niezależność. Szlachta nie wróciła jednak do modelu luźnej rodziny z X wieku. Ojciec zachował, a nawet rozszerzył władzę, jaką mu dała w XI i XII wieku konieczność utrzymania

* Podział.

** Prawo krewnych.

w całości niepodzielnego majątku. Wiemy skądinąd, że od końca średniowiecza stale maleje rola kobiety. W XIII wieku w okręgu Mâcon upowszechnia się też w rodzinach szlacheckich prawo starszeństwa, które zastępuje coraz rzadziej występującą wspólność posiadania i zapewnia zachowanie w całości ojcowizny. To zastąpienie systemu wspólnoty majątkowej i małżeńskiej prawem starszeństwa zdaje się świadczyć o wzroście władzy ojcowskiej i o tym, jak ważne miejsce w życiu codziennym zajmuje grupa – ojciec i dzieci.

Georges Duby pisze w konkluzji: „Rodzina jest schronieniem, do którego ucieka zagrożony człowiek, gdy słabnie władza państwowa. Ale gdy tylko instytucje polityczne dają mu gwarancje bezpieczeństwa, człowiek ucieka spod opieki rodziny i związki krwi rozluźniają się. Historia więzi rodowej to jakby ciąg następujących po sobie skurczów i rozkurczów, których rytm wyznaczają zmiany porządku politycznego”.

U innych historyków prawa opozycja między rodziną a rodem jest jeszcze ostrzejsza niż u G. Duby. Nie ma u niego progresywnego wyparcia rodu przez rodzinę – co istotnie wydaje się czystą spekulacją myślową – lecz raczej rozluźnienie bądź zacieśnienie związków krwi, raz obejmujące cały ród lub członków *frereche*, to znów ograniczone do rodziny w wąskim sensie. Wydaje się, że jedynie ród rozniecał w ludziach siłę uczuć i imaginacji. Dlatego zostawił tak wiele śladów w literaturze rycerskiej. Natomiast wspólnota rodzinna sprowadzała się do niejasnego życia, które uchodzi uwagi historyków. Ale ta niejasność ma swoje znaczenie. W świecie uczuć i wartości rodzina nie liczyła się tyle co ród. Można powiedzieć, że poczucie więzi rodowej było jedynym, znanym w średniowieczu uczuciem o charakterze rodzinnym. Jest ono zupełnie inne od tego, którym tchnie szesnasto- i siedemnastowieczna ikonografia. Obejmuje związki krwi bez względu na wartości wynikające z mieszkania pod wspólnym dachem i intymności. Ród nigdy nie mieszkał na jednej wspólnej przestrzeni, przy jednym podwórku. W niczym nie przypominał serbskiej Zadrugi. Historycy prawa przyznają, że nie ma śladów wielkich wspólnot majątkowych wśród chłopów, złączonych bądź nie więzami pokrewieństwa, we Francji przed XV wiekiem. Natomiast uczucia rodzinne związane są z domem, z rządzeniem domem, z życiem domowym. Średniowiecze było głuche na te uroki, miało bowiem specyficzną koncepcję rodziny – rodu.

Od wieku XIV zaczyna się formować rodzina nowego typu. Tę dobrze znaną ewolucję dobitnie streścił P. Petot³⁶: „W XIV wieku sytuacja kobiety w rodzinie ulega stopniowo pogorszeniu. Traci ona prawo występowania w miejsce nieobecnego bądź niepoczytalnego męża... Wreszcie w XVI wieku

³⁶ P. Petot, *La famille en France sous l'Ancien Régime w: Sociologie comparée de la famille contemporaine*, Kolokwium CNRS, 1955.

kobieta zameżna zostaje ubezwłasnowolniona, a wszystkie działania, jakie by podjęła bez zezwolenia męża lub sądu, są nieważne. Ta ewolucja doprowadza do wzrostu władzy męża, który w końcu zostaje jakby domowym monarchą... Królewskie prawodawstwo od XVI wieku stale wzmacnia władzę ojcowską, jeśli idzie o małżeństwa dzieci... W miarę jak słabły więzi rodowe, rosła władza męża w domu, żona i dzieci były mu coraz bardziej rygorystycznie podporządkowane... Ten trend, spotaniczne i nieświadome dzieło obyczaju, był niewątpliwie przejawem zmiany obyczajów i warunków społecznych..." Od tej pory przyznaje się rodzinie wartość, jaką niegdyś posiadał jedynie ród. Staje się ona komórką społeczną, podstawą państwa, oparciem dla władzy królewskiej. Zobaczymy dalej, jakie miejsce przydziela rodzinie wiara.

Kult rodu, rodowego honoru i solidarności był w średniowieczu uczuciem specyficznym świeckim, przez Kościół ignorowanym. Pogański naturalizm związków krwi musiał być dla niego podejrzany. We Francji Kościół zaakceptował dziedziczość tronu, ale jest godne uwagi, że w liturgii koronacji nie mówi się o tym ani słowa.

W średniowieczu zresztą sama zasada sankcjonowania życia świeckiego była nieznana, dopuszczano ją tylko w wyjątkowych wypadkach: święty król – ale król był konsekrowany; szlachetny rycerz – ale rycerz przechodził inicjację w ramach ceremonii, która stała się z czasem religijna. Sakrament małżeński mógłby nobilitować związek i nadać mu, tak samo jak rodzinie, wartość duchową. W rzeczywistości sakrament zaledwie uprawomocniał małżeństwo. Przez długi czas było ono tylko swego rodzaju umową. Ceremonia zaślubin, jeśli wierzyć jej przedstawieniom w sztuce, miała miejsce nie w kościele, lecz przed wejściem do kościoła. Jakikolwiek było oficjalne stanowisko teologów w tej sprawie, księża w kontaktach ze swoimi owieczkami dzielali zapewne opinię proboszcza Chaucera, według którego małżeństwo to mniejsze zło, ustępstwo przed słabością ciała³⁷. Nie odbiera ono stosunkom płciowym ich zasadniczej nieczystości. Nie ma tu potępienia rodziny i małżeństwa, jak u katarów na Południu, jest jednak nieufność wobec wszystkiego, co z ciałem związane. W życiu świeckim człowiek nie mógł oczekiwać uświęcenia: usankcjonowany przez małżeństwo związek płciowy przestawał być grzechem i to wszystko. Co więcej, na człowieka we wszystkich jego poczynaniach czyhał inny wielki grzech ludzi świeckich, mianowicie lichwa. Jedyńm sposobem na zapewnienie sobie zbawienia było porzucić świat i wybrać życie zakonne. W cieniu klasztoru można było naprawić błędy grzesznej przeszłości.

³⁷ Chaucer, *The Parson's Tale*. Por. Ph. Ariès „Populations”, 1954, s. 692.

Dopiero pod koniec XVI wieku „Filothea” świętego Franciszka Salezego, a w XVII stuleciu przykład panów z Port-Royal oraz wszystkich ludzi świeckich zaangażowanych w działalność religijną, teologiczną, duchową i mistyczną spowodują, że uznana zostanie możliwość uświęcenia w życiu świeckim, w wykonywaniu obowiązków państwowych, a już nie tylko w życiu zakonnym.

Żeby instytucja naturalna, tak związana z ciałem jak rodzina, mogła stać się przedmiotem kultu, trzeba było wpierw zrehabilitować stan świecki. Rozwój uczuć rodzinnych i religijna promocja człowieka świeckiego następowały równolegle. Nowożytne poczucie związków rodzinnych – w odróżnieniu od średniowiecznego poczucia przynależności rodowej – wyraziło się w codziennej praktyce religijnej. Najwcześniejszym i najdyskretniejszym przejawem tej pobożności był zwyczaj przedstawiania na obrazach i witrażach donatorów w otoczeniu rodziny, a później łączenie rodziny z kultem świętego patrona. W XVI wieku często ofiarowywano kościołom obrazy wotywnie z wizerunkiem świętych patronów małżeńskiej pary, przedstawionej wraz z dziećmi. Kult patronów stał się kultem rodzinnym.

Rozwój uczuć rodzinnych widoczny jest także na obrazach ceremonii zaślubin i chrztu, które w XVII wieku zaczęto przedstawiać w nowy sposób. U schyłku średniowiecza miniaturzyści przedstawiali ceremonię ślubu u wejścia do kościoła: na przykład ślub króla Cosiusa i królowej Sabenidy w żywocie św. Katarzyny – ksiądz wiązuje stułą ręce małżonków; ślub Filipa Macedońskiego w „Historii dobrego króla Aleksandra” – na tympanonie portyku kościoła, za księdzem, widzimy rzeźbioną scenkę, mąż bije żonę³⁸! W XVI i XVII wieku artysta nie przedstawia już samej tylko ceremonii (chyba że chodzi o królów i księżęta), lecz pokazuje raczej całe zgromadzenie rodzinne: krewni, przyjaciele i sąsiedzi otaczają młodą parę. Gerard David maluje ucztę weselną (*Wesele w Kanie*, Luwr), Stella³⁹ – weselny orszak towarzyszący młodej parze: ojciec panny młodej prowadzi ją do kościoła, gdzie czeka pan młody, za nimi podąża grupa dzieci. U Moliniera⁴⁰ ceremonia się skończyła, orszak weselny opuszcza kościół, po lewej widzimy pana młodego z drużbami, po prawej pannę młodą we wianku [ale jeszcze nie w bieli; kolorem miłości jest czerwień, jak na szatach kapłanów] z drużbami, przy dźwiękach muzyki na dudach, mała dziewczynka rzuca monety pod stopy nowo poślubionych. W zbiorach rycin ukazujących „zwyczajowe stroje” z końca XVI i początku XVII wieku często mamy obraz młodej pary z drużbami: strój ślubny nabiera specyficznego

³⁸ Guillaume Vrelaut, *Histoire du bon roi Alexandre*, Petit Palais ms. 546 fo 8. *Vie de sainte Catherine*, Bibliothèque Nationale, ms. frs. 6449, fo 17.

³⁹ Stella, Cabinet des Estampes, Da 44 in fo, s. 40.

⁴⁰ D. Molinier, muzeum w Genewie.

charakteru (choć nie jest jeszcze biały, jak w XIX wieku i dzisiaj), poszczególne dzielnice kraju różnią się detalami ślubnego stroju. Wreszcie pojawiają się w ikonografii folklorystyczne scenki rubaszne: małżonkowie układają się do snu, położnica wstaje z łóżka.

Zamiast ceremonii chrztu przedstawia się chętniej tradycyjne przyjęcie w domu, po uroczystości: mężczyźni wznoszą kielichy, chłopiec przygrywa na flecie, sąsiadki składają wizytę położnicy. Mamy też trudniejsze do zidentyfikowania obrazki lokalnych zwyczajów, jak na przykład scena Molenaera⁴¹: wśród rozbawionej gawiedzi kobieta niesie na rękach dziecko, a towarzyszące jej damy zakrywają sobie głowy spódnicami.

Upodobania do świąt towarzyskich i ludowych, nie pozbawionych pewnej rubaszości, tak jak nie był jej pozbawiony język ludzi nawet dobrze urodzonych, nie należy interpretować jako oznaki obojętności religijnej. Po prostu akcent pada tu raczej na familijny, a nie sakramentalny charakter uroczystości. W krajach północnych, gdzie temat rodziny cieszył się wielkim wzięciem, znaczące płótno Steena⁴² daje nam nową, rodzinną interpretację folkloru czy tradycyjnej pobożności. Mieliśmy już nieraz okazję zauważyć, jak wielkie znaczenie miały zbiorowe święta w obyczajach dawnych czasów i jak wielką rolę odgrywały w nich dzieci. W święcie uczestniczyła cała społeczność, szczęśliwa, że jest razem. Ale Steen nie namalował wcale święta młodzieżowego, kiedy dzieci zachowywały się trochę tak jak niewolnicy w saturnalia i odgrywały obok dorosłych rolę, jaką im tradycja wyznaczyła. Tutaj dorośli zorganizowali święto specjalnie dla dzieci, to dzień świętego Mikołaja. Rodzice pomagają dzieciom szukać prezentów, które ukryli wcześniej po kątach. Parę zabawek już znaleziono, bo dziewczynki trzymają lalki. Inne dzieci niosą wiaderka pełne zabawek, a na podłodze widzimy buty. Czy zabawki były schowane w butach, czy to już te same buty, które dzieci w XIX i XX wieku będą stawiać przed kominkiem w noc Bożego Narodzenia? Nie jest to więc wielkie święto całej społeczności, lecz uroczystość rodzinna, obchodzona w domowym zaciszu. To skupienie uwagi na rodzinie ma swoje przedłużenie w skupieniu rodziny na dzieciach. Święta rodzinne stają się świętami dzieci. Boże Narodzenie jest dziś największym, może jedynym świętem w roku, obchodzonym tak samo przez wierzących jak niewierzących. W społeczeństwach dawnych czasów nie miało tak wielkiego znaczenia, zbyt silna była konkurencja bliskiego w czasie Święta Trzech Króli. Ale nadzwyczajny sukces Święto Bożego Narodzenia we współczesnym społeczeństwie industrialnym, które wzdraga się coraz silniej przed wielkimi świętami zbiorowymi, zawdzięcza temu, że ma charakter

⁴¹ *Pokładziny*, Abraham Bosse. *Wstawanie*, Molenaer, muzeum w Lille. *Poranek panny młodej*, Brakenburgh, muzeum w Lille.

⁴² J. Steen, *Dzień św. Mikołaja*, reprod. w: Gerson nr 87.

rodzinny, że przejęło funkcję Dnia Świętego Mikołaja. Obraz Steena pokazuje nam, że w XVII wieku w Holandii dzień ten świętowano tak, jak dziś we Francji świętuje się Boże Narodzenie, przyjście na świat „Jezuska”. Mamy tu do czynienia z nowoczesnym już poczuciem dzieciństwa i rodziny, poczuciem dzieciństwa w rodzinie.

Religijną treść uczuć rodzinnych ilustruje dobitnie nowy temat – *Benedicite*. Od dawna „dworność” wymagała, by w braku księdza chłopiec pobłogosławił stół przed jedzeniem. W piętnastowiecznych rękopisach opublikowanych przez F. J. Furnivala w zbiorze zatytułowanym *Babees Book* zawarte są ścisłe reguły zachowania przy stole: „Stosowne zwyczaje przy stole”, „Jak zachowywać się przy jedzeniu”⁴³. „Zmów, dziecko, *Benedicite*... Jeśli jesteś w miejscu, gdzie nie ma prałata, zmów, dziecko, *Benedicite*, tak samo jak modlitwę dziękczynną. Jeśli prałat lub pan każe ci zmówić *Benedicite*, zrób to, dziecko, śmiało, bo to wielki honor”. Słowo „dziecko” odnosiło się wtedy tak samo do małych, jak do starszych chłopców. W szesnastowiecznych podręcznikach dobrego wychowania zaleca się, by *Benedicite* odmawiało już nie którekolwiek z dzieci, lecz najmłodsze. Taką rolę wyznacza najmłodszemu podręcznik Cordiera⁴⁴, powtarza się to w następnych poprawionych wydaniach, a w edycji z 1761 roku uściśla się, że obowiązek błogosławienia stołu spada na „osoby duchowne, o ile są obecne, a jeśli ich nie ma, to na najmłodszego w towarzystwie”. W „Nowej obyczajności” z 1671 roku⁴⁵ czytamy: „Kiedy stół zostanie uprzątnięty, jest oznaką doskonałej i prawdziwej grzeczności złożyć ukłon zgromadzonym i zmówić dziękczynienie”. A w „Regułach przyzwoitości i obyczajności chrześcijańskiej” J. B. de la Salle⁴⁶: „Jeśli jest przy stole dziecko, to jemu każą się wywiązać z tego zadania” (to znaczy pobłogosławić stół). Vives w „Dialogach”⁴⁷ opisuje uroczystą wieczerzę: „Pan domu wyznacza wszystkim miejsca przy stole. Modlitwę odmawia mały chłopczyk”. Modlitwę krótką i rymowaną:

Niech to, co tu stoi i jeszcze stanie,
Będzie błogosławione w imię Jezusa Chrystusa.

Więc już nie najmłodszy chłopak w towarzystwie, lecz najmniejsze dziecko w rodzinie ma zaszczyt odmówić modlitwę. Mamy prawo dopatrzeć się w tym oznaki wzrostu znaczenia dzieciństwa w XVI wieku, ważne jest to, że dziecko kojarzy się z główną rodzinną modlitwą, przez długi czas jedyną, jaką wspólnie

⁴³ *The Babees Book*, wyd. F. J. Furnival, 1868.

⁴⁴ M. Cordier, *Civilité puérile et honnête*.

⁴⁵ Courtin, *op. cit.*

⁴⁶ J.-B. de la Salle, pierwsze wydanie w 1713.

⁴⁷ Vives, *op. cit.*

odmawiano przy stole. Ikonografia mówi o tym więcej niż podręczniki obyczajności. Od końca XVI wieku sceny *Benedicite* pojawiają się coraz częściej. Na rycinie Meriana⁴⁸ widzimy konwencjonalny portret rodzinny: ojciec i matka siedzą na fotelach przy stole, w otoczeniu pięciorga dzieci; służąca wnosi półmisek, przez otwarte drzwi widać kuchnię. Artysta uchwycił chwilę, kiedy malutki brzdąc w sukience, oparłszy złożone do modlitwy ręce na kolanach matki, recytuje modlitwę. Reszta rodziny słucha ze złożonymi rękami i odkrytymi głowami.

Rycina Abrahama Bosse'a⁴⁹ przedstawia tę samą scenę w rodzinie protestanckiej. Antoine Le Nain⁵⁰ maluje siedzącą za stołem kobietę z trójką dzieci, jeden z chłopców odmawia na stojąco modlitwę dziękczynną. Lebrun potraktował temat na starą modłę, jak przedstawienie Świętej Rodziny. Na stole czeka jadło, opodal stoi ojciec z brodą i kosturem w ręku, matka siedzi przy stole i z czułością patrzy na dziecko, które ze złożonymi rękami odmawia modlitwę. Kompozycja ta w postaci ryciny upowszechniła się szeroko jako święty obrazek⁵¹.

Nic dziwnego, że spotykamy ten temat w siedemnastowiecznym malarstwie holenderskim. U Steena⁵² przy stole siedzi tylko ojciec – taki był stary chłopski zwyczaj, od dawna zarzucony przez francuskie mieszczaństwo. Jedzenie podaje matka oraz dwoje dzieci, najmłodszy, dwu- trzyletni chłopczyk, złożył ręczki i odmawia modlitwę. U Heemskercka⁵³ widzimy siedzących przy stole dwóch starców i kobietę ze złożonymi do modlitwy rękami, stojąca przy niej dziewczynka powtarza za matką modlitwę. Obok stoi młody mężczyzna.

Ten sam temat spotykamy w XVIII wieku w słynnym *Benedicite* Chardina. Nabiera on szczególnej wartości przez to, że tak często powtarza się na obrazach. Odmawianie modlitwy przez dziecko jest nie tylko przejawem dobrego wychowania. Chętnie przedstawiano tę scenę dlatego, że banalnej niegdyś modlitwie przypisano nowe znaczenie. Temat *Benedicite* ewokował i łączył w sobie trzy potężne uczucia: pobożność, miłość do dzieci (najmłodsze dziecko) i uczucia rodzinne (zebranie przy stole). *Benedicite* stała się wzorem modlitwy odmawianej w rodzinie. Przedtem nie było zwyczaju okazywania pobożności prywatnie, w domu. Podręczniki dobrych obyczajów mówią o porannej modlitwie (pensjonariusze kolegów odmawiali ją wspólnie rano po toalecie)⁵⁴.

⁴⁸ Merian, rycina, Cabinet des Estampes, Ec 10 in fo.

⁴⁹ A. Bosse, rycina, Cabinet des Estampes O-44 pet. in fo, s. 65.

⁵⁰ Le Nain, *Benedicite*.

⁵¹ Lebrun, *Benedicite*, Luwr, rycina I. Sarrabata.

⁵² J. Steen, Schmidt-Degener, s. 63.

⁵³ Heemskerck (1634–1704), Berndt, s. 358.

⁵⁴ Mathurin Cordier, *op. cit.*

Rzadziej wspominają o modlitwie wieczornej. Kładą raczej nacisk, co znaczące, na obowiązki dzieci wobec rodziców (najstarsze, piętnastowieczne traktaty o dobrym wychowaniu mówią o obowiązkach dzieci nie wobec rodziców, lecz wobec swoich nauczycieli). „Dzieci nie powinny kłaść się do łóżka, zanim nie pozdrowią ojca i matki”, napomina J. B. de la Salle. Podręcznik Courtina z 1671 roku⁵⁵ tak przedstawia zakończenie wieczoru dziecka: „Wyrecytuje lekcje, powie dobranoc rodzicom i nauczycielom, pójdzie za potrzebą, wreszcie rozbierze się i położy do łóżka spać”.

W tym samym czasie obok modlitw domowych zrodziła się publiczna modlitwa rodzinna. *Benedicite* jest jednym z przejawów tej nowej pobożności, a jej popularność w malarstwie świadczy, że była żywą formą wiary. Domowe praktyki religijne rozwinęły się szczególnie w środowiskach protestanckich; we Francji, zwłaszcza po odwołaniu edyktu nantejskiego, zastąpiły one kult publiczny, i gdy pod koniec XVIII wieku wróciła swoboda, pastory mieli kłopoty ze sprowadzeniem na powrót do świątyni wiernych, którzy przywykli odmawiać modlitwę w rodzinie. Słynna karykatura Hogartha świadczy o tym, że wieczorna wspólna modlitwa odmawiana przez ojca rodziny razem z krewnymi i służącymi stała się w XVIII wieku czymś banalnym i konwencjonalnym. Jest prawdopodobne, że rodziny katolickie ewoluowały w tym samym kierunku i że one również odczuwały potrzebę pobożności nie publicznej i nie całkiem indywidualnej, lecz rodzinnej.

Opisałem dopiero co *Benedicite* Lebruna, spopularyzowaną przez rycinę Sarrabata, i mówiłem, że jest ona zarazem obrazem Świętej Rodziny: modlitwą i wieczerzą Panny Marii, świętego Józefa i Dzieciątka Jezus. Scena Lebruna należy jednocześnie do dwu serii przedstawień, jednakowo w tym czasie popularnych i wyrażających to samo uczucie. Wypada się zgodzić z V. L. Tapié, że „samą zasadę rodziny łączono niewątpliwie z hołdem dla Rodziny Chrystusa”⁵⁶. Miała być ona wzorem dla każdej rodziny. Tradycyjna ikonografia rodzinna zmieniła się wskutek wzrostu władzy ojcowskiej: święty Józef przestał być drugorzędną, ukrytą w cieniu postacią, jak w XV i na początku XVI wieku. Jako ojciec rodziny figuruje on na pierwszym planie na przedstawiającym wieczerzę Świętej Rodziny obrazie Callota, również spopularyzowanym przez rycinę. „Maria Panna, święty Józef i Dzieciątko spożywają wieczerzę” – komentuje E. Mâle⁵⁷. „Stojąca na stole świeca rzuca jasne światło, które kontrastuje z głębokimi cieniami i przydaje scenie tajemnicy. Święty Józef daje pić

⁵⁵ Por. przypis 44.

⁵⁶ V. L. Tapié, *Le Baroque*, 1957, s. 256.

⁵⁷ E. Mâle, *L'Art religieux après le concile de Trente*, s. 312.

dziecku, wzruszająco grzecznemu, z serwetką zawiązaną wokół szyi”. A oto inny temat nazwany przez F. Mâle „Święta Rodzina w drodze”: dziecko stoi między Józefem a Marią. Teologowie ówczesni widzieli w tym obraz Świętej Trójcy, ale ludzi wzruszał obraz rodziny.

Autorytet świętego Józefa zwraca uwagę w wielu scenach: na płótnie neapolitańskiego malarza z XVII wieku⁵⁸ niesie on Dzieciątko na rękach i znajduje się przez to w centrum kompozycji. Ten temat często podejmowali Murillo i Guido Reni. Bywa, że święty Józef króluje w swoim warsztacie ciesielskim, a dziecko pomaga mu w pracy⁵⁹.

Święty Józef jest ojcem rodziny i przy stole, i w warsztacie, i również w innym, często ukazywanym przez artystów, dramatycznym momencie życia rodzinnego, kiedy śmierć go zabiera. Stając się patronem dobrej śmierci, nadal pozostaje ojcem rodziny: obraz jego zgonu przypomina tak często spotykaną ilustrację dobrej śmierci ojca, należy do tej samej ikonografii.

Podobne uczucia budzą inne święte rodziny. W XVI wieku artyści chętnie przedstawiali bawiące się wspólnie święte dzieci, rówieśników Chrystusa. Na niemieckiej tapiserii⁶⁰ widzimy czarujący obraz trzech Marii z dziećmi, które bawią się, kąpią, dokazują. Często spotykamy tę grupę, na przykład na pięknej drewnianej rzeźbie z początku XVII wieku w Notre-Dame la Grande w Poitiers.

Temat wiąże się oczywiście z uczuciowym stosunkiem do dziecka i rodziny. Mocno podkreśla ten związek barokowy wystrój kaplicy Najświętszej Panny w kościele franciszkańskim w Lucernie. Powstał w roku 1723. Sklepienie zdobią bardzo przyzwoicie ubrane aniołki: każdy niesie któryś z wymienianych w litaniach symboli Madonny (Gwiazdo morza itd.). Na bocznych ścianach święci rodzice i dzieci, naturalnej wielkości, trzymają się za ręce: święty Jan Ewangelista i Maria Salome, święty Jakub Starszy i Zebedeusz...

Tematy ze Starego Testamentu także służą do zilustrowania rodzinnej pobożności. Malarz wenecki Carlo Loth⁶¹ traktuje błosławieństwo Józefa przez Jakuba jak występującą często w cyklu „okresów życia” scenę przedstawiającą ojca, który otoczony gromadką dzieci czeka na śmierć. Na wzór Świętej Rodziny przedstawia się rodzinę Adama. Veronese⁶² ukazuje Adama i Ewę na podwórzu domu, pośród zwierząt i dzieci, Kaina i Abla. Jeden ssie pierś matki, drugi, mniejszy, bawi się na ziemi. Adam przygląda się im ukryty za drzewem,

⁵⁸ Paccaco di Rosa.

⁵⁹ Carracio, Pesne. Por. Mâle, *op. cit.*, s. 311. *Cieśla* Rembrandta.

⁶⁰ Göbbel I, pl. CLXV, datowana na 1573.

⁶¹ C. Loth (1632–1698), reprod. w: Fiacco, *Venetian Painture*, s. 49.

⁶² Veronese, *Rodzina Adama*, Wenecja, Pałac Dożów.

by nie mieć tych igraszek. Widzimy go od tyłu. Zapewne słusznie doszukiwano się pewnej teologicznej intencji w tej rodzinie „pierwszego Adama”, który zapowiada Chrystusa, drugiego Adama. Ale uczona intencja ukryta jest w scenie ewokującej uświęcone od tej pory radości życia rodzinnego.

Ten sam temat spotykamy na późniejszym plafonie klasztoru San Martino w Neapolu, pochodzącym zapewne z początku XVIII wieku. Adam skopuje motyką ziemię – tak jak Józef struga drewno, Ewa przędzie wełnę – tak jak Maria Panna czasem szyje; towarzyszy im dwójka dzieci.

Ikonografia pozwala nam zatem śledzić rozwój nowego uczucia: przywiązania do rodziny. Chciałbym zostać właściwie zrozumiany. Nowe jest nie uczucie, nie rodzina, mimo iż na początku nie odgrywała ona wcale takiej zasadniczej roli, jaką przypisywali jej Fustel de Coulanges i uczeni jego czasów. M. Jeanmaire ukazał znaczenie potężnych, nierodzinnych struktur, takich jak klasy wiekowe, w starożytnej Grecji. Etnolodzy odkryli rolę klas wiekowych w Afryce i wspólnot klanowych u amerykańskich autochtonów. Czy nie dajemy się aby nieświadomie zasugerować funkcją, jaką rodzina spełnia od stuleci w naszych społeczeństwach? Czy nie jesteśmy skłonni rozciągnąć tej jej funkcji w czasie, a nawet przyznać jej absolutny niemal, historyczny autorytet? Nie ulega wątpliwości, że wpływy zarazem semickie (nie tylko biblijne, moim zdaniem) i rzymskie stale podtrzymywały i wzmacniały rodzinę. Możliwe natomiast, że jej znaczenie osłabło w momencie najazdów germańskich. Mniejsza z tym: byłoby głupstwem zaprzeczać istnieniu życia rodzinnego w wiekach średnich. Ale rodzina żyła w ciszy, nie budziła uczuć tak silnych, by stały się natchnieniem dla poety lub artysty. Ta cisza ma swoje znaczenie: rodzinie nie przyznawano dostatecznej wartości. Tak samo niewątpliwie ma swoje znaczenie rozkwit rodzinnych obrazów, jaki nastąpił po długim okresie milczenia, od XV a zwłaszcza od XVI wieku: zrodziło się oto i rozwinęło uczucie przywiązania do rodziny. Od tej pory rodzina to już nie tylko dyskretne otoczenie człowieka, lecz budząca potężne emocje, uznana wartość.

To nowe, silne uczucie wyrosło wokół rodziny w wąskim sensie słowa, obejmującym rodziców i dzieci. Bardzo rzadko widzimy na obrazie więcej niż dwie generacje, a jeśli zdarzają się wnukowie lub żonate dzieci, to przedstawia się ich dyskretnie, jakby rzecz była bez znaczenia. Niczego, co by przypominało dawny ród, niczego, co by kładło nacisk na rozbudowaną, patriarchalną rodzinę, wymysł dziewiętnastowiecznych tradycjonalistów. Przedstawiona na obrazach rodzina – a jeśli nie ona sama, to jej wyobrażenie, jakie chciano opiewać – przypomina zupełnie naszą dzisiejszą rodzinę. Uczucia są te same.

Uczucia rodzinne wiążą się z miłością do dziecka. Są coraz bardziej obce poczuciu rodowego honoru, trosce o ojcowiznę, o starożytność i utrzymanie dobrego imienia: uczucie wybucha z nieporównywalnej z niczym wspólnoty rodziców i dzieci. Najpowszechniejszym tego wyrazem jest doszukiwanie się i podkreślanie fizycznego podobieństwa rodziców i dzieci. W XVII wieku uważano, że święty Józef jest podobny do swego adoptowanego syna, co świadczyło o sile rodzinnego związku. Erazm głosił już tę nowoczesną myśl, że spoiwem rodziny są dzieci i że głęboka, rodzinna więź wynika z ich fizycznego podobieństwa. Nic dziwnego, że jego traktat o małżeństwie był wznawiany jeszcze w XVIII wieku. Język przekładu francuskiego z 1714 roku, interesujący i cokolwiek anachroniczny, zdobi renesansową prozę⁶³: „Przy tej okazji niepodobna nie podziwiać zdumiewającej staranności Natury: w jednym ciele i na jednym obliczu portretuje ona dwie osoby, mężczyzna rozpoznaje w swoich dzieciach wizerunek żony, żona – wizerunek męża. Czasem znajdują w nich podobieństwo do dziadka, do babki albo do ich rodzeństwa”. Ale przede wszystkim liczą się od tej pory emocje, jakie budzi dziecko, żywy obraz swoich rodziców.

⁶³ Erazm, *op. cit.*

Od rodziny średniowiecznej do nowożytnej

Studia ikonograficzne omówione w poprzednim rozdziale wykazały, że rodzina zyskała nową, wysoką pozycję w życiu uczuciowym w XVI i XVII wieku. Jest godne uwagi, że w tym samym czasie zmienił się głęboko jej stosunek do dziecka. Zmiana relacji rodzice-dzieci odmieniła rodzinę.

Tekst włoski z końca XV wieku przynosi bardzo sugestywny obraz rodziny średniowiecznej, przynajmniej angielskiej. Historyk angielski Furnival¹ przytacza taki oto fragment wzięty z „Opisu wyspy Anglii” przez włoskiego podróżnika: „Brak serca Anglików widać wyraźnie po tym, jak traktują własne dzieci. Trzymają je w domu do siódmego czy dziewiątego roku życia [u naszych dawnych autorów 7 lat to wiek, kiedy chłopiec rozstaje się z kobietami i idzie do szkoły lub wkracza w świat dorosłych], po czym wysyłają tak samo chłopców jak dziewczynki na służbę do obcych na okres od siedmiu do dziewięciu lat [czyli do 14-18 roku życia]. Nazywa się wtedy te dzieci uczniami. Wykonują w ciągu tego czasu wszystkie domowe posługi. Niewiele z nich unika takiego losu, bo każdy, niezależnie od posiadanego majątku, posyła swoje dzieci do cudzych domów, sam zaś przyjmuje u siebie obce”. Dla Włocha to okrutny zwyczaj, co znaczy, że w jego kraju był on nieznanym albo zapomnianym. Autor sugeruje, że Anglicy przyjmują na służbę cudze dzieci, bo uważają, że lepiej ich one obsłużą niż własne potomstwo. Ale sami Anglicy tłumaczyli włoskiemu obserwatorowi, chyba szczerze, że robią tak po to, „by dzieci nabrały dobrych manier”.

¹ *A relation of the Island of England*, Camden Society 1897, s. XIV; cyt. w: *The Babees Books*, op. cit.

Wydaje się, że takie zwyczaje panowały na całym średniowiecznym Zachodzie. G. Duby opisuje na podstawie testamentu rodziny rycerza Guigneta, który mieszkał w okręgu Mâcon w XII wieku². Dwóch nieletnich synów Guigneta powierza najstarszemu ze swoich trzech braci. Liczne późniejsze kontrakty dotyczące wynajęcia dzieci do pracy u pana dowodzą, jak rozpowszechniony był zwyczaj terminowania w obcych rodzinach. Niekiedy w umowie jest wyszczególnione, że pan ma „uczyć” dziecko, „pokazać mu, jak się handluje” albo „posyłać je do szkoły”³. To jednak wypadki wyjątkowe. Na ogół pierwszym obowiązkiem dziecka powierzonego panu jest „dobrze i należycie służyć”. Czytając te kontrakty trudno orzec, przy naszych myślowych nawykach, czy dziecko zostało oddane do terminu (we współczesnym sensie słowa), czy na stancję, czy też na służbę. Nasze rozróżnienia są anachroniczne, bo dla człowieka średniowiecznego to tylko niuanse jednego podstawowego pojęcia służby. Służba domowa, jedyna, jaką przez długi czas w ogóle sobie wyobrażano, nie była niczym niegodnym i nie budziła żadnych oporów. W wieku XV istniała cała literatura w języku potocznym, francuskim lub angielskim, formułująca w postaci mnemotechnicznej rymowanki przykazania dla dobrego sługi. Jeden z tych poematów⁴ nosi francuski tytuł „Zalecenia dla służących”. Po angielsku brzmiało to *wayting servant*; słowo zachowało się we współczesnej angielszczyźnie jako *waiter*, kelner. Służący ma oczywiście usługiwać przy stole, słać łóżka, towarzyszyć panu itp., ale pełni też funkcje sekretarza, jakbyśmy to dziś określili, i współpracownika. Służba nie jest uważana za jego stan definitywny, lecz traktuje się ją jako staż, okres terminowania:

Jeśli chcesz być dobrym sługą,
Powinieneś lękać się i kochać swego pana,
Jeść masz nie siadając do stołu...

(Dalej idą reguły stosownej prezencji.)

Bądź zawsze dobrym towarzyszem
Czy to świeckim, czy klerykiem.

(Kleryk mógł służyć w domu duchownego.)

Żeby mu dobrze służyć
I zaskarbić sobie jego miłość

² G. Duby, *op. cit.*, s. 425.

³ Ch. de Robillard de Beaurepaire, *Instruction publique en Normandie*, 1872, 3 tomy. Ch. Cleval, *Les Ecoles de Chartres au Moyen Age*, 1895.

⁴ *The Babees Books*.

Musisz we wszystkim uznać
 Wolę twego pana.
 Jeżeli służysz panu, co ma żonę,
 Damę lub pannę,
 Wszędzie masz strzec jej honoru...
 A jeśli służysz klerykowi lub księdzu,
 Nie czyń z siebie pana...
 Jeśli jesteś sekretarzem,
 Milcz o pańskich tajemnicach...
 Jeśli służysz sędziemu albo adwokatowi,
 Nie donoś o żadnej nowej sprawie...
 Jeżeli zrządzeniem losu przyjdzie ci służyć
 Diukowi, księciu czy hrabiemu,
 Markizowi, baronowi czy wicehrabiemu,
 Czy innemu panu na włościach,
 Nie wymyślaj danin i podatków,
 Nie odbieraj mienia ludowi...
 Jeśli służysz szlachcicowi na wojnie,
 Nie uciekaj z pola...
 Komukolwiek, gdziekolwiek byś służył,
 Rób wszystko, by zasłużyć
 Na łaskę i miłość twego pana,
 A b y ś i t y m ó g ł b y ć p a n e m
 K i e d y p r z y j d z i e n a t o c z a s .
 Pilnie ucz się rzemiosła,
 Które masz wykonywać w życiu,
 Przykładaj się do tego całym sercem.
 T o c z y n i ą c b ę d z i e s z z d o l n y
 Ze sługi stać się panem
 Nauczysz się dobrej służby
 I z honorem z niej odejdiesz
 A na koniec zyskasz sobie
 Wybawienie twojej duszy.

Służba domowa łączy się więc z terminowaniem, ogólnie przyjętą formą edukacji. Dziecko uczy się w praktyce, a praktyka nie ogranicza się do nauki zawodu, tym bardziej że nie było wówczas (i jeszcze przez długi czas) granicy między życiem zawodowym a prywatnym. Dzieląc z panem życie zawodowe (anachroniczne to określenie), dzieliło się z nim jednocześnie życie prywatne. Pan przekazywał dziecku na służbie domowej – nie własnemu, lecz cudzemu – cały bagaż wiedzy, całe swoje doświadczenie praktyczne, a wreszcie wartości i cnoty, jakie sam posiadał.

Kształcenie odbywało się drogą nauki zawodu, które to pojęcie miało wtenczas o wiele szerszy zakres. Dzieci nie trzymano w domu, tylko wysyłano je – z umową bądź bez umowy – do innej rodziny, gdzie miały mieszkać i żyć samodzielnie, nauczyć się rycerskich manier albo zawodu lub też chodzić do szkoły i opanować łacinę. Oddawanie dzieci na naukę zawodu było zwyczajem szeroko przyjętym we wszystkich warstwach społecznych. Mówiliśmy już, że w samym pojęciu służby domowej zawarta jest pewna niejasność, czy chodzi o zwykłego sługę, czy o wyżej stojącego współpracownika. Podobna niejasność dotyczy dziecka – albo młodzika – oraz służącego. Angielskie zbiory wierszy dydaktycznych, które uczą służących dobrych manier, noszą tytuł *Babees Books*. Słowo *valet* oznaczało małego chłopca i Ludwik XIII w dzieciństwie mówił jeszcze w przypływie uczucia, że chciałby być „pacholątkiem taty”. Słowo *garçon* (chłopiec) w XVI i XVII wieku desygnowało zarówno młodzika, jak i młodego służącego; tym słowem przywołujemy dziś kelnera w kawiarni. Nawet gdy w XVI i XVII wieku nastąpiło w ramach służby domowej wyraźniejsze różnicowanie na posługi niższe i bardziej szlachetne, do stołu usługiwali synowie rodzin, a nie najmowana czeladź. Żeby uchodzić za człowieka dobrze wychowanego, nie wystarczy umieć się zachowywać przy stole, jak to jest dzisiaj: trzeba jeszcze umieć usługiwać do stołu. Aż do XVIII wieku sprawność ta zajmuje ważne miejsce w podręcznikach grzeczności i traktatach o dobrych manierach; J.-B. de la Salle, autor jednej z najpopularniejszych w XVIII wieku książek o obyczajności chrześcijańskiej, poświęca temu tematowi cały rozdział. To relikwiny czasów, kiedy w domach usługiwali jednak dzieci, które nazwiemy uczniami, oraz najemnicy, też zapewne bardzo młodzi. Różnica między dwiema kategoriami służby zaznaczała się stopniowo. Służący był dzieckiem, dużym dzieckiem, albo umieszczonym w rodzinie na określony czas, żeby dzielić z nią życie i przygotować się w ten sposób do roli dorosłego, albo – z powodu niskiego urodzenia – bez żadnej nadziei, że stanie się „ze sługi panem”.

Przy tym bezpośrednim przekazywaniu nauk z pokolenia na pokolenie nie było miejsca na szkołę. Służyła ona tylko klerykom znającym łacinę i była jakimś szczególnym, wyjątkowym sposobem kształcenia zarezerwowanym dla bardzo specyficznej kategorii. Byłoby błędem opisywać edukację w średniowieczu przez pryzmat szkoły tylko dlatego, że później nauka szkolna miała objąć całe społeczeństwo. W ten sposób z wyjątku uczynilibyśmy regułą. A regułą było terminowanie. Nawet klerycy, których posyłano do szkół, mieszkali często na stacji, jak uczniowie zawodu: u kleryka, księdza, czasem prałata, któremu służyli. Służba była dla kleryka równie kształcąca jak szkoła. Zastąpiły tę służbę bursy dla najuboższych scholarów: z tych fundacji wywodzi się kolegium dawnych czasów.

Zdarzało się zapewne, że czysto empiryczna nauka zawodu przyjmowała bardziej pedagogiczną formę. Ciekawy przykład nauczania technicznego, wywodzącego się z tradycyjnej nauki zawodu, podaje „Podręcznik Łowczego”. Opisane są tam prawdziwe szkoły łowiectwa na dworze Gastona Phoebusa, gdzie nauczano „sposobów i warunków, jakie powinien spełniać ten, kto chce zostać dobrym łowczym”⁵. Piętnastowieczny manuskrypt ilustrują piękne miniatury. Jedna przedstawia prawdziwą klasę: nauczyciel, sądząc po stroju szlachcic, unosi prawą rękę z wyciągniętym palcem, jakby podkreślał gestem swoje słowa. W lewej ręce trzyma kij, znak nauczycielskiej władzy, narzędzie dyscypliny. Trzej uczniowie, mali jeszcze chłopcy, dukają z wielkich zwojów, które trzymają w rękach i muszą wykuć na pamięć. W głębi przyglądają im się starzy myśliwi. Analogiczna scena przedstawia lekcję gry na rogu: „Jak naganiać zwierzynę i grać na rogu”. Takich rzeczy uczono się w praktyce, podobnie jak jazdy konnej, szermierki czy rycerskich manier. Być może, pewne techniki, na przykład nauka pisania, wzięły się z już zorganizowanego nauczania praktycznego.

Ale były to przypadki wyjątkowe. Generalnie przekazywanie umiejętności z pokolenia na pokolenie odbywało się poprzez uczestnictwo dzieci w życiu dorosłych. I to wyjaśnia nam owo wymieszanie dzieci i dorosłych, na które nieraz wskazywaliśmy i które istniało nawet w klasach kolegów, gdzie można by się spodziewać bardziej homogenicznego podziału wieku. Ale nie było przecież wówczas segregacji dzieci, do której tak jesteśmy przyzwyczajeni! W scenach z życia codziennego widzimy stale dzieci i dorosłych przy pracy, jak na przykład tego małego ucznia, który przygotowuje farby dla malarza⁶. Seria ilustrujących rozmaite zawody rycin Stradana pokazuje nam dzieci w warsztatach, towarzyszące starszym czeladnikom. Tak samo było w wojsku. Znamy nawet czternastoletnich żołnierzy! Mały paź, który niesie rękawicę księcia de Lesdiguières⁷, giermkowie, niosący hełm Adolfa de Wignacourt na obrazie Caravaggia z Luwru albo generał del Vastone na wielkim płótnie Tycjana z Prado, też nie są starzy: nie sięgają głową ramienia swoich panów. Słowem, wszędzie tam, gdzie pracowano, jak i tam gdzie się bawiono, nawet w podejrzanych spelunkach, dzieci były wymieszane z dorosłymi. W codziennym kontakcie z nimi uczyły się życia. Grupy społeczne odpowiadały podziałom pionowym i łączyły różne klasy wiekowe. Przykładem niech będą grający na domowym koncercie: dzieci, dorośli i starcy, których widzimy i na portretach rodzinnych, i na alegoriach okresów życia.

⁵ *Szkola łowczych*, Bibliothèque Nationale.

⁶ Conrad Manuel, muzeum w Bernie.

⁷ Muzeum w Grenoble.

W tych warunkach dziecko bardzo wcześnie wychodziło z domu, nawet jeśli miało powrócić do niego później jako dorosły, co wcale nie było regułą. Rodzina nie mogła więc podsycać głębokiego egzystencjalnego związku uczuciowego dzieci i rodziców. Nie znaczy to, by rodzice nie kochali dzieci, ale nie zajmowali się nimi ze względu na nie same i swoje do nich przywiązanie, lecz raczej z uwagi na udział tych dzieci we wspólnym dziele, w rodzinnej budowlu. Rodzina była pewną rzeczywistością moralną i społeczną raczej niż uczuciową. A w przypadku rodzin bardzo ubogich oznaczała po prostu materialne zainstalowanie się małżeńskiej pary w łonie szerszego środowiska: wsi, zagrody, „podwórca” czy „domu” państwa lub pana feudalnego, gdzie ci biedacy przebywali dłużej i częściej niż u siebie, o ile w ogóle mieli własny dach nad głową, bo iluż było żebraków, bezdomnych włóczęgów! Albo też rodzina była utożsamiana z dziedzicznym majątkiem, z honorem imienia. Dla biednych rodzina w sensie uczuciowym niemal nie istniała, a u tych, co mieli i dobra, i ambicje, uczucia rodzinne przypominały te, jakie budziła niegdyś rodowa więź.

Od wieku XV rodzina i uczucia z nią związane zaczynają się zmieniać: ta głęboka i powolna rewolucja uszła uwagi współczesnych i historyków. Trudno ją uchwycić, ale zasadnicze dla niej wydarzenie jest jednak dobrze widoczne, mianowicie wzrost popularności szkoły. Widzieliśmy, że w średniowieczu kształcenie dzieci polegało na praktycznej nauce od dorosłych i że po skończeniu siedmiu lat dzieci mieszkaly w innych rodzinach niż ich własna. Teraz kształceniem dzieci zajmuje się w coraz większym stopniu szkoła. Nie jest już zarezerwowana dla kleryków, staje się normalnym narzędziem inicjacji społecznej, przejścia ze stanu dzieciństwa do stanu dojrzałości. Widzieliśmy, jak to się stało. Od strony wychowawców szkoła odpowiadała nowej potrzebie rygoru moralnego: należało izolować młodzież od brudnego świata dorosłych, by zachowała swą pierwotną niewinność, należało ją wychować tak, by umiała się oprzeć pokusom dorosłego świata. Od strony rodziców odpowiadała potrzebie czuwania nad dziećmi, bycia bliżej nich, nie zdawania ich nawet czasowo na łaskę obcej rodziny. Zastąpienie nauki zawodu szkołą jest wyrazem zbliżenia rodziców i dzieci, rozwoju uczuć rodzinnych i uczuciowego stosunku do potomstwa, co niegdyś wcale nie szło w parze. Rodzina koncentruje się na dziecku. Nie mieszka ono wprawdzie we własnej rodzinie, bo zostaje wysłane do odległej szkoły, choć w XVII wieku toczą się już dyskusje, czy posłać je do kolegium, czy też bardziej skuteczna jest nauka w domu z guwernerem. Oddalenie dziecka na czas szkoły nie ma jednak tego samego charakteru ani nie trwa tak długo, jak oddanie go na naukę zawodu. Uczeń na ogół mieszka nie w internacie przy kolegium, lecz na stacji lub u nauczyciela zwanego regentem. W dni targowe przynoszono dziecku z domu wiktuały i pieniądze. Zacieśnia się więź między

uczniem i rodziną, z dialogów Cordiera dowiadujemy się, że nauczyciele muszą czasem interweniować, żeby uczniowie nie za często odwiedzali rodzinne domy, ulegając namowom matek. Uczniom bardziej majątnym towarzyszy w szkole preceptor, starszy uczeń albo sługa, często brat mleczny. Pedagogiczne książki z XVII wieku kładą nacisk na obowiązki rodziców, jeśli idzie o wybór kolegium i preceptora, pilnowanie i powtarzanie lekcji, gdy dziecko wraca na noc do domu. Zmienia się zupełnie klimat uczuciowy, jest już podobny do naszego, jak gdyby nowoczesna rodzina zrodziła się w tym samym czasie co szkoła, a przynajmniej powszechny zwyczaj kształcenia dzieci w szkole.

Rodzice nie chcą już zresztą dłużej znosić rozstania z dzieckiem, spowodowanego niewielką liczbą kolegiów. Z pomocą miejskich magistratów dokonują ogromnego wysiłku na rzecz zwiększenia ilości szkół i zbliżenia ich do rodzin. Na początku XVII wieku powstaje, jak pokazał P. de Dainville⁸, gęsta sieć zakładów szkolnych rozmaitego stopnia. Wokół kolegium z pełnym programem nauczania tworzy się koncentryczny system kolegiów humanistycznych (bez filozofii) i liczniejszych regencji (kilka klas gramatyki). Regencje zasilają wyższe klasy kolegiów humanistycznych oraz kolegium właściwe, z pełnym programem. Współczesnych niepokoiła ta proliferacja szkół, odpowiadająca potrzebom teoretycznego kształcenia, które zastąpiło praktyczną naukę zawodu, a zarazem potrzebom bycia blisko dzieci, trzymania ich jak najdłużej przy sobie. Świadczy to o głębokiej przemianie rodziny: skupia się ona na dziecku, stosunki między rodzicami i dziećmi są bardziej uczuciowe. Toteż nic dziwnego, że w tym samym czasie pojawiła się i rozwinęła, jak to widzieliśmy, ikonografia rodzinna, obrazy par małżeńskich z dziećmi.

Nauczanie, które tak wielki miało wpływ na kształt uczuć rodzinnych, nie od razu było powszechne. Nie objęło dużej części populacji dziecięcej, która nadal kształciła się tradycyjnie, ucząc się zawodu w praktyce. Dotyczy to wszystkich dziewczynek. Z wyjątkiem niewielkiej garstki tych, które posyłano do „szkółek” lub do klasztorów, znakomita większość wychowywała się w domu, własnym albo cudzym, u krewnej lub u sąsiadki. Dopiero w wieku XVIII i na początku XIX dziewczynki zostały objęte powszechnym nauczaniem. Wzorem szkół dla dziewcząt były próby podejmowane w tym kierunku przez panią de Maintenon i Fénelona. Przez bardzo długi czas dziewczęta formowała w większym stopniu praktyka i zwyczaj niż szkoła, często w cudzych domach.

Jeśli idzie o chłopców, to nauczanie objęło wprawdzie środkową część hierarchii stanów; wielka szlachta i rzemieślnicy pozostali wierni tradycyjnej nauce praktycznej, dzieci z tych warstw społecznych były paziami u wielkich panów albo uczniami u rzemieślników. W świecie rzemieślniczym i robotniczym praktyczna nauka zawodu przetrwała do dziś. Swoistą formą praktycznego kształce-

⁸ P. de Dainville, *Effectif des colléges, Populations*, 1955, s. 455-483.

nia były podróże młodych szlachciców do Niemiec i do Włoch: na cudzoziemskich dworach i w obcych domach uczyli się języka, dobrych manier i rycerskich sportów. W XVII wieku podróże zastąpiła Akademia, czyli raz jeszcze wyspecjalizowane szkolenie teoretyczne wyparło naukę praktyczną. To, że utrzymała się ona jeszcze na dwóch krańcach społecznej drabiny, nie powstrzymało jej schyłku: górę wzięła szkoła z coraz większą liczbą uczniów, wzrostem ilości zakładów szkolnych i ze swym autorytetem moralnym. Wtedy właśnie powstała nasza nowoczesna cywilizacja oparta na szkole; umacniać się będzie ona stale w miarę wydłużania i rozszerzania nauczania.

Problemy moralne rodziny ukazują się wtedy w nowym świetle. Widać to wyraźnie na przykładzie starego zwyczaju, który pozwalał faworyzować jedno dziecko, na ogół najstarszego syna, ze szkodą dla braci. Wydaje się⁹, że ten zwyczaj upowszechnił się w wieku XIII, żeby zapobiec rozdrobnieniu ojcowizny, której całości nie zapewniała już zasada wspólności posiadania ani zanikająca solidarność rodowa, zagrażała jej natomiast znacznie większa mobilność majątku. Uprzywilejowanie dziecka z racji pierworództwa bądź z wyboru rodziców jest podstawą społeczności rodzinnej od końca średniowiecza do XVII wieku włącznie. W drugiej połowie XVII stulecia wychowawcy moraliści kwestionują zasadność tej praktyki, ponieważ nie jest ona sprawiedliwa, ponieważ kłóci się z nowym poczuciem równości praw do rodzicielskich uczuć, a także ponieważ towarzyszy jej świecki użytek z kościelnych prebend, a nasi moraliści są również reformatorami religii. Rozdział z traktatu Vareta „O wychowaniu dzieci” z 1666 roku jest poświęcony „równości, jaką należy zachować między dziećmi”¹⁰. „Inny jeszcze nieporządek wkradł się między wiernych, który nie mniej obraża równość, jaką ojcowie i matki winni swoim dzieciom, ten mianowicie, że troszczą się o urządzenie w życiu wyłącznie tych, co z racji starszeństwa bądź osobistych zalet bardziej im się podobają”. („Podobają się” im dlatego, że mogą lepiej zapewnić rodzinie przyszłość. Jest to koncepcja rodziny jako „domu”, społeczności nie związanej uczuciem.) „Rodzice boją się, że dzieląc majątek równo między wszystkie dzieci pozbawią rodzinę blasku i glorii. Najstarszy syn nie będzie mógł objąć ani utrzymać funkcji, które próbuje mu się zapewnić, jeśli jego bracia i siostry będą mieć takie same co on przywileje. Trzeba więc zrobić tak, by nie mogli mu tych przywilejów odebrać. Trzeba je wbrew ich woli zamknąć w klasztorze i poświęcić na rzecz tego, któremu przeznaczono życie światowe i próżne”. Warto przy okazji zauważyć, że o ile nieszczerze powołania religijne i uprzywilejowanie najstarszego syna budzą oburzenie, to w kwestii zawierania małżeństwa nikt nie podważa rodzicielskiej władzy.

⁹ G. Duby, *op. cit.*

¹⁰ Varet, *op. cit.*

Cytowany wyżej tekst wyraża kategorię opinię. W „Regułach wychowania dzieci”¹¹ Coustel wypowiada się na ten temat ostrożniej i z pewnym zażłościem potępia starą i powszechną praktykę. Przyznaje, że rodzice mogą mieć swoje preferencje: „Nie ma nic złego w tym, że rodzice bardziej kochają te dzieci, które mają więcej cnót i zalet niż inne. Ale powiadam, że byłoby niebezpiecznie okazywać zbyt tę preferencję i wyróżnienie na zewnątrz”.

Opat Goussault w „Portrecie człowieka obyczajnego” z 1692 roku¹² wyraża się ostrzej: „Oddawać lwią część majątku najstarszemu synowi, żeby zapewnić rodzinie blask i świetność imienia [czujemy tu doskonale różnicę między rodziną-domem a nowoczesną rodziną związaną uczuciowo] jest nie tylko próżnością, lecz także niesprawiedliwością. Czym młodsze dzieci zasłużyły sobie na takie traktowanie?... Są tacy, co chcą urządzić niektóre z dzieci lepiej, niż ich na to stać, poświęcają pozostałe dzieci i zamykają je w klasztorach, nie pytając o zdanie ani nie sprawdzając, czy czują powołanie... Ojcowie nie kochają ich jednak i wprowadzają różnicę tam, gdzie natura nie chciała jej wprowadzić”. Goussault ustępuje jednak przed powszechną opinią i przyznaje, że rodzice „mogą istotnie kochać bardziej niektóre dzieci”, ale „miłość ta jest żarem, który powinni ukryć pod popiołem”.

Rodzi się oto poczucie równości, które doprowadzi do nowego kodeksu cywilnego, a pod koniec XVIII wieku przyjmie się, jak wiemy, w obyczajach. Próby przywrócenia uprzywilejowania najstarszego syna podejmowane na początku XIX wieku spotkały się ze stanowczym oporem opinii: bardzo niewielu ojców rodzin, nawet spośród szlachty, skorzystało z gwarantowanego ustawą prawa uprzywilejowania wybranego dziecka. Fourcassié opublikował list Villèle’a, w którym żali się on na niepowodzenie swojej polityki w tej kwestii i przepowiada ostateczny upadek rodziny¹³. Respektowanie równości między dziećmi świadczy o tym, że tradycyjna rodzina-dom przekształciła się w nowoczesną rodzinę związaną uczuciowo. Uczuciom łączącym dzieci i rodziców, niewątpliwie starym jak świat, nadaje się nową wartość: na nich opiera się cała rodzinna rzeczywistość. Teoretycy z początku XIX wieku, do których zaliczał się Villèle, uważali, że ta sentymentalna podstawa jest zbyt krucha, woleli koncepcję domu rodzinnego, prawdziwej racji społecznej, niezależnej od uczuć; rozumieli oni także, że ów podejrzany nowy duch rodzinny jest pochodną uczuciowego stosunku do dziecka. Dlatego też próbowali przywrócić prawo starszeństwa na przekór całej tradycji religijnych moralistów dawnej epoki.

Zapamiętajmy, że poczucie równości między dziećmi mogło się rozwinąć w nowym klimacie uczuciowym i moralnym dzięki zbliżeniu rodziców i dzieci.

¹¹ Coustel, *op. cit.*

¹² Goussault, *Portrait d'un honnête homme*, 1692.

¹³ J. Fourcassié, *Villèle*, 1954.

Powyższe obserwacje należałoby zestawić z pewnym nowym zjawiskiem, którego moralną wymowę ukazał proces sądowy, jaki miał miejsce w 1677 roku¹⁴. Tolerowano już wtedy małżeństwa regentów, ale nadal nie pozwalano żonatym regentom sprawować funkcji na uniwersytetach. W 1677 roku pewien żonaty profesor został wybrany dziekanem Trybunału Paryskiego. Jego konkurent, pisarz sądowy du Boulay, założył sprzeciw i sprawa znalazła się na wokandzie Rady Prywatnej. Adwokat du Boulaya wyłuszczył w memorandum racje przemawiające za utrzymaniem celibatu profesorów. Regenci mają w zwyczaju przyjmować uczniów na stancję i cnota tych chłopców wystawiona jest na niebezpieczeństwo: „Zbyt często dochodzi tu do rzeczy nieprzyzwoitych, żonaci regenci bowiem narażają młodych ludzi na przestawanie ze swoimi żonami i służącymi. Uczniowie nie mogą tego uniknąć, tym bardziej ci, którzy mieszkają u regenta na stancji. Panowie komisarze zechcą łaskawie rozważyć, jak gorszący jest dla ucznia widok z jednej strony damskich łaszków, z drugiej – książek i kałamarzy, często razem wymieszanych, oraz przymus oglądania kobiet i dziewcząt, kiedy czeszą się i ubierają, dzieci w kołysce lub w powijakach, i w ogóle wszystkiego, co się ze stanem małżeńskim wiąże”.

Na ten ostatni argument, szczególnie dla nas interesujący, żonaty regent odpowiada, co następuje: „Rzeczony du Boulay mówi, jakby nigdy nie opuścił wioski, w której się był urodził... Wiadomo, że tam gdzie są kobiety, mają one swoje pokoje i ubierają się na osobności [osobności świeżej daty i tylko w wielkich miastach]”. Jeśli idzie o dzieci w kołysce, to nie spotyka się ich w paryskich mieszkaniach, gdyż wszystkie oddaje się na mamki: „Wiadomo, że dzieci wysyła się na wieś na mamki, tak iż u ludzi żonatych nie więcej się widzi kołyski i pieluch niż w kancelarii rzeczonoego du Boulaya”.

Tekst ten wskazuje, że zwyczaj wysyłania dzieci na wieś na mamki przyjął się w tych środowiskach miejskich, do których należeli regenci, lecz stało się tak od niedawna, skoro wnoszący skargę mógł udawać, że go nie zna. Upowszechnił się ten zwyczaj w wieku XVII, mimo krytyk ze strony wychowawców moralistów, którzy na długo przed Janem Jakubem zalecali matkom, żeby same karmiły swoje dzieci. Ich opinia, jakże często skuteczna, opierała się na tradycji sięgającej Kwintyliana. Nie wygrała jednak z obyczajem, który opierał się na doświadczeniu i zapewne był w owych czasach najlepszym wyjściem. Wyobraźmy bowiem sobie, jakie kłopoty nastęrczało karmienie niemowlęcia, jeśli matce zabrakło pokarmu. Ratować się krowim mlekiem? Taki był los ubogich. Humanista Thomas Platter, żeby opisać całą nędzę swego dzieciństwa na początku XVI wieku, nie znajduje nic bardziej dramatycznego, jak wyznać, że

¹⁴ H. Ferté, *Les Grades universitaires dans l'ancienne faculté des Arts*, 1868.

wykarmiono go krowim mlekiem. Warunki higieniczne uzyskiwania mleka pozwalają zrozumieć wstępną do tego pokarmu. Zresztą bardzo trudno było go podać dziecku: dziwaczne naczynia eksponowane w witrynie muzeum farmakologii w Paryżu i służące niegdyś za butelki dla niemowląt wymagały ogromnej zręczności i cierpliwości. Bardzo dobrze rozumiemy, że uciekano się do mamek. Jakich? Można się domyślać, że wybierano je w pierwszej kolejności spośród służby domowej – brat mleczny zostawał w domu i chował się razem z innymi dziećmi. Wydaje się, że w bogatych rodzinach w XVI i na początku XVII wieku dla niemowląt było miejsce w domu. Dlaczego w rodzinach drobnej burżuazji, u regentów i niższych urzędników, przyjął się zwyczaj umieszczania ich na wsi? Czy tego, stosunkowo nowego zwyczaju nie należy interpretować jako środka ochrony (bo nie ośmielię się jeszcze powiedzieć higieny), który wypada porównać z innymi zjawiskami świadczącymi o tym, że dzieci zaczęto otaczać szczególną troską?

Mimo propagandy filozofów, środowiska zamożne, szlachta i burżuazja, oddawać będą dzieci na mamki aż do końca XIX wieku, to znaczy aż do chwili, kiedy rozwój higieny i aseptyki pozwoli używać bez ryzyka mleka zwierzęcego. Nastąpi jednak godna uwagi zmiana: przemieszczać będzie się raczej mamka niż dziecko, mamka zamieszka w domu, gdyż rodzina nie zechce się rozstawać ze swoim maleństwem. To zjawisko jest porównywalne z omawianym w poprzednim rozdziale zastąpieniem internatu przez eksternat.

Z pewnego punktu widzenia naszkicowana tutaj historia to dzieje wynurzenia się nowoczesnej rodziny ponad inne formy stosunków międzyludzkich, które przeszkadzały jej rozwijać. Im więcej człowiek żyje na ulicy, w zbiorowiskach ludzi wspólnie pracujących, bawiących się czy modlących, tym bardziej zabierają mu one czas i zaprzętają umysł, tym mniej liczy się dla niego rodzina. Natomiast jeśli związki wynikające z pracy, sąsiedztwa czy podobieństwa mniej wagi w jego świadomości, przestają go wyobcowywać, uczucia rodzinne biorą górę nad poczuciem wierności czy służby, stają się przemożne, czasem wyłączne. Rozwój uczuć rodzinnych idzie śladem rozwoju życia prywatnego, domowej intymności. Kiedy dom jest nazbyt otwarty na zewnątrz, uczucie rodzinne się nie rozwija; wymaga ono minimum intymności. Przez długi czas warunki życia codziennego uniemożliwiały to niezbędne odcięcie się pary małżeńskiej od świata zewnętrznego. Jedną z najpoważniejszych przeszkód było niewątpliwie oddalenie dzieci posłanych na naukę zawodu i zastąpienie ich w domu przez cudze dzieci. Dzięki szkole dzieci wróciły do domu i więzi rodzinne zacieśniły się, lecz jednak niewystarczająco: stara towarzyskość trwała niemal nienaruszona. W XVII wieku zapanowała pewna równowaga między siłami odśrodkowymi – albo społecznymi, a dośrodkowymi – albo rodzinnymi;

nie zahamowała ona postępów intymności, będących może skutkiem postępów techniki. Omówiliśmy na poprzednich stronicach przebudzenie się owych sił dośrodkowych. Przyjrzyjmy się teraz stawiającym opór siłom odśrodkowym, reliktom tradycyjnej towarzyskości.

Historycy zwrócili uwagę, że w XVII wieku do późna utrzymywały się stosunki zależności, które niegdyś bagatelizowano. Centralizacja monarchii za Richelieu i Ludwika XIV była bardziej polityczna niż społeczna. O ile zdołała osłabić konkurencyjne wobec Korony siły polityczne, o tyle nie naruszyła układu sił społecznych. Społeczeństwo francuskie w XVII wieku jest społeczeństwem zhierarchizowanych klienteli, gdzie drobna szlachta przyłącza się do potężniejszych panów¹⁵. Żeby się takie grupy utworzyły, musiała istnieć cała sieć stosunków codziennych, namacalnych i bezpośrednich kontaktów. Konkretnie przekłada się to na wprost niewyobrażalną liczbę spotkań, wizyt, rozmów i wymiany. Powodzenie materialne, społeczne konwenanse i zawsze zbiorowe rozrywki nie były wówczas odrębnymi działaniami, jakimi są dziś, tak samo jak nie było rozdziału między życiem zawodowym, prywatnym, światowym czy towarzyskim. Najistotniejszą sprawą było utrzymać stosunki społeczne z całością grupy, w której się człowiek urodził, i podnieść swoją pozycję, wykorzystując zrećźnie tę sieć stosunków. Nie było sukcesem zabicie majątku albo uzyskanie stanowiska, w każdym razie nie było to najważniejsze. Należało przede wszystkim wspiąć się na wyższy szczebel w społeczności, której wszyscy członkowie znali się, widywali, spotykali niemal codziennie. Kiedy francuski tłumacz Balthazara Graciana¹⁶ proponuje, żeby przyszły „Bohater” wybrał sobie „stosowne zajęcie”, ma na myśli nie dobrą posadę, jakbyśmy to dziś nazwali, lecz „takie, które się wykonuje na widoku i ku własnemu zadowoleniu, pamiętając zawsze o reputacji”. Sztuka sukcesu polega na umiejętności bycia przyjemnym, „miłym” w towarzystwie. Tak ją sobie wyobrażał w XVI wieku w *Dworzaninie* Balthazar Castiglione¹⁷: „najlepszy to moim zdaniem sposób dla żyjącego przy książęcym dworze szlachcica, by przypodobać się księciu, zaskarbić sobie łaski jednych i pochwały drugich”. Przyszłość dworzanina zależy wyłącznie od reputacji. „Wydaje mi się, że tym, co daje lub odbiera człowiekowi dobre imię, jest dobór przyjaciół, z którymi powinien stale i blisko obcować”. W literaturze XVII wieku przyjaźń zajmuje bardzo ważne miejsce, angażuje człowieka bardziej niż inne związki społeczne. Stąd też tak wielkie ma znaczenie rozmowa, w *Dworzaninie* czytamy: „Chciałbym jeszcze coś usłyszeć o tym, jak żyć i rozmawiać z mężczyznami i kobietami; rzecz wydaje mi się nader ważna,

¹⁵ A. Adam, *Histoire de la littérature française au XVII^e siècle*, t. I (1948), t. II (1951). R. Mousnier *Soulèvements populaires avant la Fronde*, „Rev. hist. mod. et cont.”, 1958, s. 81-113.

¹⁶ *El heroe*, B. Graciana, aragońskiego szlachcica, 1645.

¹⁷ Balthazar Castiglione, *op. cit.*

zważywszy że na dworze większość czasu schodzi na rozmowach”. Nie tylko na dworze. Cała siedemnastowieczna literatura na temat dobrych manier kładzie nacisk na znaczenie konwersacji, konieczność opanowania sztuki rozmowy, sposób zachowywania się podczas rozmów itp. Omawia się te rzeczy niesłychanie szczegółowo¹⁸: „Pełnia się wiele błędów, rozmawiając na rozmaite sposoby, zwłaszcza w omawianej materii”. Konwersacja musi respektować reguły dobrego wychowania. Należy unikać tematów zbyt osobistych, domowych i małżeńskich: „Błądzą wielce ci, którzy zawsze mają na ustach swoją żonę, swoje dzieci i ich mamkę. «Mój mały tak mnie wczoraj rozbawił. Nigdy nie widzieliście tak uroczego chłopaczka jak mój synek. Moja żona to, moja żona tamto...»” Trzeba się wystrzegać kłamliwych przechwałek (w tym okresie powstał „Kłamca” Corneille’a). „Nowa obyczajność” z 1671 roku zaleca: „Trzymajcie się zasady, że nie zaczyna się rozmowy z poważnymi i uczonymi osobami od rzeczy frywolnych ani nie porusza zbyt trudnych kwestii w rozmowie z ludźmi, którzy ich nie rozumieją... Nie mówcie w towarzystwie o rzeczach melancholijnych, jak rany, ułomności, więzienie, proces, wojna lub śmierć... [Cóż więc pozostaje?] Nie opowiadajcie swoich snów... Wyrażcie swoje zdanie dopiero, jak was zapytają, nie starajcie się być najmądrzejsi w towarzystwie... Nie poprawiajcie cudzych niedoskonałości, bo to należy do ojców, matek i panów... Nie zaczynajcie mówić, zanim się nie zastanowicie, co chcecie powiedzieć”.

Sztuka konwersacji jest nie mniej ważna niż sztuka tańca czy śpiewu. Podręczniki obyczajności są ulubioną lekturą epoki, Sorel¹⁹ powiada, że „U niektórych narodów kiedy człowiek popełni coś niestosownego, mówią o nim, że nie czytał „Galatea”. Zaś autor „Galatea”²⁰ uważa dobre wychowanie za cnotę: „Zaczę od tego, czego moim zdaniem trzeba się nauczyć, by uchodzić za człowieka dobrze wychowanego i być przyjemnym w rozmowie i obcowaniu z ludźmi, co jest cnotą lub czymś bardzo do cnoty zbliżonym”. Z „Galatea” uczyli się dobrych manier uczniowie kolegów jezuickich. W późniejszym czasie w Port-Royal Nicole wyrazi się podobnie w rozprawie „O obyczajności chrześcijańskiej”²¹: „Żeby żyć, potrzebujemy ludzkiej miłości i dlatego zupełnie naturalnie szukamy jej i próbujemy ją sobie zaskarbić... Kochamy lub udajemy, że kochamy innych, żeby przyciągnąć ich uwagę. Podstawą grzeczności jest nic innego jak handel miłością własną: próbujemy wzbudzić miłość w ludziach przez to, że sami okazujemy im uczucie”. Dobre maniery są dla miłosierdzia tym, czym bogobojne gesty dla pobożności. „Trwałość związku [ludzi przyzwoitych] zależy nie tylko od łączących ich więzi duchowych, ale

¹⁸ G. della Casa, *Galateo*, przeł. Hamela, 1666.

¹⁹ Cyt. za: M. Magendie, *La Politesse mondaine au XVII^e siècle*, 1925.

²⁰ Por. przypis 18.

²¹ Nicole, *De la civilité chrétienne w: Essais de morale*, 1773, t. 2, s. 116.

też i od innych ludzkich więzi, które ten związek umacniają”: od dobrego wychowania i od sztuki życia towarzyskiego. Kto żyje w świecie, ten musi „wykorzystywać okazje” i „być lubiany”.

Nie ma nic nowego w takiej postawie: wyrasta ona z bardzo starej koncepcji społeczeństwa, w którym komunikację zapewnia nie tyle szkoła, ile praktyczna nauka zawodu, a pismo nie ma jeszcze wielkiego znaczenia w życiu codziennym. Jest godne uwagi, że ta postawa przetrwała w społeczeństwie, gdzie postępujący rozwój nauczania wskazywałby na tworzenie się innej zupełnie mentalności. Dwuznaczność tradycyjnej towarzyskości i nowoczesnego nauczania bardzo dobrze czuli współcześni, zwłaszcza wychowawcy moralizatorzy, z których większość była związana ze środowiskiem Port-Royal. Prawie wszyscy zadawali sobie pytanie, czy prywatna edukacja domowa nie jest aby lepsza od edukacji publicznej w szkole. Nie był to specjalnie aktualny temat, jako że występował już u Kwintyliana, co poniekąd tę kwestię nobilitowało, ale brano w dyskusji pod uwagę i okoliczności, i czasy. W „Obytnym w świecie chłopcu” de Grenaille²² tak przedstawia sprawę: „Nie chcę obrażać starożytności nowoczesnymi opiniami ani dezawuować kolegów, które tak wielu mędrców popiera. Ośmielę się jednak twierdzić, że kolegia są akademiami korzystnymi raczej dla szerokiej publiczności niż dla *particuliers* [*particuliers* czyli drobnej szlachty, a nie wielkich panów]. Daje się «ubogim tak samo jak możliwym» możliwość zdobycia skarbów wiedzy, które niegdyś mógł posiadać tylko ten, kto miał majątek. Wielu dzieci nie stać na domowych nauczycieli, zmuszone są tedy korzystać ze szkół publicznych i otrzymywać za darmo naukę, za którą trzeba było kiedyś płacić. Ale dla tych, których fortuna i natura obdarzyły faworami, instytucja prywatna jest moim zdaniem korzystniejsza niż publiczna. Nienowa to myśl, choć się wydaje śmiała”. Szkoły znajdowały się w rękach pedantów: taka opinia była bardzo popularna w literaturze, przynajmniej od czasów Montaigne’a, a zapewne też i w obiegowych sądach. Rozwój szkół nie zmienił pogardliwego stosunku publiczności do regentów.

Poza tym uważano, iż dyscyplina w szkołach jest zbyt surowa. Ciekawe, co by powiedział de Grenaille o kolegiach religijnych i dziewiętnastowiecznych liceach! „Ponieważ w domu nie daje się dzieciom występnej swobody [gdyż stale przebywają w towarzystwie dorosłych], to i nie trzyma się ich pod obraźliwym dla nich nadzorem”. A oto zdanie, w którym przebija tęsknota za czasami, kiedy dzieci nie były odseparowane: „Nie traktuje się ich tak samo jak innych”. Szkoła grozi dziecku zepsuciem przez to, że może ono wpaść w złe towarzystwo, albo opóźnia jego dojrzałość przez to, że odsuwa je od dorosłych. To przedłużenie dzieciństwa de Grenaille uważa za zło: „Nawet jeśli dziecko nie zostanie zdeprawowane przez szkolnych kolegów, to nauczy się

²² De Grenaille, *op. cit.*

tysiąca dziecięcych głupstw, których trudno się później wyzbyć, i tyle samo będzie kłopotów z uwolnieniem go od szkolnych śmieci, co z uchronieniem przed występkiem”. Wreszcie główną wadą kolegium jest izolacja dzieci, odcięcie ich od naturalnego środowiska społecznego. „Dziecko powinno wcześniej się nauczyć, jak postępować w sklepie czy w pracowni, a nie dowie się tego w miejscu, gdzie więcej przebywa z umarłymi niż z żywymi, to znaczy więcej z książkami niż ludźmi”. Czujemy tu wyraźną niechęć do szkoły tych, co są przywiązani do tradycyjnej edukacji przez praktyczną naukę zawodu, do sposobu kształcenia, który od razu zanurzał dziecko w społeczeństwo i przygotowywał je bezpośrednio do przyszłej roli, nie przechodząc przez pośredni etap inicjacji w społecznościach zorganizowanych wedle klas wiekowych lub przez etap szkoły w nowoczesnych społeczeństwach technicznych.

Taką samą opinię wyrazi dwadzieścia lat później marszałek de Caillièr²³: „Nie wystarczy posiadać wiedzę, jaką daje kolegium; jest jeszcze inna, która nas uczy, jak się posługiwać tamtą... Która nie mówi po grecku ani po łacinie, ale pokazuje, jak tych języków używać. Znaleźć ją można w pałacach... u książąt i wielkich panów, na kobiecych pokojach i wśród żołnierzy, nie gardzi ona kupcami, rolnikami ani rzemieślnikami. Przewodniczką tej wiedzy jest ostrożność, a doktrynami rozmowy i doświadczenie”. Rozmowy, zwyczaj towarzyski, „wykształciły wielu uczciwych ludzi bez pomocy książek. Sam świat jest wielką księgą, która uczy nas w każdej chwili, a rozmowy to żywe studia, w niczym nie ustępujące podręcznikom... Obcowanie na co dzień z dwoma lub trzema głębokimi umysłami może być dla nas bardziej użyteczne niżli wszyscy uniwersyteccy pedanci razem wzięci... Godzina rozmowy da nam więcej, niż byśmy mogli przeczytać przez trzy dni w bibliotece. Gest i wyraz twarzy mają w sobie coś uroczonego, co przekonuje nas do treści wykładu”.

Pod koniec XVII wieku opat Bordelon²⁴ jest tego samego zdania: „Świat więcej uczy niż szkoła”. Oby tylko owoc „Pięknego wykształcenia”, bo taki tytuł nosi jego książka, nie przypominał tego pedanta:

Człowiek ów jest oryginałem.
Jego doktryna nie ma sobie równej.
O Persjuszu i Juwenalisie,
Katullusie i Marcjalisie
Posiada głęboką wiedzę.
Rozumie wszystko prócz świata...

²³ Maréchal de Caillièr, *La Fortune des gens de qualité...*, 1661.

²⁴ Bordelon, *La Belle Education*, 1694.

Widzimy, że przez cały wiek XVII utrzymywał się silny nurt opinii wrogiej szkole. Zrozumiemy to lepiej, jeśli uzmysłowimy sobie, jaką nowością dla obyczaju była szkoła. Ci moralisci, którzy zrozumieli znaczenie wykształcenia, niedoceniane w przeszłości i nawet przez współczesnych, nie potrafili dostrzec roli, jaką szkoła mogła pełnić (i już pełniła) w wychowywaniu dzieci.

Niektórzy, zwłaszcza w środowisku Port-Royal, próbowali godzić dobrodziejstwa szkoły, które uznawali, z zaletami edukacji domowej. W „Regułach kształcenia dzieci”²⁵ Coustel analizuje ten problem, ważąc za i przeciw. Jeśli kształci się dzieci w domu, rodzice lepiej czuwają nad ich zdrowiem (to też nowa troska), dzieci zaś „łatwiej się uczą grzeczności” przez to, że bywają w świecie. „Wprawiają się niedostrzegalnie w obowiązki życia kulturalnego i uczą sposobów postępowania dobrze wychowanych ludzi”. Ale są też i minusy: „Trudno uregulować czas nauki, gdyż posiłki jada się o rozmaitych porach z powodu interesantów i wizyt, których niepodobna przewidzieć ani uniknąć”. Zauważmy przy okazji wielką częstotliwość tych wizyt zarazem przyjacielskich i zawodowych. Dzieciom grozi również to, że rodzice za bardzo je rozpieszczą. A wreszcie narażone są na „pobłażanie i pochlebstwa ze strony czeladzi, na nieprzystojne słowa i gesty obcych lokajów, których nie zawsze można od nich oddalić”. Nawet najbardziej zażarci przeciwnicy szkoły przyznają, że ryzykowna bliskość służących jest argumentem na jej korzyść. „Rodzice są zmuszeni posłać dzieci do kolegium, bo wołają, żeby siedziały w klasie niż w kuchni”, mówi de Grenaille²⁶.

Coustel przyznaje zresztą, że dyskusja jest raczej akademicka, bo za jego czasów właściwie już wszyscy chłopcy chodzą do szkół: „Przyjął się powszechnie zwyczaj umieszczania dzieci w kolegiach”. Mają one bowiem swoje zalety: dzieci „zawierają tam korzystne znajomości i przyjaźnie, często na całe życie”. Dobrze im służy współzawodnictwo: „nabierają tam godnej pochwały śmiałości wypowiedzania się publicznie, nie bledną na widok ludzi; to wszystko niezbędne jest tym, którzy mają w przyszłości objąć wysokie urzędy”. Edukacja domowa sprzyja wstydlivosti. Zauważmy, że zalety kolegium nie dotyczą poziomu nauczania, są społeczne, „światowe”, jak się wtedy mówiło.

Kolegia mają też swoje wady. Wiadomo, że klasy były przepełnione, bywało, że liczyły ponad setkę uczniów. Dla Coustela „zbyt wielka ilość uczniów poważnie utrudnia postępy w nauce, a także zagraża obyczajom”. Zrozumiemy niepokój autora, bo wiemy, jak przeludnione były klasy i jak rozwydrzeni uczniowie. „Gdy tylko dziecko postawi nogę w szkole, zaraz traci niewinność, prostotę i skromność, które czyniły je przedtem miłym Bogu i ludziom”.

²⁵ Ch. Coustel, *op. cit.*

²⁶ De Grenaille, *op. cit.*

Jest jednak pewne wyjście, które dostrzegł był już Erazm: „umieścić pięcioro lub sześcioro dzieci z porządnym nauczycielem lub dwoma – w domu prywatnym”. Takie rozwiązanie przyjęto w Port-Royal – słynne, choć efemeryczne szkółki. Stosowano je w wielu szkołach prywatnych utworzonych pod koniec XVII i w XVIII wieku.

Wychowawcy moraliści są na ogół ostrożni wobec kolegów. Historyk, który by brał pod uwagę tylko ich świadectwa, mógłby sądzić, że opinia była wroga szkołom, a przecież wiemy, że młodzież waliła ławą do przeludnionych kolegiów. Teoretycy nie zawsze są najlepszym zwierciadłem swojej epoki.

Sprzeciw wobec szkoły nie był jednak bezpodstawny: mimo postępów nauczania terminowanie społeczne i kontakty towarzyskie zachowały swoje znaczenie w obyczajach. W życiu codziennym lepiej niż w pismach wychowawców-moralistów umiano godzić szkołę z otraskaniem w świecie. Obok edukacji szkolnej nadal trwało kształcenie praktyczne, również udoskonalone w wieku XVII. Jedno nie przekreśliło drugiego. Zajmiemy się tym przez chwilę.

Słowo *civile* (obyty, kulturalny) było niemal synonimem naszego współczesnego określenia „społeczny”, istota kulturalna jest istotą społeczną. Słowo *civilité* (tu tłumaczone najczęściej jako obycie lub obyczajność) oznacza mniej więcej to, co dziś nazwalibyśmy wiedzą o życiu w społeczeństwie, ale tu różnica jest o wiele większa. W XVI i w XVII wieku *civilité* to suma wiadomości praktycznych, niezbędnych do życia w zbiorowości i których nie uczą w szkole. Pod starszą nazwą „kurtuazji” *civilité* istniała już wtedy, gdy szkoła była zastrzeżona wyłącznie dla kleryków.

Popularna w XVI i XVII wieku literatura dotycząca obyczajności wywodzi się z trzech bardzo starych gatunków: po pierwsze z traktatów o kurtuazji w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wiele z nich napisano w XIV i XV wieku po francusku, angielsku, włosku, nawet po łacinie. Adresowane były do wszystkich, do kleryków tak samo jak ludzi świeckich, do tych, co znali łacinę, i tych, co władali jedynie językiem używanym potocznie. Po włosku w *Zinquanta Cortesie da Tavola*²⁷ czytamy: „*La prima è questa: le Benedicite. La cortesia seconda: myjesz sobie ręce. La terza cortesia: zanim usiądziesz, czekasz, aż cię poproszą. Trzynasta: niech ten, kto usługuje do stołu, będzie czysty, niech przy gościach nie pluje ani nie paskudzi*”.

Po francusku: „Jak zachowywać się przy stole”; po łacinie: *Stans puer ad mensam*. Bo chodzi o dzieci i młodzież; w języku angielskim te zbiory noszą nazwę *Babees Books*: jak ładnie mówić, jak się kłaniać, jak klękać przed panem, nie siadać bez zaproszenia, jak odpowiadać na pytania. „Często obcinaj paznokcie, myj ręce przed jedzeniem. Kaska, który ci z ust wypadnie, nie kładź

²⁷ Fra Bonvenisco da Ripa, *Zinquanta Cortesie da Tavola*, ok. 1292.

z powrotem... Nie czyść zębów czubkiem noża... Nie zacieraj rąk... Nie pluj przy stole... Trzymaj się prosto. Nie zasypiaj przy stole... Nie bekaj...” Te porady praktyczne były na ogół rymowane, a w średniowieczu adresowane również do kobiet. *Roman de la Rose* to po części traktat o kurtuazji: zaleca kobietom używanie gorsetu (bez fiszbinów i metalowych sprzączek), radzi w sprawach toalety, również intymnej – „dom Wenus” ma być starannie wygolony. Późniejsze podręczniki dobrych manier już o kobietach nie wspominają, jak gdyby u schyłku średniowiecza i na początku ery nowożytnej przestały się one liczyć.

Drugie źródło ksiąg o obyczajności to reguły etyczne zawarte w zbiorze późnołacińskich dystychów przypisywanych w średniowieczu Katonowi Starszemu. Powołuje się na nie *Roman de la Rose*: „Tego samego zdania jest Katon, jeśli pamiętasz jego książkę”. Pseudo-Katona używano przez całe wieki, wznawiano go jeszcze w XVIII stuleciu²⁸. Dystychy mówią o tym, że trzeba żyć uczciwie, powściągać język, wystrzegać się kobiet (łącznie z własną żoną), nie liczyć na spadek, nie bać się śmierci, nie niepokoić się, gdy ktoś w towarzystwie mówi szeptem i nie wyobrażać sobie, że to na nasz temat, dać dziecku zawód, pohamować gniew na służących, ukrywać swoje wady, bo skrytość jest lepsza niż zła reputacja, nie praktykować wróżbiarstwa ani czarów, nie opowiadać snów ani się nimi nie martwić, dobrze wybrać małżonkę, unikać łapczywości, zwłaszcza gdy towarzyszy „zawstydzającej pożądlivości”, nie drwić sobie ze starców, nie być pobłażliwym mężem itd. itp. Te bardzo banalne zasady moralne mają w sobie coś z konformizmu społecznego i ze zwykłego zdrowego rozsądku, mówią o tym, co wypada, a czego nie wypada we wszystkich dziedzinach życia, w stosunkach z żoną, ze służbą, z przyjaciółmi, a także w rozmowie przy stole. Wszystko to jest wymieszane, traktowane na równi. Nam te rady wydają się dość błahe i konwencjonalne, ale nasi przodkowie widzieli w nich prawidła życia we wspólnocie, ostoję prawdziwych wartości.

Trzecie źródło podręczników obyczajności to sztuki podobania się lub kochania, dzieło Owidiusza, *De amore* André le Chapelaina, *Documenti d'amore* Francesca Barberiniego, poradniki miłosne z XVI wieku. Wzorem tego gatunku jest *Roman de la Rose*. Uczą one, że trzeba się strzec przed zazdrością, że mąż nie jest panem swojej żony (to się później zmieni), że należy się kształcić w naukach i sztukach, by się spodobać wybrance, nie być zbyt natrętnym, nie czytać jej listów ani nie odsłaniać tajemnic. Jak się wystrzegać nikczemności, nie obmawiać, kłaniać się i oddawać ukłon, nie być wulgarnym ani pyszałkowatym, jak się elegancko ubierać, być wesołym i hojnym, oddać swoje serce tylko jednej... Są to recepty na pozyskanie sympatii kobiet i wszystkich towarzyszy życia, bo przecież człowiek nie jest nigdy sam, lecz zawsze w liczonym i wymagającym towarzystwie.

²⁸ Pseudo-Katon, *Disticha de moribus*.

Traktaty o kurtuazji, reguły moralności i sztuka kochania mają jeden cel: przygotować młodego człowieka (a czasem damę) do życia w świecie, jedyne, jakie istniało poza klasztorami i w którym wszystko polegało na kontaktach międzyludzkich i rozmowie, sprawy poważne tak samo jak zabawy.

Ta przeładowana szczegółami, skomplikowana literatura średniowieczna uprościła się w wieku XVI. Wyrosły z niej dwa gatunki tematycznie pokrewne, ale różne w formie: podręczniki obyczajności i sztuki sukcesu, czyli „dworności”.

Pierwszym podręcznikiem obyczajów jest dzieło Erazma. Wszystkie późniejsze, a było ich wiele, wzorują się na nim albo je niewolniczo naśladowują. Najważniejsze nazwiska to Cordier, Antoine de Courtin i Jean-Baptiste de la Salle, którego „Reguły przyzwoitości i obyczajności chrześcijańskiej” będą wznawiane nieskończoną liczbę razy w XVIII i jeszcze na początku XIX stulecia.

Traktat o obyczajach nie jest podręcznikiem szkolnym w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale lepiej odpowiada wymogom kształcenia niż przegadane dawne „kurtuazje” czy Pseudo-Katon. Rozwój nauczania sprawił, że – choć taki traktat przekazuje nie szkolne reguły, a o szkole nic w ogóle nie mówi – dawano go małym dzieciom na pierwszych lekcjach. Na tych książkach uczyły się czytać i pisać, drukowano je bowiem różnymi czcionkami, wszystkimi, jakie znała ówczesna typografia, a więc alfabetem rzymskim, kursywą, gotykiem, a także czcionkami naśladowającymi pismo ręczne, których nigdzie indziej nie używano i dlatego nazywano je „obyczajnymi”. Podręczniki prezentowały się więc malowniczo. Czasem tekst był podany w kilku językach, w kolumnach drukowanych każda innym pismem: francuski, łacina, włoski, hiszpański, niemiecki (nigdy angielski, język o niewielkim wówczas zasięgu, bez znaczenia kulturalnego). W ten sposób uczono się języków obcych, których w kolegium nie wykładano.

Nie były to jednak książki przeznaczone wyłącznie dla dzieci. „Obyczajność” Antoine’a de Courtina zwraca się „nie tylko do osób, które mają dzieci, ale i do tych, co mimo swojego wieku nie nauczyli się jeszcze grzeczności ani obyczajności wymaganej w świecie”²⁹. Czytająca dziewczyna na obrazie Grimoux w muzeum Augustianów w Tuluzie wcale nie jest dzieckiem: w książce, którą trzyma w ręku, wyraźnie widzimy charakterystyczne „obyczajne” czcionki. Tematy też nie zawsze były odpowiednie dla dzieci: często dotyczyły dorosłych – jak traktować żonę i sługi, jak się zacnie starzeć. Z jednej strony wskazówki, jak się mają zachowywać dzieci, z drugiej – pouczenia moralne, naszym zdaniem dla dzieci niedostępne. To dlatego, że traktaty

²⁹ A. de Courtin, *Nouveau Traité de la civilité qui se pratique en France*, 1671.

o obyczajności formułowały na papierze nauki praktyczne, przeniknięte nawykami z czasów, gdy nie dozowano dzieciom wiedzy, tylko zanurzano je od razu w świat dorosłych, który od początku miały sobie przyswoić.

Jedną z najpopularniejszych w pierwszej połowie XVII wieku ksiąg obyczajności był „Galateo”. Wprowadzili ją do swoich kolegiów jezuici; wydanie z 1617 roku jest przeznaczone specjalnie dla pensjonariuszy Towarzystwa Jezusowego w La Flèche oraz dla pensjonariuszy kolegium tegoż zakonu w Pont-à-Mousson³⁰. Dla pensjonariuszy, a nie uczniów zamiejskowych, bo nie był to podręcznik szkolny.

„Galateo”: „Pierwotnie ułożony po włosku przez J. de la Case, a następnie przełożony na francuski, łacinę, niemiecki i hiszpański”. „Traktat wielce potrzebny, by nauczyć młodzież wszystkich cenionych zachowań i manier, przyjętych przez ludzi honoru i cnotliwych, a przeznaczony dla tych, co nie tylko z przyjemnością czytają łacinę, lecz także w językach narodowych, najbardziej dziś wziętych”. „Galateo”, podobnie jak inne księgi o obyczajności, uczy przyzwoitości, właściwego zachowania w towarzystwie. Jest to, jak już mówiłem, podręcznik konwersacji. Powiada się w nim, że „nie jest rzeczą stosowną publicznie kłaść rękę na jakąkolwiek część ciała”; podobnie piętnastowieczne *Puer stans ad mensam* przestrzegały przed drapaniem się w towarzystwie. Nie ubierać się ani rozbierać publicznie dla potrzeby naturalnej, nie myć się ostentacyjnie zaraz potem, nie pokazywać nieczystości na drodze, nie wachać „rzeczy śmierdzących”. Nie irytować innych „zgrzytaniem zębów, gwizdaniem, głośnym przełykaniem, pocieraniem żelaza o kamień”. Inna księga obyczajności radzi nie strzykać kośćmi, nie kaszleć i nie kichać zbyt głośno. Nie ziewać, nie rozdziawiać gęby. Nie zaglądać do chusteczki. Przepisy zachowania się przy stole do końca XVIII wieku nie straciły aktualności: jedzenie było społecznym rytmem (dziś nie ma już tego charakteru), każdy z biesiadników odgrywał ściśle określoną rolę i musiał szczególnie uważać na zachowanie: nie jeść za szybko, nie kłaść łokci na stół, nie dłużyć w zębach, „jeśli się da, nie pluć, a skoro to konieczne, zrobić to jakoś dyskretnie”. Dowiadujemy się też, jak się trzeba ubierać: „mężczyzna powinien podporządkować się zwyczajowi i ubierać podobnie jak inni mieszczanie”. W tej dziedzinie, tak samo jak w innych, grzechem jest „obraza towarzystwa”. Trzeba zawsze ustąpić przed jego wolą, nie narzucać własnych upodobań i zachcianek. Nie prosi się o przybory do pisania ani o nocnik, kiedy ręce już umyte, a mięso wjeżdża na stół. Nie bądź dziki ani nazbyt poufały, ani melancholijny. Wobec służby trzeba się zachowywać godnie (niektórzy „pyszałkowie” stale pokrzykują na służących, a ich wieczne połajanki sprawiają przykrość rodzinie). Na ulicy poruszać się trzeba nie za szybko i nie za wolno, nie przyglądać się natarczywie przechodniom.

³⁰ *Bienséance de la conversation...*, Pont-à-Mousson 1617.

Od XVI do XVIII wieku ukazują się wciąż nowe wydania rozmaitych, lecz dość do siebie podobnych podręczników dobrych manier. Nie mniejszą sławą niż wcześniejsze teksty Erazma, Cordiera czy „Galateo” cieszyło się w XVIII wieku dzieło J. B. de la Salle. Jeśli pobożny wychowawca, założyciel instytutu wychowawczego, który na pewno miał sporo zajęć i kłopotów na głowie, zadał sobie trud i zredagował traktat, gdzie jak u poprzedników mowa jest o dobrych manierach, stroju, fryzurze, zachowaniu przy stole itp., to świadczy to o wadze tych tematów, dziś dla nas raczej błahych. Ludzie tamtych czasów byli nieokrzesani i brutalni, potrzebowali dyscypliny bardziej niż nasze społeczeństwa, poddane wszelkiego rodzaju władzom publicznym i kontroli policyjnej: miejsce dobrych manier w tresurze jednostki zajęło państwo, poczynając od szkoły, ruchu drogowego i służby wojskowej... Dla ówczesnych ludzi nie było w życiu towarzyskim błahostek, gdyż komunikacja społeczna miała zupełnie zasadnicze znaczenie. Toteż nic dziwnego, że J. B. de la Salle, kanonik z Reims, starannie opracował po swojemu tradycyjne zalecenia: „Przede wszystkim uważać, żeby nie było robactwa ani smrodu; winniśmy tę troskę naszym dzieciom”. Dalej długo o tym, jak pluć. „To wstyd mieć ręce brudne i czarne, uchodzi to tylko rękodzielnikom i chłopom”. „Kiedy człowiek potrzebuje sikać, musi sobie znaleźć ustronne miejsce, wszelkie inne potrzeby naturalne przyzwoitość każe [nawet dzieciom] zaspokajać w miejscach, gdzie nikt nas nie zobaczy”. „Nie jest rzeczą zacną poklepywać kogoś przy rozmowie”, „nie wymachiwać nogami, nie kręcić się przy rozmowie [tego nie wolno nawet dzieciom], nie zakładać nogi na nogę”. Jak się ubierać: „Nie jest dobrym zwyczajem ubierać dziecko jak mężczyznę, strój młodzieńca nie może być bardziej okazały niż strój starca”. I oczywiście długi rozdział na temat „sposobu krojenia i podawania mięsiwa”, nakrywania, podawania i sprzątanania ze stołu, co było funkcją zastrzeżoną dla dzieci i młodzieży.

Liczne reedycje i adaptacje rozmaitych „obyczajności” od Erazma po J. B. de la Salle świadczą o tym, że szkoła nie przejęła jeszcze wszystkich funkcji wychowawczych. Dobre maniery, które parę wieków wcześniej stanowiły zasadniczą treść terminowania, nadal były ważną sprawą. „Delikatna i harmonijna powściągliwość dzieci – pisze angielski pedagog z XVII wieku³¹ – lepiej świadczy o szkole niż solidne wykształcenie, pokazuje ono bowiem, że dziecko jest wykształcone, choć może niewiele się nauczyło, gdy tymczasem dobre maniery to zasadniczy trzon dobrej edukacji”.

Jeszcze na początku XVII wieku używało się wyrażenia „znać *Dworzanina*”, tak jak mówiło się o człowieku dobrze wychowanym, że „przeczytał *Galatea*”³². Balthazar Castiglione, autor *Dworzanina*, stworzył odrębny gatu-

³¹ F. Watson, *The English Grammar schools to 1606*, 1907.

³² Charles Sorel, *op. cit.*

nek: sztukę podobania się i zdobywania sukcesu. Od traktatów obyczajności, których ojcem był Erazm, różni się ona tym, że nie ogranicza się do podstawowych prawideł dobrego wychowania: „Dobrzy pedagodzy uczą dzieci nie tylko liter, ale też dobrych obyczajów i właściwych sposobów jedzenia, picia, rozmawiania i chodzenia”. To już znamy: podręczniki obyczajności i cała literatura wyrosła z „dworności” pokrywają się częściowo. Ale sztuka podobania się w towarzystwie i poprawiania swojej pozycji za sprawą zręcznego wykorzystania stosunków towarzyskich na dworze staje się zasadniczym tematem *Dworzanina* oraz książek takich jak „Bohater” Hiszpana Balthazara Graciana, „Człowiek Poczciwy” Faret’a, i wielu innych, omówionych przez D. Morneta³³.

Dwa zasadnicze pojęcia tego gatunku to ambicja i reputacja. Ambicja jest wartością. Nikt nie powinien zadowalać się pozycją, jaką zajmuje, przeciwnie, musi stale piąć się w górę. Nie dla wygody, nie z łakomstwa, lecz w imię heroicznego, renesansowego ducha ideału, który wymaga od człowieka surowej dyscypliny i niezłomnej woli. Ten ideał będzie obowiązywać do połowy XVII wieku. Wyraża go naiwnie w „Obyty w świecie chłopcu”³⁴ pan de Grenaille, który ceni sobie szlachectwo: „Chciałbym, aby obyty w świecie chłopiec urodził się w szlacheckim gnieździe... Czyż nie jest prawdą, że szlachcice mają w sobie coś majestatycznego, co sprawia, że budzą szacunek, nawet gdy są upokorzeni? Nawet w niewoli szlacheckie dzieci zdają się rozkazywać, podczas gdy prostacy, kiedy rządzą, sprawiają wrażenie, że sami dostają rozkazy”. A jednak tej koncepcji ładu społecznego związanego z urodzeniem towarzyszy myśl inna, równie dla autora ważna, mianowicie szlachectwo jest „boskim przymiotem, który łączy się z odwagą i cnotą, a nie z próżnym honorem”. Zyskuje się szlachectwo dzięki cnotcie i reputacji, rośnie ono za sprawą „szlachetnej ambicji”. Obyty w świecie chłopiec zadba o wywyższenie swego rodu: „Jeśli się urodził drobnym szlachetką, zechce być baronem, jeśli jest markizem, spróbuje zostać hrabią. Prawa, jakie mu dała natura, zwiększy tak dalece, jak na to fortuna pozwoli”. „Ci, co pochodzą z zacnej rodziny, a znajdują się w mizernym, nieszczęśliwym położeniu, muszą własną sztuką starać się je poprawić i pokonać naturę własnym przemyśłem”. „Więcej jest ludzi niskiej kondycji, którzy osiągają wielkość niż wielkich, którzy utrzymują swoją pozycję w niezmiennym stanie. A to dlatego, że jedni zaniedbują czasem wszystko, gdy inni nie zaniedbują niczego”. Pan de Grenaille podziwia te śmiałe kariery: niechaj obyty w świecie chłopiec „wie, że jego szlachectwo bardziej będzie zaszczytne, jeśli je zdobędzie własną zasługą, niżby je otrzymał w spadku”. Ciekawy tekst, świadczący o tym, że ambicja ma uznaną wartość moralną.

³³ D. Mornet, *Histoire de la littérature classique*, 1940, i M. Magendie, *op. cit.*

³⁴ De Grenaille, *op. cit.*

Jak tego „wywyższenia” dostąpić? Droga jest jedna: zdobyć sobie dobre imię. O umiejętnościach umysłowych i technicznych, o moralnych walorach się nie mówi, nie dlatego by były nieważne, lecz dlatego, że są zrozumiałe same przez się, jeśli człowiek jest „sławny” i „miły”. Tę reputację trzeba stale potwierdzać nowymi czynami i nową zręcznością: „Odnawiać wielkość, wciąż na nowo zyskiwać dobre imię i budzić poklask”³⁵. Sukces można zdobyć tylko dzięki przychylności wielkich tego świata i przyjaźni sobie równych. Żeby je sobie zapewnić, wolno nawet być niesprawiedliwym, ukrywać własne wady i udawać zalety. Zatajenie jest dozwolone: „Człowieku, jeśli twoją namiętnością sława, jeśli pożądasz wielkości, niechaj wszyscy cię znają, lecz nikt nie rozumie. Jeśli będziesz zręczny, to, co małe, wyda się duże, co duże – nieskończone, a nieskończone – jeszcze większe”.

„Cnota jest naczelnym celem wszystkich, którzy chcą zdobyć sobie szacunek na dworze; choć widać ją tylko splamioną i w przebraniu, każdy chce, by mniemano, że ją posiada nietkniętą”³⁶. To zrozumiałe: „Człowiek, któremu się zdarzy choćby raz tylko rozmawiać z dworzaniem, będzie tym spotkaniem zaszczycony i opowie o nim to, czego nigdy by nie powiedział, gdyby zajrzał tamtemu do duszy”³⁷.

Żeby „zdobyć sobie serca”, potrzebna jest „ogłada”, „wzniosła dusza, życie bez skazy”. Znowu wracamy do obyczajności, grzeczności, umiejętności poruszania się w towarzystwie, pięknego pozoru: „Bez tego najlepsze wykonanie będzie martwe, a największa nawet doskonałość odstręczająca”³⁸.

W drugiej połowie XVII wieku literatura wyrosła z „obyczajności” Erazma i *Dworzanina* Castiglione ulega istotnym zmianom.

Kiedy dworzania zastąpił człowiek dobrze wychowany, a dwór – towarzystwo, zniknął ideał ambicji i wywyższenia. Zbyt otwarcie dążyć do sukcesu i prestiżu nie jest już w dobrym tonie. Pojawia się nowy ideał, który kultywować będzie w całej swej twórczości kawaler Méré: poszukiwanie złotego środka, wytwornej przeciętności. Znaczenie stosunków towarzyskich jest nie mniejsze, lecz nie mają już one tej samej wartości moralnej. Dobre wychowanie nadal jest niezbędne, ale przestaje być cnotą. Zarysowuje się nieśmiało ewolucja, która nabierze rozmachu w XVIII i XIX wieku: wszechpanująca towarzyskość czasów dawnych sprowadzona zostanie do bardziej nietrwałej i mniej bogatej światowości. Ale w XVII wieku to dopiero początek, towarzyskość, mniej może heroiczna i modelowa, nadal jest bardzo zagęszczona i zobowiązująca.

³⁵ Balthazar Gracian, *op. cit.*

³⁶ N. Faret, *op. cit.*

³⁷ Bardin, *Le Lycée*, 1632–1634, 2 tomy.

³⁸ Balthazar Gracian, *op. cit.*

Jak już mówiliśmy, podręczniki dobrych manier służyły dzieciom i dorosłym, którzy jeszcze nie opanowali zasad właściwego zachowania. Jak ich odległe poprzedniczki ze średniowiecza, uczą one, jak człowiek bywały powinien się prowadzić, jakie są przyjęte zwyczaje, których przedtem nikt nie opisywał, choć były przecież respektowane. W drugiej połowie XVII wieku te księgi zachowują swój tradycyjny charakter, lecz coraz więcej miejsca zajmują w nich rady i zalecenia adresowane wyłącznie do dzieci, na przykład dotyczące zachowania ucznia. W „Obyczajności dziecięcej i zacnej na użytek dzieci” z 1761 roku³⁹ jest cały rozdział o tym, jak ma się zachowywać dziecko w szkole, oparty na dialogach szkolnych Cordiera, który był regentem. Wchodząc do klasy uczeń ma zdjąć czapkę, ukłonić się nauczycielowi i pozdrowić kolegów. Nie wolno mu zmieniać miejsca, ma zostać tam, gdzie go nauczyciel posadził. „Nie przeszkadzajcie kolegom, nie popychajcie ich ani nie potrącajcie... Nie bądźcie niepocziwi i niegrzeczni, nie odmawiajcie kolegom w potrzebie atramentu, pióra, czy czego by tam zapomnieli przynieść... Jest oznaką złościwości okazywać radość na wieść, że ktoś został ukarany”. Nie chodzi już tylko o wpojenie dziecku zwyczajów dorosłych, których uczyło się wcześniej w praktyce podczas terminowania; „obyczajności” biorą pod uwagę życie szkolne i dostosowują się do niego. To wynik rozwoju szkół i wyodrębnienia dzieciństwa, któremu poświęca się coraz więcej miejsca w podręcznikach dobrych manier. Za to mniej się mówi o dorosłych.

W odróżnieniu od tradycyjnych „obyczajności”, które formułowały tylko przyjęte zwyczaje, „Nowa obyczajność” z 1671 roku⁴⁰ przypomina już traktat wychowawczy na użytek rodziców: jak karać dziecko, kiedy zacząć je uczyć liter. „W domu ma powtarzać to, czego nauczyło się w szkole lub w kolegium, i uczyć się tego, z czego będzie odpowiadać przed nauczycielem”. Wieczorem rodzice dokonują oceny: „jeśli dziecko sprawowało się po męsku”, myją je i głaszczą. Jeśli popełniło jakieś drobne przewinienia, „ukarzą je, wyśmiewając się z niego i drwiąc albo stosując jakąś inną łagodną i łatwą do zniesienia karę. Jeżeli pozwoliło sobie na czyn bliski przestępstwa, jak świętokradztwo, kradzież, kłamstwo, albo jeśli obraźliwym słowem lub ciężkim przekleństwem potraktowało służącą czy lokaja, albo jeśli było uparcie i pogardliwie nieposłuszne, zostanie ukarane chłostą... Potem dziecko powie dobranoc rodzicom i nauczycielom, po czym pójdzie za potrzebą. Rozebrane dziecko położy się spokojnie do łóżka spać, bez niepotrzebnego gadania i opowiadania bajek [nigdy nie spało samo w pokoju]. Położy się przyzwoicie i wygodnie, starannie się przykryje; nie będzie spać na plecach ani na brzuchu, tylko na boku [za-

³⁹ *La Civilité puérile...*

⁴⁰ *La Civilité nouvelle, op. cit.*

lecenie higieny średniowiecznej], nie będzie spać bez koszuli ze względu na przyzwoitość i żeby w razie czego mogło szybko znaleźć swoje ubranie”.

Nawet rozszerzony repertuar tradycyjnych „obyczajności” wydawał się zbyt ograniczony jak na nowe potrzeby wychowawcze. Pojawiły się więc, zwłaszcza w środowisku Port-Royal, prawdziwe rozprawy pedagogiczne sformułowane w postaci rad dla rodziców, jak na przykład „O chrześcijańskim wychowaniu dzieci” Varet⁴¹ czy „Reguły wychowania dzieci” Coustela⁴². Choć zawierają one rozdziały jakby wyjęte z tradycyjnych podręczników dobrych manier (w rozmowie, przy stole), napisane są w zupełnie innym duchu. To przestrogi dla rodziców. Mowa w nich także o wyborze zawodu dla dziecka, o problemach związanych z wyborem szkoły, nauczycieli, lektur (zakazać powieści, bo to trucizna dla duszy), gier i metod wychowawczych. „Dostosujcie się, jak tylko możecie, do ich słabości, jeśli to konieczne, dukajcie razem z nimi, żeby się nauczyły lekcji”. A więc obok rad dla rodziców mamy też rady dla nauczycieli. Niechaj rodzice zachowują się przy dzieciach należycie, niech świecą przykładem, niech czuwają nad tym, z kim się dziecko zadaje i „dadzą im zajęcia zgodne z zamierzeniami, jakie mają co do ich przyszłości, żeby dzieci nie żyły w gorszącym lenistwie”; niechaj „nie rezygnują z własnej wygody na rzecz dzieci”⁴³.

Nie są to już, jak widzimy, tradycyjne podręczniki dobrych manier, bo nie przedstawiają przyjętych zwyczajów na użytek dzieci i nieobitych dorosłych, lecz instrukcje dla rodziny, dotyczące jej obowiązków względem dzieci, i porady, jak się z nimi obchodzić. Różnica między traktatem Erazma a wychowawczymi rozprawami Coustela i Varet daje miarę dystansu, jaki dzieli rodzinę z końca XV wieku, kiedy utrzymywały się jeszcze średniowieczne zwyczaje posyłania dzieci na naukę do obcych domów, i rodzinę z drugiej połowy XVII wieku, zorganizowaną już wokół dzieci.

Nowa edukacja rodzinna nie wyparła jednak tradycyjnych „obyczajności”, bo zacieśnienie rodziny wokół dziecka nie sprzeciwiało się jeszcze starym nawykom towarzyskości: sami wychowawcy przyznają, że stosunki z ludźmi są najważniejsze.

Skoro wszystko zależy od stosunków z ludźmi, wypada się zastanawiać, gdzie się ludzie spotykali? Jak dawniej spotykali się często na dworze, na ulicy. Nie tylko przypadkowo, dlatego że miasta były małe, lecz i dlatego, że były w nich ulice i place-deptaki, gdzie w określonych godzinach spotykało się przyjaciół, co ma miejsce jeszcze dziś w miastach śródziemnomorskich. Na

⁴¹ Varet, *op. cit.*

⁴² Coustel, *op. cit.*

⁴³ *Ibid.*

Corso czy na Piazza Major panował ożywiony ruch. Dziś opustoszały, a przechodnie nie znają się nawzajem. Współczesny turysta nie rozpoznałby placu Bellcour w Lyonie, czytając jego opis w relacji opata Locatellogo⁴⁴, włoskiego podróżnika z 1664 roku: „Mężczyźni i kobiety spacerowali trzymając się pod rękę, tak jak się trzyma dziecko... Kobieta pod rękę z dwoma mężczyznami, mężczyzna z dwiema kobietami. Nienawykły do takich manier [opat przyjechał z Bolonii, gdzie widać panowały surowsze niż w Lyonie obyczaje] myślałem, że się znalazł w burdelu... Patrzyłem, jak się cieszą, jak podają sobie ramię zgięte niczym ucho u kosza i tak przytuleni spacerują”. Zdumienie tego bolończyka z XVII wieku na widok roześmianych ludzi spacerujących pod rękę odczuwamy dzisiaj sami, kiedy wmieszamy się w tłum Włochów.

Spotykano się więc na ulicy, a gdzie się umawiano? W XIX wieku i jeszcze dziś ludzie, przynajmniej mężczyźni, zbierali się w kawiarni. Nasza współczesna cywilizacja byłaby bez kawiarni nie do pojęcia: jest to jedyne miejsce spotkań dostępne w każdej chwili, regularne jak nawyk. W Anglii takim miejscem jest pub, miejsce publiczne. Społeczeństwo w XVI i XVII wieku nie znało kawiarni. Tawerna i szynk to były miejsca podejrzane, w których zbierali się hultaje, prostytutki, żołnierze, wałęsający się uczniowie, żebracy i awanturnicy wszelkiej maści; szanujący się obywatel w nich nie bywał, i to niezależnie od swego stanu. Innych miejsc publicznych nie było – poza prywatnymi domami, a przynajmniej niektórymi z nich, wielkimi domami na wsi bądź w mieście⁴⁵.

Co to znaczy wielki dom? To określenie ma zupełnie inny sens niż dzisiaj, ba, to dokładne jego przeciwieństwo. To, czy dom jest duży, zależy dziś od tego, ile osób w nim mieszka. Duży dom to taki, w którym żyje niewiele osób. Gdy tylko jest ich więcej, mówimy, że się robi ciasno, czyli dom przestaje być duży. W XVII, a także w XV i XVI wieku, duży dom jest pełen ludzi, bardziej zagęszczony niż małe domy. Ta bardzo istotna obserwacja wynika ze wszystkich badań gęstości zaludnienia na „dym”, dokonanych przez historyków demografów.

Na podstawie spisu mieszkańców z 1695 roku przeprowadzono analizę ludności Aix-en-Provence pod koniec XVII wieku⁴⁶. Ukazuje ona wyraźny kontrast między biednymi i gęsto zaludnionymi dzielnicami a dzielnicami bogatymi o mniejszym zaludnieniu: w tych pierwszych domy są małe i mieszka w nich niewiele osób, w tych drugich domy są wielkie i pełne ludzi. Niektóre domy liczą zaledwie trzech lub mniej mieszkańców, w innych mieszka aż 31 (2 państwa, 6 dzieci, 17 służących) albo 17 osób (2 państwa, 8 dzieci, 7 służących).

⁴⁴ Locatelli, *Rélation de voyage en 1664*, wyd. W. Blunt. *The adventures of an italian priest*, London 1956.

⁴⁵ Lagniet przedstawia w „Przysłowia” karcznię, w której obecność dziecka bynajmniej nie razi.

⁴⁶ J. Carrière, *La Population d'Aix-en-Provence à la fin du XVIIè siècle*. Rocznik fakultetu literatury w Aix-en-Provence, 1958.

Takie kontrasty występują nie tylko w Prowansji u schyłku XVII wieku. Podobne dane znajdujemy w artykule na temat Carpentras w połowie XV stulecia⁴⁷. 23 rodziny notabli liczą 177 osób, to znaczy 7,7 na „dym”; 17,4% populacji żyje w domach liczących ponad 8 mieszkańców. Szlachcic ma 25 osób pod swoim dachem. Architekt katedry mieszka razem z 14 stołownikami. Wyciągać z tych liczb wnioski co do przyrostu naturalnego byłoby rzeczą wysoce niepewną, za to wynika z nich jasno, że w bogatych domach obok rodziny we właściwym sensie tego słowa mieszka cały tłum służących, podwładnych, kleryków, kancelistów, subiektów, uczniów, czeladników itp. Tak to wyglądało mniej więcej wszędzie w Europie Zachodniej od XV do XVII wieku. Te domy, nawet jeśli nie nazywano ich pałacami, były duże, z wieloma pokojami na każdym piętrze, z wieloma oknami wychodzącymi na ulicę, podwórze lub ogród. Same w sobie tworzyły prawdziwą grupę społeczną. Obok rozległych, gęsto zaludnionych pańskich domów były też małe domki, w których mieszkały pary małżeńskie z kilkoma najmłodszymi dziećmi. W mieście, gdzie widzimy je jeszcze czasem w starych dzielnicach, miały zaledwie jedno lub dwa okna na piętro. Według Paula Massona⁴⁸ dom z dwoma oknami, ulepszenie domu jednookiennego, pojawił się wprawdzie w Marsylii: „Mieszkania na piętrach składają się z dwu pokoi, jeden wychodzi na ulicę, drugi na wąską przestrzeń dzielącą tyły domu od budynków stojących przy sąsiedniej ulicy”. Często zresztą dwa okna oświetlały jedno tylko pomieszczenie. A zatem w ubogich, miejskich mieszkaniach mamy jeden lub dwa pokoje. Nie inaczej jest na wsi, a tam gdzie są dwa pomieszczenia, jedno służy zwierzętom. Te małe, biedne domki nie spełniały żadnej funkcji społecznej, były miejscem do spania i czasem (nie zawsze) posiłków. Nie mogły nawet uchodzić za ognisko domowe. Poważny kryzys mieszkaniowy w latach pięćdziesiątych naszego stulecia uprzytomnił nam, jaki wpływ ma mieszkanie na rodzinę. To pewne, że w czasach minionych ludzie lepiej znosili uciążliwe sąsiedztwo bliźnich. Ale konieczna jest jakaś minimalna przestrzeń, poniżej której życie rodzinne jest niemożliwe, a uczucia rodzinne, któreśmy tu opisali, nie mogą się rozbudzić ani rozwinąć. Mamy prawo sądzić, że biedni, nędznie mieszkający ludzie kochali swoje małe dzieci, żywili banalny, elementarny sentyment do dzieciństwa, ale obce im były bardziej skomplikowane i nowoczesne formy uczuć rodzinnych. Były to nadal, jak w średniowieczu, rodziny ciche, o których milczy historia. To pewne, że młodzi bardzo wcześnie opuszczali te jednoizbowe pomieszczenia, te nory,

⁴⁷ R. H. Bautier, *Feux. Population et Structure sociale au milieu du XV^e siècle*, „Annales ESC” 1959, s. 255-268.

⁴⁸ cytowany przez J. Carrière, *op. cit.*

jakbyśmy je dziś określili, żeby przenieść się – dwóch braci razem, mąż z żoną – do innych nor lub zamieszkać pod cudzym dachem, w wielkich domach notabli, jako uczniowie, służący czy subiekci.

Te wielkie domy na wsi lub w mieście (gdzie zajmowały czasem tylko jedno piętro), nie pałace ani rezydencje, to właśnie środowisko kulturalne, w którym zrodziły się uczuciowe związki rodzinne i świadomość odrębności dzieciństwa. Wszystkie obserwacje stanowiące materiał tej książki dotyczą tego środowiska. Pierwszą nowoczesną rodziną jest rodzina notabli. To ją właśnie przedstawia bogata ikonografia rodzinna połowy XVII wieku, ryciny Abrahama Bosse'a, portrety Ph. de Champaigne, scenki rodzajowe malarzy holenderskich. Dla niej pisali moralisci wychowawcy, dla niej rozmnożyły się kolegia. Dla niej – to znaczy dla całej grupy społecznej, jaką tworzyła ta rodzina, gdzie prócz rodziców z dziećmi nie było innych krewnych (bo rodzina patriarchalna była rzadkością), najwyżej jakiś nieżonaty brat, lecz za to cała klientela służących, przyjaciół i protegowanych.

Wielki dom odgrywał rolę publiczną. W społeczeństwie bez kawiarni, bez *public house*, był jedynym miejscem, w którym przyjaciele, klienci, krewni i protegowani mogli się spotykać i rozmawiać. Do służących, klerków i podwładnych rezydujących na stałe trzeba dodać tłum gości przewijających się bezustannie. Nie przejmowali się oni godziną i nigdy nie wypraszano ich za drzwi, skoro siedemnastowieczni wychowawcy uważali, że częstotliwość i rozmaite pory odwiedzin uniemożliwiają regularne posiłki, co dla dzieci tak jest szkodliwe, że lepiej je posłać do kolegium, nie bacząc na ryzyko moralne, jakie się z tym wiąże. Stały przepływ gości odrywał dzieci od pracy. Wydaje się, że te bezustanne wizyty rządziły życiem domu, nawet godziny posiłków były od nich zależne.

Dom odwiedzali nie tylko znajomi i przyjaciele, przychodzono także w interesach, ale te wizyty nie różniły się właściwie od siebie, bo na przykład klienci notariusza byli jednocześnie jego *totumfackimi*. Nie było wyspecjalizowanych pomieszczeń służących do pracy. Ani sędzia, ani kupiec, ani bankier, ani przedsiębiorca nie miał swego biura. Przyjmował ludzi w tych samych pokojach, gdzie mieszkał wraz z rodziną.

Pomieszczenia domowe też nie były wyspecjalizowane – łączyły się ze sobą, a w najbogatszych domach tworzyły amfiladę sal zajmujących całe piętro. Pokoje na innych piętrach były mniejsze, ale też połączone ze sobą. Żadna izba poza kuchnią nie miała specyficznego przeznaczenia, a i to często gotowano jedzenie na palenisku w największej sali. Wyposażenie kuchni w średniowiecznych domach miejskich nie pozwalało na jakieś wyszukane potrawy, więc kiedy przychodzili goście, kupowało się gotowe dania w najbliższej gospodzie. Kiedy Hortensjusz, „preceptor” czy regent Francjona, chciał ugościć towarzystwo, mówił do swego zaufanego „pedla”: „Idź do mego kamrata szynkarza, każ

mu przysłać najlepszy muskat i kawał pieczeni. Mówił tak, bo było już późno, a widząc, że goście przyprowadzili z sobą lirnika, uznał, że powinien ugościć wieczerzą wszystkich, którzy się w jego komnacie znaleźli”. Francjon poszedł razem z „pedlem” do szynku. „Nie znaleźliśmy niczego, co kazał przynieść, wzięliśmy tylko wino. Postanowiliśmy pójść do gospody przy Małym Moście. Tam pedel kupił kapłona, a że chciał jeszcze nabyć pieczeń, poszedł się rozejrzeć do wszystkich szynkarzy, czy nie znajdzie się jakaś dobra”.

Pokoje służyły do wszystkiego. Jadło się tam, ale jeszcze nie na specjalnym stole, „pokój stołowy” jeszcze nie istniał: do jedzenia kładło się blat na kozłach i nakrywało go obrusem, jak to możemy zobaczyć na rycinach Abrahama Bosse’a. W połowie XV wieku architekt Alberti⁴⁹, wielki *laudator temporis acti**, wspomina zwyczaję czasów swojej młodości: „Kiedy byliśmy młodzi... żona posyłała mężowi flaszkę wina i coś do chleba; sama jadła w domu, a mężczyźni w warsztacie”. Niegdysiejszej prostocie Alberti przeciwstawia aktualnie panujące obyczaje miejskie: „Stół nakryty dwa razy dziennie jak do uroczystej biesiady”. Ale nie trzeba tego brać dosłownie, stary zwyczaj utrzymał się w wielu rodzinach rzemieślniczych i chłopskich. Stół był składany, tak samo jak znaczna część mebli na początku XVII wieku⁵⁰.

W tych samych pomieszczeniach, gdzie się jadło, również się spało, tańczyło, pracowało i przyjmowało gości. Na rycinach widzimy łóżko obok stolika z wystawionymi cynowymi naczyniami albo łóżko w kącie izby, w której ludzie jedzą przy stole. Obraz P. Codde’a z 1636 roku⁵¹ przedstawia bal: w głębi sali, gdzie tańczą postacie w maskach, stoi łóżko z zaciągniętymi zasłonami. Przez długi czas łóżka również były składane. Paziowie i uczniowie rozkładali je dla gości. Autor *Chastel de joyeuse destinée* chwali młodzieńców „nawykłych do francuskich obyczajów”⁵²:

Francuscy chłopcy szybko nas obsługiwali,
I tak zręcznie rozkładali łóżka,
Ażem się zdziwił.

12 marca 1606 roku Heroard⁵³ notuje: „Już ubrany, pomaga [przyszły Ludwik XIII] złożyć swoje łóżko”. 14 marca 1606: „Zaprowadzony do królowej, umieszczony zostaje w sypialni króla [nieobecnego]; pomaga przenieść swoje

⁴⁹ P. H. Michel, *La Pensée de L. B. Alberti*, 1930.

* Chwalca danego czasu.

⁵⁰ P. du Colombier, *Style Henri IV et Louis XIII*, 1941, s. 49.

⁵¹ P. Codde, reprod. w: Berndt, 187.

⁵² *Jardin de Plaisance*, wyd. Droz et Piaget, s. 93.

⁵³ Heroard, *op. cit.*

łóżko, tak żeby go królowa widziała; pani de Montglat każe je tam dla niego ustawić”. 8 września 1608, w momencie wyjazdu do Saint-Germain: „Sam pomaga złożyć swoje łóżko, tak mu śpieszno jechać”. Ale na początku XVII wieku coraz mniej jest tych składanych łóżek. Już Alberti, wdychając za starymi dobrymi czasami, notował: „Pamiętasz, jak nasi najszacowniejsi obywatele, wyjeżdżając na wieś, zabierali ze sobą łóżka i przybory kuchenne, które przywozili ze sobą, gdy wracali do miasta. Teraz wyposażenie samej sypialni jest większe i droższe niż kiedyś wyposażenie całego domu w dzień zaślubin”⁵⁴. Przemiana składanego łóżka w trwały mebel wiąże się niewątpliwie z większą intymnością życia. Ozdobne łoże z zasłonami służy artystom do zilustrowania scen z życia prywatnego: w pokoju, w którym stoi łóżko, spotykają się nowożeńcy, rodzi położnica, umierają starcy, a także rozmyślają samotnicy. Nie jest to jednak wcale sypialnia, lecz nadal miejsce publiczne. Toteż trzeba było wyposażyć łóżko w kotary, które się odsłaniało bądź zasłaniało, żeby ochronić intymność tych, co w nim leżeli. Bo rzadko kiedy człowiek spał sam, zwykle oczywiście z żoną, ale też i z innymi osobami własnej płci.

Łóżko stanowiło wydzieloną część pokoju, jakby osobne schronienie, i mogło stać ich kilka w jednej izbie, na przykład w czterech kątach. Bussy-Rabutin⁵⁵ opowiada, jak podczas którejś z kampanii młoda dziewczyna, bojąc się żołnierzy, poprosiła, by jej udzielił schronienia i gościny: „Kazałem moim ludziom dać jej jedno z czterech łóżek stojących w moim pokoju”.

Wyobraźmy sobie, jaki rejewach musiał panować w tych pomieszczeniach, gdzie nie można się było odizolować, przez które przechodziło się do innych pokoiów połączonych w amfiladzie, gdzie sypiało po kilka małżeństw albo wiele dziewcząt i chłopców (nie licząc służących, którzy też sypiali, przynajmniej niektórzy, obok swoich panów i rozstawiali swoje, składane jeszcze łóżka w izbie lub za drzwiami), gdzie się jadło, przyjmowało znajomych i interesantów, a czasem rozdawało jałmużnę żebrakom. Rozumiemy już, dlaczego w spisach ludności domy notabli są gęściej zaludnione niż małe, jedno- lub dwuizbowe mieszkanek ubogich. Te domy, w których rodziło się już przecie nowoczesne poczucie związków rodzinnych, wcale nie dawały schronienia przed światem, lecz były ośrodkiem intensywnego życia społecznego. Wokół nich powstawały koncentryczne koła towarzyskie, coraz luźniejsze na obrzeżach: koła krewnych, przyjaciół, klientów, podopiecznych, wierzycieli itp.

W środku tej skomplikowanej siatki rezydowała grupa dzieci i służących. Rozwój uczuciowego stosunku do dziecka w XVI i XVII wieku oraz nieufność moralistów do domowej czeladzi jeszcze tej grupy nie rozbiły. Była jakby żywą i głośną duszą wielkiego domu. Na licznych rycinach widzimy dzieci razem ze

⁵⁴ P. H. Michel, *op. cit.*

⁵⁵ Bussy-Rabutin, *Mémoires*, 1704, 3 tomy.

służącymi, też na ogół bardzo młodymi: na przykład na ilustracji do przysłów Lagnieta⁵⁶ mały „pacholik” bawi się z pańskim dzieckiem, które dopiero zaczyna chodzić. Takie same poufałe stosunki ze służbą i uczniami musiały panować w domach rzemieślników i rolników. Nie było większej różnicy lat między dziećmi gospodarzy a służącymi, których najmowano w bardzo młodym wieku, niektórzy byli mlecznym rodzeństwem członków rodziny. *Book of Common Prayer* z 1549 roku zaleca ojcom rodzin czuwać nad wykształceniem religijnym wszystkich dzieci w domu, to znaczy *children, servants and prentices*, czyli do domowych dzieci zaliczają się służący i uczniowie. Bawią się wspólnie w szczeniące zabawy. „Wyobraź sobie, z tymi dniami lokaj księdza, figlując jak młody psiak z miłą Jacqueline, zbił ją z nóg, złamał jej rękę i wywichnął nadgarstek. Biedaczka krzyczy okropnie...”, pisze pani de Sévigné wyraźnie rozbawiona⁵⁷.

W XVII wieku synowie rodzin nadal wykonywali domowe posługi, szczególnie przy stole, co zbliżało ich do świata służby. Kroili mięso, podawali tak zwany serwis francuski, który dzisiaj znikł, a polegał na podawaniu wielu dań jednocześnie, jak w bufecie, rozlewali wino do kielichów. Podręczniki dobrych manier aż do końca XVIII wieku poświęcają osobny rozdział sztuce podawania do stołu. Wiele mamy w malarstwie siedemnastowiecznym rodzajowych scenek, przedstawiających dzieci usługujące do stołu⁵⁸. Usługiwanie innym nie miało jeszcze w sobie nic poniżającego, tak samo zresztą jak „uzależnienie” od innych. Prawie zawsze „należało się” do kogoś. Piętnasto- i szesnastowieczne traktaty o sztuce podobania się w rodzaju *Dworzanina* zalecają drobnemu szlachetce, żeby starannie wybrał pana i zaskarbił sobie jego życzliwość. Społeczeństwo przedstawiało się jeszcze jako sieć rozmaitych „zależności” i trudno czasem odróżnić usługi honorowe od opłacanych, które pełnili podrzędni słudzy. W XVII wieku zaczęto już jednak łączyć służących z wykonywaniem pogardzanych, mechanicznych czynności. Ale w stosunkach między panem a sługą było coś więcej niż tylko przestrzeganie umowy lub wyzysk ze strony gospodarza: łączył ich egzystencjalny związek, w którym mieściła się i brutalność pana, i przebiegłość służącego, związek wynikający ze wspólnie dzielonego życia. Zwróćmy uwagę, jakich terminów używają moralisci na określenie obowiązków ojca rodziny: „Postępowanie mądrego ojca rodziny sprowadza się do trzech głównych zadań. Po pierwsze, ł a g o d n i e t r a k t o w a ć ż o n ę. Po drugie, d o b r z e w y c h o w a ć d z i e c i. Po trzecie, p a n o w a ć n a d s ł u ż b ą”⁵⁹. „Salomon daje nam tu bardzo dobrą radę, obejmującą wszystkie obowiązki pana względem służących. Są trzy rzeczy, powiada,

⁵⁶ Lagniet w „Przysłowiach”.

⁵⁷ Madame de Sévigné, *op. cit.*, list z 19 sierpnia 1671.

⁵⁸ Helmont (1623–1679): *Chłopiec podający do stołu*, w: Berndt, 365.

⁵⁹ De Gerard, *Entretiens*, I, s. 153.

których im nigdy nie powinno brakować: chleba, pracy i upomnień. Chleba – bo to ich prawo, pracy – bo to ich obowiązek, upomnień i kar – bo to leży w naszym interesie”. „Niewielu tylko służących źle by się sprawowało, gdyby ich karmić należycie i regularnie wynagradzać”. Ale nie wypłacano im gaż tak, jak dziś się płaci pensje. Oto co mówi na ten temat Coustel⁶⁰: rozrzutność rodziców doprowadza do tego, że „nie są w stanie wynagrodzić służących, spłacić wierzycieli i wesprzeć biednych, tak jak powinni”. A Bordelon z kolei⁶¹: „Są między służącymi a państwem wzajemne obowiązki. Za ich usługi i posłuszeństwo dajcie im *w y n a g r o d z e n i e i w s p ó ł c z u c i e*”. Nie płaciło się słuzącemu, tylko się go wynagradzało, a traktowało się go nie tyle sprawiedliwie, ile opiekuńczo i litościwie, tak jak dziecko. Nikt nie wyraził tego lepiej od Don Kichota, kiedy obudziwszy się patrzył na śpiącego jeszcze Sancza: „Śpisz, mówię raz jeszcze i powiem jeszcze ze sto razy... Nie męczy cię myśl o wyżywieniu rodziny... Troska o zaspokojenie twoich potrzeb na mnie została włożona; jest to ciężar i obowiązek, który natura i obyczaj nakładają na panów. Sługa śpi, podczas gdy pan jego czuwa myśląc, jak go wyżywić, los jego polepszyć i dobra mu przysporzyć. Widok pałającego nieba, odmawiającego ziemi błogiej wilgotności, zasmuca nie sługę, lecz pana, który musi się troskać w dniach nieurodzaju i głodu o tego, co mu służył w dniach szczęśliwej obfitości”⁶². Taka osobista zależność rodziła poufałość, przejawiającą się w języku, jakim służące i lokaje zwracają się do swoich panów jeszcze w komediach Moliera. W izbach bez specjalnego przeznaczenia, gdzie jadło się, spało i przyjmowało gości, służący nie rozstawali się z gospodarzami. W „Pogawędkach w alkowie położnicy” pokojówka bez żenady wtrąca się do rozmowy. „Księżna pani [de Condé] od jakiegoś czasu zapalała sympatią do jednego ze swoich lokajów, niejakiego Duwala. Ten zaś był tak szalony, że nie mógł znieść względów, jakimi darzyła również swojego pazia, młodego Rabutina”, pisze pani de Sevigne⁶³. Pokłócili się w obecności księżnej: „Rabutin sięgnął po szpadę, żeby ukarać Duwala, t e n w y c i ą g n ą ł s w o j ą i księżna, która stanęła między nimi, żeby ich rozdzielić, została zadraśnięta”.

Wśród dorosłych nie było już pewnie takiej zażyłości. Moraliści, którzy tak się troszczyli o dobre traktowanie służących, doradzali jednocześnie jak największą wobec nich powściągliwość: „jak najmniej rozmawiajcie ze sługami”⁶⁴. Ale dzieci i młodzież żyli z nimi nadal za pan brat. Od najmłodszych lat bawili

⁶⁰ Coustel, *op. cit.*

⁶¹ Bordelon, *op. cit.*

⁶² M. Cervantes, *op. cit.*, t. II, s. 150-151.

⁶³ Madame de Sévigné, *op. cit.*, list z 23 stycznia 1671.

⁶⁴ Bordelon, *op. cit.*

się wspólnie z lokajczykami, którzy bywali do nich bardzo przywiązani i usługiwali im w kolegium; łączyło ich niekiedy prawdziwe koleżeństwo. Znamy służących Moliera i lokaja z „Kłamcy” Corneille’a, ale najszczerzej wyraził swoje uczucie do pana zapomniany sługa z komedii Lariveya „Scholarzy”: „Wyrośłem razem z nim i kocham go najmocniej na świecie”.

Historycy dawno nas już przekonali, że król nigdy nie był sam. Ale do końca XVII wieku faktycznie nikt nigdy nie był sam. Zagęszczenie społeczeństwa uniemożliwiało izolację, mało komu udawało się czasem zniknąć na dłuższy czas w „ogrzewanej izbie” albo w „pracowni”. Stosunki z równymi sobie, stosunki z ludźmi tego samego stanu, lecz uzależnionymi, wreszcie stosunki ze służbą powodowały, że człowiek ani przez chwilę nie był sam. Nieustanne obcowanie z ludźmi przez długi czas hamowało rozwój uczuć rodzinnych, które wymagają intymności. W XVI i XVII wieku nowa, a w każdym razie inaczej postrzegana relacja uczuciowa rodziców i dzieci nie wyrugowała towarzyskości. Świadomość dzieciństwa i rodziny – w takim sensie, w jakim mówi się o świadomości klasowej – potrzebowała stref prywatności fizycznej i moralnej, wcześniej nie istniejących. Dostosowała się jednak do wszechpanującego sąsiedztwa bliźnich. Tradycyjną towarzyskość i nową świadomość rodzinną udało się połączyć tylko w niektórych rodzinach notabli – miejskich i wiejskich, szlachecko urodzonych i plebejuszy, chłopów i rzemieślników. Domy notabli stały się ośrodkami życia społecznego, wokół których grawitował cały skomplikowany i ludny świat. Ale ta równowaga między rodziną a społecznością nie oparła się ewolucji obyczajów i postępującej prywatyzacji życia.

Od wieku XVIII rodzina zaczyna odgradzać się od społeczeństwa, odpychać je poza rozszerzającą się coraz bardziej strefę życia prywatnego. Cała organizacja domu służy temu nowemu celowi, żeby się przed światem bronić. Pokoje są od siebie niezależne, wychodzą na wspólny korytarz. Nawet jeśli łączą się ze sobą, żeby przejść z pokoju do pokoju, niekoniecznie trzeba przechodzić przez wszystkie pozostałe. Równocześnie z intymnością, dyskrecją i izolacją rodzi się komfort, będący ich przejawem. Łóżka nie stoją już byle gdzie, lecz w sypialni, wyposażonej po obu stronach alkowy w szafy i wnęki na nowe przybory toaletowe i higieniczne. We Francji i we Włoszech sypialnia (*chambre*) przeciwstawia się sali (*salle*) – kiedyś były synonimami. Sypialnia oznacza pokój, w którym się śpi, sala – ten, gdzie się je i przyjmuje gości: salon, pokój stołowy – *la camera* i *la sala da pranzo*. W Anglii używa się jednego określenia *room*, ale dodatkowo precyzuje jego przeznaczenie: pokój do jedzenia, pokój do spania...

Specjalizacja pomieszczeń, początkowo w domach mieszczańskich i szlacheckich, to niewątpliwie ogromna zmiana w życiu codziennym. Odpowiada ona nowej potrzebie izolacji. Służba mieszka w odległych pokojach specjalnie dla niej przeznaczonych, jedynie u książąt kultywuje się stare zwyczaje. Sebastian Mercier notuje nowy obyczaj: damy dzwonią na pokojówki. Dzwonki zamontowane są w taki sposób, że można wzywać służbę z daleka, podczas gdy dawniej słyhać je było co najwyżej w tym samym pokoju. Bardzo to charakterystyczny objaw nowej potrzeby odseparowania się od służących, a także od intruzów. Pod koniec XVIII wieku nie przychodzi się już do przyjaciół lub wspólników o dowolnej porze i bez uprzedzenia. Albo przyjmuje się gości w określone dni tygodnia, albo „przesyła się sobie wzajem bilety przez czeladź”⁶⁵. Tak działa „mała poczta”: lokaj roznosi bilety – „bardzo to wygodne, nikt nie musi się pokazywać, każdy ma prawo zamknąć drzwi”. Te nowe zwyczaje odmieniają to, co było niegdyś najbardziej naturalnym zajęciem, sposobem prowadzenia interesów, zachowania pozycji i przyjaciół. Dawniej człowiek żył publicznie i na widoku, wszystko się załatwiała ustnie, w rozmowie. Teraz następuje rozdział między życiem towarzyskim, zawodowym i prywatnym, każdemu służy inny pokój: salon, gabinet i sypialnia.

Zwyczaj posyłania bilecików i przyjmowania gości w określony dzień nie jest odosobniony. Należy do nowego kodeksu manier, który – pod nową nazwą grzeczności – zastąpił dawną ogładę i służy ochronie wolności i prywatności indywidualnej i rodzinnej przed społeczną presją. Dawna ogłada była sztuką życia we wspólnocie, życia na pokaz. Nowa grzeczność zobowiązuje do dyskrecji i poszanowania cudzej intymności. Zmienił się ton, co trafnie spostrzegł Sebastian Mercier: „Obyczaje znacznie się uprościły, już tylko prowincjusze bywają ceremonialni”. Posiłki nie ciągną się jak dawniej w nieskończoność: „Jada się krócej, a swobodnie rozmawia i opowiada uciężne historie już nie przy stole”, lecz w salonie, w pokoju, do którego goście przechodzą po jedzeniu: *drawing room*. „Nikt nie namawia już do picia, nie dręczy, byle tylko pokazać, że jest dobrym gospodarzem. Nie proszą już, byś zaśpiewał” (koncerty przy stole z owocami w XVI i XVII wieku!). „Zrezygnowano z tych głupich i śmiesznych obyczajów naszych przodków, nieszczęsnych gorliwców kłopotliwej i dokuczliwej etykiety, którą nazywali *p r z y z w o i t o ś c i ą*”. „Ani chwili spokoju, z pedantycznym uporem licytowali się w grzecznościach przy jedzeniu, a znawcy ceremoniału przyklaskiwali tej dziecinadzie”. „Z tych starych, trywialnych zwyczajów przetrwał tylko zwyczaj mówienia «na zdrowie!», kiedy ktoś kichnie”. „Już tylko szewc albo krawiec obejmuje cię szczerze lub

⁶⁵ Sebastien Mercier, *Obraz Paryża*, Warszawa 1959, przeł. A. Tatarkiewiczowa, s. 247. (Wybór, w którym nie wszystkie cytowane przez Arièsa fragmenty się znalazły – przyp. tłum.)

nieszczercze na powitanie, co czterdzieści lat temu było w towarzystwie przyjęte... Już tylko u m a ł o m i e s z c z a n i n a [zabawne użycie słowa] spotyka się te ceremonie i niepotrzebne fasony, które jemu wydają się ogłada, a ludzi obytych tylko męczą”.

Urządzenie domu i reforma obyczajów umożliwiają większą prywatność: wypełnia ją rodzina, składająca się z rodziców i dzieci, oddalona od służ, klientów i przyjaciół. Listy generała Martange do żony, pisane w latach 1760–1780, pozwalają zmierzyć postępy uczuć rodzinnych, w których nie ma już nic archaicznego, takich samych jak w XIX i na początku XX wieku. O ile wcześniej o rodzinie zwykło się milczeć, teraz przeciwnie – głośno o niej, wypełnia korespondencję, a zapewne i rozmowy, zaprzęta głowę⁶⁶.

Martange nie zwraca się już do żony per *Madame*, chętnie zwraca się do niej tak jak dzieci – mamó. Pisze: „moja kochana mamusiu” albo „miła przyjaciółko”, „drogie dziecko”, „moja mała”. W listach znajdujemy pełno szczegółowych informacji o dzieciach, ich zachowaniu i zdrowiu. Nazywa się je poufale: Minette, Coco. Te zdrobnienia odpowiadają potrzebie zwracania się do siebie inaczej niż obcy, podkreślenia przez użycie swoiście inicjacyjnego języka solidarności rodziców i dzieci oraz dystansu, jaki ich dzieli od świata zewnętrznego.

Ojciec dopytuje się o najdrobniejsze szczegóły życia codziennego. Wszystko jest dla niego ważne. Z niecierpliwością czeka na listy: „Proszę cię, moja mała, napisz chociaż dwa słowa”. „Skarć, proszę, pannę Minette, za to że tak niewiele do mnie pisze”. Cieszy się na bliskie spotkanie z rodziną: „Radość mnie ogarnia na myśl, że wkrótce znajdę się razem z tobą w naszym domku i z największym zapałem zajmę się urządzeniem twojej sypialni, żeby w naszym pokoju było wygodnie i przyjemnie”. To już zupełnie nowoczesna potrzeba prywatności, przeciwstawiająca dom, obiekt gorączkowych i serdecznych zabiegów, zewnętrznemu światu.

Wiele miejsca w korespondencji zajmują sprawy zdrowia i higieny. Dawniej ludzie martwili się poważnymi chorobami, ale nie przejmowali ustawicznie najmniejszym katarem czy chwilowym niedomaganiem. Stan fizyczny nie miał takiego znaczenia: „Żałować by mnie trzeba, gdybym nie miał wieści o zdrowiu twoim i dziewczynek... To, co piszesz o waszym wątłym zdrowiu, nie jest tak pocieszające, jak pragnęłoby ojcowskie serce... Niepokoi mnie to, co napisałaś o naszym małym, że ma bóle i stracił apetyt. Polecam ci gorąco, moje drogie dziecko, miód z Narbony: nacieraj nim dżiasta małemu i Ksawerze, ilekroć je boli”. Oto co czują rodzice, kiedy dzieci ząbkują. W czasach pani de Sévigné pierwsze ząbki zainteresowałyby przez chwilę kumę czy przyjaciółkę, ale nie dostąpiłyby zaszczytu znalezienia się w korespondencji generała. „Martwię się, że obie nasze dziewczynki przeziębione... Zdaje się, że dziś wresz-

⁶⁶ *Correspondance du général de Martange, 1576–1582*, wyd. Bréard, 1898.

cie pogoda zmieniała się na lepsze”. O szczepieniu na ospę rodzice dyskutują jak dziś o trójszczepionce na dyfteryt, polio, tężca. „Składam w twoje ręce sprawę zaszczepienia Ksawery, im szybciej to zrobisz, tym lepiej, wszyscy tę szczepionkę chwala”. Martange radzi żonie pić „wodę z Sedlitz” oraz „sole o tej samej nazwie”, lemoniadę, dolewać octu lub wódki do wody, żeby się ustrzec zarażenia podczas epidemii.

Jedna z córek generała wyszła za mąż w Niemczech. W liście do „drogiej i kochanej” mamy z 14 stycznia 1781 tłumaczy się, dlaczego tak długo milczała. „Najpierw przez dwa miesiące dwoje młodszych miało ostry koklusz, ilekroć kasłali, robili się aż fioletowi i kref [sic!] płynęła im z nosa. Po tej chorobie najmłodsza i Ksawery dostali gwałtownej gorączki”. Lekarze uznali, że nie ma dla Ksawerego ratunku. „Biedne dziecko wycierpiało się ponad wszelką miarę”. Udało się go jednak uratować. „Dzięki Bogu, odzyskałam całą trójkę”. Nikt by się już nie ośmielił pocieszać po stracie dziecka nadzieją na nowe potomstwo, co wiek wcześniej jeszcze było do przyjęcia. Mała istotka jest niezastąpiona, a jej utrata nie do powetowania. Matka cieszy się przywróconymi do zdrowia dziećmi, nie należą już one do strefy pośredniej między istnieniem i nieistnieniem: „Towarzystwo moich maleństw jest moją jedyną rozkoszą”. Oto żywe świadectwo związku, jaki łączy rozwój uczuć do dzieci z postęпами higieny, troskę o dziecko z troską o zdrowie, powiązania między postawami wobec życia i śmierci.

Wiele mówi się o edukacji dzieci, której waga nie budzi wątpliwości: „Polecam ci przede wszystkim zająć się bezzwłocznie kształceniem dzieci, niechaj mają dwa albo trzy razy więcej lekcji dziennie, byleby nauczyły się odpowiednio zachowywać, chodzić i jeść” (dawna ogłada dalej się liczy). Dzieci mają preceptora: „Niechaj korzysta z niego cała trójka, dziewczynki muszą przede wszystkim umieć ładnie się trzymać i poruszać z wdziękiem. Jeśli pan H. ich tego nauczy, będzie mógł się chwalić, że jest dobrym nauczycielem”.

Martange ma kłopoty z pieniędzmi. Boi się ich skutków: „Przez całe kwadrans okrutnie cierpiałem na myśl, że nie będę mógł im dać edukacji, jakiej bym pragnął”. Bez względu na okoliczności, nie wolno oszczędzać na „lekcjach prywatnych”. Minęły czasy, kiedy moralisci roku 1660 skarżyli się, że ludzie nie płacą nauczycielom, bo nie doceniają ich ważnej misji. „Sprzedałbym ostatnią koszulę, gdybym niczego więcej nie miał, byle tylko moje dzieci nie różniły się poziomem od innych w ich wieku i ich stanu. Nie po to się urodziły, żeby nas upokarzać swoją niewiedzą i brakiem obycia. Myślę tylko o tym, droga przyjaciółko, by podreperować moje interesy i zapewnić wam szczęście. A jeśli one chcą mnie uszczęśliwić, to niechaj uczą się pilnie i nie tracą czasu”. Martange martwi się, że „czas szczepienia będzie dla nauczycieli stracony”. „Skorzystaj z pobytu w mieście, żeby dać im trochę ogłady, której moje niepowodzenia [majątkowe] ich do tej pory pozbawiły”.

Zdrowie i edukacja to dwa główne strapienia rodziców. Uderza bardzo nowoczesny ton tej korespondencji. Choć dzieli nas od niej dwa wieki, przecież bliższa jest nam niż listom pani de Sévigné, tylko o wiek wcześniejszym. U pani de Sévigné obok naturalnej czułości dobrej babci dostrzegamy przede wszystkim pełną rozbawienia ciekawość fantazji dzieciństwa, owo pierwsze wobec dzieciństwa uczucie, które nazwałem *mignotage*. U Martange'a tego uczucia już prawie nie ma. Traktuje on dzieci i wszystko, co ich dotyczy, z o wiele większą powagą, powagą już dziewiętnastowieczną, wiktoriańską. W XVII wieku dziecko albo było źródłem rozrywki, albo przedmiotem matrymonialnych czy profesjonalnych spekulacji, które miały zapewnić rodzinie awans społeczny. Dla Martange'a to rzecz drugorzędna, kształcenie dzieci jest o wiele bardziej bezinteresowne. Dzieci takie, jakie są, rodzina taka, jaka jest, ze swoimi powszednimi radościami i smutkami, wynurzają się z elementarnej rutyny życia codziennego, by zaistnieć w jakiejś wyższej sferze świadomości. Grupa rodzice-dziecko, szczęśliwa, że jest sama, oddzielona od reszty społeczeństwa, to już nie siedemnastowieczna rodzina, otwarta na zaborczy świat przyjaciół, klientów i służących, lecz rodzina nowoczesna.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech tej rodziny jest troska o równość między dziećmi. Moralisci drugiej połowy XVII wieku bardzo nieśmiało tej równości bronili, głównie z tego względu, że uprzywilejowanie pierworodnego pociągało za sobą ryzyko fałszywych powołań religijnych u dzieci młodszych. Można też powiedzieć, że wyprzedzali swoją epokę i przeczuwali przyszłe warunki życia rodzinnego. Mieli świadomość, że występują wbrew panującej opinii. Ale u schyłku XVIII wieku nierówne traktowanie dzieci odbierane jest powszechnie jako krzycząca niesprawiedliwość. To obyczaje, a nie kodeks cywilny ani Rewolucja zniosły prawo starszeństwa. Kiedy ultrasi Restauracji przywrócą je w myśl nowej koncepcji rodziny, którą błędnie przypisywali *Ancien Régime*'owi, rodziny odrzucą to prawo. „Na dwadzieścia rodzin zamożnych, pisze Villèle do Polignaca 31 października 1824, jedna tylko skorzystała z możliwości faworyzowania najstarszego czy innego wybranego dziecka. Związki subordynacji tak się wszędzie rozluźniły, że ojciec rodziny czuje się zmuszony zadbać o wszystkie swoje dzieci”⁶⁷.

Od końca średniowiecza do XVI-XVII wieku dziecko zdobyło sobie przy rodzicach miejsce, o jakim nie mogło marzyć w czasach, gdy zwyczaj nakazywał powierzać je obcym osobom. Powrót dzieci do domu jest wielkim wydarzeniem: nadaje siedemnastowiecznej rodzinie charakter różniący ją zasadniczo od rodzin średniowiecznych. Dziecko staje się niezbędne w życiu codziennym, rodzice troszczą się o jego edukację, przyszłość, urządzenie w życiu. Nie jest

⁶⁷ J. Fourcassière, *op. cit.*

ono jeszcze osią, wokół której kręci się cały dom, ale liczy się o wiele bardziej jako osoba. Rodzinę siedemnastowieczną różni od rodziny nowożytnej utrzymująca się nadal ogromna towarzyskość życia. Tam, gdzie ta rodzina istnieje, to znaczy w wielkich domach, jest ona ośrodkiem relacji społecznych, stolicą małej, skomplikowanej i zhierarchizowanej społeczności, którą rządzi ojciec.

Natomiast rodzina nowożytna odcina się od świata i przeciwstawia społeczeństwu samotną grupę rodziców i dzieci. Cała energia tej grupy jest skierowana na promocję dzieci, każdego z osobna, bez żadnej zbiorowej ambicji: dzieci liczą się bardziej niż rodzina.

Ewolucja rodziny średniowiecznej ku rodzinie siedemnastowiecznej i nowożytnej przez długi czas dotyczyła jedynie szlachty, mieszczaństwa, bogatych rzemieślników i rolników. Jeszcze na początku XIX wieku przeważająca część ludności, najuboższa i najliczniejsza, żyje tak jak rodziny średniowieczne. Dzieci nie mieszkają z rodzicami, nie mają poczucia domu, *home*, bycia „u siebie”. Poczucie domu to jakby drugie oblicze poczucia więzi rodzinnej. Od XVIII wieku aż po dziś to poczucie związków rodzinnych niewiele się zmieniło. Pozostało takie samo, jakim było u burżuazji miejskiej i wiejskiej w XVIII wieku. Rozciągnęło się natomiast na inne warstwy społeczne. Pod koniec XVIII wieku w Anglii Ashton stwierdza, iż nastąpił rozwój życia rodzinnego: „Robotnicy rolni starają się raczej założyć własne ognisko domowe niż mieszkać na stacji u chlebobawców. Zanik systemu terminowania w przemyśle umożliwił wcześniejsze małżeństwa i liczniejsze rodziny”⁶⁸. Późny wiek zawierania małżeństw, brak pracy, trudności mieszkaniowe, ruchliwość czeladników, utrzymywanie się tradycji praktycznej nauki zawodu, wszystko to stanowiło przeszkodę dla ideału życia rodziny burżuazyjnej. Ewolucja obyczajów przeszkody te stopniowo usunęła. Życie rodzinne objęło całe niemal społeczeństwo, tak iż zapomniano o jego arystokratycznym i burżuazyjnym rodowodzie⁶⁹.

⁶⁸ J. Ashton, *La Révolution industrielle*, s. 173.

⁶⁹ H. Bergues, Ph. Ariès, E. Helin, L. Henry, M. Riquet, A. Sauvy, J. Sutter, *La Prévention des naissances dans la famille, ses origines dans les temps modernes*, Institut national d'Etudes démographiques, zeszyt 35, 1960. Por. R. Prigent, *Renouveau des idées sur la famille*, Institut national d'Etudes démographiques, nr 18, 1954.

KONKLUZJA:

rodzina i towarzyskość

Historyka, który przegląda materiały ikonograficzne, szukając w nich drgania, życia, jakie sam w swej egzystencji odczuwa, dziwi to, że do wieku XVI sceny przedstawiające rodzinę i dziejące się we wnętrzach trafiają się nader rzadko. Musi je badać z lupą w rękę i interpretować przy pomocy hipotez. Z miejsca natomiast natyka się na głównego bohatera repertuaru obrazów, równie ważnego, jak chór w teatrze antycznym: jest nim tłum, ale nie wielki, anonimowy tłum naszych przeludnionych miast, tylko zgromadzenie na ulicy lub w innym miejscu publicznym (jak kościół) licznych, ale nie obcych sobie sąsiadów i kumoszek z dziećmi, barwna, znajoma mieszanina ludzka, podobna tej, która wypełnia dziś arabskie suki albo korsa śródziemnomorskich miast w porze wieczornej przechadzki. Jak gdyby wszyscy wyszli na dwór zamiast siedzieć w domu; artysta, który chce przedstawić jakieś wydarzenia czy osoby, spontanicznie umieszcza je na ulicy, w polu, na zewnątrz, na widoku licznie zgromadzonej publiczności. Stąd takie bogactwo scen rozgrywających się na ulicy czy na rynku: prace i zabawy, potyczki i gry, zbiegowiska w kościołach i miejscach kaźni.

Z czasem dopiero pojawiają się wyizolowane portrety indywidualne lub rodzinne. Na tych stronicach poświęciliśmy im wiele uwagi, ale nie zapominałmy, jak rzadkie i nieśmiałe były początkowo te próby. Aż do wieku XVII, kiedy ikonografia rodzinna bardzo się wzbogaciła, materia sztuki jest życie zewnętrzne i publiczne. To ogólne wrażenie, uderzające historyka w zetknięciu z materiałem ikonograficznym, niewątpliwie głęboko odpowiada rzeczywistości. Życie w dawnych czasach, do wieku XVII, toczyło się na zewnątrz, wśród

ludzi; podaliśmy wiele przykładów tej dominacji społeczeństwa. O tym, jak społeczeństwo górowało nad prywatnością, świadczą tradycyjne obchody towarzyszące zaślubinom, ważniejsze od ceremonii religijnej, przez długi czas pozbawionej uroczystego charakteru: poświęcenie małżeńskiego łoża, goście odwiedzający nowożeńców w łóżku, okrzyki podczas nocy poślubnej itp. Nikt się nie przejmował intymnością małżonków, bo przecież w ogóle w życiu intymności prawie nie było, panowie i służby, dorośli i dzieci, wszyscy żyli gromadnie, w domach otwartych o każdej porze dla niedyskretnych gości. Zagęszczenie stosunków społecznych nie zostawiało miejsca dla rodziny. Nie żeby rodzina nie istniała, temu zaprzeczyć się nie da, ale ludzie nie mieli poczucia odrębności i wartości związków rodzinnych.

Prześledziliśmy narodziny i rozwój uczuć rodzinnych od XV do XVIII wieku. Widzieliśmy, iż nie wyparły one dawnej towarzyskości; to prawda, że dotyczyły początkowo jedynie ludzi zamożnych, miejskich i wiejskich notabli, arystokratów i mieszczan, rzemieślników i kupców. Dopiero w XVIII wieku uczuciowy stosunek do rodziny rozciągnął się na wszystkie stany i zawładnął świadomością ludzi. Ewolucję ostatnich dwu stuleci często przedstawiano jako tryumf indywidualizmu nad społecznym zniewoleniem, wliczając w to rodzinę. Ale gdzież ten indywidualizm, skoro cała energia pary małżeńskiej jest skierowana na awans potomstwa (ograniczonego z własnej woli)? Czyż nie więcej jest indywidualizmu w beztroskiej obojętności płodnych ojców rodzin dawnego czasu? To pewne, że materialna rzeczywistość rodziny nowożytnej jest inna niż wtedy, gdy rodzina utożsamiana była z dziedzictwem i dobrym imieniem. Teraz, pomijając nieliczne wyjątki, sprawa przekazywania majątku ma w stosunku do dobra dzieci znaczenie drugorzędne, a dobrem dzieci niekoniecznie jest wierność tradycyjnej rodzinnej profesji. Rodzina stała się zamkniętą społecznością, w której człowiek chętnie przebywa i o której chętnie mówi, jak generał Martange w swoich listach z końca XVIII wieku. Ewolucja naszych współczesnych obyczajów byłaby niezrozumiała, gdybyśmy pominęli ten wybujały rozrost uczuć rodzinnych. To nie indywidualizm zatryumfował, tylko rodzina.

Zagarnia ona coraz więcej miejsca, w miarę jak kurczy się tradycyjna towarzyskość. Jak gdyby nowożytna rodzina zastąpiła osłabione dawne związki społeczne, pozwalając człowiekowi uciec od nieznośnej samotności. W XVIII wieku ludzie zaczęli bronić się przed społeczeństwem, z którym stałe obcowanie było wcześniej źródłem edukacji, reputacji i powodzenia. Ten podglebny ruch odśrodkowy rozbił tradycyjne stosunki panów ze sługami, wielkich z małymi, związki przyjaciół czy klientów. Bierność związana z geograficznym bądź społecznym odizolowaniem ruch ten niekiedy opóźniała. Szybszy był w Paryżu niż w innych miastach, szybszy wśród burżuazji niż wśród ludu... Wszędzie wzmacniał prywatność życia kosztem tradycyjnych stosunków przyjacielskich

i sąsiedzkich. Historia naszych obyczajów sprowadza się częściowo do tego długotrwałego wysiłku, żeby się odseparować, odciąć od społeczeństwa, którego presja zrobiła się nie do wytrzymania. Dom stracił charakter miejsca publicznego, jaki miał gdzieś w wieku XVII, na rzecz klubu i kawiarni, które z kolei dziś są coraz mniej odwiedzane. Życie zawodowe i życie rodzinne zdusiły tę sieć stosunków społecznych, która niegdyś zagarniała całą ludzką egzystencję. Wolno stąd wysnuć wniosek, że uczucia rodzinne i towarzyskość są nie do pogodzenia i mogą się rozwijać wyłącznie jedno kosztem drugiego.



KONKLUZJA

„Był wolny, tak nieskończenie wolny, że nie czuł, by coś ważył na tej ziemi. Brakowało mu ciężaru ludzkich związków, który przeszkadza w marszu, brakowało też, pożegnań, wymówek, radości, wszystkiego, co człowiek hoduje w sobie lub zrywa, ilekroć wykonuje jakiś gest, brakowało tysięcy nici, które go wiążą z innymi i obciążają”.

Saint-Exupéry

W średniowieczu, na początku epoki nowożytnej i jeszcze znacznie później w niższych klasach społecznych dzieci żyły pospołu z dorosłymi; gdy tylko uznano, że mogą się obejść bez pomocy matek czy piastunek, niewiele lat po odstawieniu od piersi, mniej więcej od siódmego roku życia wkraczały do wielkiej ludzkiej wspólnoty, z młodymi i starymi przyjaciółmi dzieliły powszednie prace i zabawy. Pęd życia zbiorowego zagarniał jak fala ludzi rozmaitego wieku i stanu, nie dając nikomu czasu na samotność i intymność. W tym nazbyt gęstym, nazbyt zbiorowym życiu nie było miejsca na prywatność. Rodzina pełniła swoją funkcję przekaźniczki życia, majątku i imienia, ale nie odciskała się głęboko w ludzkiej wrażliwości. Mity – jak mit miłości dwornej czy „wytwornej” – gardziły małżeństwem, realia – jak praktyka terminowania – osłabiały uczuciową więź rodziców i dzieci. Otóż rodzina nowożytna może się obejść bez miłości, ale troska o dziecko i potrzeba dziecka są w niej głęboko zakorzenione. Cywilizacja średniowieczna zapomniała o *paidei* starożytnych, a nie miała jeszcze pojęcia o edukacji nowożytnej. Dziś nasze społeczeństwo zależy – i wie o tym, że zależy – od swego systemu kształcenia. Ma taki system, ma koncepcję oświaty i jest świadome jej znaczenia. Nowe gałęzie nauki, takie jak psychoanaliza, pediatria czy psychologia, badają problemy dzieciństwa, a ich wskazówki docierają do rodziców za sprawą obszernej literatury popularnonaukowej. Fizyczne, moralne i seksualne problemy dzieciństwa stały się obsesją naszych czasów.

Cywilizacja średniowieczna nie miała takich zmartwień: dziecko odstawione od piersi stawało się rychło naturalnym towarzyszem dorosłego. W epoce neolitu klasy wiekowe, hellenistyczna *paideia*, świadczą, iż istniała różnica między światem dzieci i światem dorosłych, do którego przechodziło się za sprawą inicjacji bądź kształcenia. Cywilizacja średniowieczna nie odczuwała takiej różnicy, toteż i nie było w niej pojęcia przechodzenia ze świata do świata.

U zarania czasów nowożytnych pojawiła się na powrót troska o kształcenie dzieci. Sprawa edukacji zaprzętała ludzi Kościoła, prawników i uczonych, w XV wieku jeszcze nielicznych, a coraz liczniejszych i bardziej wpływowych w XVI i XVII wieku, kiedy to połączyli się ze zwolennikami reformy religijnej. Byli to bardziej moraliści niż humaniści, bo ci ostatni, przywiązani do pojęcia kultury obejmującej całe życie człowieka, nie przejmowali się specjalnie kształceniem akurat dzieci. Reformatorzy-moralisci, których wpływ na życie szkolne i rodzinne zaobserwowaliśmy, zaciekle walczyli z anarchią (lub tym, co im się anarchią wydawało) społeczeństwa średniowiecznego, podczas gdy Kościół mimo swej odrazy długo się z nią godził, zachęcając sprawiedliwych do szukania zbawienia w klasztorach, z dala od pogańskiego świata. Nastąpiło autentyczne umoralnienie społeczeństwa: etyczny wymiar religii zaczął stopniowo brać górę nad eschatologią. Głosiciele porządku moralnego docenili wtedy znaczenie kształcenia. Widzieliśmy, jaki mieli wpływ na dzieje szkolnictwa i przemianę swobodnej szkoły w zdyscyplinowane kolegium. W XVI i XVII wieku ich pism jest coraz więcej, od Gersona do Port-Royal. Powstałe wtedy zakony jezuitów i oratorian zajmują się nauczaniem, i to nie dorosłych, jak zakony żebracze czy dominikanie w średniowieczu, lecz głównie i przede wszystkim dzieci i młodzieży. Ta literatura i propaganda wpoila rodzicom poczucie odpowiedzialności przed Bogiem za dusze, a nawet i ciała swoich dzieci.

Od tej chwili uznaje się, że dziecko nie jest dojrzałe do życia, że trzeba je poddać specjalnemu reżymowi, swoistej kwarantannie, z a n i m pozwoli mu się wejść między dorosłych.

Nowa troska o wykształcenie dzieci zagnieździ się stopniowo w społeczeństwie i w końcu gruntownie je przemieni. Rodzina przestanie być li tylko instytucją prywatnego prawa, służącą przekazywaniu dóbr i imienia, a zacznie pełnić funkcje moralne i duchowe, kształtować dusze i ciała. Między generacją fizyczną a instytucją prawną istniała luka, którą wypełnić miała edukacja. Dbałość o dziecko pobudza nową uczuciowość, chętnie i udatnie przedstawianą przez siedemnastowiecznych malarzy; rodzi się nowoczesne poczucie więzi rodzinnej. Rodzice już nie tylko wydają dzieci na świat i urządzają w życiu niektóre z nich, zapominając o pozostałych. Obowiązująca moralność każe im dać przygotowanie do życia wszystkim dzieciom, nie tylko pierworodnemu, a pod koniec XVII wieku również dziewczynkom. To przygotowanie zapewnia

szkoła. Zastępuje ona tradycyjne terminowanie, jest narzędziem surowej dyscypliny, za którą stoją sądy i policja. Nadzwyczajny rozwój szkół w XVII wieku jest skutkiem owej nowej troski rodziców o wykształcenie dzieci. Moraliści narzucili im obowiązek wczesnego posyłania dzieci na naukę; w tekście z 1602 roku czytamy: „Rodzice, którzy dbają o wykształcenie swoich dzieci (*liberos erudiendos*), bardziej zasługują na szacunek niż ci, którzy je tylko wydali na świat. Zapewniają im bowiem nie samo tylko życie, lecz życie dobre i świętobliwe. Słusznie więc robią, jeśli od małego wysyłają dzieci na rynek prawdziwej mądrości [czyli do kolegium], gdzie staną się one kowalami własnego szczęścia, ozdobą ojczyzny, rodziny i przyjaciół”¹.

Rodzina i szkoła wydzieliła dziecko ze społeczeństwa dorosłych. Szkoła ujmie swobodne niegdyś dzieciństwo w ryzy coraz surowszej dyscypliny, doprowadzając w XVIII i XIX wieku do zupełnego zamknięcia go w internacie. Zabiegi rodziny, Kościoła, moralistów i administratorów pozbawiają dziecko wolności, którą cieszyło się wśród dorosłych. Skazują je na chłostę i więzienie, kary zastrzeżone dla najzwyczajszych złoczyńców. Ale ta surowość była wyrazem już nie dawnej obojętności, lecz przeciwnie, obsesyjnej miłości do dziecka, która w XVIII wieku zawładnęła społeczeństwem. To uwrażliwienie na dzieciństwo spowodowało lepiej dziś znane zjawisko maltuzjanizmu, kontroli urodzin. Pojawiło się ono w XVIII wieku w momencie, gdy rodzina zreorganizowała się wokół dziecka i oddzieliła od świata murem życia prywatnego.

Nowożytna rodzina odciągnęła od życia we wspólnocie nie tylko dzieci, ale i wielką część czasu i uwagi dorosłych. Zaspokajała potrzebę intymności i tożsamości: członków rodziny łączy uczucie, przyzwyczajenie i sposób życia. Odrzucają oni uciążliwe sąsiedztwo bliźnich, jakie narzucała tradycyjna towarzyskość. Władza i wpływ moralny rodziny dał się wpierw odczuć u burżuazji: wielka szlachta i lud, na dwu krańcach drabiny społecznej, dłużej zachowały dawne obyczaje i mniej im doskwierał nacisk sąsiedztwa. Wśród ludu zamiłowanie do ścisłu przetrwało niemal do dziś. Istnieje więc związek między poczuciem rodziny a poczuciem przynależności klasowej; widzieliśmy wielokrotnie, że krzyżują się one ze sobą. Przez całe wieki różne stany społeczne zabawiały się w te same gry; u zarania czasów nowożytnych nastąpiła selekcja: jedne gry zostały zastrzeżone dla dobrze urodzonych, inne pozostawiono dzieciom i ludowi. Do szkół miłosierdzia ufundowanych dla biednych w XVII wieku chodziły także dzieci z bogatych domów. Ale w wieku XVIII rodziny burżuazyjne przestają akceptować takie wymieszanie i odbierają swoje dzieci ze szkółek, które w przyszłości staną się ludowymi szkołami podstawowymi.

¹ *Academia sive Vita scholastica*, Arnheim.

żeby je posłać na pensję albo do wstępnych klas kolegium; burżuazja zdobyła sobie na to monopol. Zabawy i szkoły, początkowo wspólne dla całego społeczeństwa, zostają objęte systemem klasowym. Jest tak, jakby rozpadło się wszechwładne, polimorficzne ciało społeczne, a jego miejsce zajęła cała masa drobnych komórek społecznych, rodzin oraz kilka potężnych grup, klas. Rodziny i klasy łączą ludzi podobnych pod względem moralnym i prowadzących taki sam tryb życia, podczas gdy dawne, jedyne ciało społeczne mieściło w sobie całą różnorodność wieku i stanów. Stany tym bardziej były oddzielone i zhierarchizowane, im bliższe sobie w przestrzeni. Dystans moralny zastępował odległość fizyczną. Rygor zewnętrznych oznak szacunku, różnice stroju korygowały spoufalenie płynące ze wspólnie dzielonego życia. Sługa nie opuszczał swojego pana, był jego przyjacielem i współnikiem; gdy kończył się okres młodzieńczego koleżeństwa, wyniosłość pana była odpowiedzią na bezczelność sługi i ustanowioną na dobre i złe hierarchię, stale stawianą pod znakiem zapytania przez nadmierną, bezustanną poufałość.

Ludzie żyli w świecie kontrastów: wielkie rody i fortuny sąsiadowały z nędzą, występki z cnotą, skandal z dewocją.

Ta pstrokaczna, mimo wewnętrznych zgrzytów, nikogo nie dziwiła; mieściła się w różnorodności świata, którą wypadało zaakceptować jako daną od natury. Mężczyźni i kobiety wysokiego rodu nie odczuwali żadnego zażenowania, kiedy w swoich wspaniałych szatach odwiedzali w więzieniach czy szpitalach okrytych łachmanami nędzarzy. To zetknięcie skrajności nie zawstydzalo jednych ani nie upokarzało drugich. Coś z tego klimatu przetrwało do dziś w południowych Włoszech. Ale przyszedł czas, kiedy burżuazja nie wytrzymała tej presji tłumu i kontaktu z ludem. Odłączyła się: wycofała się z rozległego, polimorficznego społeczeństwa i zorganizowała na osobności, w jednorodnym środowisku zamkniętych rodzin, w mieszkaniach zapewniających intymność, w nowych dzielnicach położonych z dala od skalanego ludu. Sąsiadujące z sobą nierówności, niegdyś przyjmowane jako naturalne, stały się dla niej nie do zniesienia: odraza bogacza poprzedza wstyd biedaka. Poszukiwanie prywatności, związana z nią nowa potrzeba komfortu (bo intymność łączy się ściśle z wygodą), jeszcze bardziej podkreślały przeciwieństwo między materialnym życiem ludu i burżuazji. Dawne społeczeństwo koncentrowało maksimum rodzajów życia na minimum przestrzeni i akceptowało, jeśli go nie szukało, barokowe wprost zbliżenie najbardziej odległych stanów. Natomiast nowe społeczeństwo zapewniało każdemu rodzajowi życia osobną przestrzeń, gdzie jego dominujące cechy byłyby szanowane, obszar, który miał przypominać konwencjonalny model, idealny typ i nie odbiegać od niego pod karą klątwy.

Poczucie przynależności rodzinnej, poczucie przynależności klasowej, a gdzie indziej może też i rasowej, to przejawy tej samej nietolerancji wobec różnorodności, tej samej potrzeby jednakowości.

Spis treści

Przedmowa do wydania II	7
Część I DZIECIŃSTWO	
Okresy życia	25
Odkrycie dzieciństwa	43
Ubiory dzieci	58
Przyczynek do historii gier i zabaw	69
Od bezwstydu do niewinności	104
Konkluzja: dwie postawy wobec dzieciństwa	130
Część II SZKOŁA	
Młodzi i starzy scholarze w średniowieczu	139
Nowa instytucja: kolegium	142
Początki klas szkolnych	144
Wiek uczniów	146
Rozwój dyscypliny	149
„Szkółki”	154
Trudne dzieciństwo w szkole	155
Konkluzja: szkoła a długość dzieciństwa	157
Część III RODZINA	
Obrazy rodziny	167
Od rodziny średniowiecznej do nowożytnej	192
Konkluzja: rodzina i towarzyskość	230
KONKLUZJA	233

Książki, które ukażą się w najbliższych miesiącach:

HISTORIA

PHILIPPE ARIÈS	Czas historii*
JEAN P. BOIS	Historia starości od renesansu do współczesności*
CONNEL McDANNELL	Historia nieba
JOSY EISENBERG	Kobieta w czasach Biblii
JOHN KING FAIRBANK	Historia Chin
VITO FUMAGALLI	Narodziły średniowiecza
EDGAR GARIN (red.)	Człowiek renesansu*
JACQUES LE GOFF (red.)	Człowiek średniowiecza*
DANIEL GEROULD	Historia gilotyny
JACQUES HEERS	Święta głupców i karnawały*
PAUL JOHNSON	Narodziny nowoczesności
RICHARD KIECHEFER	Magia w średniowieczu
HEIKO A. OBERMAN	Marcin Luter. Człowiek między Bogiem i Diabłem
GEORGES MINOIS	Historia starości od starożytności do renesansu*
ELSE ROESDAHL	Historia wikingów
STEVEN RUNCIMAN	Manicheizm średniowieczny
WITOLD RYBCZYŃSKI	Dom. Krótka historia idei*
ALICE K. TURNER	Historia piekła
ANDRÉ VAUCHEZ	Duchowość średniowiecza

*koedycja z OW VOLUMEN